

ROBERT MAŁECKI

zadra

*Duszna atmosfera, makabryczna zbrodnia
i genialny śledczy w pajęczynie kłamstw...*



zadra

**R O B E R T
M A Ł E C K I**

zadra

Moim Czytelnikom

z wdzięcznością

dzień pierwszy

Kość leżała w wysokiej, pożółkłej trawie, tuż przy pniu sosny.

Kilka metrów dalej, pod osłoną cienkich witek rozłożystego krzewu, komisarz Bernard Gross dojrzał czaszkę. Spoczywała w cieniu, na prawym boku, zwrócona do policjanta przodem. Widział głęboką czerń oczodołów i jamy nosowej.

Brakowało zuchwy.

Do gęstego lasu w podchełmżyńskim Grodnie przyjechał przed kilkunastoma minutami, razem z aspirantką sztabową Moniką Skalską.

Młody policjant, kierowca radiowozu, zatrzymał się na niewielkim gruntowym parkingu, na którym czekał na nich krępy podporucznik w mundurze moro i kamizelce odblaskowej, pocierający z zimna spierzchnięte dłonie. Przywitani się, a potem Kowalski, bo tak się nazywał żołnierz, wskazał im drogę. Przeszli w ciszy obok zaparkowanych wzdłuż drogi wojskowych honkerów i ciężarowych starów, przy których kapral z krótkofalówką wypiął klatkę piersiową i zasalutował dowódcy.

Kilkanaście metrów dalej, w miejscu, gdzie teren znacznie się obniżał, zobaczyli otulone od południowego wschodu gęstym lasem jezioro, które odbijało obraz wypłowiałego jesiennego nieba. Jasna tafla marszczyła się od natarczywego wiatru. Zimne powiewy smagały ich poczerwieniałe od chłodu twarze i szumiały w koronach drzew oświetlanych pomarańczową luną zachodzącego słońca.

– I teraz w lewo – rzekł żołnierz.

Skręcili między brzozy, w zapomniany dukt, porośnięty wysokimi trawami. Kilkanaście metrów dalej czał się mrok, nieprzystępny i złowrogi. Wysyczone zapachem wilgoci oraz leśnego runa powietrze zdawało się ciężkie i lepkie.

Żołnierz wyprzedził ich i żwawo ruszył przed siebie.

– Pewnie wiecie – rzucił przez ramię – że w styczniu czterdziestego piątego wymordowano tu ponad siedemset Żydówek. Tam, na cyplu, jest pomnik. – Machnął ręką w prawo. – Przyjechały z Auschwitz, ale też bezpośrednio z Litwy, Łotwy i Estonii. W sumie pięć tysięcy kobiet.

Policjanci milczeli, a podporucznik kontynuował:

– Uformowano tu coś w rodzaju filii obozu w Stutthofie. Te Żydówki kopały rowy przeciwczołgowe i...

– Pana zdaniem to stare szczątki? – przerwała mu Skalska.

Mężczyzna przystanął i odwrócił się do nich. Krzaczaste brwi zbiegły się ze sobą.

– Cholera wie, ale chyba trudno to wykluczyć – stwierdził. – Zresztą dlatego mówię wam o tych Żydówkach. Być może zwierzęta odkopały jakąś płytką mogiłę, a potem rozniosły szczątki po lesie.

– Zwierzęta? Stare kości? – powątpiewała Skalska, ale podporucznik nic już nie odpowiedział.

Starali się utrzymać narzucone wojskowe tempo. Potykali się o leżące w ściółce konary, ogołocone z kory, a przez to wilgotne i śliskie jak lód. Gałęzie niskich krzewów szarpały im spodnie, kłuły ich w łydki i uda. Gross poczuł, że jego półbuty zaczynają przemakać.

Las z każdym krokiem gęstniał, robiło się też coraz ciemniej, a komisarz zaczął żałować, że nie zabrali z radiowozu latarek.

Po kilku minutach marszu usłyszeli gwar rozmów. Dopiero wtedy Bernard Gross oderwał wzrok od leśnego podłoża i w końcu spojrzął przed siebie. W półmroku dostrzegł zarysy postaci. Kiedy się do nich zbliżył, zauważył, że żołnierze wyglądali na znużonych przedłużającym się oczekiwaniem na rozkazy.

Jeden z nich, starszy szeregowy, mikrej postury, z okularami na nosie, oparł się barkiem o pień sosny i palił papierosa. Zaciągał się głęboko i zatrzymywał dym w płucach na dłużej. Mundur połowy marszczył się na nim, a wysoko związane czarne buty wyglądały jak o dwa numery za duże.

To właśnie ten żołnierz, Waldemar Spychała, wskazał policjantom odnalezioną ludzką kość i czaszkę, a potem wrócił do kolegów. Gross odprowadził go wzrokiem.

– Co sądzisz? – spytała cicho Skalska, gdy zostali sami i przyglądali się uważnie znalezisku.

Podporucznik wsunął kciuki za pas i, niczym strażnik, stanął dwa metry za nimi.

Komisarz wzruszył ramionami i podszedłszy bliżej, ale wciąż zachowując odpowiedni dystans, żeby nie popsuć roboty technikom kryminalistyki, nachylił się nad szczątkami. Jego uwagę zwrócił masywny wyrostek sutkowaty znajdujący się w okolicy stawu skroniowo-żuchwowego. W górnej szczęce zauważył diastemę, szparę między jedykami, a także brak trzech zębów trzonowych. Komisarz odnotował to w pamięci i spojrzął na ostro zakończony łuk brwiowy.

Chociaż z tej perspektywy nie widział kości potylicznej, czaszka wyglądała na całą. Nigdzie nie dostrzegł ran wlotowych ani wylotowych, żadnych pęknięć przypominających ostre, łamane linie błyskawic na burzowym niebie, które mogłyby świadczyć o zadaniu śmiertelnego ciosu tęym narzędziem.

– No i? – Skalska kucnęła obok niego.

Gross uniósł tylko brwi, a następnie westchnął. Wyprostował się i rozejrzał.

Wciąż milczał.

– Bernardzie? – ponagliła go aspirantka po dłuższej przerwie.

Nabrał powietrza i odwrócił się do niej.

– Wróć do radiowozu i zabierz latarki – poprosił cicho. – I zaczekaj na Legnera, powinien wkrótce tu dotrzeć.

Aspirantka sztabowa Monika Skalska skinęła głową. W półmroku ledwie dostrzegał jej oczy, które tonęły w cieniu daszka bejsbolówki.

– Oznaczysz? – spytała, podając mu rulon biało-niebieskiej taśmy.

Wziął go bez słowa, a potem patrzył, jak długa kita czarnych włosów Skalki bujała się w rytm jej kroków. Kiedy policjantka zbliżyła się do starszego szeregowego Spychały, ten szybko zgasił peta o korę i wyrzucił go w ściółkę. Wyprostował się jak do raportu i wyglądał na zaskoczonego, kiedy Skalska minęła go, nie zwracając na niego najmniejszej uwagi.

Gross popatrzył na pozostałych żołnierzy ubranych w kamizelki odblaskowe. Co jakiś czas dobiegały go nagły wybuch śmiechu i potrzaskiwania z przypiętych do wojskowych pasów krótkofalówek.

Omiótł spojrzeniem las, zastanawiając się nad tym, gdzie może się znajdować reszta szkieletu. Szukał świeżego wykopu, rozgrzebanej brunatnej ziemi albo nienaturalnych krzywizn terenu, kopców i wzniesień przykrytych niedawno ściętymi gałęziami. Rozglądał się też za kępami gęstych krzaków. W końcu powiódł wzrokiem po pniach sosen, ale nic nie zwróciło jego uwagi.

„Dziwne”, pomyślał.

– I co? To tych Żydówek?

Gross drgnął. Nie zorientował się, kiedy ktoś stanął za jego plecami.

W tej samej chwili zadzwonił jego telefon.

Odwrócił się do Tomasza Kowalskiego, krępego podporucznika, który z ramienia wojska od kilku godzin nadzorował poszukiwania dzików padłych na afrykański pomór świń, szybko szerzącą się zakaźną chorobę wirusową, znaną także jako ASF. Od kilku dni służby weterynaryjne i leśne, wspierane przez wojsko, realizowały w czterech województwach kolejny etap walki z wirusem.

Komisarz przyłożył aparat do ucha.

- Halo?
- Tu Legner. Gdzie jesteście? – spytał prokurator z Torunia.
- Kilkadziesiąt metrów w głąb lasu.
- W głąb lasu – powtórzył jak echo. – A ja stoję na parkingu. Wyjdzie pan po mnie, komisarzu?
- Skalska zaraz tam będzie.
- O, to świetnie, dzięki. Ale niech pan powie, co tam mamy?
- Kości.
- Tyle to już wiem, pytam, czy jest pan pewien, że ludzkie? Bo butów na zmianę nie zdążyłem zabrać.

Gross popatrzył na swoje przemoczone półbuty.

- Będzie pan tego żałował. – Rozłączył się, a następnie machnął energicznie na podporucznika, by ten odsunął się od miejsca odnalezienia czaszki. – Zadeptaliście tu niemal wszystko.
- Słucham? – Podporucznik nie ukrywał zaskoczenia i kielkującej w nim złości.
- Niech pan tylko spojrzy na tę trawę. Wygląda, jakbyście tu stado dzików przepędzili.
- Przecież to jakieś stare szczątki – warknął żołnierz.
- A skąd ta pewność? – spytał go Gross i zrobił kilka kroków w tył. Odwinął koniec taśmy, a następnie przewiązał ją wokół drzewa. – Niech pan przejdzie na lewo.
- No... w przeciwnym razie natrafilibyśmy na resztę ciała – odparł Kowalski, schodząc komisarzowi z drogi.
- Jest was więcej? Gdzie pozostali żołnierze? – spytał policjant.
- Kontynuują poszukiwania w innym rejonie. Ale zaraz będziemy zmuszeni je zakończyć. Robi się późno. – Podporucznik spojrział w górę na kołyszące się korony sosen, niemal czarne na tle szarzejącego nieba, muskanego ostatnimi tego dnia promieniami słońca.

Gross obszedł miejsce odnalezienia czaszki, przewijając taśmę policyjną wokół kolejnych drzew i okrążając ze sporym zapasem rozłożysty krzew. Wreszcie wrócił do pierwszego oznaczonego pnia.

- Chciałbym porozmawiać z tym szeregowym, który znalazł szczątki – stwierdził komisarz.

Podporucznik wcisnął kciuki za pas spodni i wypiął pierś.

- Spychała! – ryknął. – Do mnie!

Młody żołnierz odrzucił peta i ruszył żwawo w ich stronę. Kiedy podszedł bliżej, Gross skierował się tam, gdzie leżała kość. Kazał mundurowym zatrzymać się z dala od znaleziska i znowu obszedł miejsce, oznaczając je taśmą.

Kiedy skończył, wrócił do Kowalskiego i Spychały.

- Studiował pan medycynę? – Komisarz zwrócił się do starszego szeregowego.
- Tak. Rok temu, ale wyleciałem przez anatomię. – Kiedy to mówił, mięśnie mimiczne na jego twarzy napinały się i rozluźniały, a powieki ulegały mikroskurczom.

Tiki nerwowe.

- Co to jest? – Gross wskazał na leżącą przy pniu kość.

– *Os femoris* – odezwał się Spychała. – Anatomię oblałem, ale akurat tę kość trudno pomylić z jakąkolwiek inną. To kość udowa.

Podporucznik pociągnął głośno nosem i kolejny raz ściągnął brwi, uważnie ich obserwując.

- Panie komisarzu, to oficjalne przesłuchanie? – spytał nerwowo Kowalski.

– Rozpytanie – odparł Gross, nie odwracając się do podporucznika.

Nie znał łacińskiej nazwy, ale ta część ludzkiego szkieletu odznaczała się charakterystyczną kulą umieszczoną na lekko wysuniętej pod skosem szyjce. Zapamiętał ten osobliwy detal z oględzin szkieletów odnalezionych kilka lat temu na nieużytkach w pobliżu Polnej.

- Prawa czy lewa? – dopytał komisarz.

– Prawa. – Mężczyzna spojrział na kość, a potem z powrotem na policjanta.

- Po czym pan rozpoznał?

Spychała wzruszył ramionami.

– W dolnej części kości, z tyłu, znajduje się takie jakby trójkątne wgłębienie. – Żołnierz zaczął gestykulować. – To tak zwana powierzchnia podkolanowa. Trzeba odwrócić kość przodem do siebie, to wtedy ta taka jakby piłka znajduje się po mojej prawej. Więc to od prawego uda. I ta właśnie piłka wchodzi w skład stawu krzyżowo-biodrowego...

– Wystarczy – przerwał komisarz. – Wziął ją pan do rąk? Kopnął albo przesunął?

– Słucham? – Żołnierz nie krył zaskoczenia i zdziwiony natychmiast spojrział w kierunku podporucznika.

Ten patrzył na niego spod krzaczastych brwi i nic nie mówił.

Gross nie powtórzył pytania. Czekał na odpowiedź.

– Nie, no skąd! Niczego nie ruszałem – zapewnił Spychała, przestępując z nogi na nogę.

– Na pewno? A pana koledzy?

– A po co miałbym ruszać? – Oklepał kieszenie kurtki, po czym wyjął paczkę marlboro, a następnie plastikową zapalniczkę, która wypadła mu w gęstą trawę.

– Nikt niczego nie ruszał – odezwał się podporucznik.

– Chociażby po to, żeby sprawdzić, czy to prawa, czy lewa kość. – Gross podpuścił młodego żołnierza.

Spychała przeczesywał dłońią runo. W końcu odnalazł zgubę, wyprostował się i otarł wilgotną dłoń o spodnie, zostawiając na nich ciemne smugi.

– Rozpoznałem ją i bez tego. Zresztą mówiłem już. To najbardziej charakterystyczny fragment ludzkiego szkieletu. – Poczęstował komisarza, który pokręcił głową, i z powrotem schował papierosy do kieszeni, pomijając swojego dowódcę. Widocznie ten nie palił.

– Dobra, dziękuję – stwierdził policjant.

Starszy szeregowy skinął głową i osłonił się od wiatru. Zapalniczka zgrzytnęła kilkukrotnie. Chciał już odejść, gdy Gross podniósł rękę.

– Męska czy kobieca? – spytał.

– Męska – odparł żołnierz bez wahania, wypuszczając kłęby dymu, który rozwiewał się powoli.

– Po pierwsze, jest długa, po drugie, kąt szyjkowo-trzonowy jest bardziej rozwarty niż w kości żeńskiej. Dlatego obstawiam, że ta jest jednak męska.

– A coś więcej na temat czaszki?

Wrócili w milczeniu kilka kroków do taśmy rozpiętej wokół krzewu, pod którym spoczywały kolejne szczątki. Podporucznik szedł tuż za nimi, głośno pociągając nosem.

Pod butem Grossa pękła z trzaskiem gałąź.

– Moim zdaniem to czaszka mężczyzny. Poza tym tam – wskazał Spychała papierosem – jak pan widzi, znajduje się duży wyrostek sutkowaty, to takie zaokrąglenie w pobliżu stawu skroniowo-żuchwowego, charakterystyczne dla czaszki męskiej. Warto by sprawdzić kość potyliczną, bo jeśli znajdują się na niej charakterystyczne guzki, to już nie miałbym żadnych wątpliwości.

– Miejsca przyczepów mięśniowych – dodał cicho Gross.

Szeregowy spojrział na policjanta.

– Zna się pan na rzeczy. – Spychała ponownie się zaciągnął i zmrużył oczy.

Komisarz uważnie przyglądał się jego tikom nerwowym, jakby młodą twarz podrażniały krótkotrwałe przepływy ładunków elektrycznych, drobne spięcia w gęstej sieci neuronów. Przez chwilę zastanawiał się, czy to męczące, ale nie zapytał o to żołnierza, który zapewne – jako niedoszły lekarz – znał ich przyczynę.

W końcu odwrócił wzrok od mężczyzny i raz jeszcze spojrział na czaszkę.

Kiedy cisza się przedłużała, stojący obok podporucznik wysmarkał się głośno, po czym schował zmiętą chusteczkę do kieszeni spodni.

– Przepraszam, ale mamy robotę do wykonania. – Oparł ręce na biodrach i kazał Spychale odmaszerować. – Czy to wszystko? – spytał, nie siląc się na uprzejmość.

Komisarz kiwnął głową, a Kowalski sięgnął po krótkofalówkę.

– Trzysta dziesięć do trzysta trzynaście – powiedział.

Ciszę w lesie przecięły trzaski, a po chwili z urządzenia dało się słyszeć zniekształcony męski głos:

– Trzysta trzynaście, zgłaszam.

Podporucznik ponownie przysunął urządzenie do ust.

– Melduj, jak sytuacja na froncie?

– Czysto.

Gross jeszcze raz przyjrzał się coraz mniej wyraźnym zarysom żołnierzy, do których dołączył właśnie Spychała. Pewnie szeregowy dał im znać, że zaraz wrócą do pracy, bo zaczęli otrzepywać spodnie i poprawiać kamizelki.

– No to świetnie. Kończycie już? – dopytał podporucznik.

– Tak. Zaraz wyjdziemy na drogę.

– Okej, to my też powoli się zwijamy. Zbierz wszystkich i się ustawcie. Wkrótce po was podjedziemy. Bez odbioru – zakończył rozmowę i wyciągnął do policjanta rękę na pożegnanie.

Kiedy Gross ją uściskał, była zimna i zupełnie sztywna, niczym dłoń manekina.

– Jeszcze jedno – poprosił policjant. – Tyralierę uformowaliście na tamtej drodze? – spytał, wskazując na oddalony o kilkadziesiąt metrów skraj lasu, gdzie zaparkowali radiowóz.

– Nie. Idziemy z przeciwnej strony. – Podporucznik ponownie pociągnął nosem.

– Czyli tego fragmentu lasu jeszcze nie zbadaliście?

– Nie. Ale zrobimy to teraz. – Spojrzał spod krzaczastych brwi. – I to dokładnie.

Gross rzucił okiem na grupę żołnierzy. Zauważył mężczyznę w cywilu i drugiego, w zupełnie innym umundurowaniu.

– Kto jest z wami? – spytał, unosząc brodę w tamtym kierunku.

– Pyta pan o cywili?

Komisarz potwierdził skinieniem głowy.

– W każdym plutonie jest ktoś od leśników i służb weterynaryjnych. My tu jesteśmy tylko do pomocy – odparł podporucznik, pocierając zmarznięte dłonie.

– Rozumiem. A skąd przyjechaliście?

– Z Szóstego Samodzielnego Oddziału Geograficznego z Torunia.

– Dziękuję. Gdybyście na coś natrafili, proszę o sygnał. Będziemy tu cały czas – zapewnił.

– Jasne. – Kowalski pokiwał głową i odszedł w stronę żołnierzy.

Po chwili do uszu komisarza dotarły krótkie, gardłowe rozkazy i wojskowi rozeszli się, ustawivszy się w tyralierę, a następnie wznowili poszukiwania padłych dzików.

Wkrótce las wypełniła złowroga cisza.

I zimno, które pochłaniało komisarza, poczawszy od stóp w przemoczonych butach.



Ciemność zastała ich szybciej, niż Gross się spodziewał.

– Kurwa, chłopie, weź się do pisania, bo zginiemy tu jak ciotka w Czechach – stęknął Jarek Bloch, technik kryminalistyki z Torunia, kiedy podszedł do nowego chełmżyńskiego dochodzeniowca.

Młody funkcjonariusz Mateusz Zieliński, z okularami w wąskiej drucianej oprawie, sprawiał wrażenie wyrosniętego szkolnego kujona. Marszczył czoło, zbyt długo męcząc się nad zapisami w protokole z oględzin. Odburknął coś niezrozumiale, czym tylko rozbawił Blocha, który w końcu, zniecierpliwiony, ubrany w lekki biały fartuch, machnął ręką i podszedł do Grossa zasłuchanego w ciszę, w której wybrzmiewały jedynie dźwięki natury, szum lasu i dochodzące gdzieś z oddali pohukiwanie sowy.

Od chwili, kiedy komisarz oznaczył miejsca odnalezienia ludzkich szczątków, minęły trzy godziny. Prokurator Legner rzucił tylko na nie okiem i zabrał się z powrotem do Torunia, dając zebrany do zrozumienia, że papierologią zajmie się w prokuraturze następnego dnia. Spieszył się do wypadku drogowego z ofiarami śmiertelnymi, do którego doszło na autostradzie pod Toruniem, a być może martwił się jedynie o półbuty z włoskiej skóry.

– I jak to widzisz? – spytał Gross niskiego technika, który uśmiechnął się nerwowo, odsłaniając małe zęby.

– Czarno to widzę, przynajmniej z takim dochodzeniowcem. – Bloch wyjął z paczki papierosa. Zgrzytnął kamień zapalniczki, a dygoczący płomień rozświetlił okrągłą twarz. Przez moment wyglądała jak odlana plastikowa maska. – Będziemy się tu pierdolić do rana.

– Wiesz, o co pytałem.

– Sam byś to szybciej zrobił, Bernardzie. Ty albo Skalka – powiedział, przytrzymując papierosa ustami.

Gross nie słyszał w jego głosie ani pretensji, ani żalu.

– Gdzieś musi się tego nauczyć. A na prawdziwej robocie najłatwiej – stwierdził, rozcierając zmarznięte dłonie. – Zapomniałeś już, jak to było?

Bloch znów się zaciągnął.

Komisarz obserwował, jak żar w postaci cienkiej czerwonej obrączki rozniecał się i spopielał kolejne skrawki tytoniu.

Wreszcie technik wypuścił z ust szary obłok, który uciekając w górę, rozwiął się i zniknął.

– Teren wokół zdeptany, więc nic z tego nie będzie, a przynajmniej żadnych śladów traseologicznych. – Bloch odchrząknął. – Ale też nie łudźmy się, jesteśmy w lesie, ściółka nigdy nam nie pomagała.

– A czaszka?

– Cała.

– Coś jeszcze?

– Niestety, nie. – Bloch pokręcił głową z nieskrywaną troską.

– Czyli mamy niewiele – podsumował komisarz i się rozejrzał.

Zieliński trzymał w ustach latarkę i świecił sobie na podkładkę, do której miał przypięty formularz protokołu oględzin. Skalska rozmawiała przez telefon. Ze strzępków rozmowy wyłowił, że połączyła się z dyżurnym.

– Co zrobisz, jak nic nie zrobisz. – Technik zdjął z siebie fizelinowy strój i oddalił się do swoich aluminiowych walizek, żeby poskładać sprzęt. W jednej z nich ustawił latarkę, której snop jasnego światła ciął ciemność i rozpraszał się wysoko pod koronami sosen.

Obok walizek, na niewielkim rozkładanym krześle, stał spory karton, do którego trafiły fragmenty szkieletu nieznanego mężczyzny. Gross podszedł i włożył lateksowe rękawiczki, a następnie podniósł czaszkę na wysokość oczu. Obracał długo i pod różnymi kątami, aż w końcu spojrzął w czarne oczodoły. Wyczuwał zgrubienia i chropowatości na części potylicznej. Krawędź łuku brwiowego odznaczała się sporą wypukłością. Ale było też coś, co go zastanowiło. Czuł się tak, jakby trzymał w dłoniach wielkie, nawoskowane jabłko. Kości czaszki pokrywał tłustawy nalot. Odłożył ją i wyjął kość udową. Tę również pokrywała taka sama gładka warstwa. Gross z łatwością przejechał palcem wskazującym wzdłuż kości, w kierunku nadkłykci.

– Raczej świeżynka – rzucił Bloch. – Rano zawiozę do Raszei, niech się im przyjrzy.

Schyliwszy się, Gross odłożył kość do kartonu i zamknął go. A potem rozejrzał się wokół.

– Mam jeszcze prośbę. Właściwie do wszystkich – podniósł głos, kiedy się zorientował, że Skalska przestała rozmawiać przez telefon.

– No? – zaciekawiał się Bloch.

Skalska i Zieliński spojrzeli na nich.

– Chciałbym, żebyśmy przeszli się przez las w stronę drogi – wyjaśnił komisarz.

– Teraz? Po ciemku? – zdziwił się technik. – Przecież mówiłeś, że wojsko już to zrobiło.

– Zrobiło. Ale oni szukali tylko tego, co leżało na ziemi – przypomniał Gross, patrząc po kolei na współpracowników, jakby chciał w ten sposób zweryfikować ich zapał i energię do realizacji tego zadania.

Potem zadarł głowę i spojrział na oświetlone latarką, kiwające się od wiatru czarne korony sosen.



– Jak chcesz to zrobić? – spytał Bloch, gdy na parkingu w pobliżu Jeziora Grodzieńskiego stanęli przed ścianą lasu, do którego mieli za chwilę wejść.

Obok Skalska włączała i wyłączała latarkę, rzucając raz po raz owal światła na szutrową drogę. Zieliński i kierowca spoglądali na Grossa, a podkomisarz Ryszard Nubiński grzebał obcasem w trawie. Komisarzowi z trudem udało się oderwać tego ostatniego policjanta od rodzinnej uroczystości. Na szczęście Nubiński nie pił i mógł natychmiast wsiąść za kierownicę prywatnego opla astry.

– Rozstawimy się co osiem, dziesięć metrów i ruszymy przed siebie. Będziemy szli równo – dodał Gross. – Pilnujmy siebie nawzajem.

– Jest noc – przypomniał technik i zatrzepotał na wpół przymkniętymi powiekami.

– Ale będziemy widzieli światła latarek.

– Może lepiej wrócić tu rano? – Grubawy podkomisarz nie ukrywał niechęci do działania. – Zbierzemy większą ekipę.

– Jeśli na nic nie trafimy, rano czeka nas powtórka – uciął komisarz. – I jeszcze jedna ważna sprawa – zastrzegł. – Zaglądamy wszędzie. Częściej patrzymy w gęste krzaki niż w leśne podłoże, jasne?

Pokiwali głowami.

– Aspirant Zieliński idzie od strony polnej drogi, obok Ryszard, Jarek, ja, Skalka i pan. – Spojrział na sierżanta Wolskiego, kierowcę radiowozu. Potem raz jeszcze popatrzył na każdego z osobna. – Wszystko jasne?

Kiedy skinęli głowami, dał im znać, żeby zajęli miejsca, a następnie włączył latarkę i spojrział przed siebie.

– Bądźcie dokładni – poprosił i ruszył w stronę ciemnego lasu.

Dwadzieścia minut później gałęzie krzewów wciąż chłostały go po ciele, drapały po twarzy, przeczesywały postawione na jeża włosy. Szedł pochylony, jedną ręką torując sobie drogę, drugą operując latarką. Snop światła załamywał się na korze drzew, wysokich trawach i brązowych liściach, z których wiele upadło już na ściółkę. Jedynym plusem było to, że wśród drzew wiatr się uspokoił i komisarz przynajmniej nie odczuwał męczącego chłodu. Powietrze było rześkie, a kiedy wypuszczał je ustami, uciekały z nich kłęby pary.

Rozejrzał się na boki: zarówno po swojej lewej, jak i prawej zobaczył w niewielkim oddaleniu po dwie łuny światła.

Szedł więc dalej i kierował latarkę w skupiska wysokich krzewów.

Po chwili drzewa się przeredziły i zrobiło się jakby przestronniej. Gross stanął na polanie, pośrodku której rosło kilkanaście sosen. Ich korony kiwały się na tle granatowego nieba. Obrzucił je światłem latarki. Wysoko po pniach pięły się przesuszone pnącza, gęste i poskręcane, niczym żywe sidła. Kiedy zgasił latarkę, odniósł wrażenie, że w tej ciemności patrzy na gigantyczne pajęczyny.

– Bernard! – krzyknął Bloch.

– Jestem, jestem – odezwał się głośno i z powrotem włączył źródło światła. – Chciałem tylko coś sprawdzić.

Obszedł sosny z lewej i wtedy natrafił na czerwony ślad.

„To nie mogło być przywidzenie”, upewnił się.

Poświecił w tamto miejsce. Na jednym z pni na wysokości wzroku zauważył fragment folii przytwierdzony takerem. Zawieszony w pionie biały prostokąt, na którym znajdował się czerwony trójkąt z napisem: „Impreza na orientację – prosimy nie zrywać”.

– Jarek! Podejdź do mnie! – krzyknął.

Odwrócił się i za czarnymi pniami dostrzegł światło, które miotало się raz w jedną, raz w drugą stronę. Bloch był coraz bliżej. W końcu przedarł się przez chaszczę i dysząc, stanął obok Grossa.

– Trzeba to zabezpieczyć – stwierdził komisarz.

– Jasne – odparł technik. – Teraz czy gdy skończymy?

Gross milczał, wpatrując się w zadrukowany prostokąt.

– Gdy skończymy – stwierdził po chwili.

Bloch zrobił krok w bok i przyjrzał się sosnom.

– O kurde. Co to jest? Nigdy czegoś takiego nie widziałem – powiedział, przyglądając się rozpiętym na drzewach pączkom.

– Ja też nie – przyznał Gross.

Z lewej oślepiła ich latarka, niedługo później usłyszeli szelest.

Nubiński zbliżył się do drzew i je oświetlił.

– To chmiel – stwierdził. – Często rośnie tak w lasach.

Gross się rozejrzał. Pozostali policjanci wyprzedzili ich już o kilkanaście metrów.

– Stop! – krzyknął. – Zaczekajcie na nas.

Światła znieruchomiały.

– Dobra, wracajcie na miejsca. Nie traćmy czasu – poprosił kolegów.

Obaj z trudem odwrócili wzrok od nietypowego leśnego znaleziska i ruszyli w kierunku swoich stanowisk.

Gross poczekał, aż przedrą się przez gęstwinę krzewów, i dopiero wtedy wznowił marsz wyznaczoną przez siebie ścieżką. Dobiegały go trzaski pękających pod nogami policjantów gałęzi, ciche i krótkie pokrzykiwania ptaków. Miał wrażenie, że te dźwięki pełniej wybrzmiewają w leśnej gęstwinie, że dobiegają go zewsząd, że nocą las żyje intensywniej.

Minął niskopienne drzewo liściaste z mnóstwem gałęzi, z których smętnie zwisały się obkurczone, zmizerniałe liście. Sporo pokrywało już leśną ściółkę. Przypomniało mu to o ich własnej jabłoni, tej, którą zasadził wspólnie z Agnieszką na pierwsze urodziny Bartka. Drzewo rosło za domem na toruńskich Wrzosach.

– Będzie duże i silne jak twój syn. – Agnieszka myła naczynia i raz po raz spoglądała przez okno na niewielki pień z kilkoma gałązkami, który kołysał się na wietrze.

Bartek, nakarmiony i wykąpany, po zabawie w ogrodzie zasnął szybko.

Gross przytulił się do niej od tyłu i złożył ręce na jej brzuchu, a potem pocałował w kark. Wyczuł woń cytrusowych perfum, idealnie współgrających z naturalnym zapachem skóry, i nie przestawał muskać jej szyi ustami. Odchyliła głowę, poddając się tej przyjemności.

Woda i piana z płynu do mycia zniknęły w odpływie.

– Oby tylko nie chciał być policjantem – stwierdził.

Zaśmiała się, odkładając talerz na suszarkę. W komorze zlewozmywaka zostały same sztucce.

– A jak często tak bywa? – spytała.

– Ale co?

– Jak często synowie idą śladami swoich ojców?

Wzruszył ramionami, po czym pocałował ją w policzek i niechętnie odszedł, żeby postawić czajnik na gazie.

– Nie wiem – rzekł zgodnie z prawdą, bo nigdy się nad tym nie zastanawiał. – Ale ta robota...

– Oj, nie mów, nie mów.

Uśmiech zniknął z jej twarzy, i tylko dlatego Gross zaczął się obawiać tego, co żona mu powie.

– Jest dla ciebie wszystkim, co masz – dodała Agnieszka, odkładając noże i widelce. Wytarła dłonie w kuchenny ręcznik, a następnie przyjrzała im się z uwagą. Skóra na palcach zwiótchała od wody.

Patrzył na nią, ale ich spojrzenia się nie spotkały.

– Wy jesteście wszystkim – odparł.

Pokiwała tylko ze smutkiem głową.

Dobrze wiedział, co to oznaczało.

A potem, kiedy stracił wszystko, co miał, pozostała mu jabłoń. Rozłożysta i silna.

Żona zapadła w śpiączkę, a od Bartka oddalał się z każdym rokiem. Zupełnie bezwiednie, jakby to nie on był w tej relacji ojcem, tym, którego powinnością było dbanie o potomstwo. W końcu sprzedał dom z ogrodem i silną jabłonią i wyprowadził się do Chełmży.

I teraz też omiatał snopem światła jabłoń. Nie widział tylko, jak się to stało, że wyrosła w sercu lasu.

– Bernard! – zawołała Skalska.

Zorientował się, że został w tyle.

– Już idę! – odrzyknął i ruszył naprzód.

Cztery łuny światła przesunęły się w tej ciemności do przodu, a pięć metrów dalej Gross zatrzymał się ponownie. Stał przy wysokich i gęstych krzewach, otaczających dwie rosnące blisko siebie sosny.

– Koniec! – krzyknął Bloch. – Jestem już tu, gdzie leżała kość.

Do komisarza dotarły pokrzykiwania pozostałych osób z zespołu.

Gross się nie odezwał. Kucnął, żeby podnieść zatopioną we mchu błyskotkę, od której odbiło się światło latarki. Rozsunął dłonią mokrą trawę i spojrzał na przedmiot. Wyciągnął z kieszeni lateksową rękawiczkę, włożył ją, podniósł znalezisko i skierował pod światło.

Dwa klucze na stalowym kółku bez breloka.

Pierwszy klucz, połyskujący na zielono, znaczyły głębokie rysy. Spod metalicznej farby na krawędziach przedmiotu wyzierała właściwa srebrna powłoka. Na drugim, w kolorze zmatowionej miedzi, Gross dostrzegł zbierające się w wyżłobieniach osady brudu.

– Mam coś! – krzyknął i skierował latarkę w górę na korony sosen, żeby pozostali widzieli, gdzie dokładnie się znajduje, i mogli tu przyjść. Spojrzał w ich stronę. Pięć punktów żółtego światła było blisko siebie. Pojawiały się i znikwały przysłanianie przez drzewa i krzewy.

Szli w jego stronę.

Gross zajrzał pod krzak.

Wokół miejsca odnalezienia kluczy niczego więcej nie dostrzegł. Obszedł rozłożysty krzew wokół, co rusz wpuszczając wiązkę światła z latarki przez gęsto rosnące gałęzie. W końcu rozchylił je i precyzyjnie się tak, by dostać się do pnia sosny. Gałęzie drapały go w twarz. Musiał przymykać oczy, aby uniknąć urazu.

– No, co tam masz? – usłyszał głos Skalki oraz rytmiczny szelest traw i gałęzi pod jej stopami. W tle rozmawiali pozostali.

I wtedy to zobaczył.

Pętla z jasnego sznura oplatała pień sosny.

dzień drugi

Nad ranem na parkingu przy lesie zaroilo się od policjantów.

Gross, zziębnięty i ze skostniałymi stopami, siedział na tylnej kanapie radiowozu i popijał herbatę z jednorazowego kubka. Zmęczenie pogłębiło jego zmarszczki i sprawiało, że powieki mu ciążyły. Tuż obok Jarek Bloch, wykończony kilkugodzinną nocną pracą w podwójnej roli fotografa i technika kryminalistyki, oparł ręce o dach i otwarte drzwi wysłużonej policyjnej kijanki. Stał w bezruchu, obserwując skraj lasu, jaśniejący od brzasku. Jasne džinsy technika były mokre do kolan, poznaczone zielonkawymi i ciemnobrązowymi smugami. Podobnie jak rękawy polara, których nie ochronił fizelinowy strój roboczy.

– Czegoś takiego jeszcze w życiu nie widziałem – stwierdził Bloch.

Gross milczał. Dopiero teraz zaczął odczuwać prawdziwe zmęczenie, które powoli ogarniało jego wychłodzone ciało.

Rzeński poranek przywitał ich utkanymi między pniami drzew i unoszącymi się nad leśnym runem strzępkami mgieł, które snuły się po polach rozciągających się za ich plecami. Tafla położonego w dolinie jeziora była gładka jak lustro, w którym odbijały się kłębiaste chmury.

Ktoś klasnął w dłonie i dopiero w tej chwili dotarło do Grossa, że musiał przymknąć oczy.

– No, panowie, robota czeka! – usłyszał znajomy głos.

Skupił wzrok na sięgających do kolan gumiakach. Kiedy spojrzął wyżej, zobaczył tęgawego, niskiego prokuratora w sportowej, puchowej kurtce z kapturem. Artur Legner z Prokuratury Rejonowej Toruń–Wschód wyciągnął z kieszeni chusteczki i wytarł nos. Oddychał przez usta, z których co chwila wydobywały się kłęby pary.

– Musiałem się zaziębić na tym wypadku – stęknął.

Gross spojrzął na Blocha, a ten podszedł do otwartego bagażnika.

– Coście tu zmajstrowali, co? – spytał wesoło prokurator.

Komisarz dźwignął się i wyprostował. Dopił herbatę, a potem odstawił kubek w zagłębienie w drzwiach i ostentacyjnie zerknął na zegarek.

Legner nie wyglądał na steranego pracą – był świeżo ogolony, a poranny wiatr niósł w stronę Grossa orientalny zapach drogich perfum.

– Chodźmy – zaproponował komisarz.

– A pan? – rzucił prokurator do Blocha.

Ten wyjął z bagażnika długi nóż i stanął za Grossem.

– Prawie jak maczeta. – Zaśmiał się Legner. – Będzie nam pan torował drogę jak ten, co bosy po dżungli łązi? No wiecie. Ten taki z radykalnymi poglądami. Jakże się on nazywa? – Popstrykał palcami. – O! Już mam. Cejrowski.

Nie odpowiedzieli.

Gross w ciszy minął prokuratora i ruszył do lasu.

Po kilkunastu minutach dotarli na miejsce oznaczone policyjną taśmą, za którą znajdował się wysoki i gęsty krzak otaczający rosnące blisko siebie sosny. Na gałęziach krzewu Gross zobaczył czarno-żółtego ptaka wielkości dziecięcej pięści, który odleciał, gdy tylko się zbliżyli.

Komisarz uniósł taśmę i przytrzymał, żeby Legner mógł wejść na wyznaczony teren. Prokurator spojrział zdumiony na pusty worek na zwłoki.

Kilka metrów dalej Skalska pomagała Zielińskiemu dokończyć protokół oględzin, ale Gross dał jej znak, by zeszli z pola widzenia Legnera. Oboje wycofali się za gęste krzaki.

Nubiński wrócił do komisariatu i miał zastąpić komisarza przy bieżącej robocie.

– To tu? – zdziwił się Legner.

Gross pokiwał głową. Włożyli z Blochem lateksowe rękawiczki i podali parę Legnerowi, ale ten odmówił. Wsadził ręce w kieszenie na znak, że niczego nie dotknie.

– Pan sobie jaja robi, komisarzu? Gdzie? – spytał.

– Tu – odparł Gross, wskazując na krzew.

W lesie wciąż panował półmrok, ale niebo nad drzewami błękitniało.

Legner z niedowierzaniem pokręcił głową. Jego gumki lśniły od rosy. Lepiły się do nich liście i igliwie.

– Nie musimy się kochać, do kurwy nędzy, ale moglibyśmy się chociaż szanować, prawda? – Uniósł brwi. – Co to jest, do chuja? Zajęcia terenowe z dendrologii?

Komisarz skinął na Blocha, żeby ten do niego podszedł. Podnieśli z ziemi solidne konary, które znaleźli i wykorzystali już wcześniej. Wsunęli je głęboko w krzew, a następnie rozgarnęli gałęzie, z których spadło kilka zbrązowiałych liści.

Zanim Legner uwierzył w to, co zobaczył, minęła chwila. Gross odwrócił się do niego i obserwował, jak niedowierzanie ustępuje zaskoczeniu, które z kolei szybko przeradza się w obrzydzenie.

Wreszcie prokurator zasłonił sobie usta i rozejrzał się w panice. Odbiegł kilka metrów dalej, do najbliższego drzewa, i oparłszy się jedną ręką o pień, gwałtownie się pochylił i głośno wyrzucił z siebie zawartość żołądka. Długo trwało, nim go wreszcie opróżnił.

– Uuu, obfite śniadanko – gwizdnął Bloch cicho.

Wreszcie prokurator się wyprostował, splunął kilka razy gęstą śliną i wyciągnął chusteczkę, żeby otrzeć usta, a potem czubki gumiaków. Odetchnął głęboko i uniósł głowę.

Dobiegło ich kilka rzuconych przez zęby przekleństw.

– Odcinamy? – spytał Gross, a Legner, nie odwracając się, machnął ręką, że się zgadza, po czym krzyknął z oddali:

– A patolog?

Bloch sięgnął po nóż.

– Mówiłem, Bernardzie, że pan prorok obrzyga sobie buty? Mówiłem. – Zaśmiał się technik. – I gdybym się tylko z tobą założył, wisiałbyś mi zgrzewkę żywca.

Grossa to nie rozbawiło. Nie zależało mu na tym, by odgrywać się na prokuratorze. Chciał jedynie, aby ten wiedział, że gdyby nie przypadek, ciała nikt by nie odnalazł.

– Stop, zaraz, do cholery! A patolog? – powtórzył pytanie prokurator, który stanął tuż przy nich. W przekrwionych oczach wciąż jeszcze zbierały się łzy, efekt silnych torsji.

Gross ponownie spojrział na zegarek.

– Za pół godziny będzie w prosektorium i zrobi sekcję.

– Nie przyjedzie tu?

– A widzi pan w tym jakikolwiek sens? – odparł komisarz. – Tu, na miejscu, niczego więcej się nie dowiemy.

– No dobra, a co ze zdjęciami? – dociekał prokurator.

– Mamy pełną dokumentację fotograficzną. Dwie sesje, jedna z nocy, druga z rana. – Bloch uśmiechnął się sztucznie. – Mogę pokazać.

Legner machnął ręką, jakby odpędzał natrętą muchę. Popatrzył na zwłoki i gwałtownie wciągnął nosem powietrze. Zamknął oczy i próbował przetrwać. Kiedy je otworzył, technik zrobił krok przed siebie. Przytrzymał zwiotczałą linę, która z jednej strony oplatała drzewo, a z drugiej zakończona była pętlą zaciśniętą na szyi bezgłowego ciała.

Bloch jedną dłonią naprężył sznur, a drugą, mniej więcej w połowie odległości od drzewa, zaczął go przecinać. Za każdym razem, kiedy ostrze zanurzało się w zaplecione warkocze liny, słychać było głuchy zgrzyt, a pozbawione głowy zwłoki podskakiwały jak makabryczna pacyna w teatralnym przedstawieniu.

– Zgon musiał nastąpić co najmniej tydzień temu. Powieszenie w pozycji nietypowej z niepełnym zwieszeniem ciała. Brak głowy i jednej kończyny dolnej, ale druga jest zgięta w kolanie, więc należy przypuszczać, że denat ukląkł na twardych konarach krzewu – stwierdził Gross.

– Pana zdaniem, komisarzu, nic tu nie wskazuje na zabójstwo? – Legner się skrzywił, a Gross ponownie przyjrzał się ludzkim szczątkom.

Nocą, w świetle latarki, zwłoki wyglądały upiornie, ale teraz nie robiły na nim już takiego wrażenia.

– W obecnej sytuacji trudno wykluczyć taką wersję. Mam nadzieję, że autopsja zmieni nasz ogląd w tej sprawie – odparł. – Pewne jest jedno. Jeśli czaszka, którą odnaleźli wojskowi, należy do tego ciała, to śmierć nie nastąpiła ani w wyniku postrzału w głowę, ani w wyniku uderzenia w nią tępym narzędziem. Kości czaszki nie noszą żadnych śladów uderzeń, nie ma w niej też ran wlotowych.

Na szczątkach mężczyzny słusznego wzrostu wisiała kurtka moro i zielona koszula, obficie poplamiona zaschłymi ocieklinami gnilnymi i postrzępione przez ptaki albo wiewiórki. Jedna nogawka zielonych bojówek, tak samo brudna, zwisała swobodnie, jakby denat był kaleką. Na stopie tkwił brązowy traper. Drugiego buta nigdzie nie znaleźli.

Gross wiedział jednak, że zarówno czaszka, jak i brakująca kończyna odpadły od ciała jako pierwsze na skutek procesów gnilnych i praw fizyki. Podobnie jak dłonie, bo zgniłe kończyny górne utrzymywały się tylko dzięki wyciągniętych od ciężaru rękawom. Fragmenty szczątków musiały spaść na ściółkę i wtedy stały się łatwiejszym łupem dla lisa albo wilka, który rozciągnął je po lesie.

– Ale, co dziwne – zaczął Gross – mamy dwie niepołączone ze sobą pętle z samozaciskowych plastikowych opasek.

– Czyli? – Legner zmarszczył czoło.

Gross spojrział na niego.

– Biorąc pod uwagę średnicę, mogły być zaciśnięte na nadgarstkach – stwierdził.

Bloch zaczął sapać ze zmęczenia i z powodu niewygodnej pozycji, w której musiał odcinać sznur.

– Trzymasz? – spytał technik komisarza.

Gross podtrzymał korpus i poczuł nieznośny smród gnijącego ciała, mdły i gęsty, który oblepił nozdrza. Widział wyraźnie jasnokremowy kikut kręgosłupa z odsłoniętymi kręgami szyjnymi. Larwy owadów ogołociły tę część zwłok z wszelkiej tkanki. Potem przyjrzał się wysuszonej, niemal szerniałej i sztywnej, jakby wyprawionej skórze szyi z ciągnącym się po obwodzie wyraźnym wgłębieniem, powstałym od pętli wisielczej, która, poluzowana, się z niego wysunęła. Węzeł znajdował się z lewej strony szyi denata.

– Uważaj – ostrzegł Bloch.

Komisarz poczuł, jak osuwa się na niego martwe ciało.

W tej samej chwili z pomiędzy połów poszarpanej i poplamionej koszuli wyleciały ze świergotem dwa czarno-żółte ptaki, które odfrunęły gdzieś za plecy policjanta.

Łopot ich małych skrzydeł zabrzmiał niezwykle głośno.

Gross wzdrygnął się i poczuł, że jego serce też próbuje się wyrwać z klatki piersiowej. Mimo to nie upuścił zwłok. Wciąż trzymał je przed sobą. Były lekkie niczym kukła.

Bloch pobladł, wpatrując się z przerażeniem w komisarza.

Zanim ten zorientował się, co się tak naprawdę stało, zdołał w końcu ułożyć ciało w otwartym worku. Trupi smród stał się nie do zniesienia.

– Pomóż mi – poprosił Gross technika.

Bloch kucnął, naciągając sobie na nos zapiętą pod szyję bluzę polarową.

– Przełożymy go na plecy – wyjaśnił komisarz. – Na trzy.

Po czym odliczył i obrócili zwłoki. Policjant poprawił nienaturalne ułożenie nogi i rąk ukrytych pod warstwą ubrudzonych ubrań.

Wtedy Gross rozchylił koszulę i spojrzał w otwartą, pozbawioną wnętrzości jamę brzuszną, w której dostrzegł drobne patyki, przesuszone źdźbła traw oraz ptasie pierze.

Legner nachylił się nad nimi.

– Chryste Panie! – jęknął na widok zawieszzonego na żebrach gniazda opuszczonego przez osy.



Kiedy zaparkowali przy chełmyńskim orlenie, Gross siedział na tylnej kanapie radiowozu i nie zamierzał wysiadać. Dał kierowcy dwadzieścia złotych i poprosił o gorzką herbatę i hot-doga. Skalska zamówiła dużą białą kawę i muffinkę.

Wkrótce kierowca zatrzasnął drzwi i zostali sami.

Policjant obserwował przez boczną szybę Jarka Blocha, który wysiadł ze swojej kijanki i przeciągnął się, wyrzucając ręce w górę. Koszula, którą nosił pod szarym polarem, wyszła mu ze spodni. Po chwili technik ruszył wolnym krokiem za kierowcą i Mateuszem Zielińskim do wejścia do oświetlonego mimo słonecznego poranka sklepu.

– Zadzwońeś do niej? – spytała Skalska, która siedziała ze spuszczoną głową na fotelu pasażera.

Nie zdjęła bejsbolówki.

Widział jedynie profil jej twarzy, która z powodu daszka czapki niknęła w cieniu.

– Do kogo? – spytał zdziwiony.

– Do Malwiny.

Przymknął oczy i zrugął się w myślach. Wychylił się, żeby spojrzeć na zegarek umieszczony pośrodku konsoli, tuż obok radia, z którego sączyły się dźwięki kojącego amerykańskiego swingu.

Było krótko po siódmej.

Przypomniał sobie, że poprzedniego dnia umówił się z bibliotekarką Malwiną Lemańską. Zaprosiła go na późny obiad, a on zaraz po wizycie u lekarza poszedł do sklepu po wino i kwiaty. Gdzieś je tu nawet zostawił. Omiótł wzrokiem wnętrze pojazdu, ale po wiązance żółtych tulipanów nie było śladu. Być może kierowca przełożył je do bagażnika. Butelka wina, którą wsunął w kieszeń oparcia siedzenia Skalskiej, pozostała na swoim miejscu.

– Przepraszam – wyszeptwała Skalska.

Gross westchnął.

– Obiecałam, że załatwimy to szybko. Że będziesz mógł do niej wrócić.

Nie miał żalu do podwładnej, ale poczuł się źle, że zawiódł Lemańską. Pamiętał, że kiedy się do niej wybierał, kiedy stał pod oknem zielonego dwuklatkowego bloku na Sikorskiego, w którym mieszkała, wychyliła się i z uśmiechem zaprosiła go na górę. I gdyby wtedy do niej wszedł, być może wszystko potoczyłoby się inaczej. Może wyciszyłby aparat i dzięki temu nie odebrałby telefonu od Skalskiej. Ale zamiast tego chciał przynieść bibliotekarce kwiaty. Wreszcie zrobić to, co powinien był zrobić dawno temu. Traktować ją jak kobietę, która – bał się tego określenia – zawiadnęła jego myślami.

Bał się przede wszystkim własnego zaangażowania. Bo przecież to Agnieszce, która od dziesięciu lat przebywała pogrążona w śpiączce w zakładzie opiekuńczym Fundacji „Światło” w Toruniu, obiecał, że będzie ją kochał w zdrowiu i chorobie. A co dziś czuł do tej kobiety, która w oczywisty sposób nie była już tamtą Agnieszką, ale wciąż była jego żoną?

Pozostało po niej ciało, utrzymywane przy życiu przez odpowiednie impulsy płynące

z niedotlenionego mózgu, który z jednej strony w ogóle nie reagował na bodźce zewnętrzne, a z drugiej – uparcie podtrzymywał płomyk ledwie tlącego się życia. Serce z uporem pompowało krew, dotleniało tkanki i mięśnie, ale mózg nie przesyłał do nich sygnału, jakby ktoś wyjął wtyczkę z gniazdka sieci neuronalnych.

– Zadzwoń do niej. Proszę – odezwała się ponownie Skalska.

Wyczuł napięcie w jej głosie.

Powinien tak zrobić. Powinien zadzwonić do Malwiny i ją przeprosić. A być może obiecać, że odwiedzi ją jutro, że wszystko jej wynagrodzi. Ale im więcej składał obietnic, tym częściej zawodził sam siebie.

Gross sięgnął po ukrytą w kieszeni kurtki komórkę, ale chwilę później kierowca szarpnął tylne drzwi i podał mu hot-doga i herbatę.

– Resztę mam w kieszeni. Zaraz oddam – powiedział i wycofał się do sklepu.

Komisarz powiódł za nim wzrokiem. Ugryzł ciepłą bułkę i zaczął wolno przeżuwać. Po chwili upił łyk gorącej herbaty.

– To nie jest twoja wina – stwierdził, gdy przełknął kęs.

– Jasne – prychnęła. – Nie moja.

Zaskoczył go jej ton.

W końcu odwróciła się do niego gwałtownie i odpięła pas.

Chciała coś powiedzieć, otworzyła nawet usta, ale ostatecznie zrezygnowała.

Szarpnęła drzwi i wysiadła.

Wiatr zawył głośno i chłód owinął się Grossowi wokół karku.

– Powiedz, żeby się pospieszyli – rzucił.

W odpowiedzi Skalska trzasnęła drzwiami i podbiegła do sklepu. Widział, jak szybko przechodzi między półkami i kieruje się do toalet. A potem zniknęła mu z oczu.

Popatrzył na stojących przy ekspresie do kawy policjantów. Jeden z nich ziewał, drugi drapał się po głowie.

„Zadzwoń do niej”, przypomniał sobie słowa Skalskiej.

Ugryzł bułkę, a następnie przytrzymał hot-doga i kubek z herbatą w jednej ręce, a drugą sięgnął po komórkę. Kciukiem wybrał numer do Lemańskiej i przyłożył aparat do ucha. Przełknął kęs przy trzecim sygnale, a po piątym przerwał nawiązywanie połączenia. Postanowił wysłać esemes.

Próbował sklecić kilka słów, ale to, co napisał, nijak nie oddawało jego myśli. Pisał więc wiadomość na nowo. I tak kilka razy.

W końcu usunął całą treść i zgasił ekran.

– *Vis maior* – wyszeptał, schowawszy aparat do kieszeni kurtki.



– Panie komisarzu, kwiaty! – Kierowca wysiadł z radiowozu i otworzył bagażnik.

Gross był już przy ciężkich drewnianych drzwiach komisariatu, kiedy go usłyszał. Odwrócił się i wrócił do samochodu. Z każdym krokiem niemal chlupało mu w butach. Odebrał zwędłe żółte tulipany, a po chwili młody policjant podał mu też butelkę wina.

Komisarz wyrzucił kwiaty do pobliskiego kosza, a butelkę schował do torby.

Tuż po ósmej przesłaniające co i rusz chmurami słońce wznosiło się wyżej na nieboskłonie.

Gross usiadł ciężko za biurkiem i nastawił czajnik, w którym była jeszcze resztką wody z poprzednich dni. Szybko zaszumiała i zabulgotała, ale mimo to nie zaparzył herbaty. Opadł na oparcie fotela i przymknął oczy. Powinien wrócić do domu, przebrać się i wziąć prysznic, zanim zaśnie

w swoim gabinecie. Ale miał sporo pracy. Wstał więc, kiedy w drzwiach pojawiła się korpulentna młodsza inspektorka Lucyna Wojtasik, komendantka chełmyńskiego komisariatu. Rude włosy jak zawsze spięła w kok.

– Dlaczego do mnie nie zadzwoniłeś? – spytała spokojnie, ale z wyczuwalną pretensją. Spódnica munduru podkreślała jej szerokie biodra.

Komisarz potarł oczy, ale nic nie odpowiedział.

– To samobójca? – Odsunęła sobie krzesło i usiadła na szczycie stołu do odpraw, który drugim końcem stykał się z biurkiem komisarza.

Gross zdał sobie sprawę, że zachowała większy dystans, bo wyczuła od niego trupi fetor. Odwrócił się do okna, żeby je otworzyć, ale zrezygnował. Wiedział, że to nic nie da, a mogło tylko pogorszyć sytuację. Ewentualny przeciąg rozwiałby smród po korytarzu.

Opowiedział jej o tym, gdzie znaleźli czaszkę i kość udową, a także, że zwłoki wisielca odnalazł w potężnym i gęstym krzewie, który rósł wokół dwóch sosen.

– Nie wiem. Być może tak to właśnie wygląda. Nikt z zewnątrz nie dostrzegłby ciała – oznajmił.

– Dlaczego?

– Denat był ubrany w strój moro.

– Ale tobie się udało – rzuciła z przekąsem.

– Nie dlatego, że zobaczyłem zwłoki.

– A co? – zainteresowała się.

– Klucze – stwierdził. – Jeden zielony, drugi złoty, spięte stalowym kółkiem, pozbawione breloka.

– Jego?

– Tego się raczej szybko nie dowiemy – zastrzegł. – Z obu dłoni pozostało jedynie kilka kości śródręcza, więc o odbitkach linii papilarnych możemy zapomnieć przynajmniej do czasu identyfikacji.

Wojtasik pokiwała głową.

– Rozumiem, że nie miał przy sobie dokumentów? – odezwała się po chwili.

– Nie, żadnych. W kieszeniach pusto. Te w spodniach się przetały, więc możliwe, że klucze należały do denata – odparł Gross.

– Żołnierz?

Komisarz zaprzeczył.

– To nie był żołnierski mundur.

Westchnęła.

– Więc jaki masz plan?

Policjant pochylił się i oparł pięściami o biurko.

– Skalska wyszukuje zaginionych...

– Na miejscu nie było patologa – przerwała mu. – Skąd Skalka wie, jaki zakres dat nas interesuje?

– Na razie sprawdzamy po ubiorze i znaku szczególnym.

– Co masz na myśli?

– Diastemę, czyli szparę między górnymi jedykami – wołał uzupełnić.

– Przecież wiem, co to diastema – obruszyła się Wojtasik. Wstała i zasunęła krzesło. – Proszę, melduj mi o wszystkim.

Pokiwał głową.

– I przebierz się – poprosiła i zniknęła za drzwiami.

Gross odczekał chwilę i przedzwonił na górę do Moniki Skalskiej.

– Wiemy coś więcej? – spytał zmęczonym, wypranym z emocji głosem.

– Właśnie miałam do ciebie zejść.

– Może nie. Po prostu powiedz, co...

– Zaraz będę – weszła mu w słowo i odłożyła słuchawkę.

Ponownie włączył czajnik i sięgnął po kubek, do którego wrzucił ekspresówkę.

Drzwi się uchyliły i do gabinetu weszła Skalska. Miała na sobie puchowy granatowy bezrękawnik, a pod nim czarny polar zapięty pod szyję.

Z ulgą stwierdził, że ona też nie zdążyła się przebrać. Prosto z lasu w Grodnie przyjechała tutaj, ale o dziwo, nie wyglądała na zmęczoną. Z werwą żuła gumę. Położyła na biurku kartkę ze zdjęciem uśmiechniętego mężczyzny z wyraźną szparą między jedykami. Pospolita, owalna twarz, krótkie włosy, niewielkie zakola i dołek w brodzie pokrytej drobnym zarostem, przetkanym siwą nitką.

Pod fotografią znajdowały się imię i nazwisko, a także data urodzenia i zaginięcia oraz miejscowość, z której pochodził mężczyzna. Gross odczytał też informację o znakach szczególnych i o tym, w co facet był ubrany w dniu zaginięcia.

– Rafał Becker? – spytał, podnosząc wzrok.

Skalska pokiwała głową, a następnie wydmuchała niewielki balon, który szybko schowała w ustach. Pękł głucho, kiedy tylko go rozgryzła.

– To musi być on – powiedziała z przekonaniem.

Komisarz raz jeszcze spojrzął na wydruk.

– Zaginął siedemnastego września w godzinach popołudniowych. – Spojrzął na kalendarz ścienny. – Czyli kilkanaście dni temu.

– Nasz człowiek.

– Nasz? – Skrzywił się.

– No w sensie, że z Chełmży – wyjaśniła.

Ponownie przyjrzał się zdjęciu.

– Dobra robota – pochwalił i w gabinecie zapadła cisza.

– Co teraz? – spytała Skalska.

Gross się zamyślił, wreszcie przecesał dłonią włosy.

– Nic. Pojedź do domu i odpocznij. Poproszę Judytę, by wzięła na siebie stomatologów i pozyskała kartę dentylistyczną. Ułatwi nam to identyfikację. A ja w tym czasie się przebiorę i pojedę do Torunia na sekcję.

– Jechać z tobą?

Pokręcił nieznacznie głową.

– Przy okazji wpadnę jeszcze do żony – wyjaśnił.

– Rozumiem. – Skalska podeszła do drzwi, ale odwróciła się w progu. – A pamiętałeś o telefonie do Malwiny?

Gross znieruchomiał.

– Przy okazji wpadnę jeszcze do żony – powtórzył twardo.



Zimny, październikowy wiatr się wzmaczał, kiedy komisarz szedł po pomoście w zachodniej części jeziora. Podmuchy szarpały mu kurtkę i przenikały przez grubą warstwę ubrań. Wyciskały też łzy spod półprzymkniętych powiek.

Szlaka na Plażowej, po której szedł pod górę do swojego bloku, chrzęściła miarowo pod podeszwami przemoczonych butów. Wszedłszy do klatki schodowej, Gross poczuł ulgę. Świst wiatru ucichł i przynajmniej chwilowo zmasowany atak zimna szalał już tylko na zewnątrz.

W mieszkaniu komisarz nastawił czajnik na gazie i rozebrawszy się, włożył ubrania oraz bieliznę do pralki, którą szybko uruchomił. Wziął długi i gorący prysznic, a na koniec spryskał się wodą kolońską. Mimo tego wciąż czuł smród rozkładającego się ciała.

Kiedy wyszedł z zaparowanej łazienki, czajnik gwizdał już od dłuższego czasu. Gross zalał herbatę ekspresową i ubrał się w świeże ciuchy: gruby granatowy sweter i czarne sztruksowe spodnie. Przemoczone buty wsunął pod kaloryfer w kuchni, ale dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że ten jest zupełnie zimny. Obawiał się, że pokryte ciemnymi plamami wilgoci skórzane obuwie będzie musiał wyrzucić.

Zrobił sobie drugie śniadanie, które dokończył na schodach, bo nie zamierzał spóźnić się na sekcję zwłok wisielca.

Unieruchomił dwiema cegłówkami otwarte blaszane wrota garażu, żeby nie zatrzasnął ich wiatr, a następnie wyprowadził golfa.

Zapomniał zabrać książkę, którą chciał przeczytać żonie, ale nie zdecydował się już na powrót do mieszkania. Postanowił, że poszuka czegoś na miejscu, w świetlicy.

Przejechał przez torowisko na rogatkach miasta, gdy zawibrował telefon.

– Judyta Judycka, szefie – usłyszał kobiecy głos.

– Co masz? – spytał.

– Gładko poszło. Dentysta był na miejscu, spisałam protokół i przejęłam kartę dentystyczną Rafała Beckera.

– Świetnie. Diastema?

– Tak, pacjent z diastemą. Podczas ostatniej wizyty, w styczniu, zgłosił się do wyrwania trzonowca. Prawa siódemka na dole. W sumie miał pięć ekstrakcji.

– Pięć? – Gross zapamiętał brak trzech trzonowców w górnej szczęce. Powiedział to Judyckiej.

– Zgadza się. Trzy u góry i dwie na dole.

Szum silnika i gwizd wiatru przez krótką chwilę wypełniały kabinę golfa.

– Miał czterdzieści dwa lata – zauważył Gross. – Stomatolog mówił coś o jego ogólnym stanie uzębienia?

– Pięć ekstrakcji chyba mówi więcej niż opinia lekarza.

Pomyślał o tym samym.

– Czy możesz zostawić mi tę dokumentację na biurku? – spytał.

– Już tam leży – odparła. – Jakby co, jestem do dyspozycji.

– Dziękuję, Judyto. – Gross się rozłączył, ale nie odłożył aparatu.

Wahał się przez moment, w końcu wybrał jednak numer Lemańskiej. Dobijał się do niej przez siedem sygnałów. Potem odpuścił.

„Może tak wygląda koniec czegoś, co się nawet na dobre nie zaczęło”, zmartwił się. „Może to jakiś znak”.

Nagle, kiedy tylko o tym pomyślał, coś przyszło mu do głowy. Dlatego połączył się z Judycką.

– Jeszcze jedna sprawa – powiedział, kiedy podniosła słuchawkę. – Na miejscu, w lesie, widziałem przytwierdzoną do drzewa folię z wydrukowanym hasłem. Technik ją zabezpieczył. Chodziło chyba o marsz lub bieg na orientację czy coś podobnego.

– Sprawdzić to?

– Koniecznie – rzucił, a po chwili, kiedy musiał zwolnić i zjechać na gruntowe pobocze, żeby przepuścić wariata wyprzedzającego tira, odezwał się ponownie: – Co to w ogóle jest?

– Te marsze?

– Tak. To jakiś rodzaj podchodów?

– No tak jakby. Zabawa połączona z turystyką – stwierdziła. – Generalnie rzecz polega na tym, że organizator przekazuje uczestnikom mapę, a oni mają dzięki niej i pozostawionym w terenie wskazówkom dotrzeć do punktów kontrolnych. Wszystko to zazwyczaj odbywa się na czas.

– To wciąż jest modne? Kto się w to bawi?

Usłyszał jej ciepły śmiech i wyobraził sobie tę młodą blondynkę z zadartym nosem i włosami do ramion, których równo przystrzyżone końcówki podwijały się do szyi. Widział ją siedzącą przy biurku w gabinecie na poddaszu, tuż pod oknem pościowym. Przypomniała mu jedną z tych znanych aktorek z Hollywood, jeszcze zanim ta zaczęła wydawać zarobione pieniądze na liczne operacje

plastyczne, które całkowicie zniszczyły jej piękne, naturalne rysy.

– Dziś modne są gry komputerowe, szefie. Ale w te marsze bawić się mogą wszyscy. Dorośli i dzieci. Takie imprezy odbywają się zwykle w ciągu dnia, czasami też nocą. Ja chodziłam na nie z rodzicami, a potem z koleżankami z liceum. A szef brał w tym kiedyś udział?

– Nocą też? – zainteresował się.

– No, wtedy jest zabawniej. A już na pewno straszniej. – W jej głosie znowu brzmiała wesołość.

– Sprawdź to dokładnie, proszę.

– Oczywiście. Dam znać, gdy już coś ustalę.



Wiatr siekł pierwszymi kroplami deszczu, ciężkimi i zimnymi jak drobinki lodu.

Jeszcze w samochodzie komisarz postawił kołnierz kurtki, a następnie wysiadł z auta i pochyliwszy się, podbiegł do drzwi prosektorium szpitala na Bielanach. Z powodu silnego podmuchu stoczył z nimi chwilową walkę, a kiedy znalazł się we wnętrzu zakładu patomorfologii, machinalnie przetarł ręką zaczesane na jeża posiwiałe włosy, mokre jakby po kąpielu. Wytarł dłoń w sztruksy i zapukał do gabinetu Raszei. Odpowiedziała mu cisza. Zszedł więc do piwnicy, w której na czas budowy nowych obiektów lecznicy zorganizowano tymczasowe prosektorium. Legner już tam był, kręcił się nerwowo przed stalowymi drzwiami i rozmawiał przez telefon. Mrugnął do Grossa i kontynuował rozmowę.

Policjant wszedł do holu. Ściągnął z wieszaka zielony fizelinowy fartuch i spojrzał w kierunku pokoju, w którym dwóch laborantów przygotowywało zwłoki mężczyzny do pogrzebu. Dłonie w niebieskich rękawiczkach uniosły sinoszary tułów z bezwładnie odchyloną głową, żeby włożyć denatowi białą koszulę.

Gross narzucił strój ochronny na ramiona i dopiero wtedy nacisnął klamkę.

Raszeja, wysoka i chuda lekarka sądowa, pochylała się nad posiniałymi zwłokami otyłego młodego mężczyzny. Komisarz przyjrzał się wielkim, sinym podeszwowom jego stóp, a potem przeniósł wzrok na wzdęty gazami gnilnymi brzuch i widoczne na skórze, niczym sieć dróg na mapie, smugi dyfuzyjne. Powstawały, kiedy krew w żyłach zaczynała gnić.

Głowa, z odciętą pokrywą czaszki, spoczywała na stalowej podpórcie, a skalp był wywinięty na twarz. Mężczyzna leżał na połyskującym od świateł jarzeniówek szerokim stalowym stole. Trupi odór uderzył komisarza dopiero po chwili.

Bloch z założonymi rękoma i przymkniętymi powiekami opierał się o ścianę. Wyglądał na zmęczonego i znużonego jednocześnie. Dwie aluminiowe walizki stały przy jego nogach.

– O! Jak dobrze, że już jesteś, Bernardzie. Cieszę się – powiedziała Raszeja, po czym się wyprostowała i odgarnęła przedramieniem kręcone, krótkie włosy. Na dłoniach miała gumowe rękawice. – Panie Stefanie, poproszę o zwłoki wisielca z lasu! – krzyknęła w kierunku otwartych drzwi po drugiej stronie sali, a następnie zwróciła się do Grossa: – Zaraz przyjdę.

Opuściła salę. Kiedy drzwi się za nią zamknęły, technik kryminalistyki kucnął i położył walizki na podłodze. Zgrzytnęły zamki, a po chwili znowu dało się słyszeć miarowy szum wentylatorów. Bloch nałożył zielonkawy strój i sięgnął po karton lateksowych rękawiczek. Podsunął go Grossowi, który podszedł do drugiego, wolnego stołu sekcyjnego.

Chwytał jedną z rękawiczek od wewnętrznej strony i wprawnie nałożył na dłoń. Z drugą postąpił tak samo.

– Znowu będzie śmierdziało. – Bloch posmarował sobie mentolową maścią skórę nad górną

wargą. – Chcesz? – Wyciągnął w kierunku komisarza dłoń ze specyfikiem w blaszanym opakowaniu.

Policjant poczuł jej intensywny zapach, ale tak samo wyczuwał też smród papierosów, którymi przesiąkły ubrania kolegi. Odmówił, a Bloch spojrział na niego przekrwionymi oczami.

– Na pewno? – wołał się upewnić.

Gross machnął ręką.

– A ty? Dasz radę? – spytał technika po chwili, gdy z zaplecza dotarły do nich metaliczne dźwięki, a zaraz potem salę wypełnił charakterystyczny terkot kółek wózka na zwłoki. Laborant sekcyjny, łysiejący pięćdziesięciolatek w niebieskim stroju, skinął im głową.

– Pomożecie, panowie? – spytał.

Gross stanął u wezłowania, a Bloch w nogach stołu sekcyjnego. Z łatwością przenieśli lekki worek, a laborant odjechał z wózkiem na zaplecze.

– Co miałeś na myśli, pytając, czy dam radę? – Technik podniósł wzrok na komisarza.

– Nic. Po prostu wyglądasz na wykończonego – zauważył Gross.

– Do tej pory jeszcze nigdy nie spierdoliłem swojej roboty. – Bloch podniósł głos.

– Nie to miałem na myśli – bronił się policjant.

– Właśnie, że miałeś – upierał się mężczyzna. – Uważasz, że mogę coś spierdolić.

– Daj spokój – poprosił komisarz i wtedy drzwi się otworzyły.

Do sali weszła Raszeja, za nią Legner i jeszcze jeden mężczyzna, ubrany w garnitur. Prokurator zatrzymał się jednak tuż za progiem i przetarł dłońią twarz.

– Panowie, przedstawiam wam Krystiana Kowalika, entomologa z toruńskiego uniwersytetu. – Raszeja odwróciła się do naukowca. – Poprosiłam go o udział w autopsji, bo być może jego wiedza przyda się w wyjaśnieniu waszej sprawy.

Gładko ogolony szatyn z włosami zaczesanym na bok uśmiechnął się przyjaźnie, ale krótko, i wyciągnął dłoń. Zorientował się, że policjanci mieli nałożone rękawice, więc raz jeszcze się uśmiechnął, tym razem z zakłopotaniem, i wsunął rękę w kieszeń spodni.

– No to co? Zaczynamy? – spytała lekarka, zbliżywszy się do czarnego worka.

Legner skinął głową.

Raszeja chwyciła za suwak i ze zgrzytem rozsunała zamek, uwalniając trupi odór.

Prokurator nabrał powietrza i się skrzywił. Przestępował z nogi na nogę.

– Panie komisarzu... – Pokazał na drzwi i jednocześnie uniósł telefon.

Gross skinął mu głową.

– Jakby co, zawołam pana – powiedział i rozsunał poły worka, w którym tkwiło bezgłowe ciało.



Dwie godziny później w gabinecie Raszei rozszedł się intensywny zapach świeżo zaparzonej kawy. Oparłszy łokcie na kolanach, Gross wpatrywał się w brązową szklankę, z której parowała herbata. Nieco dalej nitka dymu uciekała z odłożonego na skraj popielniczki papierosa.

– Trudna sprawa – stwierdziła Raszeja.

– Jak sądzisz, dlaczego to zrobił?

– Pytasz o samobójstwo? – Sięgnęła po papierosa i zaciągnęła się dymem.

– Nie.

– A, o to. – Uniosła brwi i się zamyśliła. – Rzeczywiście dziwne.

Wypuściwszy dym, odchyliła się na oparcie fotela i przymknęła oczy. Żółtymi od tytoniu palcami strzepnęła do popielniczki długi ogonek siwego popiołu.

– Widziałam już wisielców, którzy zanim się powiesili, krępowali sobie ręce – dodała. – Ale

rzeczywiście pierwszy raz spotykam się z tym, żeby ktoś zrobił to przy pomocy opasek samozaciskowych.

Gross przypomniał sobie to, co niedawno zobaczył, zanim Raszeja przecięła ubrania i odsłoniła gnijące w nich kończyny górne pozbawione dłoni. Przyjrzeni się wtedy zakończeniom kości łokciowej i promieniowej.

– Nie widać żadnych śladów cięć – powiedziała, pochylając się nad szczątkami ze szkłem powiększającym. – Wszystko wskazuje na to, że dłonie odpadły same w wyniku przegnicia stawów i tkanki chrzęstnej. Podobnie głowa.

Spojrzała jeszcze do papierowej koperty i wysypała do stalowej nerki trzy odnalezione w leśnym poszyciu, pod zwłokami, niewielkie kości. Nieprzyjemnie głośno zagrzechotały w naczyniu.

– Kość trójgraniasta lewego nadgarstka – stwierdziła, biorąc w szczypcę jedną z nich i odkładając na bok. Potem to samo zrobiła z drugą i trzecią. – Tu mamy kość łódeczkową i główkową, ale prawej dłoni.

Gross ocknął się ze wspomnienia i znowu spojrzał na lekarkę.

– Ciągle myślę o tych opaskach – stwierdził.

Raszeja przekrzywiła głowę i zaciągnęła się ponownie. Delikatne smugi dymu przysłoniły jej twarz.

– Zrobicie badania i wszystko będzie jasne. Jeśli odnajdziecie na nich ślady naskórka, a nie wątpię, że tak właśnie będzie, to przestanieś się zadrećzać.

– Ale wciąż dziwi mnie jedno.

– Co takiego?

– Sznur pozostał w bruździe wisielczej, a opaski odpadły od ciała – odparł.

Raszeja pokiwała głową i w ciszy wypaliła papierosa.

– To może zaczniemy od początku – zaproponowała, zgniatając peta w popielniczce. – Po stanie rozkładu kończyn górnych i jednej dolnej uznałabym, że śmierć mężczyzny nastąpiła około dwóch tygodni temu. Odnaleziona kość udowa i czaszka należą do tych samych zwłok, ale w tym wypadku poczekajmy na badania porównawcze DNA z materiałem genetycznym ściągniętym przez waszych ludzi ze szczoteczki do zębów i bielizny pościelowej. Bo rozumiem, że to zrobiliście, prawda?

– To standardowa procedura – wyjaśnił Gross. – Prześlę ci jeszcze skan karty dentystycznej.

– Świetnie, to przyspieszy proces identyfikacji. Ale wróćmy do meritum. – poprosiła. – Kiedy odnaleźliście denata, lina była zwiotczała, a bezgłowe, klęczące zwłoki opierały się o pień sosny, prawda? Ale żeby mężczyzna mógł się udusić, sznur oczywiście musiał się naprężyć, bo tylko wtedy pętla wisielcza może się zacisnąć. – Spojrzała na Grossa. – Wiem, że to truizm. Ale chodzi o to, że wówczas jego ciało na pewno odchyliło się od pnia sosny w kierunku krzewu. Wniosek z tego taki, że kąt zgięcia nogi w stawie kolanowym mógł być kątem rozwartym, a nie ostrym.

Gross zastanawiał się, do czego zmierza Raszeja.

– Mężczyzna nie udusił się w pozycji siadu klęcznego, czyli takiego, w którym pośladki spoczywają na piętach – odezwała się po przerwie, jakby czytała komisarzowi w myślach. – Gdyby tak było, wówczas prawdopodobnie obie kończyny dolne pozostałyby na swoich miejscach, czyż nie?

Komisarz odchrząknął. Dym papierosowy przenikał powietrze w gabinecie i drapał w gardło.

– No to idźmy dalej. Odkryta skóra i fragmenty tkanek uległy mumifikacji. Warunki pogodowe temu sprzyjały. A jednocześnie reszta ciała, w tym kończyny, które pozostały w ubraniu, poddała się procesom gnilnym. W początkowej fazie ciało mogło zostać skolonizowane przez larwy muchówek, o czym mówił zresztą Krystian Kowalik, ale chodziło zaledwie o kilka zapłodnionych samic, które złożyły jaja. Osy, jak widać, też znalazły w tym wszystkim coś dla siebie i zdołały utworzyć kokon.

Gross gestem dał znać, że zgadza się z takim tokiem myślenia.

– I teraz wracamy do interesującej cię kwestii, czyli sznura, który utkwiał w bruździe wisielczej.

– Lekarka uniosła wzrok i paznokciami wystukała rytm na blacie biurka. Po chwili spojrzała na swojego gościa. – Głowa odpadła, bo była ciężka. Prawo grawitacji. Naprężenie liny już wtedy zwiotczało. A ponieważ znowu zmienił się środek ciężkości zwłok, które na tym etapie rozkładu,

pozbawione wnętrzości i częściowo zmumifikowane, były lekkie, to pierwotnie wychylone ciało oparło się o pień sosny. Nie jest też wykluczone, że z powodu mniejszego nacisku zwłok na konary krzewu roślina odzyskała swoją dawną formę. W każdym razie to oraz wyżłobiona w twardej, zmumifikowanej skórze bruzda sprawiły, że pętla wisielcza pozostała na swoim miejscu.

– A dłonie i noga?

– Z nogą musiało być podobnie. Procesy gnilne postępowały, a zmiana środka ciężkości ciała mogła spowodować przesunięcie kończyny i jej wyprostowanie się. Za resztę mogą odpowiadać wilki albo lisy. – Raszeja podniosła paczkę davidoffów i wygrzebała kolejnego cienkiego papierosa. – A co do dłoni... – Potarła zapalną o draskę i przystawiła płomień, który odbijał się w szklach jej lenonnek. – Zaciśnięcie opasek na przegubach mogło spowolnić zachodzenie procesu gnilnego przynajmniej w pierwszym etapie, bo przyżyciowo zablokowano dostęp krwi do dłoni. Ale *post mortem* nie miało to już znaczenia, bo, jak wiesz, wówczas krew przesiąka poprzez tkanki do niżej położonych partii ciała.

– Po co to zrobił? – Gross przerwał jej wywód. – Po co zacisnął sobie opaski na dłoniach?

Raszeja oparła łokcie na blacie biurka, na którym stał duży mikroskop. Wokół leżały zagraniczne czasopisma medyczne i kilka otwartych pudełek z preparatami. Zestaw komputerowy z monitorem znajdował się obok, na mniejszym biurku.

– Może bał się, że stchórzy? – spytała, wydychając dym ku sufitowi.

Gross zaprzeczył ruchem głowy.

– Wówczas powiesiłby się klasycznie, z pełnym zwieszeniem ciała – dodał.

Drzwi do gabinetu się otworzyły i Gross ujrzał w nich technika kryminalistyki.

– Bernardzie – powiedział Bloch. – Możesz podejść?

Komisarz popatrzył na Raszeję, która wysunęła papierosa z ust.

– Stało się coś? – zapytała.

Technik zamrugał. Oczy miał przekrwione. Sprawiał wrażenie zupełnie nieobecnego.

Poszli za nim do piwnicy i z powrotem znaleźli się w wychłodzonej sali sekcyjnej wypełnionej resztkami mdławego smrodu gnijącego ciała. Raszeja zaciągnęła się ostatni raz i zgasiła papierosa, po czym wyrzuciła go do kratki odpływowej w podłodze.

Jarek Bloch stanął przy stole sekcyjnym, na którym zostały pocięte ciuchy denata. Zmierzył sobie włosy, a potem przetarł oczy i całą twarz.

– Przeoczyłem coś – rzucił, wskazując palcem na pozostałości ubrań.

Gross podszedł do stołu. Na blacie leżała duża brązowa koperta.

– Tkwiła tu, w wewnętrznej kieszeni kurtki. – Technik wskazał fragment okrycia wierzchniego.

Z powodu plam ociekliny trupiej komisarz nie zauważył wąskiego nacięcia materiału, który mógł sugerować, że znajduje się tam kieszeń.

– Ale co konkretnie? – spytał Gross.

Bloch sięgnął po aparat fotograficzny, a następnie odszukał na wyświetlaczu zdjęcie i pokazał je komisarzowi i Raszei. Oboje przysunęli się do aparatu.

– Chusta? – spytał Gross, przyglądając się pomiętemu czerwonemu materiałowi z białymi wzorkami.

– Bandana – sprostował Bloch. – Zakładana na głowę lub rękę, a może i przywiązywana do szlufki spodni. Zabezpieczyłem w papierowym pakiecie i opisałem.

– Świetnie – uznał Gross.

– Ale coś jest nie tak. – Bloch pokręcił głową.

– W jakim sensie?

Raszeja spojrzała na nich.

Technik zmarszczył czoło i otworzył usta, ale się nie odezwał. Chwilę trwało, zanim zebrał myśli.

– Chodzi o to, że ta chusta była w reklamówce.

Gross wziął do ręki aparat i przyjrzał się wyświetlonemu zdjęciu. Raszeja zerkała mu przez ramię.

- To nie wszystko – dodał Bloch. – Są na niej brunatne ślady.
- Komisarz oderwał wzrok od niewielkiego monitora.
- Chcesz powiedzieć, że jest na nich krew? – spytał.
- To prawdopodobne, ale... – Bloch zawiesił głos.
- Gross bezwiednie przygryzł policzek i cierpliwie czekał.
- Tej krwi musiało być dużo – dokończył technik. – Jakby ktoś zanurzył w niej chustę.



Rozpadało się na dobre.

Grube krople deszczu tłukły o splekany asfalt pokryty warstwą opadłych liści i rozbryzgiwały się na mniejsze. Droga błyszczała.

Gross pobiegł wzdłuż skrzydła obiektu dla śpiochów, jak nazywano osoby pozostające w śpiączce. Schował się na parterze i odsapnął. Wszedł na pierwsze piętro i skierował się do pokoju, w którym od lat przebywała jego żona. Przystanął w progu zaskoczony, bo na łóżku tuż przy drzwiach leżała młoda kobieta, krótko ostrzyżona korpulentna szatynka, którą widział pierwszy raz. W jej czaszce, po prawej stronie, było spore, nieregularne wklęśnięcie, w którym układał się teraz złowrogo półcień. Oczy miała przymknięte, a w otwartych ustach połyskiwały dwa duże siekacze.

Zamknął za sobą drzwi, podszedł do łóżka Agnieszki i oparł dłoń na jej stopach ukrytych pod grubą warstwą kołdry i zielonego koca. Leżała na boku, zwrócona do okna i drzwi balkonowych. Martwy wzrok miała utkwiony w szybie, po której jedna za drugą uciekały zygzakami krople deszczu. Obserwował je, nasłuchując szumu ulewy, który wznagał się, po czym cichł nagle, by za chwilę przypomnieć o sobie głośnym chrobotaniem w okna i bulgotaniem w rynnach.

„Ucieczka”, pomyślał.

Ile razy właśnie w tym miejscu przychodził mu do głowy ten pomysł. Z coraz większym wysiłkiem dźwigał ciężar, na który złożyła się nie tylko tragedia Agnieszki, lecz także pustka, wypełniająca go po brzegi od czasu, kiedy opuścił go syn. Syn, którego zaniedbał, o którego miłość w ogóle nie walczył i o którego potrzebach – co zdawało mu się niemożliwe – zupełnie zapomniał, oddając się całkowicie pracy. Jedyne narkotykowi, który tak silnie go uzależnił i wytworzył w nim pancierz. Tych dziesięć lat, od kiedy stracił żonę i zaczął tracić syna, wydawało mu się czarną dziurą, potężną wyrwą w jego czasoprzestrzeni, której nic już nie mogło zasklepić. Być może dlatego tak bardzo chciał uciec i rozpocząć nowy etap u boku innej kobiety. Ale na tym rozdrożu sam ogradzał się kolejnymi zasiekami.

Wsunąwszy dłoń pod kołdrę, pogładził żonę po stopach, a potem wyżej, po łydkach, wyczuwając pod palcami miękkie owłosienie.

Cofnął rękę.

Ale czy umiałyby to zrobić? Czy mógłby kochać się nad ranem z Malwiną, a potem przyjeżdżać tutaj i ocierać ślinę z ust kobiety, której obiecywał miłość i troskę, której czytał na głos książki, obcinał przydługie, pożółkłe ze starości paznokcie, wcierał krem w czoło?

Tuż za obsadzonym starymi drzewami skwerem dostrzegł kuriera w służbowym polarze, ze sporym kartonem w rękach. Mężczyzna zmierzał do starego budynku, przeznaczonego na hospicjum.

Gross odprowadził go wzrokiem do wejścia, a potem spojrzął na żonę. Wymizerniała twarz, zapadające się policzki i przerzedzające się krótkie spłowiałe włosy sprawiały wrażenie, jakby na łóżku leżała zupełnie obca osoba. Jego Agnieszka przecież nigdy tak nie wyglądała, była atrakcyjną blondynką z błyskiem w oku, wysportowaną, mądrą kobietą i matką.

Widocznie w jego życiu były dwie różne Agnieszki.

„Od której z nich chcesz uciec?”, spytał siebie w myślach.

Przysunął krzesło, ale nie usiadł. Zdjął mokrą kurtkę i zawiesił ją na oparciu. Ze stolika nocnego, na którym leżała paczka chusteczek higienicznych, zabrał pomadkę ochroną i próbował przetrzeć sztyftem przesuszone usta Agnieszki, z których oblażył naskórek. Przytrzymał i uniósł lekko jej brodę, na tyle, na ile pozwalało wyczuwalne w jej ciele napięcie mięśniowe. Udało mu się, ale sztyft był twardy. Pomadka z trudem zostawiała na miękkich wargach cienki, błyszczący film.

Następnie nasmarował jej zeszywniałe dłonie warstwą kremu, którego pozostałość wtarł we własne ręce.

Nie miał przy sobie książki, więc usiadł, założył nogę na nogę i zwiesił głowę.

„Powiedz coś do niej”, zwrócił się do siebie w myślach. „Odezwiń się wreszcie jak mąż do żony”.

W pokoju i na zewnątrz panował półmrok.

Spojrzał na Agnieszkę, na delikatnie, ale rytmicznie unoszącą się klatkę piersiową.

Deszcz szumiał jednostajnie, zza drzwi dochodziły odgłosy krzątania się personelu i stukot drewniaków, którego echo odbijało się między ścianami szerokiego korytarza. Czasami słyszał śmiech i rozmowy, raz bliższe, raz dalsze, ale zawsze niezrozumiałe.

Dopiero po chwili zauważył, że na półce stolika nocnego leżała książka. Ostatnio czytał Agnieszce *Następne życie Atticusa Lisha*, ale tamta powieść była w jasnej, twardej oprawie, obłożona folią z kodem kreskowym w górnym rogu. Wypożyczyła mu ją Malwina Lemańska.

Gross nachylił się i sięgnął po książkę. Szara okładka miała pośrodku nieregularne wycięcie, przez które widział prosty rysunek na drugiej kartce, przedstawiający morskie fale, ze srebrzystymi kreskami na szczytach ich łuków, które równie dobrze mogły być spienionymi bałwanami, co refleksem światła.

Wewnątrz książki, na pięćdziesiątej stronie, tkwiła kolorowa zakładka.

Do tej pory sądził, że tylko on czyta na głos swojej żonie. Tymczasem ktoś z personelu podłapał tę formę kontaktu i Gross był za to wdzięczny.

Rzucił okiem na tylną okładkę, żeby się zorientować, o czym jest powieść Czeszki, Bianki Bellovej, pod tytułem *Jeziro*, a następnie przekartkował w ciszy początek powieści, żeby wejść w historię o Namim, chłopcu z wioski Boros położonej nad skażonym akwenem, który całe swoje krótkie życie, naznaczone traumą i cierpieniem, poszukiwał matki.

Gross wrócił do strony pięćdziesiątej i zaczął czytać. Najpierw szeptem, a potem normalnie, aż jego głos zmieszał się z szumem deszczu dzwoniącego o blaszane parapety. Czytał o tym, jak umierała babka chłopca i jak cała społeczność wioski żegnała ją na pomoście. Ktoś odepchnął łódkę, w której jeszcze żywa, ale konająca kobieta, została wysłana w ostatni rejs do Ducha Jeziora. W pewnej chwili Nami wskoczył do niej, babka ubłagała go jednak, by wrócił na ląd. Zrobił to, ale jednocześnie zdał sobie sprawę, że wraz z babką odpłynie największa tajemnica, czyli wiedza o losie jego matki. Nie mógł jej pamiętać, ale mimo wielu przeciwności losu zapragnął odnaleźć kobietę, która dała mu życie.

Zanim Gross się spostrzegł, upłynęły dwie godziny.

Zaznaczywszy zakładką miejsce, w którym skończył czytać, odłożył książkę i pocałował żonę w chłodne czoło.

Wyszedł na korytarz i udał się do szefowej ośrodka. Drzwi były jednak zamknięte, więc zapukał do sekretariatu i przywitał się z uśmiechniętą blondynką.

– Dzień dobry, panie Bernardzie. Szefowej nie ma – uprzedziła jego pytanie. – Mam coś przekazać?

– Nie, dziękuję. Kiedy indziej. Do widzenia. – Zamknął za sobą drzwi i ruszył w stronę klatki schodowej.

Ale wrócił.

– Ktoś oprócz mnie czyta mojej żonie powieść, prawda? – spytał zaskoczoną kobietę. – Myślę, że to dla niej ważne. Kochała książki. – Zawiesił głos. – To znaczy kocha książki. – Nie wiedział, jak się zachować, więc zamknął drzwi, nie czekając na jej reakcję.

Na zewnątrz pod ciężkim dachem chmur nieprzerwanie lał rzęsy, zimny deszcz.

Gross przebiegł truchtem przez parking, omijając największe kałuże.

Wsiadł do samochodu, po czym machinalnie zapiał pas. Położył dłonie na kierownicy i wówczas zastygł. Długo wpatrywał się w mur odgradzący śmietnik od miejsc postojowych. Chociaż siedział nieruchomo, w myślach uciekał. Błądził, powracał i znowu podejmował kolejne próby ucieczki. „*Perpetuum mobile*”, pomyślał.

Ocknął się dopiero, gdy świat zaczął znikać za wypełzającą na szyby samochodu parą.



Jeszcze w Toruniu zjechał na BP, gdzie przy niewielkim stoliku w końcu sali, w pobliżu lodówek z napojami, zjadł hot-doga i wypił gorącą herbatę. Przyglądał się parze młodych, którzy stojąc w kolejce do kasy, trzymali się za ręce. Zupełnie bezwiednie ściągnął wzrok kobiety w eleganckim płaszczu i ze skórzaną torebką przewieszoną przez ramię, po czym speszony spuścił głowę i odgryzł kolejny kęs ciepłej bułki.

Herbatę zabrał do samochodu i sączył ją aż do Chełmy, gdzie wystygła zupełnie. Zaparkował pod komisariatem i wykorzystując przerwę w opadach, przeciął biegnącą do jeziora jezdnię, po której spływały strugi wody ze starówki.

Znalazszy się na pierwszym piętrze, usłyszał głos sekretarki Beaty Różyckiej.

– Bernardzie!

Gross odwrócił się i zajął przez otwarte drzwi sekretariatu.

– Szefowa prosi. – Różycka skinęła głową w kierunku gabinetu komendantki.

– Od dawna mnie szuka? – spytał szeptem, podchodząc bliżej.

– Mniej więcej od godziny.

– Nie dzwoniła na komórkę – zastrzegł, ale Różycka wzruszyła tylko pulchnymi ramionami. –

Mówiła, czego chce?

– Nie.

Westchnął, a potem nacisnął klamkę i wszedł do gabinetu komendantki, odprowadzony miłym uśmiechem koleżanki.

– O, jesteś wreszcie – powiedziała młodsza inspektorka Lucyna Wojtasik. Siedziała za biurkiem z otwartą teczką z korespondencją. Kiedy dokonywała dekretacji, stalówka pióra zgrzytała nieprzyjemnie po papierze.

Gross podszedł i usiadł przy stole do odpraw sąsiadującym z jej biurkiem.

– Trzymaj. – Podała mu kserokopię pisma.

Kolejne w ciągu dwóch miesięcy zgłoszenie Zofii Płockiej w sprawie przemocy domowej. Pijany mąż bije ją regularnie, a w tle krzyk i płacz dwójki kilkulatków i niedawno urodzonego dziecka.

Wzdrygnął się i nieznacznie przygryzł wargę.

Kiedy zło dotyka dzieci, świat powinien zatrząść się w posadach, zatrzymać i wrzeszczeć milionami gardeł. Ale zło w rodzinie działa podstępnie i po cichu. Gross bał się słów, które miał wypowiedzieć.

– Nic z tego nie będzie – stwierdził, odłożywszy pismo na stół.

– Co to ma znaczyć? – Wojtasik zawiesiła pióro nad kartką i spojrzała na niego.

– Nic ponad to, co usłyszałaś. Ola Jojczyk – Gross miał na myśli szefową wydziału prewencji – na odprawach wspomniła o tej sprawie. Maltretowana kobieta nie chce dać sobie pomóc. Za każdym razem wycofuje oskarżenia. Bóg jeden wie, dlaczego w ogóle je pisze. – Uniósł kserokopię.

– Pisze, bo szuka...

– Wiem, że szuka pomocy – przerwał jej Gross. – Ale kiedy wyciągamy do niej rękę, odtrąca ją.

– Musisz się tym zająć, zanim będzie za późno.

Pokręcił głową.

– To wciąż sprawa prewencji. Ola Jojczyk...

– Tam wkrótce dojdzie do tragedii – weszła mu w słowo – i wtedy to będzie już twoja sprawa. Całe szambo wyleje się na nas. Wiesz o tym równie dobrze co ja, prawda? – stwierdziła, nie oczekując odpowiedzi.

Gross przyglądał się szefowej, która zatknęła skuwkę pióra i odchrząknęła znacząco.

– Bernardzie, to moja osobista prośba.

– Osobista?

Przymknęła powieki.

– Wolałbym to dać Nubińskiemu albo Łoniewiczowi, bo, jak zapewne pamiętasz, z końcem grudnia mam przejść na emeryturę. – Gross przypomniał niedawne ustalenia z zastępcą Wojtasik, podinspektorem Gabrielem Kąckim.

Zdecydował tak po rozwiązaniu trudnej sprawy z upalnego lata tego roku, kiedy to na leśnej polanie w pobliżu plaży płatnej odnalazł zakrwawiony namiot, ale nigdzie wokół nie było ani ciała, ani narzędzia zbrodni.

– Nie – odparła bez większego nacisku.

– Sam nie dam rady – powiedział twardo. – Jeśli mam się tego podjąć, wtajemniczę Skalską.

Westchnęła, zgadzając się niechętnie. Widział to po jej minie, po wykrzywionych w niesmaku ustach.

– Ale proszę, informuj mnie o efektach. Tylko na razie nic nie mów Jojczykowej, dobrze? – I zaraz dodała: – A teraz opowiadaj, co wiemy w sprawie z Grodna.

Gross dał sobie czas na zebranie myśli.

– Odnaleziona czaszka i kość udowa to części szkieletu mieszkańca Chełmży – zaczął. – Oczywiście poczekamy na wyniki badań DNA, ale Raszeja jest pewna. Porównała długość obu kości.

Komisarz wyczuł, że Wojtasik uważnie go obserwuje. Wreszcie na nią spojrział.

– Coś ci jednak nie pasuje, prawda? – odezwała się.

Wzruszył ramionami, a potem zmrużył oczy.

– Jest w tym samobójstwie kilka niewiadomych – powiedział.

– Co na przykład?

– Mężczyzna powiesił się z dala od domu i w głębi lasu.

– I co ci to mówi?

– Zastanawiam się, dlaczego nie zrobił tego w domu, w piwnicy. Albo na pierwszym lepszym drzewie.

– Czyli? – zainteresowała się Wojtasik.

Niebo za oknem przesłoniły ciemne chmury, a w pomieszczeniu zapadł mrok. Wojtasik włączyła stojącą na biurku lampkę. Ciepłe światło rozlało się okręgiem po błyszczącym blacie.

Gross odchrząknął.

– Przygotował się do tego, by jego ciała nikt nie odnalazł. Powiesił się z niepełnym zwieszeniem ciała, opierając kolana na konarach gęstego krzewu rosnącego między dwoma sosnami. – Westchnął. – On się po prostu ukrył.

– Jak to się ukrył?

– Dzięki ubraniu moro pozostawał zupełnie niewidoczny z zewnątrz. Wojsko przechodziło tamtędy, szukając truchel dzików, a jego nikt nie znalazł. Gdyby nie leżące w pobliżu kość udowa i czaszka, nie odnaleźlibyśmy tego faceta przez długie lata, a być może nigdy – zauważył Gross. – Legner stanął naprzeciwko krzaka i też go nie widział.

– A nie zostawił po sobie żadnego listu?

– Przy nim niczego nie znaleźliśmy. Być może zostawił coś w domu, ale to wątpliwe. Rodzina

pewnie by o tym wspomniała przy zgłaszaniu zaginięcia. A tak się przecież nie stało.

– Rozumiem. Z czym zatem masz kłopot?

Gross oparł łokcie na stole i splótł dłonie.

– Denat w kieszeni kurtki miał niewielką reklamówkę, a w niej bandanę. Taki rodzaj chusty wiązanej na głowie lub ręce.

– Czy ty masz mnie za idiotkę? Wyjaśniałeś mi już, czym jest diastema, a teraz to – zdenerwowała się. – Wiem, co to bandana, do cholery.

Nie spuszczał z niej wzroku.

– Pytanie, dlaczego miał ją w reklamówce? – Wojtasik zamknęła teczkę z korespondencją.

– Zdaniem technika materiał poznaczony jest brunatnymi plamami – kontynuował Gross.

– To krew? – upewniła się. – Sprawdził te ślady hemophanem?

– Nie. Rozmawiałem z nim o tym później, ale stwierdził, że w czymkolwiek nurzała się ta bandana, to musiało być dawno temu. Ślady wyglądały na stare. Wolał więc je dobrze zabezpieczyć i przesłać od razu do laboratorium.

– Materiał genetyczny może być zdegradowany, jeśli chusta od dawna przebywała w reklamówce – zauważyła.

– Też się tego obawiam, ale w tym przypadku nie pozostaje nam nic innego, jak czekać na wyniki. – Gross przyglądał się błyszczącemu blatowi stołu, w którym dopiero po chwili dostrzegł odbicie swojej twarzy z wyraźnymi fałdami skóry ciągnącymi się od nozdrzy w kierunku kącików ust.

Wojtasik wolno obracała w palcach eleganckie pióro.

– A co na to wszystko prokurator Legner? – spytała po dłuższej przerwie.

– Marzy, żeby to było samobójstwo – odparł, a szefowa pokiwała znacząco głową.

– A ty co zamierzasz?

– Na razie nic. – Wzruszył ramionami. – Musimy czekać na wyniki. Ale to nie wszystko. Najbardziej zaskakujące jest to, że zanim mężczyzna odebrał sobie życie, prawdopodobnie spiął oba nadgarstki samoblokującymi się opaskami.

– Co to takiego? – zdziwiła się, a gdy Gross jej wyjaśnił, powiedziała: – A, czyli te, no... Trytki. – Uśmiechnęła się. – Mój mąż spina nimi kołpaki do felg, żeby nie odpadły w czasie jazdy.

– Trytki? – Gross pierwszy raz słyszał to słowo.

– Tak je nazywa – odparła i zapadło milczenie.

Inspektorka otworzyła drugą teczkę z korespondencją. Błysnęła stalówka, a Wojtasik, skrobiąc piórem po papierze, dokonała kolejnej dekretacji.

Za oknem rozległ się głośny rozruch silnika na ropę, a po chwili błysnęły czerwone światła, które prześlizgnęły się kilkukrotnie po suficie. Nie towarzyszył im dźwięk syreny. Gross był pewien, że znajdująca się obok komenda straży pożarnej ma w taką pogodę huk roboty.

– Dlaczego to zrobił? – rzucił komisarz, kiedy silnik wozu przycichł, ale wciąż dobiegał z oddali.

– Czasami nie znajdujemy odpowiedzi na tak proste pytania – zauważyła filozoficznie. – Przygotuj się na to. Szczególnie jeśli nie mamy listu pożegnalnego.

Ulewa gwałtownie uderzyła o szyby. Oboje odwrócili się w stronę okien.

– Chryste, co za pogoda – jęknęła Wojtasik, po czym wróciła do rozmowy. – Wiemy już, jak on się nazywa?

– Tak. Wszystko wskazuje, że to jeden z naszych zaginionych. Był w bazie. Nazywa się Rafał Becker.

Komendantka uniosła wzrok do sufitu i myślała nad czymś intensywnie.

– Coś kojarzę – powiedziała wreszcie.

– Co konkretnie?

– Właśnie nie wiem – zirytowała się. – Ale dojdę do tego.

Porozmawiali jeszcze chwilę o bieżących sprawach, a następnie Gross wstał i zabrał kserokopię pisma w sprawie zgłoszenia przemocy domowej, nakreślonego odręcznie na wyrwanej z zeszytu kartce

formatu A4. Dotarł do drzwi, gdy usłyszał głos Wojtasik:

– Proszę, weź to sobie do serca.

Odwrócił się zdziwiony.

– Chodzi mi o tę przemoc domową. – Uniosła brodę w kierunku kartki papieru, którą trzymał w dłoniach. – I bądź czujny.

Policjant niechętnie pokiwał głową i opuścił gabinet.



Telefon Malwiny Lemańskiej nie był podłączony do sieci.

Rozłądował się albo go wyłączyła, bo kiedy wybierał jej numer, komunikat operatora uruchamiał się automatycznie.

Gross potarł czoło i odłożył aparat na biurko. Skupił na nim wzrok, jakby próbował zmusić urządzenie do rozdzwonięcia się. Chciał dostrzec na rozświetlonym ekranie imię i nazwisko bibliotekarki, której wczoraj nie zdążył odwiedzić z powodu pilnego wyjazdu do Grodna.

Ale nic takiego się nie wydarzyło. Ekran pozostawał czarny.

Powinien podejść do biblioteki i z nią porozmawiać, ale nie chciał robić tego przy świadkach.

Komisarz odsunął od siebie aparat, który stykał się teraz z brązową kopertą zawierającą kartę dentystyczną wisielca, i zalogował się do Krajowego Systemu Informacji Policji. Wybrał odpowiednią zakładkę i wpisał nazwisko „Becker”. Dookreślił też miejsce zdarzenia, wpisując w pole formularza nazwę miasta – Chełmża.

Na ekranie pojawiło się kółko kręcące się wokół własnej osi. Dobrze wiedział, co to oznaczało.

Test na cierpliwość.

Komisarz odchylił się na oparcie krzesła i spojrzał na czajnik z resztką wody. Może na pół szklanki. Mimo to włączył urządzenie, które wkrótce głośno zaszumiało. Zdziwił się, że w kubku jest świeża torebka ekspresówki. Widocznie rano nie zdążył jej zalać.

Ponownie rzucił okiem na ekran.

Dwa wyniki.

W tej samej chwili zabrzączał telefon stacjonarny. Gross spojrzał na aparat, ale nie podniósł słuchawki. Popatrzył na otrzymane rekordy. Potarł zmęczone powieki. Piekły go, jakby tkwiły pod nimi ziarna piasku.

Pierwszy rekord wprowadzono nieco ponad dwa tygodnie temu i był to link do akt sprawy zaginięcia Rafała Beckera.

Gross wybrał jednak drugi z wyników, odwołujący się do jednej ze starych spraw, i znowu musiał czekać na załadowanie danych.

A telefon ciągle dzwonił. Komisarz wziął go na przeczekanie.

W końcu uporczywy dźwięk aparatu ustał, a woda w czajniku zabulgotała. Gross zaparzył herbatę, wypełniając resztką wrzącej wody niemal trzy czwarte szklanki. Patrzył z niedowierzaniem w monitor, gdy kątem oka dostrzegł w progu Lucynę Wojtasik.

– Dzwoniłam! – rzuciła ze złością.

– Widzisz przecież, że jestem zajęty – bąknął, sczytując dalsze informacje.

– Do jasnej cholery, chciałam ci powiedzieć, że..

– Wiem, co chciałaś mi powiedzieć – przerwał jej i dopiero wtedy oderwał wzrok od monitora.

– O siostrze naszego wisielca, która zaginęła w dwa tysiące drugim roku.

– Słucham? – Komendantka nie kryła zdziwienia.

– Nie to miałaś na myśli? Nie to chodziło ci po głowie podczas naszej rozmowy? – Wskazał na

ekran.

– Jezus Maria! Racja!

Na jej twarzy nagle pojawił się wyraz ciekawości.

Wszedłszy do pokoju, minęła stół do odpraw i stanęła obok Grossa. Nachyliła się do monitora. Tkwiła tak jakiś czas, przyswajając treść sprawy w skupieniu.

– Pamiętam to dokładnie. Dwoje młodych ludzi. – Odszukała palcem nazwisko na ekranie. – Ojciec zaginionego Marcina Korczyńskiego, Wiktor, był kuzynem ówczesnego komendanta w Toruniu, Jana Stelmacha. Ten to nam dał do wiwatu.

– Pracowałeś już wtedy w Chełmży? – zagadnął Gross.

– Nie, ale sprawa odbiła się echem nawet w wojewódzkiej. – Wojtasik się wyprostowała. – Kiedy objęłam ten komisariat, akta Beckerówny i Korczyńskiego ponownie wylądowały na moim biurku. Wiktor Korczyński stale naciskał na Stelmacha, a ten wylądowywał swoją frustrację na miejscowych. Dał nam nawet kilku funkcjonariuszy z miejskiej, ale nie posunęliśmy sprawy nawet o krok.

– Co zawiodło?

– Szesnaście lat temu zawodziło wszystko. Wyszukaj ich teczkę w archiwum, a sam się dowiesz – poradziła i skierowała się do drzwi.

Gross popatrzył za nią.

– To może mieć znaczenie – powiedział.

– Znaczenie? – Nagle wydała mu się rozkojarzona.

– Zaginiona siostra i powieszenie się brata.

Pokiwała w milczeniu głową.

– A co chciałaś mi powiedzieć? – zagadnął ją ponownie .

– Słucham? – odwróciła się.

– Nie przyszedłeś tu w sprawie zaginionych studentów.

– Ach, no tak. – Westchnęła i posmutniała. – Chodzi o to, że Brandol... Dzwoniła jego żona i...

– Wojtasik zamilkła, oczy się jej zaszklily.

Podkomisarz Arkadiusz Brandol był do niedawna szefem wydziału kryminalnego chełmżyńskiego komisariatu, ale choroba nowotworowa nie pozwoliła mu dalej pełnić tej funkcji. Latem odszedł na emeryturę, a Gross został zmuszony do przejęcia jego obowiązków. Komisarz odwiedził Brandola w związku ze śledztwem w sprawie zaginionej ze Strużala, ale ten pod wpływem dawki morfiny pozostawał w półprzytomny, z jakby wyrzeźbionym grymasem bólu na twarzy.

– Kiedy pogrzeb? – spytał rzeczowo Gross.

– W poniedziałek. Przekaż wszystkim w swoim wydziale – odparła Wojtasik i zamknęła za sobą drzwi.

Komisarz z trudem wstał i oparł dłonie na biodrach. Zerknął przez okno na szare miasto przykryte sinymi chmurami i ukryte za zasłoną siekącego deszczu.

Parę miesięcy temu, wiosną, był na pogrzebie podwładnego, aspiranta Grzegorza Otremy, który strzelił sobie w głowę. Latem zastąpił go Janusz Stefański. Ten postawny, misiowaty facet zginął, rozbiwszy samochód o drzewo, gdy wracał z Brodnicy, z rozpoznania sprawy, którą prowadził wówczas Gross.

Przeżył dwa zgony podwładnych w tak krótkim czasie. Za oba brał na siebie pełną odpowiedzialność, bo inaczej nie umiał. Wówczas wśród pozostałych funkcjonariuszy komisariatu zyskał przydomek „Komisarz Śmierć”. Kartkę z takim tekstem znalazł wsuniętą w szparę pod drzwiami gabinetu.

A teraz Komisarzowi Śmierć przyjdzie pożegnać swojego dawnego szefa. I chociaż nie zawsze było im po drodze, to ostatecznie się szanowali i nie wchodzili sobie w paradę.

Gross podszedł do biurka i podniósł słuchawkę aparatu stacjonarnego. Wybrał wewnętrzny do Judyckiej. Kiedy młoda policjantka się odezwała, przekazał jej informacje o Brandolu, a następnie poprosił o wyszukanie w archiwum teczek ze sprawą zaginionych studentów.

- Sprawa z dwa tysiące drugiego roku? – upewniła się.
- Tak.
- Okej. Sprawdzę i zaraz przyniosę.
- Spokojnie. Może być jutro – powiedział, spojrzawszy na zegarek, i się rozłączył.

Wrócił do przeglądania materiałów w policyjnym systemie i wynotował kilka rzeczy dotyczących zaginięcia młodych. Kiedy skończył i spakował zapiski do torby, a także dopił zimną herbatę, zadzwonił jego telefon. Był w kieszeni kurtki. Gross miał nadzieję, że oddzwania Malwina.

Pamiętał ich pierwsze spotkanie.

Kilka miesięcy temu zaprosiła go do siebie. Nie wiedział, czy w ogóle miał na to ochotę. I czy powinien iść, zważywszy, że był przecież żonatym mężczyzną. Czy choroba Agnieszki zwalniała go z przyrzeczenia? Przysięga, którą złożył, mówiła co innego. Ale mimo to, jakby wbrew sobie, wybrał się do bibliotekarki. I od chwili, kiedy wyszedł z jej mieszkania, poczuł, że coś się w nim zmieniło, otworzyło na nowe. Początkowo miał do siebie żal, ale powoli ulegał blaskowi, który bił od Lemańskiej. Zaczęli spędzać ze sobą więcej czasu. Wypadki do chełmżyńskich restauracji, spacerów nad jeziorem i po starówce, towarzyska bliskość, przyjacielska nić porozumienia, która na razie nie zmieniła się w nic więcej. A może wcale tak nie było. Przecież pamiętał, że kiedy latem Malwina poleciała na wczasy do Grecji, wysłała do niego pocztówkę pełną ciepłych słów, wspomnień ich wspólnych spacerów, czytania książek na łonie przyrody i bliskości, której wówczas jej brakowało. Tak przynajmniej odczytywał jej słowa i to najważniejsze z nich: „Tęsknię”, które widniało nad zapisanym eleganckim pismem imieniem.

Czy sam tęsknił? Bał się próbować odpowiedzieć na to pytanie. Dodatkowo zadreślał się tym, że wczoraj ją zawiódł. Tępy ból zagnieżdził się w jego głowie i sączył do skroni. Miała prawo nie odbierać od niego telefonów. Mogła nawet nie chcieć kontynuować tej znajomości. Bo cóż mógł jej zaoferować? Ciągłą niepewność? Nieustanną ucieczkę w pracę, która była dla niego wszystkim, co miał, i jedyną kotwicą, na dobre zagrzebaną w mulistym dnie. Ale przecież już za chwilę, za kilka miesięcy miał się od tej pracy uwolnić.

I co wtedy?

Telefon nie umilkł.

Gross wyjął go z kieszeni kurtki i spojrział na wyświetlacz.

Zawiódł się. Skalska.

– Halo? – powiedział cicho.

– Dzięki, szefie. Przydała mi się chwila odpoczynku – odezwała się. – Jestem wyspana i gotowa do działania. Co mamy?

Streścił jej w kilku zdaniach ustalenia z sekcji i to, co Bloch odnalazł w kieszeni denata.

– Zakrwawiona bandana? – spytała z niedowierzaniem.

– Mhm.

– Poleciała do badań?

– Tak.

– Cholera – jęknęła. – Ile im zejdzie?

– Musimy być cierpliwi – odparł Gross, przeczesując dłonią włosy. – Bloch nie daje oczywiście gwarancji, ale stwierdził, że ślady wyglądają na stare.

– A te plastikowe opaski na dłoniach?

– Podobno mówią na nie „trytki”. Też się spotkałaś z takim określeniem?

– No pewnie. A co?

– Nie, nic – odparł szybko. – Nie mam pojęcia, po co je założył. Zresztą najbardziej zastanawia mnie to, że poszedł do tego lasu niemal bez niczego. Nie znaleźliśmy przy nim ani plecaka, ani żadnej torby.

– Fakt, to dziwne – skomentowała. – Jak w takim razie przeniósł linę i te opaski?

– Liny do kieszeni raczej by nie schował, ale być może owinął ją sobie wokół klatki piersiowej, a potem ukrył pod kurtką. Gorzej z opaskami zaciskowymi. Z kieszeni łatwo mogłyby się wysunąć –

dywagował.

– Przecież mógł od razu założyć je sobie na ręce, nie?

Gross nie wziął tego pod uwagę.

– To mało prawdopodobne. Byłoby je widać – uznał po krótkim namyśle. – Chyba że schował je w rękawach. Ale gdyby tak zrobił, musiałyby mieć gdzieś trzecią, żeby spać te dwie ze sobą. Wtedy miałyby to sens.

– Tyle że trzeciej nigdzie nie było – zauważyła.

Gross odsunął się od biurka i okręcił na fotelu w stronę okna.

– Nie było – powtórzył.

– Dziwne. Bo faktycznie ta trzecia byłaby mu potrzebna – rozważała dalej Skalska. Po chwili ciszy dodała: – Ale może to wszystko wyglądało inaczej, niż sobie wyobrażamy?

Milczeli przez moment.

– Nie miał przy sobie dokumentów – przypomniała mu podwładna.

W tle usłyszał gitarową muzykę. Dźwięki, które prawdopodobnie znał, ale z niczym nie umiał ich skojarzyć.

– Co sugerujesz? – zapytał.

– Dokumenty mógł zostawić w domu, nie były mu do niczego potrzebne. Ale plecak albo torba zawsze się przydają. Co prawda, mógł przenieść w nim niezbędne rzeczy, a potem zatopić go w jeziorze.

– Ale w jakim celu miałyby się pozbywać pustego plecaka? – powątpiewał Gross, cały czas nasłuchując melodii.

– Jeśli dokumentów nie znajdziemy w jego domu, powinniśmy spróbować poszukać w jeziorze – nie ustępowała. – To znaczy, tego plecaka. A może jest w nim coś, co naświetli nam lepiej tę sprawę? Bo gdyby rzeczywiście zamierzał go utopić, to raczej gdzieś blisko brzegu i pewnie niedaleko od skraju lasu. To zwiększa nasze szanse.

Gross niechętnie przyznał jej rację.

– A co, jeśli wcześniej podrzucił sobie do lasu i linę, i te trytki? – dodała.

Komisarz zastanowił się nad jej słowami, przyglądając się gotyckiej wieży kościoła Świętego Mikołaja. Stare cegły nasiąkły deszczem i przybrały barwę zaschniętej krwi.

– To też ma sens – odparł i stłumił ziewnięcie.

Poczuł, jak jego powieki stają się ciężkie, a on sam osunął się w fotelu.

– Cholera – jęknęła Skalska. – Zawsze sądziłam, że samobójstwo to impuls, że trudno je tak metodycznie zaplanować.

Gross nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć.

– Sen dobrze ci zrobił – powiedział z nutą pochwały.

Doceniał szerokie spektrum, w którym obserwowała detale tej sprawy.

– Tobie też dobrze zrobi – zapewniła. – Sam skorzystaj ze swojej rady.

Bezwiednie pokiwał głową.

– Tak, ale najpierw muszę załatwić jeszcze jedną sprawę. – Pożegnał się ze Skalską i rozpakował kopertę od Judyckiej. Tak jak przypuszczał, była tam karta dentystyczna Rafała Beckera. Zeskanował kilkanaście stron, po czym przesłał PDF do Raszei.

Wreszcie zarzucił torbę na ramię i wyszedł z gabinetu.

Z wyższego piętra zbiegała właśnie Judycka w obcisłych czarnych spodniach i dżinsowej koszuli, niosąc coś pod pachą.

– O, dobrze, że szefa jeszcze zastałam. Proszę – powiedziała, podając mu dwie grube teczki przewiązane sznurkiem.

– To ta sprawa? – zapytał, a dopiero potem spojrzał na okładki z zapisaną odręcznie sygnaturą i nazwiskami Justyny Becker i Marcina Korczyńskiego.

Tekturowe oprawy pożółkły. Jedna z nich miała dwie nieregularne tłuste plamy. Obie – pozaginane i strzępiące się rogi. Sznurki poszarzały od brudu.

– Tak. Były w archiwum – odparła. – Ale chciałam je sama przejrzeć, żeby sprawdzić, czy wszystko się zgadza.

– Dziękuję – powiedział i wcisnął dodatkowe materiały do torby, której z racji ich objętości nie był w stanie zamknąć.

– Do jutra, szefie – rzuciła i uciekła z powrotem na górę.

– Do jutra – odpowiedział, gdy zniknęła mu z oczu.



Gross wyszedł na Sądową, po której szalał silny wiatr.

Nie zdecydował się wsiąść do samochodu zaparkowanego pod ogrodzeniem kościoła Świętego Mikołaja. Skręcił w lewo, w stronę starówki, i wąską ulicą między kamienicami przedostał się do Sikorskiego. Główny miejski deptak opustoszał, chociaż sklepy wciąż były otwarte. Ruszył w dół, w kierunku poczty, ciesząc się, że ulewę zastąpił delikatny deszcz. Policjant postawił kołnierz kurtki i przyspieszył. Dotarł do dwuklatkowego bloku po lewej, *vis-à-vis* cukierni Zyska, do której wybierał się czasem z Malwiną, gdy miała ochotę na szarlotkę albo świeże, jeszcze ciepłe pączki.

Zadzwoił domofonem.

Czekał, schowawszy głowę w ramiona przed chłodnymi powiewami wiatru. Przycisnął przycisk raz jeszcze i szybko wycofał się przed blok, żeby mrużąc oczy przed kapuśniakiem, zerknąć w okna kuchni i małego pokoju. Był pewien, że żadna z firanek się nie poruszyła.

Sięgnął po aparat i przyłożył go do ucha. Ponownie usłyszał tylko odtwarzany automatycznie komunikat.

Komisarz rozejrzał się bezradnie, jakby szukał pomocy. Ale nikt tędy nie przechodził. Dopiero kawałek dalej, w dół Sikorskiego, zobaczył starsze małżeństwo ukryte pod czarnym parasolem, którym targały silniejsze poddmuchy. Mężczyzna z trudem utrzymywał go w dłoni.

Bruk błyszczał, a deszczówka wirowała, z chlupotem znikając w studziencie.

Ostatni raz spojrzął w okna mieszkania Lemańskiej.

„Coś jest nie tak”, stwierdził w myślach i przeszedł w stronę biblioteki znajdującej się na Rynku.

Z oddalenia spojrzął przez okna do rozświetlonego wnętrza wypożyczalni znajdującej się po prawej stronie na parterze.

Malwiny tam nie było.



Talerz z dwiema kanapkami z żółtym serem i ciepłymi parówkami, które wyciągnął z garnka, położył na stole w kuchni. Obok postawił kubek parującej herbaty i wyjął z lodówki musztardę.

W domu było chłodno. Zmarznięte dłonie przyłożył do kubka i ogrzewał je przez chwilę. Kiedy zrobiły się cieplejsze, potarł je, żeby pobudzić krążenie. W końcu zabrał się do kolacji. Jadł w półmroku, przy akompaniamencie deszczu. Znużenie, które dopadło go w pracy, powoli ustępowało.

W pokoju, na tej części stołu, która była wolna od przyborów modelarskich, czekały na niego teczki zawierające informacje o zaginionych młodych, których szesnaście lat temu połączyły miłość i tragedia. Uznał, że w obecnej sytuacji musi się zapoznać z tymi materiałami.

Z kolei na drugim końcu, na macie modelarskiej, znajdowały się wycięte z wyprasek części kabiny ciężarowego opla z czasów drugiej wojny światowej. Gross zabrał się do nowego modelu kilka dni temu. Wcześniej skończył schwimmwagena, rodzaj wykorzystywanej przez Wehrmacht niedużej, czteroosobowej amfibii, którą wyposażył w kilka atrakcyjnych dodatków w postaci blaszek fototrawionych i elementów żywicznych. Model był już pomalowany, z naniesionymi delikatnymi śladami zużycia w postaci rys i obić lakieru oraz niewielkimi rdzawymi zaciekami wydostającymi się spod zaczepów pokrywy silnika i na mocowaniu śruby napędowej. Komisarz był zadowolony z efektów pracy i chciał nawet poprosić Marka Wantowskiego, prowadzącego chełmyżńską modelarnię dla dzieci i młodzieży, czy nie pomógłby mu w przygotowaniu niewielkiej dioramy. Chodziłoby o wykonanie podstawy i styropianowej bazy, a także nałożenie na nią masy gipsowej. Resztą Gross mógłby się zająć sam. Powinien porozmawiać o tym z kolegą, twórcą tutejszego festiwalu modelarskiego.

Dokończył kolację, a potem odstawił naczynia do zlewu i usiadł przy drugiej części stołu, chcąc sprawdzić spasowanie wyciętych elementów, które – wstępnie obrobione i oszlifowane w miejscach łączenia z wypraskami – były gotowe do sklejenia.

Jasne, zbliżone do dziennego światło lamp kreslarskich, zamontowanych po obu stronach stołu, oblało zieloną matę modelarską.

Wziął do ręki podłogę kabiny. Miał w niej do zainstalowania trzy pedały, kolumnę kierownicy, dwie przekładnie oraz dobrze odlaną kanapę z ciekawymi wytłoczeniami. Przy odrobinie fantazji mógł ją atrakcyjnie postarzyć, imitując przetarcia skóry, mocniejsze po stronie kierowcy i delikatniejsze tam, gdzie rzadziej zasiadali pasażerowie.

Gross sięgnął po klej „spawacz” i przygotował sobie pęsetę do przytrzymania drobnych części. Kiedy mimo lekko trzęsących się rąk udało mu się osadzić pedał gazu w niewielkim wytłoczeniu podłogi, przesmarował miejsce łączenia rzadkim specyfikiem. Nanosił go wąskim pędzelkiem. Zaletą „spawacza” było to, że kleił szybko i perfekcyjnie, ale też, co najważniejsze, nie pozostawiał na powierzchni plastiku niemal żadnych zauważalnych śladów. Gross dokleił obok pedału dwa pozostałe, ustawiając je pod odpowiednimi, zróżnicowanymi kątami.

Kolumnę kierownicy postanowił umocować później, po zweryfikowaniu łączenia podłogi z elementami nadwozia i deską rozdzielczą. Tylko w ten sposób mógł wyznaczyć odpowiedni kąt pochyłu dla drążka.

Skleił jeszcze kanapę i tylną ścianę szoferki. Potem połączył podłogę z dachem i przednią częścią kabiny, pozostawiając otwory na drzwi. Wszystko po to, by w późniejszej fazie łatwo mógł pomalować wnętrze. Poza tym wciąż nie wiedział, czy zostawi w szoferce uchylone drzwi, ukazując w ten sposób wnętrze kabiny, czy też domknie je i zdecyduje się tylko opuścić w nich szybę.

Przed zakończeniem pracy dokleił do wewnętrznej części obu drzwi element imitujący tapicerkę oraz niewielkie pokręta do otwierania szyb i klamki.

Odłożył model i przyglądał mu się uważnie.

Wkrótce zgasił jedną lampę, a ramię drugiej skierował na sfatygowane teczki, ciągle leżące na przeciwnym końcu stołu.

Wstał, rozprostował plecy i przygotował sobie herbatę, bo wiedział, że nie położy się spać, zanim nie zagłębi się w sprawę zaginięcia młodych kochanków.

Wypił kilka małych łyków gorącego napoju i usiadł na drugim krześle.

Ponownie roztarł zziębnięte dłonie, a w końcu zgrabiętymi palcami sięgnął do sznurka pierwszej z teczek.

dzień trzeci

Smród kocich odchodów niósł się po całej klatce schodowej, jakby wgryzł się w stare, skrzypiące pod komisarzem deski podłogi.

Gross podszedł do drzwi mieszkania na drugim piętrze w kamienicy przy Rynku. Na starej, obłazącej z niebieskiej farby płycie dostrzegł tabliczkę z fantazyjnie, ręcznie wypisanym nazwiskiem Płockich.

Obok stara spróchniała i przekrzywiona komoda pozbawiona frontów odgrywała rolę szafki na buty. Jedna para na drugich, małe i duże, zniszczone, z wyraźnie startymi obcasami, powciskane były w każde wolne miejsce.

Po prawej stał sfatygowany dziecięcy wózek z wytartą tapicerką i nieregularnymi, zachodzącymi na siebie obwódkami płam.

Panował tu półmrok. Obtłuczony klosz lampy odsłaniał puste miejsce na żarówkę.

Gross zastukał raz jeszcze, tym razem głośniejszym niż poprzednio. Aż zadudniło.

– Proszę otworzyć – odezwał się, ale odpowiedziała mu cisza.

Nacisnął klamkę i zdziwił się, że drzwi były otwarte. Pchnął je do wnętrza, ale stuknęły o coś i jego oczom ukazał się niewielki wycinek przedpokoju, a dalej ściana z boazerią, prawdopodobnie tworząca drugi, prostopadły korytarz. Po podłodze walały się zabawki i ciuchy.

– Halo, dzień dobry – rzucił, nachylając się do drzwi i wciągając w nozdrza przykry zapach skwaśniałego potu wymieszanego z uryną.

Po chwili przez szparę zaobserwował, jak około dwuletni chłopiec w samym pampersie przemknął z pokoju do pokoju. Wtedy też usłyszał niosące się z dołu trzaśnięcie ciężkich drzwi wejściowych i narastający odgłos skrzypienia schodów.

Odwrócił się i dostrzegł wchodzącego na górę mężczyznę w leninówce, niewielkiego i chudego, z ogorzałą czerwoną twarzą, którą pokrywał dłuższy, sztywny zarost.

– Czego tu? – warknął nieznajomy.

Gross sięgnął po legitymację.

– Pan Zdzisław Płocki? – spytał.

– Psom się nie zwierzam – odparł, podchodząc do komisarza. – Niech wypierdala stąd.

W jednej ręce niósł dwie puszki piwa, a w drugiej worek foliowy z kilkoma kajzerkami.

Mężczyzna przepchnął się obok Grossa i zatrzasnął za sobą drzwi.

Policjant niemal natychmiast nacisnął klamkę i pchnął je ponownie.

Płocki się odwrócił.

– Wypierdajaj, ścierwochuj! – Rzucił się na drzwi, próbując je zamknąć, ale Gross zdążył wsunąć nogę.

Zabolało.

Stęknął i zebrał wszystkie siły. Natarł mocno, a po chwili usłyszał rumor za drzwiami i nacisk z drugiej strony natychmiast zelżał. Komisarz wtargnął do środka i spojrzał na leżącego na plecach Płockiego, który jęczał, trzymając się za łokieć. Puszki piwa potoczyły się do drugiego korytarza, a bułki rozsypały na progu. Niemal gołe dziecko, które komisarz widział niedawno, pojawiło się znowu

na końcu korytarza i ssąc smoczek, zerkąło z przestachem na Grossa, a potem na ojca. Uciekło, niezdarnie przebierając bosymi stopami.

– Żona jest? – spytał Gross, zagłuszając udawane jęki mężczyzny.

Ten z trudem skinął głową.

Komisarz przeszedł nad nim i stanął w zagraconym niewielkim przedpokoju. Po lewej znajdowało się pomieszczenie ze starym telewizorem kineskopowym ustawionym w meblościance, zapadniętą kanapą i wytartym pośrodku dywanem. Z pokoju przechodziło się do kolejnego.

Gross spojrzął w prawo, do kuchni. I wtedy ją dostrzegł.

Ubrana w jasną koszulę nocną, brudną i miejscami przetartą, siedziała na taborecie. Podeszwy jej stóp były czarne od brudu. Twarz ukryła w dłoniach.

– Dzień dobry – przywitał się Gross. – Pani Zofia Płocka?

Kiedy podniosła głowę i odwróciła się w jego stronę, zobaczył, że lewe oko zamykała opuchlizna, a z pękniętej wargi sączyła się krew, która ściekała po brodzie.

– Wynocha – wybełkotała.

– Mógłbym pomóc.

– A prosił kto?

W jej oczach dostrzegł strach.

Komisarz wsunął rękę do torby, żeby wyjąć przygotowaną kserówkę pisma. Ale zrezygnował, a ona w końcu spuściła wzrok.

– Kto panią skrzywdził?

Kobieta machnęła ręką i przycisnęła do łuku brwiowego brudną i wilgotną szmatkę, w którą prawdopodobnie owinęła kostki lodu.

Gross usłyszał dochodzący z przedpokoju rumor. Odwrócił się, gdy Płocki już wstał i kulejąc, szedł do kuchni. Usiadł przy stole obok żony. Wyjął dwie puszkę piwa i otworzył pierwszą z nich. Syknęło, po czym pióropusz piany z mlaskiem opadł na sfatygowaną ceratę i podłogę. Nie zważając na to, mężczyzna otworzył drugie, które również obficie spryskało blat. Jedną puszkę podsunął żonie, po czym sięgnął do reklamówki po bułkę. Wsadził ją sobie do ust i odgryzł porządny kęs.

– Pij – wybełkotał.

Pokręciła głową i znowu spojrzała na Grossa.

– Wypierdalaj z mojego domu! – krzyknęła.

Gross poszedł do salonu z telewizorem i do kolejnego pokoju, który okazał się sypialnią trojga dzieci. Nie przekroczył jednak progu.

W małej i wąskiej klitce z odklejającymi się tapetami znajdowało się jedno dziecięce łóżeczko, w którym spała dziewczynka z odrzuconymi za głowę rękoma. Obok ust, na materacu, leżał ośliniony smoczek.

Chłopiec w pampersie wcisnął się w kąt pokoju i bawił się kilkoma klockami, nieświadomy tego, że jest obserwowany. Najstarsze dziecko, na oko pięcioletnie, udawało, że śpi. Skulone na leżącym bezpośrednio na podłodze materacu, mocno zaciskało powieki. Gross widział, jak nienaturalnie drżały.

Cienki koc przykrywał kilkulatka po samą szyję.

Policjant usłyszał kroki od strony kuchni. Odwrócił się i zobaczył mężczyznę z drewnianą nogą od krzesła w dłoniach.

– Spokojnie. – Komisarz uniósł ręce w obronnym geście i zaczął obchodzić Płockiego, nie spuszczać go z oczu.

Mężczyzna zacisnął zęby, ale oczy miał nieco zamglone. W tym stanie nie był groźnym przeciwnikiem. Mimo to komisarz posłusznie wycofywał się w stronę przedpokoju.

– No już – warknął Płocki przez zęby. – Szybciej.

Drewniana laga kiwała się na boki przed oczami Grossa.

– Spokojnie – powtórzył, zbliżając się do wyjścia. – Jeśli dzieciom stanie się krzywda, źle skończysz – rzucił, kiedy wymacał klamkę.

Obserwując Płockiego, wyszedł na klatkę schodową i dopiero wtedy powoli zamknął za sobą drzwi. Sekundę później huk uderzenia rozszedł się echem po całym pionie, a drzwi zdrząły w ościeżnicy.

– I żebym cię tu więcej nie widział, psie jebany! – wydarł się Płocki.

Komisarz odczekał, po czym zszedł po trzeszczących schodach na pierwsze piętro.

– To Płocki tak rozrabia?

Gross odwrócił się na dźwięk przyciszzonego starczego głosu.

Na wycieracze przed szerokimi drzwiami stał chudy staruszek w koszuli i kufajce. Skórę na podbródku miał obwisłą. W pociągłej, pomarszczonej twarzy, na której wyraźnie było widać plamy wątrobowe, uwagę zwracały wyłupiaste oczy, powiększone dodatkowo grubymi szklami okularów.

– Pan wejdzie, panie władzo. – Mężczyzna machnął na komisarza i schował się do mieszkania.

Przepuścił gościa, po czym przekręcił dwukrotnie zamek.

– Proszę – wyszeptał i wskazał otwarte drzwi do pokoju.

W korytarzu było ciemno, jedyne światło wpadało tu właśnie od strony pokoju dziennego.

Gross wszedł i zatrzymał się niemalże w progu. Pod ścianą na podobnym do szpitalnego łóżku leżała drobna siwa kobieta. Jej głowa zapadła się w grubej poduszce z pierza. Powieki miała zaciśnięte, a pomarszczone usta – otwarte. W pierwszej chwili Gross pomyślał, że widzi zwłoki.

– To moja małżonka – powiedział mężczyzna i podszedł do łóżka.

Zasyczał materac przeciwodleżynowy.

Starzec pogładził kobietę po twarzy szorstką dłonią i powiedział do niej czule coś, czego policjant nie dosłyszał. Potem mężczyzna cicho jęknął, jego ciałem wstrząsnął krótkotrwały szloch. Zadrząły mu ramiona, ale w porę się opanował.

Odwrócił się do Grossa ze łzami w oczach i chusteczką przyciśniętą do ust.

– Przepraszam – powiedział, zsuwając rogowe okulary i ocierając oczy. – Niech pan spocznie. – Wskazał stary fotel.

Gross podszedł najpierw do okna, które wychodziło na skąpany w ulewie Rynek. Z tej perspektywy nawet przez pożółkłą firankę widział ukośnie padające, długie kreski deszczu i ogromne kałuże, na powierzchni których pojawiały się i znikwały niewielkie koła.

W końcu usiadł w wyłożonym kolorowym kocem fotelu, ustawionym przodem do przykrytego serwetą telewizora.

W domu panoszyła się wilgoć. Przy piecu kaflowym znajdowały się wiadro węgla i kilka szczap drewna. Na rusztach tkwił opał, spomiędzy którego wystawały zmięte gazety.

– Pan z policji, prawda? – zapytał starszy mężczyzna i usiadł obok. – Nie jest pan pierwszy, który tu przychodzi.

Gross milczał.

– Napije się pan herbaty? – Mężczyzna sięgnął po porcelanowy dzbanek, który stał na rozdzielającym fotele okrągłym stoliku i podniósł go w stronę komisarza.

Ten uprzejmie podziękował.

– W czym mogę pomóc? – spytał policjant, kiedy gospodarz wypełnił żółtawą herbatą szklanę wciśniętą w wiklinowy koszyk.

Starzec upił kilka małych łyków, a Gross patrzył na jego powykręcane artretyzmem palce.

– Coś panu opowiem – powiedział gospodarz, po czym wbił wzrok w wytarty, siny parkiet, zaledwie w niewielkiej części przykryty dywanem. – W tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku, w połowie września, kiedy hitlerowcy weszli do Chełmży, miałem siedem lat. Mój ojciec, Jan Wilnowski, był wówczas nauczycielem języka polskiego w gimnazjum. Wspaniały, kochany człowiek. – Westchnął. – Któregoś dnia, to musiało być w październiku, moja matka weszła do tego pokoju, trzymając złożoną kartkę papieru, którą wyjęła z koperty. A ojciec stał przy lustrze, przy ścianie, i wiązał krawat. Jak zawsze na podwójny węzeł. Pięknie to robił. – Mężczyzna rozpromienił się na to wspomnienie. – Przeczytał pismo i złożył je bez słowa, po czym przytulił matkę, która długo trzęsła się w jego ramionach. Ja też się rozplakałem, chociaż zupełnie nie wiedziałem, o co chodzi, i nie

domyślałem się, że może nas spotkać jakieś nieszczęście. Kilka dni później ojciec posadził mnie sobie na kolanach i poprosił, żebym dbał o mamę, żebym był jej posłuszny. Powiedział, że wyjedzie na dwa tygodnie i szybko do nas wróci. Obiecałem, że będę grzeczny. Ojciec zmierzwił mi włosy i przytulił. Długo trzymał mnie w swoich ramionach, a kiedy mnie puścił, szybko odwrócił twarz i wstał z fotela. Zabrał sakwojaż i wyszedł z domu. Kiedy zamknęły się za nim drzwi, usłyszałem stłumiony płacz matki. Siedziała w łazience. Chciałem ją pocieszyć, ale coś ciągnęło mnie do okna. Wszedłem na fotel, jak to zwykle robiłem, żeby dobrze widzieć Rynek, ale ojciec nawet się do mnie nie odwrócił. Nie pomachał mi, jak często robił, kiedy dokądś wychodził, chociaż czekałem na ten jego gest już z uniesioną dłonią.

Gross przełknął ślinę, gdy po twarzy starszego mężczyzny spłynęły łzy.

– Wybiegłem za nim, ale bałem się go dogonić. Szedłem więc, zachowując bezpieczny dystans, by nie zniknął mi z oczu. Chowałem się za innymi mężczyznami i kobietami, którzy, tak jak i on, szli w stronę otoczonego płotem dworca. Kiedy tam dotarł, pokazał niemieckiemu wartownikowi pismo, które wyjął z kieszeni płaszcza, i tak jak wielu pozostałych mężczyzn, młodych i starych, ustawił się na peronie. Zostałem z innymi przy płocie, przecisnąłem się do przodu, by wszystko zobaczyć. Wkrótce otoczyli ich esesmani z karabinami, odebrali rzeczy osobiste i pieniądze, a potem wtoczyli do bydłowych wagonów. – Gospodarz sięgnął po herbatę. – Wołałem ojca, ale pisk hamulców innego pociągu mnie zagłuszył. Jakaś kobieta mnie przytuliła i położyła mi dłoń na ustach. Druga głaskała po głowie, gdy w końcu zamiast krzyżeć, zacząłem płakać.

Komisarz poprawił się w fotelu, a starzec podniósł palec wskazujący, dając mu znać, że jego opowieść zmierza ku końcowi.

– Wśród tych, którzy zaganiali naszych do wagonów, był jeden Polak, którego tutejsza społeczność dobrze знаła – dodał. – Wie pan, kto to był?

Gross nie zdążył odpowiedzieć, gdy kościsty, powykręcany w stawach palec wskazał sufit.

– To był dziadek Płockiego! – Mężczyzna poruszył się, a mięśnie jego twarzy napięły się w grymasie złości.

Komisarz czekał na ciąg dalszy.

– Chodzi mi tylko o to, panie władzo, że zło przenosi się z pokolenia na pokolenie. A Płockiego nic nie zatrzyma, póki nie wybije swojej rodziny. Dokładnie tak, jak jego ojciec degenerat i parszywy dziad.

Po chwili, w której ponownie dało się słyszeć syk materaca, Gross się odezwał.

– Od dawna to trwa?

– Ostatnio mu się nasiliło.

– Ostatnio, czyli?

Mężczyzna zebrał myśli i tym razem przyłożył palec do ust.

– Będzie już kilka tygodni – stwierdził. – Ale wspomni pan moje słowa. Lepiej go stąd zabierzcie. O tych biednych dzieciach pomyślcie, bo ja już nie mogę słuchać ich płaczu.

Komisarz zatrzymał się w progu i spojrzał na staruszkę, która zarzęziła cicho.

– Na co cierpi pana żona? – spytał policjant, odwracając się do siedzącego w fotelu staruszka.

– Wychodziła do warzywniaka po fasolkę na obiad. Ale potknęła się w tych ciemnościach na schodach. Nieszczęśliwie złamała biodro i rękę.

– Nie powinna nadal być w szpitalu?

– Była. – Zrezygnowany machnął ręką. – Wsadzili ją w gips, ale stwierdzili, że już jej w niczym nie pomogą. Że mógłbym ją dać do hospicjum. Ale kto to widział oddawać żonę do zakładu?

Gross stężał.

– Pan by oddał? – Starzec przekrzywił głowę, a jego wylupiaste oczy świdrowały komisarza. – Jeśli ma umrzeć – kontynuował gospodarz, ściszywszy głos – to tylko w domu. Tu, gdzie jest bezpieczna i kochana.

Wstał, żeby poprawić kołdrę, i przykrył kobietę ciemnozielonym kocem, który leżał złożony w jej nogach.

– Prosiłem lekarza, żeby tylko nie cierpiała bólu – dodał płacząco.

Gross zerknął na ścianę, gdzie Jezus z cierniową koroną na głowie wznosił umęczony wzrok ku niebiosom.

A te płakały nieustannie.



Komisarz odłożył telefon i spojrzał na Monikę Skalską.

Siedziała tam, gdzie lubiła najbardziej, po lewej stronie stołu do odpraw. Tym razem żuła niespiesznie gumę. Włosy, jak zawsze, spięła w koński ogon, a bejsbolówkę zawiesiła na jednym z kolan, które podciągnęła do piersi. Białe superstary oparła na siedzisku krzesła.

Kiedy Gross wyszedł z mieszkania starych, schorowanych ludzi i przeciął chełmżyński Rynek, zatrzymał się przed biblioteką i ponownie przypatrywał się przez okna wypożyczalni. Dostrzegł starszą bibliotekarkę, której zwyczajnie nie lubił ze względu na jej oschłość. Nie zdradziłaby mu powodów, dla których Malwiny Lemańskiej nie ma w pracy.

Odpuścił więc.

– I co? – spytała Skalska.

– To on. Raszeja zidentyfikowała ciało bez cienia wątpliwości – powiedział, spojrzawszy na aparat stacjonarny.

Skałka wdmuchała balon, który pękł cicho i okleił jej usta.

– Mam to załatwić? – Jej pytanie na długo zawisło w powietrzu.

Komisarz nie odzywał się, więc je powtórzyła.

– Co takiego? – Gross wreszcie się otrząsnął z rozmyślań.

– No jak to co? – Rozłożyła ręce. – Czy mam powiadomić rodzinę?

– Sam to zrobię. – Przyłożył palec do kolorowej kartki, na której przed poranną odprawą z Łoniewiczem i Nubińskim zapisał sobie adres matki Rafała Beckera.

Nubiński podyktował go z pamięci, bo prowadził sprawę zaginięcia Rafała Beckera i był kilkukrotnie w jego mieszkaniu.

Z wczorajszego, pierwszego zapoznania się z materiałami dotyczącymi zaginięcia młodych ludzi Gross zapamiętał, że ojciec samobójcy zmarł w dwa tysiące dziesiątym roku. Komisarz zdał sobie sprawę, że Jadwiga Becker, matka Rafała, została na tym świecie sama, a od ponad dwóch tygodni zachodzi pewnie w głowę, co się stało z jej synem.

– No dobra, a masz coś dla mnie, Bernardzie? – spytała Skalska, ale Gross znowu był myślami daleko stąd.

Zastanawiał się, czy dobrze zrobił, biorąc na swoje barki obowiązek powiadomienia matki o śmierci jej jedyne żyjącego dziecka. Zaczynał mieć co do tego obawy, ale wiedział, że nie będzie mógł się już z tego wykręcić.

– Bernardzie?

Skalska ponownie wyrwała policjanta z zamyślenia.

Spojrzał na nią, unosząc brwi.

– Masz coś dla mnie? – powtórzyła.

– Nie, chyba nie. – Rozejrzał się po biurku w poszukiwaniu poczty wewnętrznej. – Chociaż właściwie tak. Dwie sprawy. Po pierwsze, wystąp o billingi Beckera i wyciągi z konta.

– Okej. A druga sprawa?

Gross przyjrzał się swoim dłoniom.

– Chciałbym, żebyś mi w czymś pomogła.

– W czym?

Usiadł i wyjął z torby kserówkę listu. Dotyczył sprawy, którą miał się zająć z polecenia komendantki.

– Co to? – Skalska wzięła kartkę i wczytała się w treść.

– Rzecz w tym, że to trzeba po cichu – zastrzegł.

– Przecież to sprawa Jojczykowej.

– Wiem. Ale komendantka prosiła...

– Jezu, czy naprawdę wszystkich musimy wyręczać? – jęknęła Skalska. – Mało mamy własnej roboty?

– Byłem tam dzisiaj i powiem ci, że... – Zmarszczył czoło na samo wspomnienie swojej wizyty.

– Wiem, co to przemoc domowa, i nie chcę tego słuchać. Daruj sobie – zastrzegła. – A co na to opieka społeczna?

– Akurat tę kwestię zostawiamy Oli Jojczyk. Wojtasik mówiła mi rano, że wszystko jest na dobrej drodze do odebrania Płockim dzieci.

– Oby tylko nie trwało to zbyt długo.

– Nie mamy na to wpływu – stwierdził z bezsilnością w głosie. – To sprawa opieki społecznej i sądu.

Skalska odłożyła kartkę na stół i poprawiła wiązanie długiej czarnej kity.

– Co w takim razie mam zrobić?

– Mieć oczy szeroko otwarte – poprosił.

Kobieta pokiwała głową, ale nie wyszła z gabinetu. Rzuciła okiem na drzwi, potem na szefa.

Gross obserwował ją uważnie.

– Coś jeszcze? – spytał.

– Chciałam cię przeprosić za swoje zachowanie – powiedziała. – Wiesz, że tak nalegałam na to, żebyś się odezwał do Malwiny... – Urwała, czekając na jego komentarz, ale Gross milczał. – Chodzi mi tylko o to, że... Może ona... To znaczy, że może z nią byłoby ci dobrze.

Komisarz się spiął.

– A ty? – odparował.

– Co ja?

– Z kim ci będzie dobrze?

Utkwiła wzrok w regale naprzeciwko niej. Gross wiedział, że jego pytanie zadziało jak filmowy projektor, że Skalka w myślach spogląda w oczy Grzegorza Otremby, aspiranta, w którym się zakochała, ale który kilka miesięcy temu przyłożył do skroni służbową broń i nacisnął spust.

Dostrzegł, jak drgnęły jej ramiona. Być może na wspomnienie huk wystrzału, który rozniósł się wczesną wiosną po starówce.

Gross, jako jedyne świadek tego zdarzenia, do dziś miał je przed oczami, tę scenę na pustym dziedzińcu chełmińskiego komisariatu. Widział to wszystko jak na filmie odtworzonym w zwolnionym tempie.

Broń przy skroni silnego, wysportowanego blondyna. A potem nagła, niespodziewana fontanna krwi i cząstek mózgu rozbryzgująca się na ceglany murze. Zerwane do lotu ptaki, które przecinają skrawek nieba nad komisariatem. Zaciśnięte nerwowo powieki i usta Otremby, i to nagłe zniknięcie napięcia z jego twarzy, rozluźnienie mięśni mimicznych, jakby spłynęła na niego od dawna pożądana ulga. A potem już tylko moment, w którym pod bezwładnym ciałem uginają się kolana i upada ono na wybrukowany niewielki plac, drżąc w ostatnich konwulsjach. I krew. Kałuża krwi, która rozlewa się niczym szkarłatna aureola.

I wreszcie cisza.

Gross przymknął oczy. Niepotrzebnie to zaczął.

– Może jesteśmy tacy sami. – Mimo wszystko wrócił do poprzedniego wątku.

– To znaczy?

– Oboje boimy się tego samego. – Zganił się w duchu. Przecież w ogóle nie chciał o tym rozmawiać.

– Czego?

„Utnij to”, błagał siebie w myślach. Ale zdołał milczeć jedynie przez kilka sekund.

– Tego, by pójść nową drogą. – Powiedziawszy to, Gross przestraszył się własnych słów.

Miał żonę, którą przecież wciąż kochał. A być może tak mu się tylko wydawało. Może kochał jedynie wspomnienia o niej, te, w których pozostawała zdrowa, w pełni sił, atrakcyjna i zmysłowa. Bo czy rzeczywiście kochał kobietę, której mózg zgasł przed dziesięciu laty? Kiedy znikły niemal wszystkie ścieżki z mapy połączeń neuronów, a pozostały jedynie te odpowiadające za bezwolne i nieświadome trwanie zeszywniałego ciała przy życiu?

Skalska podniosła się i skierowała do drzwi, kiedy Gross odezwał się właściwie znów wbrew sobie.

– Próbowałem się do niej dodzwonić, ale na próżno. – Wzruszył ramionami. – Chyba zdecydowała za mnie.

– Zdecydowała? O czym?

– Że to ślepa uliczka. Że dalej już nic nie ma.

– Nic nie ma? – zdziwiła się. – Boże, przecież to tylko twoja interpretacja – obruszyła się.

– Co?

– Ta ślepa uliczka.

Zaprzeczył.

– Dobrze wiesz, że to tak nie działa. – Skalska uśmiechnęła się gorzko. – Porozmawiaj z nią.

Komisarz dalej milczał.

– Dopóki nie usłyszysz tego od niej, dopóki sama ci nie powie, że to koniec, nie rezygnuj – poprosiła.

– A ty?

Policjantka włożyła czapkę i zapięła polar, a potem podciągnęła suwak granatowej kamizelki.

– Jak to jest z tobą? – spytał, powracając z troską myślami do niedawnej samobójczej śmierci jej kochanka. – Radzisz sobie?

Otworzyła usta, ale nie padło z nich żadne słowo, za to oczy zaszkliły się momentalnie.

Czekał i widział, że znowu chciała coś powiedzieć, szybko jednak spuściła głowę.

– Może... – zaczął.

Uniosła dłoń, dając mu do zrozumienia, żeby nie brnął w to dalej.

Oparł więc ręce na podłokietnikach i patrzył na nią wyczekująco. A kiedy na ułamek sekundy ich spojrzenia się spotkały, Skalska wsadziła dłonie w kieszenie kamizelki i opanowała drżenie brody.

– Dam ci znać, co z Płockimi.

I wyszła z gabinetu.



Gross dopił herbatę i odstawivszy pusty kubek na szafkę obok czajnika, zamknął akta sprawy dotyczące zaginięcia Rafała Beckera.

Usłyszał ciche pukanie.

– Proszę! – rzucił.

Drzwi uchyliły się wolno i w progu stanęła niska, zaszuszone starsza kobieta, ubrana na czarno. Krople deszczu trzymały się jej palta i beretu, połyskując w świetle górnej lampy, co sprawiało wrażenie, jakby z niewiadomego powodu smutną nieznaną obsypano cekinami.

– Dzień dobry – powiedziała niepewnie, błędząc wzrokiem po niewielkim gabinecie.

Gross podszedł bliżej i się przedstawił.

– Ja właśnie do pana.

– Do mnie? – nie krył zaskoczenia, ale wskazał kobiecie krzesło.

Nikogo się nie spodziewał, a dyżurny nie uprzedził go o wizycie.

– W czym mogę pomóc? – spytał, siadając naprzeciwko niej.

Ustawiła torebkę na kolanach i złożyła na niej dłonie obleczone w skórzane rękawiczki. Jej głowa, dostrzegł to dopiero teraz, drżała w regularnych, bezwiednych odruchach. Gross spojrział w małe oczy kobiety ukryte za starymi, zmatowiałymi okularami. Jeden z zauszników owinięty był w połowie długości zabrudzonym plastrem.

Poprawił się na krześle i wyczekiwał.

– Musiało się coś stać, panie komisarzu – zaczęła cicho, a jej głos przepełniał smutek. Powiodła oczami po zastawionej regałami ścianie za plecami komisarza.

– Co pani ma na myśli?

Jej powieki zatrzepotały, a głowa ponownie wpadła w niekontrolowane drżenia.

– Przeżyłam wiele. – Z powrotem skupiła wzrok na policjancie. – Pan jeszcze młody, jeszcze życie całe przed panem. A moja droga dobiega końca i wcale mnie to nie smuci.

Złączywszy dłonie, Gross oparł łokcie na blacie i podparł ręką brodę. Czekał na dalszy ciąg, bo wiedział, że nastąpi.

– Zaczęłam umierać na raty. – Uśmiechnęła się smutno. – Tak. Właśnie na raty. Mówią, że tak się nie da odchodzić, że umrzeć można na raz. – Uniosła nieznacznie dłoń, ale nie wykonała żadnego gestu, jakby to był nadludzki wysiłek. – Ale ja, zapewne Bóg tak chciał, obumieram już od dawna.

Kobieta utkwiała wzrok w mokrych ceglach gotyckiej wieży kościoła Świętego Mikołaja.

Gross widział profil jej twarzy, pomarszczoną ziemistą skórę i siwe włosy z nielicznymi ciemniejszymi pasmami. Pozostawały spięte i częściowo ukryte pod beretem. Ale z tej perspektywy dostrzegł coś jeszcze. Pożółkłe białka oczu, pokryte od dołu gęstą siecią spękanych naczynek, oraz powieki niemal pozbawione rzęs.

– To zaczęło się w dwa tysiące drugim roku – rzekła i odwróciła się do niego z dygoczącą wciąż głową. – W dwa tysiące dziesiątym Pan zabrał mi męża. A teraz to.

Gross zamierzał zadać pytanie, ale z jakiegoś powodu się powstrzymał.

– Przychodzę do pańskiego gabinetu, od tego pana z góry. – Znowu wykonała nieokreślony ruch dłonią.

– Podkomisarza Nubińskiego – podpowiedział jej, ale nie potwierdziła albo on tego nie zauważył.

– On prowadził sprawę zaginięcia mojego syna. Czy już go odnaleźliście? – spytała starsza kobieta. – Czy pozwolicie mi go pochować przed moją śmiercią?

– Chodzi o Rafała Beckera, prawda?

– Tak, jestem jego matką. Nazywam się Jadwiga Becker, a mój syn zaginął siedemnastego września tego roku. – Zadrżała jej warga, ale szybko opanowała emocje. – Do tej pory przychodziłam do pana Nubińskiego, ale dziś nie chciał ze mną rozmawiać. Po raz pierwszy nawet się do mnie nie odezwał, tylko taki wysoki blondyn, na jego polecenie, doprowadził mnie tutaj. – Rzuciła okiem na drzwi, a potem znowu na rozmówcę.

I wtedy spod jej powiek popłynęły łzy. Zwolniły na fałdach policzków, a potem przyspieszyły w stronę kącików bladuróżowych, pomarszczonych ust i zniknęły w nich, zostawiając na pergaminowej skórze dwie mokre ścieżki.

Kobieta westchnęła cicho.

– On się powiesił, prawda? – spytała.

Gross poczuł głośniejsze bicie serca i ból rozchodzący się falą od mostka.

– Mogę tylko potwierdzić, co robię z przykrością, że pani syn nie żyje – odezwał się, próbując uniknąć odpowiedzi na pytanie o przyczynę śmierci.

Nie wspomniał o szczegółach, o czasce leżącej pod krzewem, o bezgłowym ciele ani o samozaciskowych opaskach, które być może odcięty dopływ krwi na przegubach rąk. Nie powiedział nic o kokonie leśnych os zawieszonym na żebrach.

– Ja to czułam. – Kobieta spuściła głowę.

Gross położył dłonie na stole, chociaż miał ochotę przyłożyć je do klatki piersiowej, bo ostry ból się nasilił.

– Jest mi bardzo przykro – wyznał.

Głowa kobiety dygotała nadal, a on nie chciał dopuścić, by właśnie w tej chwili jego rozmówczyni się rozplakała.

– Czy mogę zadać pani kilka pytań? – Spojrzał na leżącą na biurku teczkę zawierającą dokumenty w sprawie zaginięcia jej syna.

Milczała.

– Rafał Becker wyszedł z domu, poinformowawszy, że nie wróci na noc, prawda?

– Tak. Zawsze mnie uprzedzał, kiedy chciał zostać u kolegi.

– Ale wiemy już, że tam nie dotarł.

– Tak. – Znowu westchnęła.

– Wcale się nie umówił ze swoim kolegą.

– Tak.

– Wie pani dlaczego?

Kobieta zamrugła, jakby zadał jej nazbyt oczywiste pytanie.

– Bo chciał odebrać sobie życie – stwierdziła.

Grossem wstrząsnęły słowa Beckerowej, wypowiedziane z pełnym przekonaniem. Wybrzmiały w ciszy, która zaczęła komisarza uwierać.

– Czy syn leczył się psychiatrycznie? – spytał.

– Tak. Od chwili zaginięcia Justysi, mojej córki, a jego siostry. Obwinał się o to.

– Obwinał się?

Jadwiga Becker poruszała wargami, jakby przygotowywała się do dłuższej wypowiedzi.

– Tego dnia miał świętować z Justysią i jej chłopakiem zakończenie studiów. Zawsze twierdził, że gdyby był na tej imprezie do samego końca, nic złego by się nie stało.

Gross chciał skierować rozmowę na inne tory.

– Leczył się?

Kobieta odplynęła myślami, więc komisarz powtórzył pytanie.

– Tak, przyjmował leki i zażywał je regularnie – odpowiedziała w końcu.

– Długo?

– Z przerwami. Ostatnia trwała kilka miesięcy. Czuł się lepiej. Niestety, pogorszyło mu się pod koniec wakacji.

– Był jakiś konkretny powód?

Spojrzała na niego zaskoczona, że w ogóle zadaje takie pytanie.

– Przecież stracił pracę – wyjaśniła.

– Kiedy się to stało?

– Z końcem sierpnia. Wysłałam go wtedy do pani doktor do Torunia, do tej, do której zawsze chodził. Przepisała mu nowe leki, a ja pilnowałam, żeby je brał.

– I robił to?

– Tak.

– Regularnie?

Wyraźnie pokiwała głową.

– Dlaczego stracił pracę? – zainteresował się Gross.

– Wyrzucili go.

– Rozumiem. Ale jaki był powód? – Policjant pamiętał, że Becker był szefem agentów nieruchomości w jednym z toruńskich biur tej branży.

Kobieta mocniej zacisnęła dłonie na torebce. Skóra rękawiczek nieprzyjemnie zaskrzypiała.

– Stracił etat bez powodu.

Gross zastanowił się, czy dobrze robi, wypytując ją o syna. Być może powinien odpuścić, dać jej czas.

Zdał sobie sprawę, że dzielnie zniosła wiadomość o śmierci, jakby się spodziewała tej informacji, a nawet jakby jej ulżyło, że przynajmniej ciało jednego z dzieci będzie mogła złożyć w grobie.

W tej małej, pomarszczonej i zdruzgotanej kobiecie widział siłę, jakiej nie był w stanie dostrzec w sobie.

– Tego dnia przyszedł do mnie – odezwała się nagle Jadwiga Becker, spoglądając gdzieś w bok.

– Był wieczór, a ja czułam się zmęczona, dlatego położyłam się wcześniej do łóżka. Wyłączyłam telewizor i zgasiłam światło. Ale było jeszcze w miarę jasno – wspomniała, zawieszając na krótko głos.

– W pierwszej chwili usłyszałam chrobot zamka i skrzypienie drzwi. Potem kroki, które nagle ucichły. Odwróciłam się w stronę korytarza, ale nikogo w nim nie było. Wtedy ze stołu zsunęła się gazeta. Sama z siebie. Leżała pośrodku, przy koszu z owocami. Usłyszałam tylko szelest i dostrzegłam, jak powoli przesuwa się po blacie i opada na podłogę.

– Miała pani otwarte okno?

Kobieta nie odpowiedziała na to pytanie.

– A później stało się coś jeszcze – dodała.

Gross czekał.

Błądziła wzrokiem po ścianach i dopiero kiedy spojrzała na swoje ręce, znowu się odezwała.

– W kuchni włączyło się radio.

Gross, szukając naprędce jakiegoś racjonalnego wytłumaczenia, uniósł brwi. Już miał otworzyć usta.

– Jestem emerytowaną nauczycielką fizyki – uprzedziła go kobieta, jakby czytała mu w myślach. – A to był stary odbiornik. Żeby go włączyć, trzeba użyć potencjometru. Tego od regulacji głośności. – Ponownie się rozejrzała. – Najpierw usłyszałam partię skrzypiec z *Le quattro stagioni*. Z *Czterech pór roku* Vivaldiego – wyjaśniła. – Ale zanim utwór na dobre się rozpoczął, dobiegły mnie szумы i trzaski, dokładnie takie, jakby ktoś zmieniał zakres fal. Po chwili nieznośne dźwięki ustały i usłyszałam kłótnię polityków. Ta trwała jeszcze krócej i zaraz potem zagłuszyły ją kolejne szумы. – Umilkła. – I wie pan co?

Nie wiedział.

Spojrzała komisarzowi prosto w oczy.

– Pan mi nie wierzy, prawda?

Obserwował wciąż dygoczącą głowę, pomarszczoną twarz oraz wygięte ku dołowi usta. Kobieta zmagala się z traumą, rozdzierał ją ból jątrzących ran i przygniatał smutek, widoczny w małych oczach.

– Do moich uszu dotarła kolejna piękna melodia, piosenka tej dawnej hollywoodzkiej aktorki z blond włosami, symbolu seksu. Niech mi pan przypomni jej nazwisko – poprosiła.

– Marilyn Monroe?

– O tak, właśnie jej.

Gross albo miał złudzenie, albo kobieta rzeczywiście uśmiechnęła się nieznacznie. A może był to tylko krótkotrwały grymas.

– Co to za piosenka? – spytał z grzeczności.

– *Happy Birthday*.

– Rozumiem – stwierdził, mając nadzieję, że rozmowa dobiegła końca.

– Śpiewała ją prezydentowi Kennedy’emu. To bardzo stare nagranie.

Gross przypomniał sobie fragment czarno-białego filmu, a właściwie urywku z tej uroczystości. Siedział wtedy razem z Agnieszką w domu, ona skupiona na ekranie telewizora, on – na materiałach z pracy. Kątem oka zerkał na dokument o Marilyn Monroe i trafił właśnie na ten moment uroczystości,

gdy aktorka stanęła przed mikrofonem.

– Rozumiem – powtórzył i wstał, mając nadzieję, że będzie mógł pożegnać gościa, ale poczuł się niezręcznie, bo kobieta nie zamierzała pójść w jego ślady. Rozmowa weszła na takie tory, z których, obawiał się, nie było już powrotu.

– Potem zasnąłam. A kiedy przebudziłam się w nocy, wstałam i z ciekawości poszłam do kuchni. Odbiornik rzeczywiście był nastawiony na inną falę – powiedziała, patrząc w miejsce, w którym przed chwilą siedział Gross, jakby wciąż się tam znajdował.

Policjant się wzdrygnął.

– On to zrobił specjalnie – dodała kobieta.

– Kto?

– Mój syn.

– Tak... – Pokiwał głową komisarz.

Zapadła cisza, którą zmącił bębniący o parapet deszcz.

– Wie pan dlaczego?

Nie chciał wiedzieć, chciał już zakończyć to spotkanie. Nie zamierzał słuchać opowieści o przedziwnych snach, które i jemu nierzadko się śniły. Wyraźne i sugestywne.

– Kiedy ta melodia wybrzmiała, kiedy radio nagle ucichło, to ja już wtedy wiedziałam, że właśnie tego dnia, być może właśnie w tej chwili, mój syn umarł, że pożegnał się z życiem dokładnie siedemnastego września – wyznała, gdy wreszcie spojrzała mu w oczy

Gross podrapał się po karku.

– Pan mi nie wierzy. – Uśmiechnęła się przez łzy. – Pan nie wierzy, że nawiedził mnie jego duch, prawda?

Do komisarza dopiero teraz dotarło, że kobieta nie opowiedziała mu swojego dziwnego snu, jak przypuszczał, ale zdała relację ze zjawisk nadprzyrodzonych, których stała się świadkiem.

Miał wrażenie, że zaraz się w tym wszystkim pogubi.

– To on wybrał tę piosenkę. I zrobił to dla swojej siostry. – Po twarzy kobiety znowu przemknął cień uśmiechu.

– Rozumiem.

– Nie, proszę pana, nic pan nie rozumie. – Beckerowa nadal nie zamierzała wstać, mimo że Gross zrobił krok w stronę drzwi.

Otworzyła torebkę i wyjęła z niej etui na dokumenty.

– Bardzo mi przykro. Proszę przyjąć moje szczere wyrazy współczucia – powiedział komisarz.

– Chodzi o to – Jadwiga Becker zachowywała się tak, jakby w ogóle nie usłyszała jego słów – że trzeba to gruntownie zbadać.

Gross wsunął ręce w kieszenie spodni.

– Wie pan dlaczego? – ponowiła pytanie.

Znowu pokręcił głową.

– Ja też nie. Ale to na pewno ma znaczenie. – Posmutniała. – Dlatego liczę na pana.

– W jakim sensie?

– Niech pan się po prostu tego dowie – poprosiła, rozkładając trzymane w dłoniach etui. – Niech pan znajdzie odpowiedź na to pytanie.

– Na jakie pytanie? – Policjant miał dość tej gry.

– Dlaczego mój syn odebrał sobie życie w dniu urodzin swojej zaginionej siostry. – Postukała palcem w dowód osobisty córki.

I wtedy rozplakała się na dobre.



Skalska schowała się przed deszczem w kawiarni Łubkowskich i zajęła stolik tuż przy oknie wychodzącym na chełmyński Rynek. Z tej perspektywy widziała wschodnią pierzeję i kamienicę, w której mieszkali Płoccy. Nad dachem budynku wyrastała patynowana kopuła pobliskiej konkatedry z okazałym zegarem.

Policjantka wyjęła notes i zapisała godzinę.

Zamówiła dużą białą kawę i sernik z frużeliną z czerwonej porzeczeki. Najpierw przyniosła sobie ciasto, a potem odebrała wysoką, przezroczystą szklankę, w której warstwami ułożyło się mleko, ciemna kawa i dobrze ubita, gęsta mleczna piana. Posłodziła napój i zamieszała, nadając mu tym samym jednolity kolor.

Spojrzała na drzwi kamienicy, prowadzące na klatkę schodową i do części mieszkalnej. Z tej perspektywy widziała je dokładnie. Na szczęście niewielka betonowa fontanna, nieczynna o tej porze roku, zasłaniała jedynie wyklejoną starymi gazetami witrynę, znajdującą się w tym samym budynku na prawo od wejścia. A niezbyt wysokie drzewa, które rosły przed kamienicami, ogołocone już z liści, pozwoliły jej bez trudu obserwować rozświetlone okna mieszkania na drugim piętrze.

Nic się nie działo.

Szaruga i rzęsy deszcz przepłoszyły mieszkańców. Rynek był pusty, chociaż sporo samochodów zaparkowało po przeciwnej stronie.

Znowu rzuciła okiem na kamienicę.

Przypomniała sobie, że jeszcze w końcówce lat osiemdziesiątych znajdowała się tam księgarnia. Ojciec kupował jej komiksy o Kajku i Kokoszu albo o Tytusie. Często stał po nie w długiej kolejce, która znikwała za rogiem i ciągnęła się wzdłuż Tumskiej. A potem przynosił te skarby do domu. Okładki błyszcząły kredowym papierem, kusiły żywymi kolorami, a strony pachniały intensywnie farbą drukarską. Otwierała i wsadzała w nie nos, pozwalając kartkom łaskotać ją w policzki. Dopiero potem zabierała się do lektury i smutniała, gdy zbyt szybko docierała do końca obrazkowych historii.

Wypiła kawę i zjadła ciasto.

Odstawiła brudne naczynia na ladę i przysiadła jeszcze na chwilę w tym samym miejscu.

Płockiego i jego żonę znała jedynie ze zdjęć, które przejrzała sobie wcześniej w bazie danych. Potem zadzwoniła do znajomej z urzędu miasta i spisała nazwiska wszystkich zameldowanych pod tym adresem. Wiedziała, że na pierwszym piętrze mieszkał emeryt Zygmunt Wilnowski z żoną. Mieszkanie obok zajmowała Helena Schilert z niemal trzydziestoletnią wnuczką Joanną. Na drugim, oprócz Płockich, mieszkali Zychlowie. Trzy pokolenia, w sumie siedem osób na czterdziestu metrach kwadratowych. Z kolei na poddaszu niewielką pakamerę zajmował Stefan Rybkowski, stary kawaler, emerytowany działacz sportowy chełmyńskiej Legii, a od niedawna lokalny poeta, klejący rymowanki wysławiające miasto, święcie przekonany o swojej kulturotwórczej roli.

Skalska postanowiła wziąć go na pierwszy ogień.

Zabrała się z kawiarni i przecięła Rynek, kierując się prosto do drzwi kamienicy.

Deszcz spływał jej po daszku czapki.

Tablica domofonu nie była podświetlona. Widniały na niej numery mieszkań, a tylko w jednym przypadku zapisano imię i nazwisko mieszkańca. Nie zdziwiło jej to. Nacisnęła przycisk przy nazwisku Rybowskiego, gaduły zawsze chętnego do rozmowy. Pamiętała, że wcześniej zdarzyło mu się już donosić na Płockich. Kilukrotnie. Ostatnio dyżurny odebrał takie zgłoszenie w maju.

Usłyszała krótki trzask, a zaraz potem spokojny głos mężczyzny.

– Rybkowski, słucham.

Skalska się przedstawiła.

– W jakiej sprawie?

– Chodzi o zgłoszenia zakłócania porządku w kamienicy.

Cisza.

– Jest pan tam?

– Jestem, jestem – odparł. – Ale nie bardzo sobie przypominam...

Skalska podała mu daty policyjnych interwencji.

– To pan zgłaszał, prawda?

– Nie. W żadnym wypadku.

– Słucham?

– Jak żyję, niczego nie zgłaszałem.

– Chodziło o awantury i prawdopodobnie przemoc fizyczną stosowaną przez Zdzisława Płockiego wobec jego żony i dzieci.

– Niczego nie zgłaszałem. – Odwiesił słuchawkę.

Skalska zdębiała.

Wybrała mieszkanie z numerem dwa i długo oczekiwała na nawiązanie połączenia.

– Halo? – usłyszała młody kobiecy głos.

– Dzień dobry, aspirantka sztabowa Monika Skalska. Chciałabym porozmawiać z Heleną Schilert.

– Babcia jest w sanatorium w Świnoujściu. Stało się coś?

– Mogę wejść? Strasznie pada. – Położyła dłoń na klamce, a gdy usłyszała brzęczenie zamka, pchnęła drzwi.

Uderzył w nią niesiony przeciągiem smród kociego moczu. I ciemność. Drzwi na końcu korytarza, prowadzące na dziedziniec, pozostawały otwarte na oścież. Deszcz zacinał do środka, a na starych, wytartych deskach podłogi zbierała się kałuża. Odbijał się w niej obraz znajdującego się w oficynie budynku gospodarczego ze starej cegły, zamkniętego na pordezewiały rygiel i kłódkę.

Skalska zbliżyła się do schodów.

Nigdzie nie dostrzegła włącznika światła, ale usłyszała za to, jak na piętrze ktoś otwiera drzwi i wychodzi na klatkę schodową. Podłoga zaskrzypiała i coś pstryknęło. Żarówka na parterze zamrugała i po chwili liche światło oblało odrapaną klatkę schodową.

– Zapraszam na górę – dotarł do niej głos.

Skalska spojrzała na schody i na ich szczycie ujrzała młodą kobietą twarz przysłoniętą farbowanymi na rudo lokami.

Każdy drewniany stopień na swój sposób odpowiadał jej krokom, raz ciszej, raz głośniej.

Przywitały się lekkim uściskiem dłoni.

– Proszę. – Kobieta zaprosiła Skalską do środka, a sama weszła za nią i zamknęła opuszczające się drzwi, dopychając je kolanem do framugi. Posiniały parkiet tuż przy progu był wyszlifowany do żywego drewna.

Policjantka skierowała się do pomieszczenia ze starymi meblami, pokrytymi błyszczącą w świetle z żyrandola politurą.

Na jednym z foteli leżały w nieładzie ciuchy, skotłowane, jakby niedawno zdjęte z suszarki, a pod ścianą, w dużych kartonach, spoczywały stare książki. Podłogę pokrywały dwa ułożone na sobie wzorzyste dywany. Ten mniejszy znajdował się bezpośrednio pod ciężką ławą wypełnioną stertą czasopism i krzyżówek oraz kartonem z lekami i środkami opatrunkowymi. Z komody, przykrytej dzierganą serwetą, patrzyły na nią porcelanowe figurki.

Skalska przeniosła wzrok na ekran telewizora, w którym nastoletnia dziewczynka śpiewała znaną piosenkę w jednym z tych *talent show*. Skałka ich nie znosiła. Szczególnie kiedy ich uczestnikami były dzieci. Nie dlatego, że miała coś przeciwko dzieciom. Raczej przeciwko ich rodzicom, którzy zgłaszali małolaty do takich występów, przyspieszając tym samym ich udział w wyścigu szczurów. Była przekonana, że tak to się współcześnie zaczyna. Liźnięcie show-biznesu, zachłystywanie się sceną w świetle jupiterów, a potem werdykt jury i szary pejzaż za oknami pociągu, oglądany przez łzy w drodze powrotnej do domu. I ten ciągły żal o niewykorzystane szanse, który tkwi w sercu jak zadra. I to nieustanne poczucie winy, że trzeba było wypaść lepiej, więcej trenować, bo przecież można być kim się tylko chce, byleby wkładać w to coraz więcej i więcej wysiłku.

Zdaniem Skalskiej była to prosta droga do zaburzeń psychicznych, po której rodzice

z uśmiechem prowadzili swoje ukochane dzieci za rękę.

Rudowłosa ściszyła telewizor i wskazała na wysłużony fotel.

– Proszę, niech pani usiądzie. – Sama, nie czekając na Skalską, przysiadła na wersalce. Ściągnęła łopatki. Pod rozpiętym polarem nosiła gruby sweter. Czerwone dłonie przyłożyła do ust i pochuchała w nie energicznie.

Dopiero teraz policjantka poczuła, że jest tu chłodno.

– Co panią sprowadza? – spytała gospodyni, poprawiając fryzurę.

Skalska zastanowiła się, jak powinna to rozegrać.

– Chodzi mi o Płockich.

– A co z nimi?

– Podobno ludzie się na nich skarżą.

– Ludzie? Kto konkretnie?

Aspirantka uśmiechnęła się lekko, co miało wystarczyć gospodyni za odpowiedź.

– A na co się skarżą? – spytała Joanna Schilert.

– Na awantury.

Kobieta pokręciła głową.

Gdzieś wewnątrz mieszkania Skalska usłyszała skrzypienie podłogi. Mimowolnie odwróciła się w stronę korytarza.

– Na jakie awantury? – dopytała gospodyni.

– Może po prostu mi o tym pani opowie, dobrze? – zaproponowała Skalska.

– O Płockich?

Aspirantka miała wrażenie, że każde pytanie, które padało z ust Joanny Schilert, było grą na czas, a jednocześnie policjantka od chwili przekroczenia progu tego mieszkania czuła, że jej obecność zwyczajnie właścicielce przeszkadza.

– Niewiele o nich wiem. Rzadko się widzimy – przyznała Schilert.

– Rozumiem. – Skalska sięgnęła po notatnik.

Zatrzymała się na pustej kartce, ale nie miało to żadnego znaczenia, bo z miejsca, w którym Schilert siedziała, nie mogła tego dostrzec. Postukała w otwarty notatnik długopisem i dopiero wtedy podniosła wzrok na rudowłosą.

– Czy pani babcia nie narzekała na ich głośne zachowanie? – spytała Skalska.

Kobieta poprawiła się na sofie, jakby coś uwierało ją w plecy.

– Nie przypominam sobie.

Policjantka dłuższą chwilę wpatrywała się w pustą kartkę.

– Hm, to dziwne – powiedziała, a Schilert zamrugnęła. – Jest pani tego pewna? Czy naprawdę nigdy nie rozmawiałyście o awanturach na drugim piętrze?

Kobieta podrapała wewnątrz dłoni.

– Może raz czy drugi coś wspominała, ale nie przywiązywałam do tego wagi. Długo pracuję, późno wracam.

– A co mówiła? – drążyła dalej Skalska.

– Że jest tam głośno. To znaczy, czasami.

– Kiedy tak powiedziała?

– Przed wyjazdem do sanatorium.

– Czyli?

– Ze dwa tygodnie temu.

Kolejne skrzypienie podłogi.

Tym razem policjantka nie dała po sobie poznać, że coś słyszy, ale za to Joanna Schilert drgnęła na ten dźwięk.

– Głośno, czyli jak? – dociekała Skalska. – Obrzucali się wyzwiskami, ktoś płakał, słyhać było odgłosy awantur?

– Babcia jest przygłucha. Równie dobrze to mogły być dźwięki z głośno nastawionego

telewizora.

– A słucha tu ktoś głośno telewizora?

– Zygmunt Wilnowski. – Schilert kiwnęła głową w kierunku ściany dzielącej oba mieszkania.

– Rozumiem. – Skalska nabazgrała coś w notesie. – Czyli pani zdaniem nic złego się tu nie dzieje?

Schilert przytaknęła.

– Dziękuję. – Policjantka podniosła się w chwili, gdy podłoga ponownie zaskrzypiała. Nie czekając na młodą gospodynię, aspirantka przeszła do tonącego w półmroku przedpokoju.

Na środku korytarza siedział biały kot.

Oblizwał łapę, a potem przymknął oczy i ziewnął, ukazując drobne kły.



Kiedy matka Rafała Beckera wyszła z komisariatu, Gross obserwował ją z okna.

Z trudem rozłożyła na wietrze parasol i ruszyła chodnikiem w dół, w stronę wzburzonego jeziora, którego fale rytmicznie uderzały o brzeg. Wyprzedzały ją strugi deszczówki, przelewające się przez kocie łby. Rwący potok spływał wartko w kierunku biegnącego równoległe do brzegu deptaka.

Kobieta przeszła wzdłuż płotu komendy Straży Pożarnej i wtedy Gross stracił ją z oczu, chociaż przykładał czoło do lodowatej szyby. Obserwował zupełnie pustą, pozbawioną ludzi część Bulwaru, która prowadziła do miejskiej plaży i charakterystycznych białych zabudowań restauracji *Mistral*.

Jadwiga Becker nie pojawiła się jednak na tej drodze. Skręciła zapewne w stronę przystani „Włókniarza”.

Gross usiadł w fotelu i zastanowił się nad jej słowami. Nad tym, że syn odebrał sobie życie w rocznicę urodzin zaginionej przed laty córki.

Nie uwierzył w tę opowieść o zjawiskach nadprzyrodzonych, o odwiedzinach ducha w chwili śmierci i tradycyjnie wyśpiewywanej na urodzinach amerykańskiej melodii, która popłynęła z radia. To musiał być niezwykle sugestywny sen.

Oczywiście słyszał różne relacje, także we własnej rodzinie, o tym, że przedmioty martwe ożywały w chwili śmierci kogoś bliskiego. Albo działo się coś zupełnie niewytłumaczalnego. Jak ta opowieść o pękniętej najgrubszej strunie w pianinie i huku, jaki wywołała swoim długim, basowym pobrzmiwaniem w drewnianej skrzyni starego instrumentu. I o tym, jak chwilę później ojciec Agnieszki, wówczas nastolatki, odebrał telefon i otrzymał informację o śmierci swojej siostry.

Do tej pory jednak żadna z tych opowieści nie łączyła się ze sprawą, którą musiał się zająć. Aż do dzisiaj.

Pomyślał o radosnym wykonaniu *Happy Birthday* Marylin Monroe.

Czy to mogło mieć znaczenie?

Czy Rafał Becker rzeczywiście mógł popełnić samobójstwo i zaplanować, że odbierze sobie życie dokładnie w dniu urodzin zaginionej przed szesnastoma laty siostry? I co by to miało oznaczać? Co zamierzał tym osiągnąć? Skoro jednocześnie starał się zrobić wszystko, aby jego ciało nie zostało odnalezione.

Gross nie znajdował rozsądnych odpowiedzi. W takich chwilach czuł się bezsilny, niczym policyjny pies skomlący z powodu urwanego tropu. A przecież gdzieś musiały się znajdować ślady i wskazówki mogące doprowadzić do prawdy o losie Rafała Beckera.

Długo myślał o powodach jego śmierci, o bezgłowym ciełe gnijącym w szczelnej osłonie krzaków i o matce denata, osamotnionej staruszce opowiadającej historię nawiedzenia przez ducha własnego syna. I jeszcze o jej zaginionej córce. A także o nieprawdopodobnym ciężarze rodzinnych

traum zrzuconych na barki starszej, schorowanej już kobiety. Dźwigała je od lat, a teraz dodatkowo musiała poradzić sobie prawdopodobnie z najcięższym balastem. Ze śmiercią drugiego dziecka. I ciszą, która z biegiem lat coraz głośniejsz dźwięczała w dużym i opustoszałym mieszkaniu. Przeganiała ją, włączając stare radio. Ale zapewne nie zagłuszało ono wolno tykającego zegara, który odmierzał jej czas. Jakby rzeczywiście obecne życie tej kobiety sprowadzało się do oczekiwania na śmierć. Tę samą śmierć, której tak bardzo nienawidziła za wyrządzone krzywdy, ale też kochała za nieuchronność. Za ulgę i za przewidywalny koniec.

Przynajmniej tak ją zrozmiał, gdy mówiła o umieraniu na raty.

„Z jednej strony śmierć jako zło, a z drugiej – jako dobro”, pomyślał i jednocześnie zganił się za ten relatywizm. Często go uprawiał, ilekroć myślał o losie Agnieszki i zastanawiał się, jak wyglądałoby życie jego i syna, gdyby dziesięć lat temu Agnieszka nie zapadła w śpiączkę, tylko zmarła. Czy jej śmierć nie byłaby łaską dla nich obu? Z żałoby przecież się wychodzi.

Komisarz poruszał myszką i zalogował się do komputera.

Po uruchomieniu policyjnej bazy wpisał w okno wyszukiwarki dane Rafała Beckera i wyświetlił raport.

Dokument zawierał informacje o trzech kontrolach drogowych i jednym starym mandacie za przekroczenie prędkości w Człuchowie. Kolejny zapis dotyczył rutynowego wylegitymowania na toruńskiej starówce. Z kolei w Chełmży Becker był świadkiem pobicia bydgoskiego studenta przez grupkę pseudokibiców. Poza tym komisarz odnalazł kilka innych drobiazków, ale nic, na co warto byłoby zwrócić uwagę.

Gross westchnął i sięgnął po leżącą na blacie kartkę z zapisanym adresem mieszkania Jadwigi Becker i jej nieżyjącego syna. Umówił się z nią na następny dzień. Zamierzał przejrzeć rzeczy zmarłego i wprost poinformował o tym kobietę. Zgodziła się bez wahania, a jednocześnie ostrzegła go, że w pokoju syna niczego istotnego nie znajdzie, że byli tam inni funkcjonariusze prowadzący sprawę zaginięcia. Gross przyjął jej uwagę w milczeniu, po czym potwierdził godzinę spotkania. Wiedział już, że czterdziestodwuletni mężczyzna nie zostawił żadnego listu, nie pożegnał się z matką. Powiedział tylko, że idzie do kolegi, Karola Formowicza, ale nigdy się u niego nie zjawił. Jego numer Gross uzyskał od matki Beckera. Zastanawiał się, czy powinien od razu do niego zadzwonić.

Wybrał numer i przyłożył aparat do ucha. Po kilku długich sygnałach rozbrzmiał komunikat, że Formowicz odrzucił połączenie.

Zanim Gross zdążył odłożyć telefon, usłyszał odgłos nadejścia wiadomości.

„Jestem na urlopie. Proszę o kontakt w czwartek 11.10. Z pozdrowieniami K. Formowicz”.

Esemes przyszedł szybko, zapewne była to automatyczna odpowiedź.

Wstał, żeby przyjrzeć się kolejnemu atakowi ulewy na Chełmżę. Miał wrażenie, że wszystko, na co patrzył, zostało namalowane szarymi akwarelami. Budynki straciły ostre kształty, a im dalej od komisariatu się znajdowały, tym bardziej ginęły w nieprzystępnej mgle, niczym miasto widmo. Świat skurczył się do niewielkiego obszaru, dusznego i posępnego zarazem.

Grossowi ta okrojona przestrzeń wydawała się klaustrofobiczna.

Wrócił do biurka, spakował torbę, wyłączył komputer, który długo mielił, aż w końcu szum wentylatora ucichł. Pozostało tylko szemranie deszczu. Równomierne i nużące. Komisarz zgasił lampkę, a ponieważ górnego światła nie zapalał, gabinet utonął w mroku. Gross widział tylko szparę pod drzwiami, żółtą od światła na korytarzu.

Siedział tak chwilę, pozbawiony energii i senny, kiedy jego myśli powędrowały do samoblokujących się opasek, plastikowych pętli zacisniętych na nadgarstkach Beckera. O ile rzeczywiście się na nich zacisnęły. Wreszcie pomyślał o urodzinach jego siostry i okolicznościowej przyspiewce w wykonaniu Marilyn Monroe.

Czy ta śmierć miała być dla niej swoistym prezentem? I co taki prezent miałby znaczyć?

Nagle w szczelinie pod drzwiami zobaczył cienie nóg, jakby ktoś stanął za nimi i nasłuchiwał.

Gross zamarł, czekając na rozwój wypadków. Uważał, żeby się nie poruszyć i żadnym dźwiękiem nie zdradzić swojej obecności, chociaż nie znał racjonalnych powodów, dla których miałby

się ukrywać.

Zdążył mrugnąć i już było po wszystkim.

Cień znikł.

Komisarz podniósł się ciężko, podszedł do drzwi i otworzył je na oścież.

Korytarz był pusty i cichy, nie licząc bzyczenia świetlówek w przeciwległym rogu. Rzuciła zimne światło i przygasła.

Znikąd nie dochodziły odgłosy kroków.

Rozejrzał się, po czym zamknął drzwi i zszedł po drewnianych schodach na parter.



– Przepraszam, zamykamy już.

Skalska odwróciła się do młodej kelnerki, a potem spojrzała na zegarek i ponownie na dziewczynę. Uśmiechnęła się do niej krótko, ale uprzejmie, po czym dopiła drugą tego dnia kawę i schowała notes do wewnętrznej kieszeni polaru.

Wróciła do kawiarni tuż po wizycie u Schilert i dalej obserwowała rozświetlone okna jej mieszkania na piętrze kamienicy, pod którymi straszyla wyklejana kartonami i wyblakłymi gazetami witryna. Kobieta pojawiła się w oknie kilka razy. Stawała za firaną, ze skrzyżowanymi na piersi rękoma, i obserwowała Rynek. Potem odwracała się i trwała tak bez ruchu. Skalska zastanawiała się nawet, czy rudowłosa ją zauważyła. Ale policjantka się tym nie przejmowała.

Zastanawiała ją to, kto tak nieudolnie ukrywał się w drugim pokoju i szpiegował z korytarza. Skrzypiąca podłoga dała jej do myślenia, bo nawet stare deski raczej nie ugięłyby się pod ciężarem chuderlawego kota.

Miała nadzieję, że wkrótce ten ktoś, o ile nie była to babka Joanny Schilert, opuści mieszkanie. Ale później, właściwie tuż przed tym, gdy odezwała się do niej kelnerka, zdała sobie sprawę, że przecież Schilert mogła mieć chłopaka, z którym mieszkała u babki i który po prostu nie zamierzał się pokazywać obcej osobie. Tym bardziej policjantce.

Uznała, że może się zbierać. Zamknęła notes, pożegnała się i wyszła.

Powitały ją jednostajny szum deszczu i mrok, poprzecinany światłem latarni, które rozbijało się o mokry bruk i uciekało długimi, pomarańczowymi strużkami.

Nasunęła na bejsbolówkę kaptur i szybkim krokiem ruszyła w stronę Chełmińskiej. Kiedy była na rogu Rynku, po raz ostatni spojrzała w stronę drzwi wejściowych kamienicy.

Nagle światło z wnętrza budynku rozlało się na schody i zgęstniało w półmroku, tworząc żółtawą, zawieszoną poświatę.

Po chwili Skalska dojrzała czyjeś ręce, a w nich czarnego kota. Ktoś podrzucił lekko zwierzątko, a ten zeskoczył na cztery łapy i przebiegł kilka metrów, po czym schował się pod zaparkowanym w pobliżu samochodem.

Drzwi zamknęły się z głuchym trzaskiem.

Policjantka dopiero teraz poczuła, że rękawy polara ma mokre i ciężkie jak ołów. Wilgotne nogawki przyklepiały się do ud i potęgowały wrażenie chłodu.

Truchtem pobiegła Chełmińską. Czuła się nieswojo na zupełnie opustoszałej ulicy, która opadała w dół do skrzyżowania z Szewską, a dalej delikatnym łukiem łączyła się z Mickiewicza i biegła pomiędzy położonymi po obu stronach cmentarzami.

Dotarła wreszcie do swojego domu.

Zamknęła za sobą drzwi, zapaliła światło w korytarzu i odetchnęła.

Przemoczone buty wetknęła pod grzejnik, a ciuchy zrzuciła na podłogę, żeby zaraz je podnieść

i zabrać na górę do pralki.

Nie doszła jednak nawet do schodów, kiedy z kłębowiska ciężkich ubrań dotarł do niej znany dźwięk.

Wymacała telefon w kieszeni polaru. Ale dopiero kiedy zobaczyła, kto dzwoni, omal nie krzyknęła.

Nagle zabrakło jej powietrza. Zawiesiła palec nad ikoną zielonej słuchawki, zastanawiając się, co powinna zrobić.

Muzyka wciąż grała, a Skalska czuła, jak jej tętno przyspiesza.

W końcu odebrała połączenie.

– Halo? – rzuciła szybko.

Długo nikt nie odpowiadał, więc rozłączyła się zupełnie skonsternowana.

Z wrażenia przysiadła na schodach.

I wtedy ponownie rozbrzmiała melodia dzwonka. Na wyświetlaczu pojawiło się to samo nazwisko, co poprzednio.

„Telefon z zaświatów”, pomyślała, po czym z trudem przełknęła ślinę i raz jeszcze odebrała.

Dzwonił Grzegorz Otremba.



Późnym wieczorem wichura postanowiła zrównać miasto z ziemią.

Nagły jęk wiatru przywodził Grossowi na myśl dawne, być może pielęgnowane od czasów wczesnego dzieciństwa wyobrażenie o zawodzącej duszy. W trakcie pogody takiej jak ta babcia siadała w fotelu, sadzała go sobie na kolana i żarliwie się modliła, zaciskając powieki. Obwisła skóra na twarzy marszczyła się jeszcze bardziej, a usta poruszały się nieznacznie, niby echo niewypowiedzianych słów. W dłoniach i palcach powykrzywianych artretyzmem – pamiętał je doskonale – przesuwwały się wytarte paciorki zaśniedziałego posrebrzanego różańca. Kobieta w pełnym skupieniu modliła się za dusze zmarłych i jego prosiła o to samo. Wszystkie tajemnice różańca po kolei. Zamykał więc oczy, ale w głowie miał pustkę, zatem zamiast kierować prośby do nieba, przyglądał się jej badawczo spod lekko uniesionych powiek.

Oderwał się od wspomnień, kiedy kolejne gwałtowne porywy uderzyły w okna i z natarczym świstem przesłizgnęły się po krzywiznach dachu, a w dole, na pobliskiej plaży Stolbudu, z niezwykłą łatwością tarosiły wielkimi koronami starych drzew. Snopy światła z latarni na pomoście huśtały się, rozświetlając raz po raz wzburzone wody jeziora.

Komisarz poszedł do kuchni i nastawił wodę. Oczekał, aż z czajnika buchnie skłębiona para, żeby mógł zaparzyć liptona. Następnie narzucił na ramiona rozpinany sweter, bo przez ściany budynku przenikał dotkliwy chłód. Było mu zimno w stopy, ale nie zamierzał wkładać dodatkowej pary skarpet.

Wiedział, że mimo zmęczenia nie uda mu się zasnąć, dopóki nie zatopi się w lekturze akt sprawy zaginięcia Justyny Becker i Marcina Korczyńskiego, syna Wiktora, toruńskiego milionera zajmującego się głównie spedycją oraz właściciela firm z wielu różnych branż.

Teczki poświęcone tej sprawie przejrzał już poprzedniego wieczora, po kolacji, ale teraz zamierzał przeanalizować wydarzenia krok po kroku i porównać je z protokołami przesłuchań świadków.

Usiadł przy stole, ale zanim rozwiązał pierwszą kokardkę z brudnego, poszarzałego sznurka, zerknął na ekran komórki. Wciąż nie miał żadnej wiadomości od Malwiny Lemańskiej i to go martwiło. Nawet jeśli zamierzała zakończyć tę znajomość, o co nie powinien mieć do niej pretensji, mogłaby go o tym poinformować. Zwyczajnie, w prostych słowach.

Ale czy zasługiwał na coś, czego sam nie zrobił? Przecież nie powiadomił jej, że nie przyjdzie na umówioną godzinę. Nie zadzwonił, żeby przeprosić. Dlaczego zatem więcej wymagał od niej niż od siebie?

Odsunął komórkę i postarał się skupić na sprawie sprzed lat.

Justyna Becker i Marcin Korczyński zaginęli w Chełmży z nocy z piątku na sobotę, dwudziestego pierwszego czerwca dwa tysiące drugiego roku.

Komisarz wyciągnął ich zdjęcia, które dwa miesiące wcześniej zamówili u fotografa, zapewne z myślą o dyplomach ukończenia studiów, i ułożył je obok siebie na biurku. Oboje z głową ustawioną tak, żeby było widać lewy profil, patrzyli na niego, delikatnie się uśmiechając. Smukłą twarz Justyny Becker okalały proste czarne włosy z podwiniętymi końcówkami, sięgające nieco poniżej żuchwy. Grzywka była ścięta równo nad wyregulowanym wąskim łukiem brwi, spod których patrzyły na niego duże piwne oczy, pełne wewnętrznego spokoju i radości.

Gross wziął do ręki drugą fotografię.

Marcin Korczyński wyglądał jak rockman. Gęste blond włosy sterczały w pozornym nieładzie i chociaż wyglądały na potargane, to komisarz widział w tej fryzurze artystyczne zacięcie i łobuzerski styl. Spokojne niebieskie oczy ukrywały się pod gęstymi ciemnymi brwiami. Mężczyzna miał wypielęgnowane długie bokobrody i kępkę ciemnego zarostu pod dolną wargą. Z przekłutego ucha zwisała srebrna obręcz. Szyję studenta kilkukrotnie oplatał brązowy rzemyk, do którego przyczepiony był połyskujący czarny krzyż o krótkich, rozszerzanych ramionach, które wyglądały jak ostrza toporów. Gross widział gdzieś ten rodzaj krzyża. Coś mu przypominał, ale nie wiedział jeszcze co. Odrysował kształt w zeszycie i postawił przy nim znak zapytania.

Mężczyzna miał też długi srebrny łańcuszek, który zniknął pod rozpiętą pod szyją białą koszulą.

Gross przeczytał, że Korczyński lubił brytyjski rock i sam nauczył się grać na gitarze.

Dzień wcześniej oboje obronili prace magisterskie u tego samego profesora, Artura Bogdanowicza, filozofa i etyka na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika. Wieczór spędzili w kilku pubach, włączając się od jednego do drugiego i oblewając sukces ze znajomymi z roku. Następnego dnia, krótko po dziesiątej, dostali się autostopem do Chełmży. Kierowca volkswagena transportera, Stanisław Piernicki, znajomy rodziców Justyny, wybrał się do Torunia po zamówiony przez jednego z klientów tynk. Kiedy załadował towar na odsłoniętą pakę i był już na wylotówce z Torunia, na wysokości przydrożnego bunkra, zobaczył stojących na poboczu dwoje młodych ludzi z wystawionymi kciukami. Ona w letniej, zwiewnej sukience w kwiaty, sięgającej sandałów, i on, cały na czarno i w takiego samego koloru trampkach z białymi podeszwami. Ją znał, ale chłopaka widział pierwszy raz w życiu, a mimo to dobrze zapamiętał, w co tamten był ubrany. Włączył kierunkowskaz i zjechał na pobocze.

Plecaki wrzucili na pakę obok palety zastawionej wiadrami chemii budowlanej, a sami, pełni werwy, wsiedli do szoferki. Drogę do Chełmży przegadali z nim o wakacyjnych planach, chęci wyjazdu do pracy sezonowej w Danii, którą miał im nagrać kolega z socjologii. A także o tym, że jeśli im dobrze pójdzie, to zostaną w Skandynawii na dłużej. Może na zawsze. To były jej słowa. Z zeznań kierowcy wynikało, że ona mówiła więcej. Chłopak wyglądał na zmęczonego i znużonego. Może odchorowywał ciężką noc.

Gross odnotował informację dotyczącą wyjazdu na saksy w notatniku i postawił następny znak zapytania. Pod nim dopisał słowo „sprawdzić”, bo w dalszej części zebranych materiałów ten wątek nie został dogłębnie przeanalizowany. Owszem, rozmawiano z absolwentem socjologii Kacprem Molińskim, który przyznał – i miał na to dowody – że farmer, u którego pracował, chciał zatrudnić kolejnych Polaków. Legalnie. W tej sprawie skontaktowano się nawet z policją duńską, która potwierdziła lokalne ustalenia. Ale równie dobrze młodzi mogli się udać do Danii stopem i szukać roboty na czarno.

Przełożył kartkę.

Justyna Becker i Marcin Korczyński prawdopodobnie spędzili popołudnie w jej rodzinnym mieszkaniu.

Było puste.

Ojciec całymi dniami przesiadywał na działce w pobliżu osiedla Frelicha, miał wrócić dopiero na kolację. Pielił i podlewał, bo susza doskwierała posadzonym na grządkach roślinom. Na emeryturze działka była całym jego życiem. Często zostawał w prowizorycznej altanie na noc, ale tym razem chciał się koniecznie zobaczyć z córką i pogratulować jej sukcesu.

Dlatego tuż po dziewiętnastej Antoni Becker, wysłuchawszy aktualności w Programie 1 Polskiego Radia, zamknął furtkę i ruszył spacerkiem do domu. W reklamówce przyniósł świeżą sałatę, szczypior i rzodkiewki, a potem przygotował pastę jajeczną.

W tym czasie matka dziewczyny przebywała w sanatorium w Kołobrzegu, ale ze starych billingów wynikało, że dzwoniła do domu tuż przed osiemnastą. Rozmowa trwała nieco ponad siedem minut. Rafał Becker, brat Justyny, zaparkował starą skodę felicję pod domem i pobiegł schodami na górę. Potwierdził, że odebrał telefon od matki, ale szybko przekazał słuchawkę siostrze.

Jadwiga Becker popłakała się ze wzruszenia i pogratulowała córce. Obie były w doskonałych nastrojach. Nie rozmawiały długo, bo dwa dni później kończył się turnus i matka Justyny miała wrócić do Chełmży.

Kiedy zjedli kolację, Rafał wyszedł do znajomych, a Justyna i Marcin odpoczywali przed telewizorem. Dziewczyna z tuszem do rzęs w dłoni i kosmetyczką na kolanach. Marcin przerzucał pilotem kanały. Z kuchni dolatywały odgłosy mycia naczyń.

Około dwudziestej pierwszej wyszli razem na imprezę. Jeszcze w progu ojciec spytał, kiedy wrócą. Zapamiętał, że córka była w dobrym nastroju i prosiła go, żeby na nich nie czekał, tylko położył się spać.

Gross przejrzał kolejne kartki. Wynotowano na nich imiona i nazwiska kilku osób, które pod wieczór widziały parę świeżo upieczonych absolwentów zmierzającą w kierunku Sadku, trójkątnego skweru w pobliżu centrum, na przecięciu dróg wojewódzkich. Stamtąd skręcili na Bulwar, szli w stronę plaży miejskiej u podnóża restauracji Mistral.

Komisarz starał się wyczytać coś więcej niż tylko kierunek trasy i nazwy ulic. Z krótkich policyjnych notatek wypisał istotniejsze informacje, takie jak ta, że szli obok siebie, ale Marcin był pół kroku z tyłu, z rękoma w kieszeniach.

Grossa zastanawiało, dlaczego ktoś w ogóle zwrócił uwagę na ten fakt.

Na bulwarze podobno szli już za rękę, ale, o dziwo, zdaniem starszej kobiety, która знаła Justynę, nie wyglądali na szczęśliwych.

Komisarz zastanawiał się, czy mogło to mieć związek z plotką, jakoby Justyna Becker, będąc w związku z Marcinem, spotykała się również z nieco starszym od niej mężczyzną z Chełmży. Trafił na tę informację gdzieś wśród papierów, ale teraz nie potrafił jej odnaleźć ani przypomnieć sobie źródła tej pogłoski. W śledztwie jednak w ogóle nie wzięto tego pod uwagę, być może nie było ku temu żadnych podstaw.

Beckerówna uśmiechnęła się do niej i bez słowa poszła dalej.

Klaudia Rolska, przyjaciółka Justyny, w zachowaniu obojga nie widziała niczego niepokojącego. Twierdziła, że byli w dobrych humorach. Justyna cieszyła się na spotkanie z koleżankami i kolegami, którzy wpadali na plażę, dźwigając pękate reklamówki. A Marcin nie stronił od alkoholu i nie wyglądał na znudzonego, chociaż częściej pozostawał na uboczu. Raczej milczący niż skłonny do udziału w głośnych rozmowach i częstych wybuchach śmiechu podczas wspomniania szkolnych lat. Być może w grupie znajomych Justyny czuł się obco.

Rafał Becker dołączył do nich około dwudziestej trzeciej. Porozmawiał z Marcinem, wyjaśnił mu, kto jest kim, bo miał wrażenie, że Justyna niespecjalnie interesuje się swoim chłopakiem. Pogadali kwadrans, ale do Rafała zaczęli podchodzić koledzy, którzy stale przerywali ich rozmowę. Dlatego Marcin zabrał piwo w puszcze i poszedł na pomost. Becker widział, że chłopak usiadł plecami do plaży i z twarzą zwróconą do jeziora. Dał nawet znak Justynie, by zajęła się Marcinem, ale ona mrugnęła do brata i machnęła ręką, żeby się nie martwił.

Kilka minut później Rafał wszczął alarm, bo zobaczył, że pomost był pusty, a tam, gdzie

siedział chłopak siostry, pozostała jedynie puszka piwa. Leżała w szparze między deskami.

Uczestnicy imprezy struchleli na chwilę i rozbiegli się w różne strony. Rafał wpadł na pomost i rozglądał się po czarnej tafli jeziora. Zewsząd dało się słyszeć krzyki imprezowiczów, ale najdonioślej brzmiał głos jego przerażonej siostry.

Marcin znalazł się kilka minut później. Zszedł od strony Mistrała zdziwiony dobiegającym z plaży hałasem. Justyna rzuciła się na niego i zaczęła okładać go pięściami. Rafał rozdzielił ich natychmiast, przez co też oberwał od siostry.

Gross odnotował ten incydent, chociaż nie sądził, żeby miał on większe znaczenie dla tego, co wydarzyło się później. Bardziej zainteresowało go to, że Marcin powrócił na plażę w lepszym humorze. O czym to świadczyło? Nie znalazł odpowiedzi na to pytanie.

Komisarz przełożył kolejną kartkę i dopiero po chwili zwrócił uwagę, że tamtą sprawę prowadził Ryszard Nubiński, jego podwładny, obecnie jeden z nieformalnych szefów zespołów w wydziale kryminalnym.

Nie tylko nadzorował śledztwo. To on przepytывał młodzież, która bawiła się z Justyną i Marcinem na plaży w pobliżu Mistrała. Jak wynikało z rozpytania, do grupy młodych dołączył na chwilę Krzysztof Dymurski, były chłopak Justyny z początku studiów.

Komisarz przeczytał ten fragment, w którym Klaudia Rolska opisała, jak doszło do sprzeczki Krzysztofa z Marcinem.

Ten pierwszy przywitał się z Justyną i usiadł obok niej, co nie spodobało się Marcinowi. Rolska stwierdziła, że Marcin, który był po kilku piwach, burknął coś w stronę Krzysztofa, a chwilę później obaj obrzucali się wyzwiskami. Doszłoby do bójki, gdyby nie Justyna, która stanęła między nimi. Obrażony Dymurski odszedł, a impreza trwała dalej. Ale krótko. Zdaniem Rolskiej klimat siadł i nikomu nie chciało się już bawić. Rafał pożegnał się ze wszystkimi i poszedł do domu. Towarzystwo się wykruszało, aż para studentów została sama.

Kiedy tuż po dwunastej Klaudia Rolska wróciła na plażę w poszukiwaniu zgubionej torebki i ostatecznie ją odnalazła, po Justynie i Marcinie nie było śladu.



– Halo? – Skalska ze ściśniętym gardłem odebrała połączenie od Grzegorza Otremby.

Jej kochanek nie żył od kilku miesięcy, dotarło więc do niej, że najprawdopodobniej nie wykasowała jednego z dwóch numerów Grzegorza.

– Monika Skalska? – usłyszała pełen wyższości kobiecy głos.

– Kto dzwoni?

– Dobrze pani wie – stwierdziła Ewelina Otremba, żona Grzegorza.

Rzeczywiście rozpoznała ją po głosie.

– O co chodzi? – Policjantka przyłożyła dłoń do czoła.

– Chciałabym się spotkać.

– W jakiej sprawie?

– To nie jest na telefon, a przynajmniej...

– O co chodzi? – przerwała jej Skalska, słysząc, że głos kobiety złagodniał.

Ale wtedy połączenie zostało przerwane.

Trzęsącymi się rękoma odszukała w spisie numerów Grzegorza Otrembę, żeby zmienić nazwę kontaktu. Nie zdążyła, bo telefon jeszcze raz rozbrzmiał znaną jej melodią.

Zmieniła ją niedawno, kiedy tęskniąc za Grzegorzem, wsłuchiwała się w muzykę i tekst jednego z utworów Chrisa Rea, ulubionego artysty Grześka. Po jego samobójczej śmierci kupiła kilka

płyt muzyka, które Grzegorz zawsze woził w samochodzie. Wieczorami słuchała ich i sączyła wino. Jedno i drugie wprowadzało ją w jeszcze bardziej melancholijny nastrój. Pamiętała, jak kochali się przy tych dźwiękach, często jeszcze na służbie, tuż po tym, jak kończyli działania w terenie. Bez zbędnych słów, bez umawiania się, bez ukradkowych gestów, po prostu wjeżdżali gdzieś do lasu albo jechali nad jezioro, z dala od ludzi i dźwięków miasta. Szybki seks, plask ciała o ciało i wreszcie drzenie mięśni, a następnie błoga cisza, przerywana posapywaniem obojga, moment na wyrównanie rytmu oddechów. Potem następował zawsze trudny powrót do rzeczywistości, która rozdzielała ich gwałtownie jak matka karcąca skłócone rodzeństwo. Każde z nich wracało do swojego świata i swoich zajęć. Grzegorz do żony i córek w ich wspólnym mieszkaniu, a ona – do pustego domu. Do samotności podsycanej chwilami zwątpienia. W ten związek, w tę miłość, a przez to także w sens życia, skoro Grzegorz nie mógł być tylko jej partnerem, skoro musiała się nim dzielić. A potem myślała, jak on to wszystko odbierał. W jakim rozdarciu musiał tkwić przez te długie miesiące. Jak znosił myśl o opuszczeniu domu, żony i dwóch uroczych córeczek, żeby związać się z koleżanką z pracy. Wciąż stał na krawędzi. I dlatego, przyznawała to ze zgrozą, łatwiej jej było zrozumieć to, że odebrał sobie życie. Chociaż stale się łudziła, że nie przestał jej kochać.

Skalska popijała, żeby wymazać z pamięci tamte chwile. Ale to się nigdy nie udawało. Wierzchem dłoni ocierała mokre policzki i kładła się spać, modląc się o szybki sen, który rzadko kiedy nadchodził. Wierciła się w łóżku, walczyła z irytacją, złościła się, że nie może spać.

Ale to już minęło. Już wychodziła na prostą.

Ponownie spojrzała na telefon i odebrała połączenie.

– Mów, do cholery, czego chcesz – wypaliła.

W słuchawce usłyszała szum wiatru i głos wdowy, dochodzący jakby z oddali.

– Idę do ciebie – rzuciła Otręba.

– Co?

– Już prawie jestem! – próbowała przekrzyknąć wiatr. – Musimy porozmawiać.

– Ja nic nie muszę! Jeśli nie powiesz mi, o co chodzi, możesz natychmiast wracać do domu! – zagroziła Skalska.

– Poczekaj! – błagała kobieta. – To naprawdę ważne.

I wtedy Skalska usłyszała słowa, po których zimny dreszcz wstrząsnął jej ciałem.

– Chodzi o Grzegorza – dodała wdowa.



Gross zaparzył sobie drugą herbatę, żeby przegnać senność i rozgrzać zimne ciało.

Wiatr wciąż łomotał uporczywie we framugi okien, a długi i głośny świst nasilał się, by nagle zupełnie zaniknąć. I tak na zmianę, jakby szalejący huragan był żywym potworem i dał raz po raz w stronę miasta, dając sobie czas na nabranie oddechu.

Komisarz nakrył się kocem i ponownie zasiadł do papierów. Tym razem zamierzał przejrzeć wszystko, co działo się po zaginięciu młodych ludzi.

Zgłoszenia na policję dokonał rankiem ojciec Justyny, zaniepokojony tym, że oboje nie wrócili do domu na noc. Najpierw zadzwonił do Rolskiej, ale ta spała. Odezwał się do niej godzinę później – tę godzinę poświęcił na kręcenie się wokół plaży i nerwowe rozglądanie się po starówce – i poprosił jej rodziców, żeby ją zbudzili. Zaspana potwierdziła, że zostawiła ich oboje, a kiedy krótko potem wróciła na plażę, już ich nie zastała. Nie przypominała sobie niczego więcej.

Gross odnalazł w dokumentach notatkę z rozpytania Piernickiego, kierowcy, który zabrał młodych autostopem do Chełmży. Z jego zeznań wynikało, że wysadził ich w centrum, przy

Sienkiewicza, co zarejestrowała kamera monitoringu, a sam pojechał do Bielczyn do roboty.

Kilkanaście godzin później jego zdezelowany volkswagen transporter ponownie pojawił się w oku tej samej kamery. Tym razem jednak samochód jechał w przeciwnym kierunku. Był kwadrans po dwunastej w nocy. Rozpięty na pace brezent furkotał w podmuchach letniego wiatru.

Kilka dni później Piernicki zeznał, że późno wracał z pracy, bo zakończyli tynkowanie i właściciele domu zaprosili ich na grilla. Długo przed odjazdem wypił pół piwa, a potem rozwiózł pracowników po domach. Jeden z nich mieszkał przy Ogrodowej, w pobliżu jeziora Archidiakonka, drugi przy Polnej. Piernicki z kolei jechał do swojego bloku przy Frelichowskiego.

Z poprzedniego rozpoznania materiału komisarz znał już dalszy ciąg wątku z budowlańcem, i dlatego postanowił wrócić do niego później. Zdziwiło go tylko, że nikt z policjantów nie próbował wyjaśnić, dlaczego kierowca przykrył pakę plandeką. Nikt o to nie zapytał, nie było też wzmianki o ewentualnych oględzinach pojazdu. Być może dlatego, że właściciele domu, w którym pracował Piernicki, potwierdzili jego wersję.

Gross długo jeszcze przeglądał dokumenty, zanim ostatecznie zamknął teczkę i oparł się wygodnie, poprawiając narzucony na siebie koc. Z pierwszą falą zmęczenia poradził sobie nieźle, ale drugiej już nie zamierzał stawiać czoła.

Spojrzał raz jeszcze na stare akta i wypił ostatni łyk zupełnie zimnej herbaty.

Dawna zasada śledczych mówiła, że morderca ukrywa się na pierwszych piętnastu stronach policyjnej dokumentacji.

Gross w pamięci wymienił kilka nazwisk, które były powiązane ze sprawą zaginięcia dwojga młodych ludzi, a potem wrócił myślami do wytyków specjalisty z Komendy Wojewódzkiej Policji w Bydgoszczy, podkomisarza Rajmunda Gracza, który nadzorował sprawy zaginięć. Zarzuty skupiały się na pracy pierwotnego zespołu śledczego, którym zarządzał Brandol. Gracz ostatni raz weryfikował przyjęty plan śledztwa dwa lata temu. Nie zostawił wówczas na Ryszardzie Nubińskim, który przejął tę sprawę w spadku po Brandolu, suchej nitki. Zarzucał mu brak aktywnego poszukiwania nowych tropów i sam wskazał ich kilka. Nubiński nimi podążył, ale nie osiągnął żadnych rezultatów. Wskazani do dalszego rozpytania przez kontrolera świadkowie byli albo nieobecni, gdy ich odwiedzał, albo nie wnosili do śledztwa niczego nowego. Podkomisarzowi z Bydgoszczy chodziło o ponowne przesłuchanie rodzin zaginionych, szczególnie brata Justyny, a także Piernickiego i właścicieli domu, który ten remontował. Gracz chciał również, żeby Nubiński sprawdził, kto w tamtym okresie zarządzał restauracją Mistrzał, ale okazało się, że lokal, należący wówczas do miasta, nie miał najemcy i przez kilka miesięcy stał pusty.

Gross natrafił na jeszcze jeden wytyk. Podkomisarz Gracz nalegał, żeby Nubiński zajął się przekazaną przez jednego ze świadków informacją o tajemniczym fotografie, który podobno tamtego wieczoru robił zdjęcia w pobliżu plaży, gdzie bawili się świeżo upieczeni magistrzy. Nubiński przygotował kolejną notatkę z rozpytania, w której zapisał, że świadek, mężczyzna w średnim wieku, kręcący się w pamiętny wieczór z psem po bulwarze, nie przypomniał sobie niczego więcej. Powtórzył tylko to, co chełmiński policjant dobrze już wiedział. Mężczyzna z psem widział fotografa z przewieszonym przez szyję aparatem i złożonym statywem. Nieznajomy rozstawił sprzęt w pobliżu klubu kajakarskiego i skierował obiektyw na znajdującą się za Mistrzałem gotycką konkatedrę. Podobno mimo późnej pory miał czapkę z daszkiem, co utrudniło zapamiętanie rysów twarzy i sporządzenie portretu pamięciowego. Zdaniem spacerowicza był to po prostu wysoki, ale szczupły młody chłopak o drobnych dłoniach i długich, wąskich palcach, jak u pianisty.

Gross patrzył przez okno i analizował uwagi Gracza pod kątem tego, na co sam zwróciłyby uwagę Nubińskiemu i czego dziś domagałby się od niego w tej konkretnej sprawie. Ale wiedział, że to bezcelowe. Oczywiście zamierzał z nim porozmawiać, był jednak przekonany, że nie zostawi mu tej sprawy, szczególnie teraz, po tym, co się wydarzyło w lesie, i po rozmowie z matką Beckera.

Pomyślał też o podkomisarzu Brandolu, byłym naczelniku wydziału kryminalnego, pokonanym przez nowotwór. Wciąż miał przed oczami swoją ostatnią wizytę u niego, podczas której nie zamienili ani słowa. Po prostu nie zdążyli. Gross zapamiętał, że przerażał go nie tylko stan kolegi, lecz także

dojmująca cisza, jakby zapowiedź śmierci. Wstał i zgasił światło, żeby móc wyjrzeć przez okno. Wichura wytracała impet, wiatr cichł, a pomiędzy chmurami widać było nieregularne fragmenty rozgwieżdżonego nieba.

Odszedł od okna, ale obraz chorego Brandola wracał do niego z uporem.

Myślał o nim jak o policjancie, dobrym i solidnym fachowcu, być może pozbawionym niezbędnej w tym zawodzie intuicji, ale za to pracowitym i skutecznym. Brandol zostawił mu w spadku kilka teczek nierozwiązanych spraw zaginięć, do których wkrótce sam powinien się zabrać, o ile zdąży. Zdecydował się przecież odejść na emeryturę. Ale – zdał sobie właśnie z tego sprawę – bał się jej znacznie bardziej niż śmierci.

Zrzucił z ramion koc i wsunął się w chłodną pościel, a następnie zwinął w pozycję embrionalną. I wtedy poczuł, że jego stopy były ciężkie i zimne jak bryły lodu.



Ciemność na zewnątrz przecięły światła samochodu, który przejechał pod jej domem i skręcił na końcu ulicy.

Skalska krążyła od jakiegoś czasu po parterze, wyglądając przez okna.

Kilka minut później usłyszała dzwonek domofonu.

Nie zamierzała zaprosić Eweliny Otremby do salonu. Uchyliła drzwi, żeby kobieta wcisnęła się do środka, po czym zamknęła je szybko, uciszając tym samym pogwizdywania szalejącego wichru.

Wdowa po Otrembie wniosła ze sobą ziąb. Zrzuciła kaptur z głowy i potrząsnęła skróconymi i przyciemnionymi włosami. Krople deszczu rozsypały się po beżowych kafkach.

– O co chodzi? – Skalska oparła dłonie na biodrach.

Ewelina Otremba rozejrzała się po korytarzu, dopiero po chwili zatrzymała wzrok na policjantce.

– Usiądziemy? – spytała z nadzieją.

Skalska zerknęła na zegarek.

– Nie marnuj czasu, bo masz już mniej niż pięć minut – odparła nieporuszona.

Kobieta ponownie się rozejrzała, tym razem z przestachem, jakby z ukrytych w mroku kątów tego domu miał się wyłonić duch jej męża i stanąć między nimi.

– No, mów! – warknęła Skalska przez zęby.

Otremba długo zbierała myśli.

– On się zabił, prawda?

Policjantka poczuła silniejsze uderzenie serca. Nie wiedziała, do czego zmierza Ewelina.

– Ten mężczyzna w lesie – wyjaśniła Otremba. – Powiesił się, tak?

Skalska nie odpowiedziała.

– Cała Chełmża o tym trąbi – dodała kobieta.

– Jeśli przyszłaś w tej sprawie, to od razu możesz wyjść. – Skalska wskazała jej drzwi.

Otremba spojrzała na nie, nie ruszyła się jednak z miejsca.

W korytarzu panował półmrok. Jedyne światło wpadało tu przez otwarte drzwi do salonu i rysowało żółty kształt na podłodze.

– Marnujesz mój czas – nie ustępowała policjantka.

– Przepraszam – jęknęła Otremba. – Dwa miesiące temu mój narzeczony kupił tanio mieszkanie – zaczęła, wpatrując się w podłogę.

Skalska obliczyła w pamięci. Niecałe pół roku po śmierci męża Otremba przyjęła oświadczenia tego karka nafaszerowanego sterydami. Nie skomentowała tego, mimo że targała nią wściekłość

i miała ochotę wyzwąć kobietę od dziwek, kurew i pierdolonych suk, użyć dokładnie tych samych słów, którymi obrzucała ją Ewelina, kiedy krótko po śmierci Grzegorza spotkały się przy jego grobie.

Zmusiła się do milczenia. Czuła, że jeśli się nie uspokoi, rozplącze się. Zacisnęła zęby, bo nie mogła sobie pozwolić na chwilę słabości. Na szczęście Otremba w ogóle na nią nie patrzyła.

– Bardzo długo stało puste, bo... Wiem, to zabrzmi idiotycznie – uśmiechnęła się ponuro – ale podobno w tym mieszkaniu straszy. I dlatego przez wiele lat nie było chętnych. Ale ani ja, ani mój narzeczony nie wierzymy w takie bzdury. Uznaliśmy, że to będzie dobra lokata kapitału. Początkowo chcieliśmy tam zamieszkać. Pomyśleliśmy, że moje mieszkanie będzie można sprzedać i w ten sposób zaciągnąć niższy kredyt. I tak zrobiliśmy.

– Dwie minuty – przerwała jej Skalska.

Kobieta przestała z nogi na nogę. Z jej kurtki wciąż skapywał deszcz, a pod butami zebrała się niewielka kałuża.

– Przeprowadziłam się z córeczkami na poddasze do domu rodziców Leszka, na Słowackiego. Tymczasowo, aż skończymy remont w kamienicy, który ledwie się zaczął. – Umilkła. – Ale po przeprowadzce zostało mi kilka kartonów szpargałów po Grzegorzu. Leszek zniósł je do piwnicy, miałam je spalić w piecu.

Skalska zauważyła, że Otrembie zaczęła drzeć broda.

– Nie umiałam. Przynajmniej nie wszystko. – Kobieta zadarła głowę i zaczęła szybko mrugać. Oddychała gwałtownie i płytko. – Kiedy pakowałam je w domu do kartonów, nie miałam czasu przeglądać. Zrobiłam to dopiero teraz.

Przyłożyła drżącą dłoń do wykrzywionych w grymasie płaczu ust.

– Minuta. – Skalka wymownie zerknęła na zegarek.

Otremba wciągnęła powietrze i przytrzymała je w płucach. Potrzebowała chwili, żeby się uspokoić.

– Wśród dokumentów Grzegorza znalazłam grubą teczkę, którą musiał kiedyś przynieść z pracy do domu i chyba zapomniał zabrać.

Skalska przestała spoglądać na zegarek.

– Czego dotyczy? – spytała.

– To są dokumenty z różnych spraw. Przejrzałam pobieżnie. Ale najdziwniejsze jest to, że on tę teczkę schował. – Otremba spojrzała na policjantkę.

– Schował? – Skalka nie kryła zdziwienia.

– Tak. Jestem pewna, że ją ukrył.

– Gdzie?

– W reklamówce, za zabudową wanny.

– Kiedy ją odkryłaś?

– Miesiąc temu, przed wyprowadzką z mieszkania.

Skalska pokiwała z niedowierzaniem głową.

– Jest późno i leje deszcz – zauważyła spokojnie, ale już czuła, że serce przyspieszyło skurcze i krwiobiegi wypełnia się adrenaliną. – Więc, do cholery jasnej, może powiesz mi, dlaczego właśnie dziś, właśnie w taką pogodę postanowiłaś wybrać się do mnie i mi to powiedzieć?

Otremba zbliżyła się do niej i wyciągnęła dłonie. Były czarne od sadzy.

– Byłam sama w domu, bo Leszek odwiózł rodziców z dziewczynkami do sanatorium i wróci dopiero jutro. Zamierzałam spalić wszystko, jak leci, ale zerknęłam do tej przeklętej teczki. – Ostatnie słowa wypowiedziała, niemal płacząc. Oczy się jej zaszklily.

– I co? – Skalska poczuła się nieswojo.

– I poszłaby z dymem, gdyby nie to, że jest na niej zapisane twoje nazwisko – powiedziała niemal z obrzydzeniem.

Policjantka wstrzymała oddech. Poczowała się, jak po silnym ciosie w brzuch.

– Ale to nie wszystko. Te dokumenty mogą wam się przydać – dodała Otremba.

– Jakie dokumenty?

– Poświęcone śledztwu w sprawie zaginięcia siostry Rafała Beckera – wyjaśniła. – Samobójcy z Grodna.



Deszcz obficie ściekał im po kapturach, gdy wreszcie dotarły do domu przy Słowackiego. W oknach panowała ciemność, a z komina uciekała wąska smużka dymu.

Otremba walczyła z zamkiem od starej furtki, z której obłaziła farba, a kiedy w końcu ją pchnęła, zawiasy zaskrzypiały głośno. Skalska ruszyła za Ewelina do wiatrolapu, do którego prowadziły zadaszony, lastrykowe schody. Woda szumiała w rurach spustowych rynien i chlupotała, rozpryskując się o bruk.

Skalska nie odzywała się przez całą drogę, mimo że Ewelina próbowała od czasu do czasu nakłonić ją do rozmowy. Policjantka nie odpowiadała jednak, zaprzątnięta myślami o tym, dlaczego Grzegorz ukrył teczkę z dokumentami. I co zamierzał z nią zrobić później. Co sprawiło, że o niej zapomniał. I wreszcie najważniejsze – dlaczego na teczce znajdowało się jej nazwisko. Przecież powinien przekazać te cholerne materiały osobiście, zamiast liczyć na to, że wdowa odda kwity w ręce kochanki męża.

W korytarzu Otremba zdjęła buty i wsunęła stopy w znoszone kapcie. Skalska odczekała, aż kobieta odwiesi kurtkę na wieszak. Potem weszła za nią do długiego, ciemnego korytarza. Tuż po prawej znajdowały się wąskie drzwi prowadzące do piwnicy. Światło zalało betonowe schody, po których zesła Otremba. Skalska zostawiała na szorstkiej nawierzchni stopni wyraźne odbitki mokrych podeszew superstarów.

Na dole, w pobliżu kotła, w którym przygasał już ogień, temperatura była wyższa i policjantka od razu poczuła przyjemne ciepło. Rozpięła kurtkę przeciwdeszczową i zdjęła mokrą bejsbolówkę.

– Gdzie to jest? – spytała, rozglądając się za kartonami, o których mówiła Otremba.

Kobieta dołożyła do pieca kilka szczap drewna, które otuliły drobne języki ognia. Dosypała jeszcze kilka brył węgla i przymknęła żeliwne drzwiczki. Dobry cug sprawił, że wkrótce w piecu zafurkotało, a pomarańczowy blask tańczących wewnątrz płomieni rozświetlił fragment przeciwległej ściany.

Otremba sięgnęła do sterty drewna pod schodami i wyjęła czarną reklamówkę. Podała ją Skalskiej bez słowa.

– To wszystko? – Policjantka wołała się upewnić. Zajrzawszy do worka, przyjrzała się pobieżnie teczce, w której spoczywały luźno ułożone kartki.

– Tak.

– Na pewno? Przejrzałaś resztę kartonów?

– Przejrzałam. Niczego więcej nie ma.

Skalska wsunęła sobie reklamówkę pod ocieplacz i spojrzała podejrzliwie na Otrembę.

Ta stała bez ruchu i wpatrywała się w ogień przez wąską szczelinę niedomkniętych drzwiczek. Pomarańczowy pasek światła kładł się na niej i biegł od talii ku górze, dzieląc jej twarz na dwie nierówne części.

– Kłamiesz – rzuciła Skalska. – Coś jest nie tak. Mogłaś przecież od razu przynieść mi tę teczkę. Po cholere szłaś w tę ulewę?

– Nie wiedziałam, jak zareagujesz. – Ewelina Otremba sięgnęła po pogrzebacz, którego rękojeść wystawała z metalowego wiadra wypełnionego żużlem i popiołem.

Skalska spięła się, ale nie dała tego po sobie poznać.

– Pytał ktoś od nas o te papiery? – odezwała się.

– Nie.

– A czy ktoś z komendy odwiedził cię po śmierci Grzegorza?

Pokręciła głową, ale zaraz potem coś sobie przypomniała.

– Przyszła komendantka i Brandol – dodała. – A kilka dni później pojawił się Nubiński.

– Pamiętasz, czego chciał?

– Mówił, że przysłała go szefowa. Pytał, czy może nam jakoś pomóc.

– Rychu Nubiński?

– Tak.

– I to wszystko?

– Tak mi się wydaje. – Otremba przyjrzała się swoim dłoniom i zaczęła ścierać z nich smugę węglowego pyłu. – Wtedy miałam wrażenie, jakby na coś czekał. Czegoś ode mnie chciał.

– Czego?

– Nie wiem. Nie powiedział – zmartwiła się. – A może tak mi się tylko wydawało.

– Gdybyś coś jeszcze sobie przypomniała, daj znać – poprosiła Skalska i odwróciła się w stronę schodów.

– Poczekaj – rzuciła Otremba. – Mam jeszcze jedną sprawę.

Otworzywszy szerzej drzwiczki kotła, wsunęła przez nie pogrzebacz, którym rozłożyła równomiernie nadpalone polana, a następnie dorzuciła dwie szufelki węgla.

– Pamiętasz, jak mówiłam o kupnie mieszkania i o tym, że w nim straszy? – Odłożyła żeliwne narzędzie.

– No i?

– Obawiam się, że... – Zawiesiła głos. – Że tam się stało coś złego.

Skalska powstrzymała się od uśmiechu. Chciała nawet zażartować, żeby otworzyli sobie dom strachów i zaczęli zarabiać jak w Disneylandzie, ale mina Otremba skutecznie ją zniechęciła.

– Niby co takiego?

– Nie wiem. – Wdowa pokręciła głową. – W środę fachowcy zmywali farby ze ścian. Za starym kredensem była tapeta, pomalowana zresztą kilkukrotnie na biało. Obłaziła już ze ściany.

Skalska poczuła się jak przy ognisku na obozie wędrownym. Z kotła dochodziły trzaski drewna, a opowieść zmierzała w stronę horroru.

– Kiedy ją zerwali, tuż przy podłodze zobaczyli dziwne ślady – wyjaśniła Otremba. Wpatrywała się w policjantkę. – Chciałam cię prosić, żebyś sprawdziła w waszej bazie danych, czy rzeczywiście nie doszło tam kiedyś do zbrodni.

– Zaraz, zaraz. – Skalska podniosła dłoń. – Jakie ślady?

– Nie wiem! – krzyknęła i się rozplakała.

Minęła chwila, zanim doszła do siebie.

Po chwili zacisnęła usta i spoglądając na Skalską, złożyła ręce jak do modlitwy.

– Proszę – jęknęła. – Zrób to dla mnie.

Policjantka przyłożyła dłoń do brzucha, żeby poprawić ułożenie teczki z zapiskami Otremba. Miała kłopot z ukryciem niechęci, ale uznała, że raz może zrobić wyjątek.

– Najpierw muszę to zobaczyć – stwierdziła.

– Możemy tam podejść z samego rana. – Wdowa otarła wilgotne policzki wierzchem dłoni.

– Gdzie ta kamienica? – spytała policjantka.

– Na Rynku.

– Która konkretnie? – niecierpliwiła się Skalska.

– To ta w pobliżu Tumskiej – odparła. – Z zaklejoną witryną.

dzień czwarty

Przeszedłszy wzdłuż Sadku, Gross podciągnął suwak kurtki pod samą szyję, a zmarznięte, wysuszone dłonie schował głęboko w kieszenie.

Nocna wichura przegnała ciężkie chmury, ale jednocześnie do miasta nadciągnął rzadko spotykany o tej porze roku przejmujący, skandynawski chłód.

Błede słońce rozświetlało pożółkłe korony drzew, straszące gdzieniegdzie czarnymi kikutami nagich konarów. Przez złowrogi szelest wiatru, przypominający odgłosy nocnej ulewy, przebił się krzyk spłoszonych wron i głośny łopot ich skrzydeł. Przeleciały nad komisarzem, kierując się na zachód. Tylko na nie zerknął, a potem znowu spuścił wzrok i obserwował, jak jego długi cień prześlizgiwał się po mokrym asfalcie, do którego lepiły się zbutwiałe liście. W pomarszczonych kałużach, niczym w krzywych zwierciadłach, odbijały się fragmenty budynków i niebo z nielicznymi chmurami.

Gross przeciął pustawą jezdnię i przeszedł wybrukowanym parkingiem obok rossmanna. W jednym z samochodów starszy mężczyzna trzymał telefon przy uchu i z głową opartą o zagłówek odprowadzał wzrokiem policjanta, kiedy ten kierował się w stronę pobliskiego bloku. Nieco dalej komisarz zauważył jeszcze, jak przy hurtowni budowlanej, gdzie trwał rozładunek tira, operator wózka widłowego z białym kaskiem na głowie, ubrany w granatowy uniform, przestawiał palety z betoniarkami. Folia, którą były owinięte, nadymała się na wietrze jak żagiel i furkotała głośno. Mężczyzna ustawiał je w rzędzie na wydzielonym siatką placu. Kiedy cofał, pojazd wydawał z siebie nieznośny, przerywany pisk.

Komisarz odbił w prawo i ruszył chodnikiem wzdłuż szerokiego bloku przy Sienkiewicza 1a. Minął go i skierował się do następnego, bliźniaczego budynku. Na domofonie odszukał numer mieszkania. Wcisnął przycisk, ale okazało się, że blokada zamka nie działa. Pociągnął drzwi i wąskim korytarzem przeszedł do klatki schodowej znajdującej się pośrodku bloku. Spojrzał w górę, dokąd prowadziły długie i proste schody, a przez ażurową balustradę zobaczył, że na każdej ze ścian znajdują się drzwi do mieszkań.

Takie wnętrza wywoływały w nim odrazę. Wszystko przez to, że przypominały mu więzienia, w których od czasu do czasu pojawiał się służbowo.

Zaczął się wspinać na trzecie piętro.

Kiedy uspokoił oddech, zapukał do emaliowanych brązowych drzwi, oznaczonych numerem, który miał zapisany na pomiętej kartce.

Po chwili ujrzał w wizjerze ruch i drzwi się otworzyły.

Przywitał się z ubraną na czarno matką domniemanego samobójcy. Jej oczy były opuchnięte od płaczu.

– Proszę. – Odsunęła się, robiąc mu miejsce.

Gross wszedł do cichego mieszkania. Dopiero po chwili dotarły do niego dźwięki starej, powojennej zapowiedzi *Kroniki sportowej* Programu 1 Polskiego Radia.

– Niech pan wejdzie dalej, do tamtego pokoju. – Wskazała ręką koniec korytarza.

– To pokój syna? – wołał się upewnić.

– Nie – odrzekła, a jej głowa dygotała tak samo, jak poprzednio. – Chciałam najpierw zaproponować panu ciepłej herbaty albo kawy. Straszny ziąb na dworze.

– Herbaty chętnie, ale jeśli pani pozwoli...

– Oczywiście, rozumiem. – Uniosła rękę, po czym otworzyła prowadzące do pokoju syna drzwi, które stuknęły głucho o gumowy odbojnik. – Proszę.

Pomieszczenie mogło mieć około szesnastu metrów kwadratowych. Przez duże, podwójne okno wpadały po skosie promienie słoneczne. Grossa oślepiła wiązka światła, odbitego od jakiegoś elementu regału wykonanego z siwego drewna. Zorientował się, że stała tam szklana ramka ze zdjęciem.

– Zaczekam w kuchni. – Kobieta złączyła dłonie. – A gdy pan skończy, usiądziemy w salonie.

Skinął głową, a Beckerowa oddaliła się bezszelestnie w głąb mieszkania.

Wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi. Wyjął parę lateksowych rękawiczek i włożył je, po czym splótł palce i naciągnął gumę, żeby ściśle przylegała do dłoni.

Po prawej znajdowały się łóżko z pościelą przykrytą brązowym kocem oraz stolik nocny, na którym leżał pilot do telewizora. Ścianę w pobliżu wezgłowia zajmowało kilka półek na książki. Na jednej z nich, tej najniższej, zamocowano za pomocą klipsa zaciskowego lampę. Czarny kabel z włącznikiem zwieszał się niewielką pętlą, po czym wracał ponownie pod półkę. Gross się schylił. Przewód przechodził przez niewielki wkręt zakończony przelotką, dzięki czemu dochodził do ściany, zwisał wzdłuż niej swobodnie i znikał za łóżkiem.

Gross kucnął, żeby pod nie zajrzeć.

Jego uwagę zwróciła para równo ustawionych kapci, wykonanych z jasnej skóry. Nowych albo prawie nieużywanych. Sięgnął po nie i przyglądał im się przez chwilę. Odwrócił je podszwami do góry i na jednym z nich zobaczył różową metkę z ceną. Jej rogi przylegały ściśle do gumowanego materiału, ale podeszwy były brudne od siwego pyłu, podczas gdy w domu było czysto.

Odstawił kapcie na miejsce, a potem spojrzął na przedłużacz, do którego podłączona była lampa.

Wstał i włączył ją kilkakrotnie, obserwując, jak ciepłe światło i półcienie układały się w nierównościach koca.

W końcu zabrał się do książek na półkach. Sensacja i kryminał. Pootwierał je na chybił trafił, ale niczego nie znalazł. Tylko w jednej z nich, w *Hipotermii* skandynawskiego pisarza, którego imienia i nazwiska nie był w stanie poprawnie wymówić, tkwiła zakładka. Złożona na kilka razy ulotka leku, chloropromazyny. Gross przeleciał wzrokiem drobny druk, po czym włożył kartkę z powrotem między strony, ale nie zamknął książki. Wyjął notes i wykorzystując powieść jak podkładkę, zapisał nazwę specyfiku na depresję.

Usiadł na łóżku tak, aby sięgnąć do wyższej szuflady stolika nocnego. Kiedy ją otworzył, przybory do pisania poturlały się po jej dnie z łoskotem. Gross wyjął z niej blister witaminy C, w którym zaledwie kilka drażetek tkwiło na swoich miejscach, cienki poradnik przedsiębiorcy z krzykliwą okładką i dwa piloty. Jeden do sprzętu audio i drugi, szary – do DVD. Obok nich leżał mały kalkulator na baterie słoneczne.

W niższej szufladzie znalazł różnokolorowe smycze i kilka innych firmowych gadżetów, w tym breloczek-miarkę z logo przedsiębiorstwa, w którym Becker był do niedawna zatrudniony. Komisarz pamiętał jego nazwę z akt sprawy.

Podszedł do regału umieszczonego przy przeciwległej ścianie, wytapetowanej w jaśniejsze i ciemniejsze niebieskie pasy. Mebel był robiony na wymiar. Jasne fronty, część odkrytych półek, kilka szuflad i narożne biurko komputerowe, które skrywało się, tak samo jak i fotel na kółkach, za drzwiami pokoju, jeśli te pozostawały otwarte.

Wziął do ręki ramkę ze zdjęciem, tę samą, która oślepiła go, gdy zamierzał wejść do pokoju.

Spoglądała na niego Justyna.

Zdjęcie musiało być zrobione wcześniej niż to, które Gross miał w aktach sprawy zaginionych młodych kochanków. Na tej fotografii kobieta uśmiechała się radośnie do obiektywu, odsłaniając zadbane i równe zęby. Włosy miała dłuższe, sięgały poniżej ramion. Przekrzywiła lekko głowę. W tle

widniały rozmazane drzewa i fragment jakiegoś niewielkiego budynku.

Gross odwrócił ramkę i przyjrzał się blaszkom przytrzymującym sztywną podkładkę. Część z nich pozostała lekko odgięta. Poodciągał je na boki i wyjął zawartość. W końcu wziął do ręki samo zdjęcie.

Na odwrocie nie było żadnej adnotacji.

Poskładał wszystko z powrotem.

Przejrzał płyty z muzyką i filmami oraz gramy komputerowymi.

Otworzył laptopa i uruchomił go. Po chwili na ekranie pokazał się pulpit z nielicznymi ikonami programów i folderów, ustawionymi równo na tapecie przedstawiającej chełmyńską konkatedrę przysłoniętą mgłą i spłoszonym ptactwem.

Na dole fotografii, mniej więcej do jednej trzeciej wysokości, znajdował się drewniany pomost uciekający w głąb jeziora.

To musiał być fotomontaż.

Przyjrzał się pulpitemu, ale nic nie wzbudziło jego zainteresowania. Pootwierał kilka folderów, wszystkie wirtualne teczki były jednak puste.

Ze zdziwienia uniósł brwi.

Po kilku minutach poszukiwań jakichkolwiek plików zdał sobie sprawę, że sprzęt został wyczyszczony z większości zawartych w nim danych. Cała reszta nie była interesująca. Przejrzał kilka plików Excela z różnymi wyliczeniami i wykresami.

Uruchomił przeglądarkę internetową, a następnie sprawdził historię wyszukiwania.

Znalazł kilka linków, które przejrzał pobieżnie. Jeden z nich odsyłał do rumuńskiej szkoły, inny do polskich portali poświęconych sprzedaży nieruchomości, a kolejny do serwisu YouTube.

Przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, aż zdecydował się nakierować na niego kursor i kliknąć. Na ekranie pojawiło się zdjęcie gitarzysty w białej koszuli, który siedział na hokerze ustawionym pośrodku dużej sceny. Komisarz odtworzył teledysk, który okazał się nagraniem z koncertu. Obraz drżał i po chwili kamera przybliżyła muzyków, skrzypka i flecistę, stojących w świetle dwóch reflektorów po obu krańcach estrady. Wygrywali smutną melodię, w której Gross rozpoznał celtyckie nuty. W tle pobrzmiwały dudy, albo tak mu się tylko zdawało. Po chwili instrumenty ucichły zastąpione przez dźwięki gitary i męski głos, a reflektor wyłowił z ciemności starszego mężczyznę, którego policjant rozpoznał z pierwszego ujęcia. Pamiętał go wyłącznie z czasów młodości i grania w zespole, którego utwory poznał dzięki Agnieszce – Dire Straits. Szczupły wtedy muzyk nosił na czole opaskę, która spinała jego falujące włosy. Obecnie nieco wyłysiał i przytył.

Gross zastanawiał się nad tym, jak on sam zmieni się za dwadzieścia lub więcej lat. Jaki będzie i co go czeka w tej przyszłości naznaczonej samotnością.

Popatrzył na nagranie, posłuchał smutnej piosenki, a po chwili zabrał się do przeszukiwania szuflad.

W jednej z nich trafił na równo ułożone wydruki poświęcone branży nieruchomości, stare ładowarki do telefonów komórkowych, kilka układów scalonych wyglądających jak stare części komputerowe, przybory do pisania i dwie talie kart do gry ukryte w drewnianym pudełku. Środkową szufladę wypełniały czasopisma poświęcone recenzjom gier. Lśniące okładki magazynów były niemalże nienaruszone.

Najniższa szuflada świeciła pustką.

W szafkach odnalazł równo ułożoną bieliznę i sparowane skarpety pozwijane w kulki. Wszystkie czarne. W pozostałych trafił na liczne T-shirty w takim samym kolorze i kilka białych z kolorowymi nadrukami.

Rozpiął kurtkę, bo zrobiło mu się ciepło. Powiesił ją na oparciu krzesła, które wraz z okrągłym stołem i niskim fotelem, przypominającym czasy PRL-u, stało przy zimnym kaloryferze.

Gross sprawdził też rurę doprowadzającą wodę do grzejnika. Ta była ciepła, a termostat zakręcony.

Gdy piosenka dobiegała końca, odwrócił się do ekranu.

Muzyk wstał, odłożył gitarę na siedzisko krzesła i żegnał się z publicznością, całując opuszki palców, a następnie machając ręką do wiwatującego tłumu.

Zespół zaczął schodzić ze sceny.

Komisarz uruchomił tę melodię raz jeszcze i spisał nazwisko wykonawcy oraz tytuł. Mark Knopfler, *Piper to the End*.

Na powrót rozbrzmiały dźwięki skrzypiec i fletu.

Nie znał zbyt dobrze angielskiego, więc nie wiedział, co mogło oznaczać słowo *piper*. Podkreślił je dwukrotnie i schował notes.

Odszedł od komputera i otworzył dwudrzwiową szafę ze spodniami i koszulami na drucianych wieszakach. W jednej części wisiały dwa garnitury, kilka wypchanych w łokciach marynarek, zimowa kurtka puchowa i dłuższy szary płaszcz. Gross pomacał odzież, potem wyrywkowo wkładał dłonie do kieszeni spodni i marynarek. Wyciągnął z nich paczkę chusteczek higienicznych, stare bilety i pomięte rachunki, a także przezroczyste etui na smyczy, w którym tkwiła biała plastikowa karta bez żadnych oznaczeń i symboli, za to pobrudzona na rogach.

Przejrzał paragony, ale żaden z nich nie zwrócił jego uwagi.

Odłożył znalezione przedmioty na stół i wrócił do szafy. Sprawdził jeszcze półki wypełnione wyprasowanymi dzinsami. Wyżej leżały szare i czarne dresowe bluzy oraz kilka par znoszonych luźnych spodni.

Kucnąwszy, obejrzał zawartość kartonów na dnie pojemnego mebla. W każdym znajdowała się para skórzanych butów w rozmiarze czterdzieści trzy, na różne okazje i pory roku. W większości były mocno znoszone. Świadczyły o tym zdarte zelówki i pozdierane noski, które przesmarowano kolorową pastą, zgrabnie tuszując drobne uszkodzenia.

Powyciągał tekturowe pudła, ale na dnie szafy nie dostrzegł niczego. Nawet kurzu.

Muzyka ponownie ucichła.

Wyłączył komputer, a znaną kartę położył na stole – po sporządzeniu protokołu i zabezpieczeniu jej w papierowej kopercie chciał ją stąd zabrać.

Wychodził już z pokoju, gdy zauważył, że siadając wcześniej na łóżku, wygniół koc i leżącą pod nim pościel. Wydawała mu się czysta i sztywna. Poprzednią zabrali technicy, żeby uzyskać DNA Beckera. Widocznie jego matka szybko założyła świeżo wyprane poszewki i prześcieradło, oczekując na powrót syna. Komisarz poprawił kołdrę i ją uklepał. Coś zaszeleściło i opadło z głuchym łoskotem na panele.

Kolejny raz kucnął i zajrzał pod łóżko.

Tuż przy ścianie leżały niewielki zeszyt i tani, reklamowy długopis.

Gross delikatnie odsunął tapczan, klęknął na nim i wsunął rękę w szczelinę między meblem a ścianą. Wymacał oba przedmioty, a następnie podniósł je i położył na kocu. Poprawił wszystko i dopiero wtedy przekartkował zeszyt.

Był zupełnie nowy.



W starych dwuskrzydłowych drzwiach z prawdziwego drewna zgrzytnął zamek. Kiedy się otworzyły, szorując rantem po podłodze, Skalską uderzył ciężki smród wilgoci.

Korytarz był ciasny i ciemny, a wyłożona linoleum imitującym parkiet podłoga – brudna od świeżej warstwy pyłu, który zgrzytał pod butami.

Skalska, niewyspana po przeglądaniu dokumentów Grzegorza, spotkała się z Otrembą na Rynku. Kobieta czekała na nią, drepcząc nerwowo przed wyklejoną kartonami i brązowym papierem

witryną sklepu.

Mieszkanie znajdowało się w parterowej dobudówce, przylegającej do tylnej ściany kamienicy, którą Skalska zwiedziła niedawno przy okazji wizyty u Joanny Schilert.

Prowadziły tam dwie drogi. Jedna przez długi korytarz, który przecinał kamienicę na wskroś, a druga przez pobliską bramę między kamienicami. Ta jednak stale pozostawała zamknięta. Dlatego wybrały pierwszą drogę i w ten sposób trafiły na zamknięte podwórze, otoczone szarymi ścianami pobliskich domów.

Tuż obok zadaszonego wejścia do mieszkania znajdował się niewielki budynek gospodarczy. Mała kłódka zwisała z pordzewiałych rygli, a jedyne drewniane okno było wypaczone i zasłonięte od wewnątrz firaną oraz pajęczynami uplecionymi w rogach.

Właśnie na ten budynek patrzyła teraz Skalska przez okna salonu, w którym każdy dźwięk rozchodził się echem charakterystycznym dla pustych lokali.

– Chodźmy do drugiego pokoju. – Ewelina Otremba się odwróciła.

Drugie pomieszczenie było mniejsze i jeszcze ciemniejsze, bo przylegało do ściany wyższego budynku. Słońce nie miało szans, żeby się tu przebić.

Na podłodze leżały zdeformowane od wilgoci panele, które wybrzuszały się poniżej zawieszono pod parapetem żeliwnego kaloryfera. Na środku stał ustawiony pod skosem kredens, odsunięty od znajdującej się naprzeciwko wejścia ściany.

Policjantka domyśliła się, że chodzi o ślady właśnie na niej.

Z boku pozostały jeszcze dwa paski tapety. Rogi materiału odklejały się i zwisały smętnie pod sufitem.

Weszła głębiej i wtedy je dostrzegła.

Ciemne plamy wykwitwały spod jasnej farby dyskretnie niczym cień tuż nad zdewastowaną podłogą.

Zbliżyła się i kucnęła.

Nałożona na ścianę biała emulsja przykryła ślady innej substancji. Skalska przyjrzała się nieregularnym, ale jednolitym plamom przypominającym rozmazy. Jakby ktoś chciał zmyć szmatą lub gąbką wytrzyśniętą na ścianę ciecz.

Zwróciła uwagę na obszar poza plamami i bez trudu odnalazła liczne ciemnawe rozpryski, drobne niczym ziarna piasku.

– I co? – Otremba nie zamierzała podejść bliżej. Skrzyżowała ręce na piersiach i przygryzała wargę, z daleka obserwując Skalską.

Ale ta nie odpowiedziała. Sięgnęła do plecaka i wyjęła z niego niewielki brązowy kartonik wyłożony watą, dwa kawałki równo dociętej tektury oraz szpachelkę ze spiłowanym rantem, niemal tak samo ostrym jak nóż.

Ponownie uważnie przyjrzała się plamom i odniosła wrażenie, że ich intensywność jest największa u dołu. Chociaż być może było to jedynie złudzenie związane ze słabym oświetleniem.

Przyjrzała się szparze między ścianą a panelami. Wydało się jej, że jest odrobinę zbyt głęboka. Wsunęła w nią tekturę, która schowała się na długość około trzech lub czterech centymetrów.

Odłożyła narzędzia i podeszła do drzwi, gestem wskazując Otrembie, by odsunęła się od szerokiego drewnianego progu wymalowanego na brązowo farbą olejną. Porównała poziom podłóg po obu stronach i okazało się, że parkiet w salonie był niżej niż w pokoju, w którym się znajdowały.

– Panele położono bezpośrednio na parkiet – stwierdziła i wróciła do plam na ścianie.

– I co to oznacza? – spytała Otremba, ale nie doczekała się odpowiedzi.

Skalska przyłożyła tekturę do ściany jak tackę, a ostrą szpachelkę zagłębiła się w warstwę farby i tynku. Starła się zebrać kilka większych płatów, które ostatecznie nakryła drugą tekturą i spięła gumką. Całość schowała do kartonu. Dołożyła waty, żeby zerwane fragmenty nie przemieszczały się w trakcie transportu. Potem zamknęła pudełko, okleiła je taśmą i schowała do plecaka.

– Co robisz? – Otremba się nie ruszała.

Skalska odwróciła twarz w jej stronę.

– Postaram się sprawdzić, czy to krew – odparła i zauważyła niepokój w oczach kobiety.

Drżąca ręka powędrowała do wpeł otwartych ust.

Aspirantka sztabowa wstała i obeszła pokój. Dokładnie przyjrzała się kredensowi, a następnie spojrzała w górę na żyrandol i odsłonięte żarówki, pokryte kurzem wyglądającym jak moherowe czapeczki.

– Jest tu drabina? – spytała.

– W kuchni, jeśli jeszcze jej nie zabrali. Dziś mają wpaść po resztę sprzętu.

– Kto?

– No, ta ekipa, co tu pracowała – wyjaśniła właścicielka mieszkania.

– Już nie pracuje?

– Zrezygnowali.

– Z powodu plam? – niedowierzała Skalska. – Przecież nie wiedzą, co to za plamy. A może to grzyb?

– Ktoś im nagadał, że to felerne miejsce.

Skalska przeszła do niewielkiej kwadratowej kuchni z rozpadającymi się ze starości szafkami, w większości wiszącymi na ścianie i jedną stojącą na podłodze, z trudem podpierającą dwukomorowy żeliwny zlew, którego wnętrze znaczyły zbrązowiałe, kamienne zacieki.

Kilka kufrów ze sprzętem remontowym, złożonych w rogu, przykrywała zabrudzona robocza bluza. Obok znajdowała się rozkładana aluminiowa drabina, poplamiona od farb i z niewielkimi skrzepami białej zaprawy, być może gładzi gipsowej.

Skalska zabrała ją stamtąd i z brzękiem rozłożyła w miejscu, z którego miała łatwy dostęp do trójramiennego chromowanego żyrandola. Z trzech wygiętych rurek sterczały pozbawione kloszy żarówki. Jediną ozdobą lampy były zainstalowane pod nimi szkła z kolorowymi obwódkami. Stary, PRL-owski sznyt.

Weszła po drabinie i stanęła na jej szczycie. Nogi jej zadrżały, kiedy musiała się wyprostować. Szybko jednak skupiła się na swoim zadaniu. Obejrzała z bliska szkło, w którego zagłębieniu znalazła pełno kurzu i martwych owadów, głównie much z wyciągniętymi odnóżami.

– Co robisz? – zapytała Otremba, stając przy drabinie i zadzierając głowę do góry.

Skalska ją zignorowała.

To, czego szukała, znalazła po dłuższej obserwacji dopiero na chromowanym kapslu przylegającym do sufitu i przysłaniającym kostkę elektryczną wraz z kablami. Rozsiane były na nim małe czarne kropki. Dostrzegła je również na rurkach, z których zrobiono ramiona żyrandola.

Zeszła z drabiny i przestawiła ją w narożnik pokoju, gdzie tuż pod sufitem tkwiła plastikowa kratka wentylacyjna, pożółkła ze starości i zasłonięta grubą siatką pajęczyn. Kiedy Skalska niechcący dotknęła jednej z nich, niewielki pająk schował się do szpary w tynku.

Osłona wlotu komina wentylacyjnego na pierwszy rzut oka wyglądała na pozbawioną podobnych śladów, które policjantka zaobserwowała na żyrandolu. Ale wkrótce zauważyła je na listewkach, po wewnętrznej stronie i na górnym rancie.

– Powiesz mi wreszcie? – Otremba była rozdrażniona.

Policjantka zeszła z drabiny i stanęła obok niej.

– Oczywiście. Gdy tylko się czegoś dowiem.

– No ale co sprawdzałaś? – podniosła głos Otremba.

– Na razie to wszystko. – Skalska ruszyła do wyjścia.

Ewelina poszła za nią.

– Moment! – krzyknęła, a jej głos odbił się echem.

Aspirantka sztabowa zeszła już po zewnętrznych schodach.

– Dam znać, gdy coś ustalę.

– Czyli kiedy?

Skalska przewróciła oczami.

– Kiedyś na pewno – odparła i spojrzała na Otrembę.

Ta się rozpląkała, a schowawszy twarz w dłonie, oparła się o ścianę.

– Sprzedałam mieszkanie, a teraz jeszcze to – wyjęczała.

– Przecież masz gdzie mieszkać.

Otremba natychmiast pokręciła głową.

– Ja się go boję – wydukała, łapiąc oddech.

Osunęła się wzdłuż ściany i kucnęła nad zapyloną podłogą, nie zwracając uwagi na drogi płaszcz.

– Słucham? – Skalskiej trudno było uwierzyć w to, co usłyszała. Nie odrywała wzroku od załamanej kobiety.

– On mnie uderzył w brzuch! – krzyknęła Otremba.



Brulion był o połowę mniejszy od zeszytu szkolnego.

Na czarnej okładce umieszczono trzy panoramiczne zdjęcia, podpisane nazwami amerykańskich miast. Drapacze chmur górowały nad pozostałą zabudową. Na jednej z fotografii poranna mgła wygładzała ich kontury, na dwóch kolejnych promienie zachodzącego słońca odbijały się od szklanych brył wieżowców, podczas gdy reszta zabudowań ginęła w głębokim cieniu. W tle, daleko na horyzoncie, nieregularna linia oddzielała pasma górskich szczytów od granatowego nieboskłonu.

Jeszcze raz przekartkował zeszyt, a potem odwrócił go i spojrzał na tylną okładkę z nazwą warszawskiego producenta i kodem kreskowym.

Odłożywszy brulion na stół, wyszedł z pokoju Rafała Beckera.

Zdawało mu się, że dziwnym zrządzeniem losu pozostał w mieszkaniu sam, bo cisza tężała mu w uszach.

Skierował się do kuchni i przystanął w progu.

Beckerowa spoglądała przez okno wychodzące na hurtownię budowlaną i parking, którego fragment tonął w cieniu rzucanym przez blok. W jednej ręce trzymała zmiętą chustkę, w drugiej filiżankę z herbatą.

Tir już odjechał, a po opustoszałym placu w stronę wejścia szedł mężczyzna z dzieckiem. Trzymali się za ręce. W drzwiach minęli się z operatorem wózka widłowego, którego Gross rozpoznał po uniformie i białym kasku na głowie.

Jadwiga Becker otarła łzy.

– Znalazł pan coś? – Wciąż się do niego nie odwróciła, ale teraz miał wrażenie, że podniosła wzrok i przypatrywała się oddalonemu silosowi cukrowni, obok którego powstawał drugi, równie potężny walec. Wisiały nad nim ramiona stalowego żurawia.

Opowiedział jej o zeszytce i plastikowej karcie w etui z doczepioną smyczą, a kiedy skończył, zapadła cisza.

– Może to z pracy? – zapytała jakiś czas później, jakby bezruch za oknem, fragment świata zatrzymany w kadrze, miał właściwości hipnotyzujące.

Gross poprosił, by przeszli do pokoju syna. Spokojnym ruchem odstawiła filiżankę. Zgodziła się niechętnie, po czym poszła za policjantem, ale nie przekroczyła progu.

– Gdzie pan to znalazł? – spytała, kiedy pokazał jej kartę.

Komisarz otworzył szafę i wskazał parę granatowych spodni odprasowanych w kant. Mankiety wyglądały na czyste.

– Pamięta pani, kiedy ostatnio je nosił?

Zastanowiła się.

– Może gdy jeszcze chodził do pracy, czyli w sierpniu. Ale nie wiem dokładnie kiedy. Nie pamiętam – wyznała cicho.

– A później?

– Być może. – Jej twarz wykrzywił grymas płaczu, ale zdołała się opanować. Mikroruchy głowy nie ustawały. – W domu chodził najczęściej w dresach, a kiedy już miał gdzie wyjść, do lekarza na przykład, to wkładał dzinsy.

Gross poczuł, że jego dłonie zwilgotniały od ciasnych, gumowych rękawiczek.

– Czy we wrześniu jeździł na jakieś rozmowy kwalifikacyjne? Starał się o pracę? – Komisarz zamknął szafę i odłożył kartę na stół.

– Czasami jeździł do Torunia.

– W sprawie pracy?

– Tak przynajmniej mówił.

– Ubierał się wtedy w garnitur?

– Nie, raczej normalnie.

Pokiwał głową.

– Czy to już wszystko? – spytała. – Czuję się bardzo zmęczona.

Rozejrzał się po pokoju.

– A gdzie jego plecak albo torba?

– Jaka torba?

– Taka, którą nosił do pracy – wyjaśnił komisarz. – Miał taką, prawda?

Beckerowa wyglądała na przejętą. Jej powieki otworzyły się nieco szerzej.

– Nie wiem. – Niemal niezauważalnie wzruszyła ramionami. – Pewnie wyszedł z nią tamtego dnia.

– Jak wyglądała?

– Normalna skórzana, jasnobrązowa, z dwiema kieszeniami z przodu. Zapinana na takie klamry jak w tornistrach.

– Nie widziała jej pani od chwili, kiedy syn wyszedł z domu?

– Chyba nie.

– Ale była pani wtedy na miejscu, tak? – wołał się upewnić.

– Mówiłam już przecież. – W jej głosie nie było słycać poirytowania.

– Zechce mi pani o tym opowiedzieć?

– Przecież zna to pan z dokumentów.

Gross nie odezwał się, ale też nie odwrócił wzroku.

W końcu starsza kobieta wskazała nieznacznym ruchem dłoni, żeby porozmawiali w pokoju dziennym. Policjant poczekał, aż gospodyni pójdzie przodem, i dopiero wtedy wszedł do pomalowanego na beżowo obszernego pokoju. Sosnowe meble może były stare, ale wciąż utrzymane w nienagannym stanie. Na szerokiej narożnej kanapie spał zwinięty w kłębek biały kot. Beckerowa wsunęła się za przykrytą kremową serwetą ławę i usiadła obok zwierzęcia, ale ono nie podniosło nawet głowy. Delikatnie pogłaskała kota i przez jej twarz przemknął lekki, prawie niezauważalny uśmiech.

Gross zajął miejsce na twardej pufie naprzeciwko Jadwigi Becker. Dopiero wtedy zobaczył, że na złożonych w rogu stołu gazetach i krzyżówkach leżało zdjęcie Justyny i Rafała. Na czoło młodego mężczyzny opadały dłuższe, falowane włosy. Uśmiechał się zawadiacko, a w jego oczach komisarz dostrzegał esencję witalności, rodzaj wewnętrznej siły, dzięki której można pokonać wszelkie przeciwności losu. Może z wyjątkiem wyniszczającej choroby, która rozwijała się długo i podstępnie, zapewne od chwili zaginięcia siostry.

Na fotografii obejmował ją ramieniem, jak najlepszego kumpla. Może odrobinę nonszalancko, ale Gross widział w tym geście braterską miłość. Ręka młodego Beckera zniknęła za długimi, kręconymi włosami dziewczyny, a dłoń zwiślała swobodnie tuż nad jej piersią. Justyna Becker wpatrywała się w brata i śmiała się radośnie, jak z najlepszego dowcipu.

W tle dostrzegł fragment wieży ciśnień i jej charakterystyczny portal z czerwonej cegły.

– Co konkretnie chciałby pan wiedzieć? – zagadnęła Jadwiga Becker policjanta, a kiedy się zorientowała, na co patrzył, wzięła do ręki fotografię i przyjrzała się dzieciom.

Ciepłe wspomnienia przywołały na jej twarzy zamglony uśmiech, który zniknął powoli pod naporem najświeższej rany. Kobieta załkała bezgłośnie, po czym przyłożyła drobną pięść do ust.

Wykorzystał to, że miała zamknięte oczy, i nie odrywał od niej wzroku.

Uspokoiwszy się, otarła łzy.

Podowała mu fotografię, a on położył ją przed sobą na dzierganej serwecie.

W tle tykał zawieszony na ścianie rzeźbiony zegar. Zamknięte w witrynie wahadło huśtało się rytmicznie.

– Zgodne rodzeństwo – stwierdził, spoglądając na gospodynię.

Wydawało mu się, że kiwnęła głową.

– Kiedy byli młodzi, różnie z tym bywało, wiadomo, jak to z dziećmi, ale im byli starsi, tym bardziej się o siebie troszczyli. Nigdy nie daliby sobie zrobić krzywdy. – Kobieta pogłaskała kota, ale ten wstał, wyprężył grzbiet i ziewnął. Potem rozejrzał się leniwie i zeskoczył z sofy, znikając na moment pod ławą. Kiedy Gross zobaczył zwierzę ponownie, kierowało się do korytarza. Ledwie kot przekroczył próg pokoju, usiadł tyłem do nich.

– Dlatego kiedy to się stało... – Zawiesiła głos. – Kiedy zaginęła Justysia, Rafał nie mógł się z tym pogodzić.

Gross czekał na dalszą część historii, ale na próżno.

– Czy w dniu zaginięcia pani syna wydarzyło się coś, co z perspektywy czasu wydaje się pani nietypowe albo przynajmniej zastanawiające?

– Jeśli miałabym pominąć to, o czym już panu mówiłam, to nie.

– O której syn się obudził? – zapytał policjant.

– Nie wiem. Długo nie wychodził z pokoju. Ale łóżko po raz pierwszy zaskrzypiało głośno po dziewiątej.

– Wstał?

Zaprzeczyła.

– Usłyszałamby. Po około dwóch godzinach minęliśmy się na korytarzu. Poszedł do toalety i tam odkręcił wodę.

– Rozmawialiście chociaż przez chwilę? Jaki miał nastrój?

– Taki jak zawsze. Przywitał się zdawkowo i tyle. – Przyłożyła chusteczkę do kącików oczu.

Coś zgrzytnęło cicho i odczekali, aż zegar wybił pełną godzinę. Długie, przyjemnie niskie tony rezonowały w zdobionej drewnianej skrzyni.

– Zaniósłam mu śniadanie, ale on w ogóle go nie tknął. Chleb zupełnie wysechł i stwardniał. Dało się zjeść tylko mięsz z środka. – Popatrzyła na niego. – Mam kłopoty z protezą – usprawiedliwiła się i dodała: – A poza tym nie lubię, kiedy jedzenie się marnuje.

Gross nie bardzo rozumiał, dlaczego akurat ten drobiazg utkwiał jej w pamięci. Doskonale jednak wiedział, że ludzka pamięć składa się z zatrzymanych w kadrze detali.

– To wtedy poinformował panią, że zamierza się spotkać z Karolem Formowiczem?

– Tak.

– O której do niego wyszedł?

– Najpierw ja wybrałam się po drobne zakupy. Na krótko, może na pół godziny. – Poprawiła kosmyk siwych włosów, który uwolnił się z upięcia. – Po powrocie zapukałam do jego drzwi, ale nie zaprosił mnie do środka. Nic też nie odpowiedział. Przez szybę widziałam tylko, że siedział przy komputerze. Może miał słuchawki na uszach i mnie nie słyszał? – zadała pytanie, na które nie spodziewała się odpowiedzi. – A potem, kiedy siedziałam w pokoju, wyszedł z domu.

– W co był ubrany?

– W dżinsy i czarny T-shirt. Opisałam to przy zgłoszeniu zaginięcia.

Gross przypomniał sobie zapisy z dokumentów sporządzonych w komisariacie przez Nubińskiego.

Wszystko się zgadzało.

– Ale nie widziała go pani w chwili, gdy opuszczał mieszkanie? Tak był ubrany rano, ale niekoniecznie kilka godzin później.

Zastanowiła się nad jego słowami.

– Dlaczego pan o to pyta?

Nie chciał odpowiedzieć.

– Której z jego pary butów brakuje?

Popatrzyła na niego, a następnie na korytarz.

– Musiał włożyć takie jasnobrązowe półbuty ze skóry – odparła po zastanowieniu się.

– Po domu chodził w skarpetach, prawda? – Gross miał przed oczami skórzane klapki z czystymi podeszwami.

Pokiwała głową.

– Tak. Kapsie wkładał tylko wtedy, gdy musiał zejść do piwnicy albo wyrzucić śmieci – wyjaśniła i złożyła ręce na podolku. – Ale dlaczego pan stale o to pyta? – Jadwiga Becker zmrużyła oczy.

– O co?

– O jego strój. Co się za tym kryje?

Komisarz patrzył w jej małe oczy za grubymi szklami okularów z pękniętym zausznikiem.

– Kiedy odnaleźliśmy pani syna, miał na sobie inne ubranie i buty.

– Inne? – Przekrzywiła drżącą głowę w taki sposób, jakby się przesłyszała.

– Tak – stwierdził. – Miał na sobie kurtkę moro, a na nogach sięgające za kostkę trapery. –

Komisarz wyciągnął przygotowane rano na komisariacie kartki ze zdjęciami odzieży podobnej do tej, w którą ubrany był denat, i pokazał kobiecie. Odszukał je bez problemu w sklepie internetowym dla miłośników surwiwalu.

Przyglądała się wydrukowi w skupieniu.

– Dlaczego się przebrał? – spytała, przekładając kartki, ale Gross nie umiał odpowiedzieć na to pytanie.

– Czy to jego ciuchy? – Wskazał palcem na wydruk.

– Pierwszy raz je widzę.

– Jest pani pewna?

– Absolutnie. – Oddała mu kartki zupełnie skołowana.

Schował wydruki do torby i wyciągnął kolejne.

– Może kupił je ostatnio?

– Piorę jego rzeczy. Wiedziałabym coś o tym. – Ponownie złączyła dłonie, ale tym razem zaczęła uciskać palce.

– Nie zamawiał niczego przez internet? Nie odbierała pani żadnej paczki od kuriera?

– Nie, na pewno nie. – Beckerowa błędziła wzrokiem po pokoju. W końcu spojrzała na Grossa.

– Do czego mu były te ubrania? Po co je włożył?

Policjant zastanawiał się nad tym od chwili, kiedy zajrzał do szafy mężczyzny i znalazł w niej jednolite kolorystycznie ubrania.

– Czy pani syn mógł mieć jakąś nową pasję?

– Słucham?

– Może chciał wstąpić do Wojsk Obrony Terytorialnej? A może sprawdzał się w surwiwalu? – podpowiedział. – Chodzi o umiejętność...

– Wiem, czym jest surwiwal – przerwała mu.

Policjant pokiwał przepaszająco głową.

– On był chory, rozumie pan? – Jej wargi zadrżały, a ciało wyraźnie się napięło. – Miał depresję, przeżywał trudne chwile. To podstępna choroba.

Ponownie otarła wilgotne powieki skrawkiem chusteczki.

Komisarz współczuł zdruzgotanej kobiecie uginającej się pod ciężarem nieutulonego żalu.

Z przestraczem wpatrywała się w kartkę, którą Gross wciąż trzymał w rękach.

– Co pan tam ma? – Uniosła brodę.

Policjant przyjrzał się kolejnemu zdjęciu, na którym Bloch uwiecznił klucze z przyłożoną do nich kryminalistyczną calówką w biało-czarną kratę. Odczekał kilka sekund, po czym podał kobiecie wydruk.

– Czy rozpoznaje pani te klucze? – Przyglądał się jej uważnie. Liczył, że mimika powie mu więcej niż słowa.

Spojrzała na zdjęcie.

– Nie – stwierdziła spokojnie.

– Jest pani pewna?

– Tak. To nie jego klucze. Pierwszy raz je widzę. Nasze, od mieszkania, nie miały okrągłych główek, tylko kwadratowe. – Wskazała koślawym palcem na fotografię.

– A klucze do piwnicy? Albo suszarni?

– Mamy tylko jeden komplet, wciąż wiszą na wieszaku. – Wstała i poszła do korytarza wytapetowanego roślinnymi ornamentami.

Usłyszał krótkotrwałe metaliczne brzęczenie.

Po chwili Beckerowa wróciła.

– Jeden jest do suszarni, drugi do głównych drzwi do piwnicy, a trzeci, ten najmniejszy, do kłódki przy wejściu – wyjaśniła, podsuwając mu otwartą pomarszczoną dłoń z pękiem kluczy.

– Mogę się rozejrzeć?

– W piwnicy? Tak, ale ja tam z panem nie pójde – zastrzegła. – Strasznie nie lubię piwnic.



Zanim Skalska wróciła do domu, odwiedziła Jarka Blocha w jego mieszkaniu w Toruniu. Przywitał ją, ziewając przeciągle i ukazując w ten sposób drobne zęby.

– Co masz? – spytał, gdy usiedli w pokoju. Przeprosił, że przyjmuje ją w pizamie, ale Skalska machnęła dłonią.

Zdjęła bejsbolówkę, ale nie ściągnęła ocieplacza ani polaru. Śpieszyła się.

– Sam jesteś? – Zastanowiły ją panująca w mieszkaniu cisza i rozrzucone w przestronnym, nowocześnie umeblowanym salonie zabawki.

– Żona zabrała dzieciaki na poranek do kina – wyjaśnił. – A ja odsypiam po wczorajszym zabójstwie na działkach.

– Coś poważnego?

– Nawet nie chcesz wiedzieć. – Machnął ręką.

Wyjęła z plecaka karton z materiałem pobranym ze ściany i opowiedziała mu, z czym przyszła.

– Przecież powinnaś to zabezpieczyć procesowo i wrzucić do laboratorium. – Wskazał brodą na pakunek.

– Wrzucę, ale na razie to cicha robota.

– Dlaczego? – Przyjrzał się kartonikowi i odstawił go delikatnie na stół.

– Powiem ci, gdy się coś wykrystalizuje.

– Co mam z tym zrobić?

– Sprawdź, czy to krew – poprosiła.

– A nie mogłaś sama, hemofanem?

Spojrzała na niego z taką miną, że w końcu ustąpił.

– Po prostu muszę mieć pewność – wytłumaczyła. – A kto to zrobi lepiej od ciebie? –

Uśmiechnęła się szeroko.

– Skalka! – Pogroził jej palcem. – Nie przeginaj.

– Oj tam, oj tam. – Mrugnęła.

Wyszła od Blocha i zabrała się z powrotem do Chełmży z kolegami z prewencji. Stary ducato był podatny na szarpnięcia bocznego wiatru, który gwizdał nieznośnie. Do tego wóz podskakiwał na każdej dziurze, a trzeszczące plastiki wpadały w nieprzyjemny rezonans. Jechali w milczeniu, nasłuchując trzasków z radiostacji i przyciszonego radia.

Koledzy zostawili ją na 3. Maja, w pobliżu wodociągów, a sami pojechali prosto pod stadion chełmżyńskiej Legii.

Weszła do domu i poszła na górę do sypialni, gdzie na łóżku leżała teczka z materiałami spisany przez Grzegorza. Przejrzała je dokładnie w nocy, ale w końcu zmęczona odpuściła. Teraz też zaczęła ogarniać ją senność, więc po drodze do domu wstąpiła do sklepu po dwie puszki redbulla. Otworzyła jedną z nich i wypila połowę zawartości. Słodki, gazowany napój przyjemnie łaskotał w gardło.

Jeszcze w nocy posegregowała poszczególne kartki z teczki Otremby na te związane ze sprawą zaginięcia Justyny Becker i Marcina Korczyńskiego oraz pozostałe, którymi zamierzała zająć się w następnej kolejności.

Były tam odręczne zapisy i notatki, a także kilka kreślonych na szybko schematów, w których poszczególne słowa, wzięte w krzywe ramki lub byle jak zakreślone, łączyły się ze sobą liniami. Te krzyżowały się pod różnym kątem, a ich końce zdobiły grube groty. Na kartkach nie brakowało przekreśleń oraz prób całkowitego zamazania fragmentów zdań lub pojedynczych słów. Ale jedna rzecz była nie do przecenienia. Grzegorz wszystkie notatki opatrywał datą.

Zastanawiała się, dlaczego nie wiedziała o tym, że zajmował się zaginięciem studentów. Nie powiedział jej o tej sprawie ani słowa. Ufali sobie nie tylko w związku, lecz także jako policyjni partnerzy. A może tak jej się tylko wydawało. Może jedynie ona tak to widziała. Uzmysłowała sobie, że Grzegorz często wyglądał na przybitego, zamyślonego i tajemniczego. Jakby nosił w sobie sekret. Ale wtedy, z oczywistych względów, zrzucała to na okoliczności, na ich potajemny związek, na jego czające się gdzieś w tle wyrzuty sumienia, które uaktywniały się, gdy nad ranem wysuwał się cicho spod jej kołdry, ubierał się i wracał do siebie, jak po nocnym dyżurze.

A jeśli nie chodziło tylko o wyrzuty sumienia, lecz także o to, czym się wtedy zajmował?

Skalska zniosła teczkę na dół, usiadła w salonie i zrobiła komórką zdjęcia każdej ze stron. Następnie wyjęła z plecaka notes i przygotowała się do uporządkowania tego chaosu. Sprawa, w którą zaczął się zagłębiać Gross, zyska być może nowy wymiar, kiedy Skalska pokaże mu zgromadzone przez Grzegorza informacje. Wiedziała też, że musi pójść do szefa nie tylko z uporządkowaną teczką, lecz także z odpowiednimi wnioskami z lektury materiałów.

Odszukała daty i ułożyła kartki zgodnie z chronologią. Przy wielu z nich widniała adnotacja „przekazano R.”.

Przepisała pierwszą z dat i ją podkreśliła, a następnie starała się rozczytać notatkę Grzegorza. Nie było łatwo. Nie ze względu na nieczytelność pisma, ale dlatego, że przywoływało ono wspomnienie Grzegorza. Jego uśmiech znad monitora – dyskretny znak, żeby wyskoczyli na szybki numer.

Uśmiechnęła się do tego obrazu.

Pamiętała dokładnie jego profil, gdy obserwowała go ukradkiem w trakcie wyjazdu na pierwszą wspólną akcję do Browiny. Podobał jej się prosty nos i gęste brwi nad spokojnymi oczami. Lubiła też patrzeć na jego mięśnie brzucha, na wysportowane uda i jędrne pośladki. Ale ilekroć go wspominała, tylekroć kończyło się to tym ostatnim spojrzeniem na zafrasowanego mężczyznę w mundurze, przystojnego i postawnego blondyna, na którego twarzy malował się strach. Tak go zapamiętała, tak wyglądał, gdy wychodził z ich wspólnego gabinetu, żeby udać się z Grossem do Torunia i z ręką komendanta odebrać nagrodę. Tyle że zamiast nagrody wybrał śmierć.

Odtwarzała w myślach tę chwilę, gdy Grzegorz stanął w progu i się zawahał. Jakby chciał na

nią spojrzeć, być może coś jej powiedzieć, ale ostatecznie odwrócił głowę i zniknął w korytarzu.

Fale obrazów z tamtego dnia napływały szybko.

Schody, po których zbiegała na parter. Zaniepokojony Gross, szukający Grzegorza. Wyczuwalne napięcie, jak drżenie powietrza przed pierwszym grzmiotem burzy.

Dziś w każdym geście i grymasie kochanka, ale też w każdym grymasie Grossa widziała wyraźną zapowiedź tamtego dramatu. Była głupia, że wtedy nie zareagowała. Była zła na siebie, że nie umiała tych znaków właściwie odczytać, że wzięła je za zwykły stres przed ważną uroczystością.

Sceny przewijały się Skalskiej przed oczami do momentu, w którym rozbrzmiał ogłuszający huk wystrzału, a wraz z nim w jej wspomnieniach zapadała natychmiastowa ciemność.

Skalska otworzyła oczy i sięgnęła po chusteczkę, chcąc osuszyć mokre policzki. W drugą wydmuchała nos.

Uspokoiwszy się, wróciła do dokumentów.

„Skup się, Skalka”, zgaśniła się w duchu.

Energicznie potarła dłonie.

Pod pierwszą z dat, niemal sprzed roku, Otremba odnotował spotkanie z żoną Stanisława Piernickiego, kierowcy pomarańczowego transportera, którym mężczyzna zabrał parę studentów z Torunia. Pod spodem, od myślników, Grzegorz zapisał kilka uwag: „samochód ten sam”, „wyjazd na budowę”, „złe samopoczucie” z dostawionym znakiem zapytania i ostatnie słowo: „nerwowo”.

Kolejna notatka została sporządzona miesiąc później.

„Domknąć wątek K. Dymurskiego”.

Skalska nie wiedziała, o kogo chodzi, ale zamierzała uzupełnić tę wiedzę w komisariacie dzięki logowaniu do bazy danych.

„Ostatnie rozpytanie na okoliczność zdarzeń z 21.06.2002 r. 4 lata temu. B/Z. Obecnie poza Chełmżą/bez stałego zameldowania/???? – sprawdzić.

K. Rolska – ustalenia B/Z.

R. – kwity na wtorek”.

Wynotowała sobie, że „B/Z” prawdopodobnie oznacza „bez zmian”, i zapisała dodatkowo, by sprawdzić, czy Dymurski, kimkolwiek był, nie wypląnął gdzieś poza sprawą zaginięcia studentów.

A co oznaczało „R.”?

Przypomniała sobie, że krótko po pogrzebie Grzegorza Ewelinę odwiedził Ryszard Nubiński.

Skalska połączyła się z Judytą Judycką, żeby sprawdzić jeszcze jedną ważną rzecz.

– Przeglądałaś teczkę zaginionych studentów? – spytała po chwili rozmowy na błahe tematy.

– Nawet dwie – odparła Judycka. – A co? Stało się coś?

– Nie. Chodzi mi tylko o to, kto ostatnio prowadził tę sprawę.

– Ricardo N.

– A więc jednak – ucieszyła się Skalska.

– Co jednak?

Zastanawiała się, czy wtajemniczyć Judytę w sprawę notatek Grzegorza. Wiedziała, że Judycka dowie się o wszystkim w poniedziałek podczas spotkania zespołu, zwołanego jak co tydzień przez ich szefa. Judyta była świetną funkcjonariuszką i zasługiwała na zaufanie.

– Na razie o nic nie pytaj, ale dotarłam do nowych informacji.

– W sprawie studentów? – niedowierzała Judycka.

– Tak.

– Ale jak to? – zainteresowała się młodsza stażem koleżanka.

– W poniedziałek o wszystkim wam opowiem. Wytrzymasz?

– Jasne – nie kryła rozczarowania.

– A, i jeszcze jedno. K. Dymurski. Kto to, bo nie pamiętam?

– Były facet Justyny Becker. W noc zaginięcia pojawił się na plaży i miał scysję z Marcinem Korczyńskim.

– Dzięki, wszystko jasne. Dam znać później – pożegnała się Skalka.

Zastanawiała się, dlaczego Grzegorz wziął na siebie cichą współpracę z nieco otyłym, niezbyt lotnym policjantem, który najwięcej energii tracił na wyczekiwanie wcześniejszej emerytury. Nie przepracowywał się, nie nadstawiał karku. Robił wszystko, by dbać o statystyki i domykać sprawy tak, jak życzyła sobie tego komendantka. Grossa można było nazwać prawdziwym psem, Nubiński był natomiast typem wołu roboczego. Zawsze zmęczony i zniechęcony, wypalony i niezdolny już do żadnej kreatywności, bez najmniejszych chęci do policyjnej orki. Stosował się do wskazówek zegara, traktując ośmiogodzinny dzień pracy jak świętość. Skalska miała wrażenie, że chociaż niespecjalnie przepadał za Grosse, to jednak uznał, że policjant, który za wszelką cenę dąży do prawdy o zbrodni, który nigdy nie odpuszcza, spadł mu właściwie jak z nieba. Komisarz brał trudne sprawy i spędzał nad nimi każdą wolną chwilę. Nubiński zdawał się stracić wszelkie ambicje wraz z młodzieńczą nadzieją, że praca w policji może być interesująca i podobna do roboty, którą wykonywali przystojni gliniarze w serialach. A tymczasem tonął w papierach, rzygał kwitami i krzywo patrzył na kolejnych interesantów oraz sprawy dekretowane przez Grossa. W komisariacie trzymała go jedynie jako taka pensja, która pozwalała jego rodzinie spokojnie egzystować. Być może uważał, że niczego innego robić nie umie, ale pewnie nawet nie chciał tego weryfikować. Szczególnie kiedy do emerytury miał już tylko kilka lat. Skalska sądziła, że skreślał te lata w kalendarzu. Może oczyma wyobraźni widział już dzień, w którym odwiesi mundur i wreszcie skończy się jego koszmar. Nie tylko ona miała wrażenie, że dla Nubińskiego praca jest odtwarzaniem w kółko tego samego koszmaru. I nawet jeśli kiedyś ją lubił, to teraz – Skalska była o tym przekonana – nienawidził tej roboty z całego serca.

„Rozpytanie spacerowicza...” – Skalska przeczytała kolejną notatkę zakończoną zupełnie nieczytelnym nazwiskiem świadka. Nie miała pojęcia, o kogo chodzi. Z zapisu wynikało, że mężczyzna nie przypominał sobie więcej szczegółów w sprawie fotografa, którego widział tamtego wieczoru. Pod notatką zapisano dwa słowa.

„Forum – sprawdzić”.



Na parterze, na schodach znajdujących się na wprost drzwi wejściowych, siedziało dwóch chłopców i dziewczyna. Każde z nich pochylało się nad rozświetlonym ekranem smartfona. Kiedy usłyszeli kroki, odwrócili się w stronę komisarza i zrobili mu przejście.

– Którędy się wchodzi do piwnicy? – zapytał Gross.

– Nie wiemy – odpowiedziała dziewczyna. – Czekamy na koleżankę.

Podziękował, a młodzież natychmiast wróciła do swojego zajęcia.

Rozejrzał się.

Drzwi do piwnicy powinny się znajdować w pobliżu schodów. Zwyczajne, proste, dawno nieodmalowane i bez numeru mieszkania. Odnalazł je bez problemu. Wsunął klucz i przekręcił.

Uderzył go charakterystyczny zapach wilgoci, a nogi owiał strumień zimnego powietrza.

Włączył światło i zszedł, przytrzymując się zimnej poręczy.

Korytarz piwniczny był niski i policjant musiał uważać, żeby nie uderzyć głową w szerokie, izolowane rury. Jego podeszwy szurały po betonowej podłodze, kiedy próbował odszukać właściwą komórkę.

W końcu trafił.

Otworzył srebrzystą kłódkę, po czym się odsunął, żeby uchylić prowizoryczne drzwi, i wymacał na szorstkiej ścianie włącznik.

Naga żarówka zwieszająca się na krótkim kablu błysnęła zimnym światłem. Niewielkie wnętrze było zastawione dwoma rowerami, starym składakiem i nowszym, białym górale. Przy ścianach

piętrzyły się kartony i stare sprzęty kuchenne oraz dwa składane krzesła turystyczne. Aluminiowa drabina, upstrzona kleksami rozmaitych farb, wisiała na wwierconym w ścianę haku. Z pozostałych zwieszały się stare ubrania robocze, poplamione i brudne. Pod tylną ścianą półka starego regału ugięła się od weków. Na szczycie mebla, pod osłoną grubej warstwy czarnych pajęczyn, Gross dostrzegł wiadra i plastikowe miski, a także zwinięty w rulon chodnik.

Wystawił rowery, żeby móc wejść głębiej i dostać się do szafek ze zmatowiałymi frontami pokrytymi starą politurą. Zanim jednak sięgnął do uchwytów, przyjrzał się im dokładnie i dopiero kiedy zauważył gęsty jak aksamit kurz, zalegający na wystających brzegach, zrezygnował z zakładania lateksowych rękawiczek. Otworzył pierwszą szafkę i rzucił okiem na stare komplety porcelanowych talerzy, półmisek i mis, zaśniedziałe sztucze owinięte gazetami, a także tuzin prostych szklanek włożonych jedna w drugą. Na dnie pierwszej leżał pokurczony pająk.

W kolejnych dwóch szafkach umieszczono ozdoby świąteczne i dawne skórzane walizki, w których spoczywały sprzęty kuchenne, stary, wysoki aluminiowy gar, elektryczny młynek do kawy i plastikowe końcówki od odkurzacza.

Gross zajął się kartonami, ale w nich też nie znalazł niczego interesującego. To, czego szukał, powinno być gdzieś na wierzchu, pod ręką.

Już miał zamknąć prowizoryczne drzwi, gdy jego wzrok zatrzymał się na ubraniach wiszących na haku. A raczej na tym, co znajdowało się pod nimi.

Ściągnął ciuchy, a potem przyjrzał się z bliska przewieszonemu sznurowi. Zrobił kilka zdjęć, a następnie przybliżył aparat, żeby sfotografować dwa krańce liny na tle szarych cegieł. Oba znacząco się strzępiły. Rafał Becker nie odciął kawałka tej liny.

Gross powiesił ubrania, odstawił rowery na miejsce i zatrzasnął kłódkę.

Zanim opuścił piwnicę, przyjrzał się swoim podeszwowom.

Pokrywał je siwy pył.

Zapukał do drzwi mieszkania Jadwigi Becker w chwili, gdy usłyszał melodię wygrywaną przez swój smartfon.

Odebrał połączenie od nieznanego mu numeru.

– Halo? – usłyszał.

Jadwiga Becker pojawiła się w drzwiach i uchyliła je, a wtedy komisarz przepraszającym gestem dał jej znak, że porozmawia przez telefon na klatce.

– Pamiętasz, jak mówiłeś mi o wartościach? – odezwał się znajomy głos. Spokojny i wyważony, który naraz wypełnił go nadzieją.

– Bartek? – spytał, wciąż nie mogąc uwierzyć w to, kto dzwonił. Poczł ból rozchodzący się po klatce piersiowej i tężejący w okolicach mostka.

– Tak, to ja – padła odpowiedź.

– Gdzie jesteś? – Komisarz wolną ręką przytrzymał się poręczy.

– Więc jak? – wybełkotał syn.

– Słucham? – Gross rozejrzał się po korytarzu, jakby liczył na to, że chłopak stoi gdzieś blisko.

– Jak to było z tymi wartościami, ojciec?

Gdzieś w tle komisarz usłyszał syrenę nadjeżdżającego ambulansu. Dźwięk szybko się nasilał, aż Gross odsunął słuchawkę od ucha. Sądził, że syn nadal mieszka u swoich dziadków, rodziców Agnieszki. Z ich domu rozciągał się widok na zabudowania grudziądzkiego szpitala.

– Nie rozumiem, o co...

– Tyle mi truć o miłości do matki, o tym, że powinienem ją odwiedzać, że ona wciąż mnie kocha, że czeka i tęskni.

Znowu ten bełkot.

Grossowi wydawało się, że syn jest pijany. I chociaż początkowo głos Bartka brzmiał naturalnie, to z każdą chwilą to wrażenie się rozmywało. Słowa zlewały się w jeden melodyjny ciąg.

– Bo mówiłeś tak, prawda? – wymamrotał syn.

– Tak – odparł komisarz, nadal nie rozumiejąc, o co synowi chodzi. Nie mógł się powstrzymać

od tego pytania: – Piłeś?

Usłyszał prychnięcie, po którym nie padł żaden komentarz.

– I nadal tak sądzisz? – spytał Bartek.

Policjant wpatrywał się w lastryko, wyslizgane i odbijające światła dwóch kinkietów. Czuł w sobie narastającą falę furii, którą musiał opanować.

– Tak – odrzekł ostrożnie, spodziewając się najgorszego. – Wciąż cię kochamy. Ona i ja.

– Serio? Kłamiesz, kurwa!

Gross niemal się skulił na dźwięk tych słów, jakby pod nogami wystrzeliła mu petarda.

– To wszystko gówno prawda. Jesteś kłamcą! Bo gdyby tak było, gdybyś wierzył w tę miłość, o której tyle opowiadałeś, to nigdy byś mnie nie zostawił. Nigdy byś mnie nie odtrącił.

– Bartek... – próbował przerwać synowi.

Oddech komisarza stał się płytki, a ból uderzył w skronie z nową mocą.

– Zostawiłeś mnie! – warknął Bartek.

Gross czuł, jak łomocze mu serce, jak pulsująca w żyłach krew nieznośnie głośno świszczy mu w uszach.

– Jesteś skończonym kłamcą – westchnął syn. – Ty i te twoje tyrady, to ciągle pouczanie mnie! To ciągle moralizowanie! Rany boskie! Tyle mi gadałeś o tej miłości, tyle pierdoliłeś, że... że w zasadzie...

– Boże, co ty wygadujesz? – Gross z przerażeniem słuchał słów nasączonych jadem.

– A gdzie ty... Gdzie teraz jesteś z tą całą swoją miłością, ojciec? Gdzie ty, kurwa, jesteś? Bo jakoś przy mnie cię nigdy nie było.

Atak był silniejszy, niż komisarz się spodziewał. Grossowi zakręciło się w głowie, ale wiedział, że to jeszcze nie koniec, oczami wyobraźni widział już, jak syn wyciąga z granatu zawleczkę, odczekuje dwie sekundy, a potem rzuca odbezpieczoną bombę w jego stronę.

– I co? – spytał Bartek. – I zostawiłeś mnie. Wolałeś śmierdzieć trupem, niż się ze mną bawić. Pójść do kina, w piłkę pograć... albo...

Policjant dyszał głośno.

– Taki właśnie jesteś. I tak właśnie wygląda twój świat wartości. Tyle są warte te twoje przysięgi. – Usłyszał charknięcie, a zaraz po nim splunięcie. – Oto cała prawda o komisarzu Bernardzie Grossie, człowieku bez żadnych zasad i bez honoru.

– Bartek, do diabła! – jęknął komisarz i poczuł, jak pętla na gardle się zaciska, odbierając mu dech.

Bał się kolejnych oskarżeń, ale jednak na nie czekał.

– Dawniej tacy jak ty przynajmniej umieli ze sobą honorowo skończyć – syknął Bartek. – Powiesiliby się albo palnęliby sobie w łeb. Ale do tego trzeba jaj, ojciec. A ty jesteś śmierzącym tchórzem.

Gross przytrzymał się poręczy.

– Jeb się, ojciec!

Cisza zapadła nagle i niespodziewanie.

Oslupiały policjant wolno odsunął telefon od ucha, a potem przez jakiś czas wpatrywał się w czarny ekran. Serce łomotało mu pod żebrami, oddech wciąż nie chciał się wyrównać. Czuł się, jakby ta rozmowa nie odbyła się naprawdę. Sądził, że to rodzaj chwilowej zapaści, niemocy, w trakcie której stracił kontakt z rzeczywistością.

I wtedy usłyszał cichy, kobiecy głos. Słowo, którego nie zrozumiał.

Podniósł wzrok i spojrzął w uchylone drzwi do mieszkania Jadwigi Becker.

W tej szczelinie zobaczył starszą kobietę i jej pełne bezbrzeżnego smutku oczy.

Nie wiedział, od kiedy go obserwowała.

Zanim zdążył schować telefon do kieszeni kurtki, drzwi otworzyły się szerzej.

– Zrobiłam panu herbaty – powiedziała, po czym odeszła w głąb mieszkania, zostawiając go samego na cichej klatce schodowej.

Stał tak, aż usłyszał zgrzyt zamków gdzieś u góry i odgłos kroków na schodach. Dopiero wtedy wszedł do mieszkania i zamknął za sobą drzwi.



Skalska zrobiła sobie przerwę, żeby zjeść obiad.

Przygotowała makaron z tuńczykiem i cebulą. Nie miała czasu i ochoty na bawienie się w master chefa. Była głodna i po prostu chciała napełnić żołądek. A tuńczyk i makaron, których nigdy nie mogło zabraknąć w jej kuchni, nadawały się do tego najlepiej.

Nawijając nitki na widelec, wciąż myślała o pobocznym śledztwie Otremby. Bo jak inaczej nazwać to, czym się zajmował?

W pamięci szukała chwil, w których mogła zobaczyć Grzegorza rozmawiającego na osobności z Nubińskim. Z trudem przypomniała sobie jedno takie zdarzenie sprzed kilku miesięcy, prawdopodobnie z lutego.

Późnym popołudniem Grzegorz pożegnał się z nią i wyszedł z gabinetu. Pół godziny później, kiedy sama wyłączyła komputer i nałożyła bejsbolówkę, zastała obydwo na półpiętrze. Rozmawiali szeptem. Grzegorz, usłyszawszy kroki na schodach, puścił się na dół. Widziała jego plecy, czerwoną bluzę i dłoń na poręczy, a kiedy wyszła z komisariatu, dostrzegła tył jego samochodu i jasny dym z rury wydechowej, który zawisł nad asfaltem. Ale zanim wyszła na zewnątrz, zatrzymała się i zagadnęła z uśmiechem Rycha. Spytała go o to, czy rozmawiał z Grzegorzem, a ten zdenerwowany prychnął coś pod nosem, po czym machnął ręką i kazał jej spierdalać.

Myślała o tym teraz, jedząc obiad.

Musieli działać razem, i to po kryjomu. Nie wiedziała tylko dlaczego. Była przekonana, że odpowiedź znajdzie w notatkach Grzegorza.

Odłożyła naczynie do zlewu, zalała je wodą i odrobiną gęstego płynu do naczyń. Zabrała z lodówki drugą puszkę redbulla i otworzyła ją w drodze do salonu.

Gaz uciekł z cichym syknięciem.

Usiadła przy ławie i przyjrzała się pozostałym zapiskom Otremby. Część z nich była zupełnie niezrozumiała. Skalka trafiła też na kilka inicjałów, których nijak nie umiała odszyfrować. A kluczem do rozwiązania zagadki była wiedza ukryta w teczkach z materiałami poświęconymi sprawie zaginięcia Justyny i Marcina.

Skalska zatrzymała się na dwóch wpisach z lutego i marca bieżącego roku.

W pierwszym z nich Grzegorz opisał krótkie spotkanie z ojcem Marcina Korczyńskiego, Wiktoorem. Policjant twierdził, że stary Korczyński jest dupkiem, zadufanym w sobie biznesmenem, który – jak to określił – „w tej sprawie coś ukrywa”. Poniżej widniało szybko nakreślone wielkimi literami jedno słowo: „alibi”, poprawiane wielokrotnie, po którym następował ciąg znaków zapytania.

Nieco dalej Skalska znalazła inną notatkę, zapisaną niezbyt wyraźnym pismem. Odczytała hasło „plotka” i kolejne dwa wyrazy: „lubiła starszych????”. Po myślniku Grzegorz dopisał drukowanymi literami: „może ojciec”.

Skalka się strapiła.

Domyśliła się, że Grzegorzowi chodziło o potencjalny romans dziewczyny z ojcem Marcina. Czy to było w ogóle możliwe?

Przepisała te informacje do swoich notatek, ale nie dała im wiary, i przebiegła wzrokiem pozostałe zapisy.

Grzegorz odnotował na marginesie, że obecność Korczyńskiego na europejskich targach logistycznych w Monachium, na których miał przebywać w chwili, gdy doszło do zaginięcia syna,

została potwierdzona przez jego podwładnych. Jeden z nich, pracujący już poza branżą, stwierdził, że po wystawnej kolacji z kontrahentami z Rosji Korczyński narzekał na ból głowy i szybko zadekował się w pokoju, gdzie miał leczyć kaca. Pracownik wyjaśnił jednak, że po pierwsze, Korczyński wcale nie wypił dużo alkoholu, a po drugie, od samego rana nie widziano jego samochodu pod hotelem. Wóz pojawił się tam później, ale mężczyzna nie był w stanie określić kiedy. Szef zrzucił natomiast niewyspanie na chorobę, dlatego zamierzali przedłużyć pobyt o jeden dzień. Ale ostatecznie zapakowali się do samochodu wieczorem, bo żona zaalarmowała Korczyńskiego o zaginięciu syna. Pędził na złamanie karku, ale był milczący i skupiony na drodze. Z rzadka gdzieś dzwonił, jeśli już, to wyłącznie podczas chwilowych postojów na stacjach benzynowych, z dala od pracowników. Po dotarciu do Torunia zamówił pracownikom taksówki, na które czekali na dworcu, a sam pognął do domu.

Skalska wynotowała najważniejsze informacje i przyjrzała się ostatnim obszernym zapiskom w tej sprawie. Dotyczyły rozmowy Otremby z Rafałem Beckerem.

Grzegorz próbował ustalić, z jakiego powodu Becker zatrudnił się w firmie Korczyńskiego, skoro po latach tragedia poróżniła obie rodziny. Mężczyzna wił się pod gradem pytań, po czym przerwał rozmowę z policjantem i wysiadł z samochodu, trzaskając drzwiami.

Z notatki wynikało, że Otremba czekał na Beckera na dworcu w Chełmży. Zaprosił go na przejażdżkę, w końcu zatrzymali się z dala od zabudowań, Grzegorz wjechał w pełną drogę i zgasił silnik. Zadał kilka standardowych pytań, na które Becker odpowiadał uprzejmie i bez zbędnych emocji. Co najwyżej był nieco spięty.

Skalska podkreśliła ten wątek w swoich notatkach i czytała dalej.

Otremba skupił się na Korczyńskich i wzajemnych relacjach obu rodzin, ale Becker nie powiedział w tej kwestii niczego nowego. Potwierdził, że pierwotnie zjednoczyli siły w poszukiwaniach, ale później Korczyńscy stali się zbyt natarczywi i nachalni, zbyt często nagłaśniali sprawę w mediach, a to nie przynosiło niczego dobrego. Beckerowie otrzymywali wiele mylnych sygnałów, które natychmiast przekazywali policji. Żaden jednak nie przybliżył ich do prawdy o losie Justyny. Dobijało ich to. W końcu, za namową syna, Beckerowie odcięli się od Korczyńskich i postanowili przeżywać tę tragedię z dala od błysków fleszy. Wciąż wierzyli w odnalezienie córki i siostry żywej, podczas gdy Korczyńscy, gdy od zaginięcia upływało coraz więcej czasu, modlili się wyłącznie o znalezienie ciała.

Otremba w rozmowie z Rafałem Beckerem wrócił do jego relacji z siostrą. Robił to na wyraźne polecenie „R.”. Pytał, jak często się spotykali, kiedy i w jakich okolicznościach Becker dowiedział się o tym, że Justyna zakochała się w Marcinie Korczyńskim. Mężczyzna odpowiadał na pytania, ale Otremba odnotował, że rozmówca zdradzał oznaki stresu. Częściej rozglądał się na boki, pocierał wewnątrz spoconych dłoni, drapał się po karku.

Policjant zapisywał odpowiedzi hasłowo i od myślніка. Skalska przeczytała je po kolei: „Trzy miesiące później”, „powiedziała w domu”, „poznał go kilka tygodni potem”, „normalny chłopak”.

Dopiero ostatnie pytanie sprawiło, że Becker prychnął i wysiadł z samochodu, zatrząskując za sobą drzwi.

Skalska przeczytała je na głos.

„Czy byłeś zazdrosny o swoją siostrę?”



Godzinę później, kiedy ochłonał po rozmowie z synem, komisarz Gross stanął pod blokiem Malwiny Lemańskiej. Wpatrywał się na przemian w okna jej mieszkania i poszarzałe od dołu

niewielkie chmury. Pojawiały się nad blokiem i uciekały, pchane zimnym wiatrem daleko za jego plecy.

Skorzystał z okazji, gdy z pierwszej klatki wyszedł grubszy mężczyzna w kaszkiecie na głowie. Policjant podbiegł i w ostatniej chwili chwycił zamykające się drzwi. Wszedł na drugie piętro i stanął na wycieraczce przed mieszkaniem bibliotekarki. Długo nasłuchiwał, a dopiero potem zapukał. Oczekał i ponownie uderzył kilkukrotnie kłyciami w emaliowane drzwi, tym razem głośniejsze.

Drgnął, gdy usłyszał za plecami zgrzyt zamków.

Energiczna emerytka wyszła na klatkę schodową z kluczami w ręku. Szybkim ruchem poprawiła krótkie fioletowe włosy.

– A pan to, za przeproszeniem, do kogo? – zapytała, przekrzywiając nieco głowę.

– Do Malwiny Lemańskiej – odparł.

– Nie ma jej. – Kobieta podeszła bliżej, wciąż ściskając klucz w spracowanej dłoni. – A czy pan nie jesteś czasem tym jej kuzynem z Bielska, co tyle mi o nim opowiadała?

Zastanawiał się nad odpowiedzią. W pewnej chwili miał ochotę sięgnąć po policyjną odznakę, żeby skrócić tę rozmowę do najistotniejszych szczegółów, ale uznał, że zrobi to wyłącznie w ostateczności.

– Nie. – Pokręcił głową. – Po prostu się znamy i widzimy od czasu do czasu. Mieszkam w pobliżu.

Twarz kobiety się rozchmurzyła.

– No to gratuluję, test pan zdał. Malwinka żadnego kuzyna w Bielsku nie ma. – Zaśmiała się serdecznie. – A gdyby tylko spróbował go pan udawać, już bym po gliny dzwoniła!

Gross starał się uśmiechnąć, ale na jego twarzy pojawił się nieokreślony grymas.

– Nie odpowiada na moje telefony i esemesy – wyjaśnił.

Kobieta ponownie mu się przyjrzała.

– To co żeś pan przeskrobał? – Na powrót przybrała poważną minę, a potem, kiedy Gross milczał, kolejny raz się zaśmiała. – Dobra, nie moja sprawa, mnie się pan tłumaczyć nie musisz.

– Wie pani, gdzie ją znajdę?

– Ja tu tylko jej kwiatki podlewam i nic mówić nie będę. – Kiwnęła na niego ręką, żeby zszedł z drogi.

Gdy zrobił, o co prosiła, podeszła do drzwi mieszkania Lemańskiej i weszła do środka. Przez chwilę widział jasny korytarz i niską, stylową komodę na której stały kwiat o szerokich liściach oraz zegar kominkowy. Potem drzwi się zamknęły i Gross został sam na klatce. Postać chwilę i popatrzył w wizjer. Kobieta, był tego pewien, przyglądała mu się uważnie. Mimo to nie zszedł na parter. Wciąż stał w tym samym miejscu, w pobliżu schodów prowadzących na półpiętro, i czekał.

W końcu drzwi drgnęły.

– Pan mi na zakochanego wyglądasz – westchnęła. – Ciesz się, że cię znam, łaskawy panie. Widziałam was kiedyś razem przez okno. Ale musisz mi pan wybaczyć, Malwinka nie upoważniła mnie, żeby zdradzać, gdzie przebywa – dodała oficjalnym tonem.

– Nic jej nie jest? – spytał.

– Niczego się pan ode mnie nie dowiesz – powiedziała głośno, a potem kiwnęła na niego palcem, żeby się zbliżył. Wtedy się nachyliła i wyszeptowała: – Jest w szpitalu, na chirurgii. Idź pan do niej. – Mrugnęła i odsłoniła w uśmiechu sztuczne uzębienie. – A teraz żegnaj pana. – Zamknęła mu drzwi przed nosem.



Wykorzystał swoje znajomości i jeszcze w drodze do szpitala ustalił ze znajomą lekarką, gdzie przebywa Lemańska. W sklepiku przy izbie przyjęć kupił dwa banany, sok i jogurty oraz jedną z zafoliowanych kobiecych gazet wraz z powieścią obyczajową Jojo Moyes, po czym dostał się na oddział i odszukał odpowiednią salę.

Przez uchylone drzwi widział trzy łóżka. Dwa po lewej były zajęte, na trzecim dostrzegł tylko zmiętą pościel i wygniecioną pośrodku dużą poduszkę. Wiszący na ścianie telewizor był włączony. Jedna kobieta wpatrywała się w ekran, druga pochrapywała na boku, przykryta po szyję kołdrą i kocem.

Kiedy Gross wszedł głębiej, pacjentka przeniosła wzrok z telewizora na nieznanego.

Przywitał się i powiedział, kogo szuka.

– Jest na badaniach – odparła wychudzona kobieta ubrana w domowy szlafrok frotté, spoglądając na zegarek. – Ale powinna niedługo wrócić.

Gross podziękował i się rozejrzał.

– To jej łóżko? – spytał, wskazując na wolne pościelone.

Kobieta pokiwała głową.

Na stoliku nocnym leżała napoczęta paczka chusteczek higienicznych i złożone okulary. Rozpoznał je od razu.

Tak często patrzył przez szkła tych okularów w jej mądre i spokojne oczy, pełne uśmiechu mimo straty, która przed laty ją dotknęła. Zastanawiał się, jak udało jej się odzyskać równowagę. Ile trzeba mieć w sobie pokładów nadziei, ale też miłości do życia, żeby każdego dnia zarażać uśmiechem innych, dzielić się nim, niczego nie oczekując w zamian.

Przypominał sobie te pierwsze chwile, kiedy ukradkiem się jej przyglądał w bibliotece. Niby wodził wzrokiem po grzbietach książek, które wybierał do czytania żonie, otwierał je i udawał, że kartkuje i czyta, a tak naprawdę spoglądał nad regałami w jej stronę. Siedziała ze wzrokiem utkwionym w ekranie albo, kiedy ktoś wchodził do czytelnicy, wstawała, żeby porozmawiać i polecić dobrą powieść. Szła z czytelnikiem do regału, odnajdywała książkę, kuciała po kolejną. Jej wewnętrzne światło, zauważalne w oszczędnych ruchach i delikatnym uśmiechu, było prawdziwym blaskiem. I już wtedy policjant wiedział, że radość w rysach jej twarzy i piwnych oczach nie mogła być żadną maską.

Gross zdał sobie sprawę, że tęsknił za Malwiną Lemańską.

Tęsknił za jej głosem i spokojem, którego szczególnie teraz, po rozmowie z synem, tak bardzo potrzebował.

„Jesteś śmierdzącym tchórzem”.

„Jeb się, ojciec”.

Słowa wciąż eksplodowały w jego głowie. Nie pierwszy raz przekonał się, że potrafią być ostrzejsze niż nóż i ranią znacznie głębiej.

Czy syn miał rację?

Bał się odpowiedzi na pytanie tylko dlatego, że ją znał. Przecież go zostawił i odtrącił, chociaż wcale tego nie chciał. Po prostu nie umiał się nim zająć tak, jak powinien to zrobić kochający ojciec. Gdyby wtedy się postarał, gdyby spróbował, wszystko mogłoby wyglądać inaczej.

Ale nie mógł zmienić przeszłości, nie mógł cofnąć czasu i nie mógł sprawić, by tamtego dnia dziesięć lat temu Agnieszka nie miała migreny. Nie mógł już nic zrobić z tym, że przez tę jej cholerną migrenę nie pojechała wtedy razem z nim i Bartkiem na zakupy i nie ocalała własnego zdrowia.

Wówczas, kiedy zapadł zmierzch i ciężki deszcz ciał z ukosa, wrócił razem z Bartkiem z zakupów. Wyjęli pękate reklamówki z bagażnika samochodu zaparkowanego przed bramą i ruszyli w stronę furtki. Gross spojrział w zaciemnione okna domu i po chwili usłyszał krzyk. Ciężkie siatki wypadły mu z rąk. Rzucił się do uchylonej furtki, zostawiając syna za sobą. Wtedy po raz pierwszy porzucił jedenastolatka na pastwę losu. Zamiast zadbać o jego bezpieczeństwo, ukryć go w samochodzie, naraził syna na długotrwały stres i śmiertelne niebezpieczeństwo. Niestety, w ogóle o tym nie pomyślał. Jak w amoku pognął do domu, wykrzykując imię żony. Drzwi wejściowe były otwarte i światło wylewało się na mokry chodnik. Gross przystanął i nasłuchiwał. Zdawało mu się, że

jakiś nieokreślony dźwięk dochodził z góry. Pognał po schodach i kiedy spojrzął na uchylone drzwi do sypialni, w której panowały ciemności, już wiedział, że za chwilę jego świat runie. Pchnął je energicznie i zobaczył siedzącego okrakiem na żonie mężczyznę w kominiarce. Z niezwykłą siłą przytrzymał poduszkę na jej twarzy, chociaż ona już nie walczyła i się nie broniła. Jej dłoń, z podkurczonymi palcami, jakby trzymała niewidzialną piłkę, zwisała swobodnie nad podłogą.

Do tego momentu pamięć go nie zawodziła. Ale to, co się działo później, zapamiętał jak kadry z filmu, przedzielone czarnymi stopklatkami. Wiedział, że rzucił się na bandytę i z nim walczył. Potem w kuchni trzymał w dłoni nóż i próbował nim zadać cios napastnikowi, ale ten się odwrócił i ostrze przecięło czarną kurtkę i skórę na prawej łopatce. W domu rozbrzmiał krótki gardłowy krzyk, po którym nastąpiła kolejna wyrwa w jego pamięci. Nie wiedział, co się wtedy działo z żoną i synem. Nie wiedział, dlaczego znalazł się na zewnątrz i jakim cudem celował policyjnym waltherem w plecy uciekiniera, skoro jego broń znajdowała się w firmowym depozycie. Nie miał jednak czasu, bo człowiek w kominiarce uciekał. Gross pociągnął za kurek spustowy i w sekundzie, w której wybrzmiał wystrzał i siła odrzutu uniosła obie dłonie, wydarzyły się jeszcze dwie rzeczy. Zauważył, że na linii strzału, po drugiej stronie ulicy, szła kobieta. Coś nagle nią szarpnęło, a on, uderzony tępym narzędziem w głowę, nie doczekał momentu, kiedy bezwładnie padła na ziemię, bo pod nim kolana ugięły się wcześniej.

Był przekonany, że to właśnie tamtego wieczora stracił żonę i syna i że zabił Bogu ducha winną kobietę.

Od tamtego czasu ta trauma toczyła go jak rak. Śledczy z Poznania oczyścili go jednak z zarzutów, uznając, że kąt wejścia pocisku w ciało młodej matki nie odpowiadał miejscu odnalezienia nieprzytomnego Grossa. Na tej podstawie uznali, że kobietę zabił ktoś inny i że sprawców napadu na dom Grossa było dwóch. To właśnie ten drugi miał ogłuszyć ówczesnego aspiranta sztabowego Komendy Miejskiej Policji w Toruniu.

Sprawa od lat tkwiła w martwym punkcie. Sprawców napadu nie odnaleziono, tak samo jak broni, z której zginęła młoda matka. Zabezpieczono natomiast trzy łuski i jeden pocisk. Ten znaleziony w jej ciele.

Gross się zastanawiał, czy to możliwe, żeby chybił.

Wciąż zadreślał się tym pytaniem.

– Proszę pana. – Głos kobiety wytrącił komisarza z rozmyślań.

Odwrócił się do niej.

Zorientował się, że przez dłuższy czas stał w kompletnym bezruchu, jakby zapadł w katatonię.

– Nic panu nie jest?

Zaprzeczył.

Wyjął z reklamówki dwa jogurty, dwa banany oraz sok i ustawił je na stoliku. Gazetę z książką położył niżej, pod szufladą, tam, gdzie spoczywały szczotka do włosów, niewielkie skórzane etui na przybory do manicure oraz biała ładowarka do telefonu ze zwiniętym kablem.

Zmiał worek foliowy w kulkę i wsunął do kieszeni, w której tkwiła jego komórka.

– Od dawna tu leży? – spytał, podszedłszy do łóżka pacjentki leżącej przy drzwiach.

Druga z kobiet wciąż spała.

– Od czwartku.

– Wie pani, co się jej stało?

– Nie mówiła. Ale miała kilka konsultacji ginekologicznych.

– Ginekologicznych?

– Tak, przychodził tu doktor Wiśniowski, mój lekarz z przychodni. Więc pewnie chodziło o sprawy kobiece.

– Tak – powiedział, kiwając głową. – Sprawy kobiece.

Po czym wyszedł na opustoszały korytarz.

Odczekał kilkanaście minut, a potem podszedł do punktu pielęgniarskiego. Starsza, tęgawa pielęgniarka w białym kitlu i okularach na nosie przywitała się z nim wesoło. W jej okrągłej twarzy

Gross dostrzegł serdeczność. Zapytał, kiedy wróci Lemańska.

– Trudno mi powiedzieć. Powinna już być. Niech pan jeszcze poczeka na korytarzu. To nie może długo potrwać.

Podziękował jej i odszedł w kierunku rzędu plastikowych krzeseł pod emaliowaną ścianą. Nie zdążył jednak usiąść, bo zadzwonił jego telefon.

– Dzień dobry, Wiktor Korczyński z tej strony. Dzwonił pan do mnie z rana i nagrał się na sekretarkę.

– Dzwoniłem – potwierdził policjant. – Musimy się spotkać.

– Teraz?

– Tak. – Gross spojrzął na zegarek. – Za pół godziny mogę być w Toruniu.

– A co to za pilna sprawa?

– Nie żyje jeden z byłych pracowników pańskiej firmy.

– Ale czy mam z tym coś wspólnego? – spytał mężczyzna szczerze zdziwiony. – Chyba nie chodzi o Rafała Beckera, co? – zaniepokoił się.

Gross milczał.

– Halo, panie komisarzu? Chodzi o Beckera?

– A dlaczego właśnie on przyszedł panu do głowy? – spytał komisarz cicho, rozglądając się po pustym korytarzu.

– Zapewne dobrze pan to wie – sapnął Korczyński i cmoknął. – Cholera jasna – rzucił wreszcie.

– Dobra, tylko niech się pan pośpieszy, bo wyjeżdżamy z żoną na weekend.

– Dokąd mam przyjechać?

– Wyjeżdżam właśnie z firmy, więc najlepiej będzie, jeśli spotkamy się u mnie w domu.

Korczyński podał adres, a Gross schował komórkę.

Ponownie rozejrzał się po korytarzu, po którym niosły się ciche dźwięki z radia albo telewizora, pokasywanie kogoś z pacjentów i mlaskanie crocksów na gumolicie.

Wyciągnął niewielki, pomięty na rogach notes i wyrwał z niego kartkę. Skreślił kilka słów i wszedł do sali. Położył ją pod okularami Lemańskiej i spojrzął na swoje niezbyt staranne pismo.

„Przepraszam za środę. Bernard”.

Chciał dopisać słowo „tęsknię”, ale ostatecznie tego nie zrobił.

Skinął nieznacznie głową kobiecie oglądającej telewizor i wyszedł.



Aspirantka Monika Skalska nie mogła usiedzieć w domu.

Zabrała materiały Otremby, spakowała je do teczki i zameldowała się w komisariacie, czując, jak mroźny wiatr napiął jej skórę twarzy. Dłonie miała zgrabiące.

– Co ty tu robisz? – spytał dyżurny, kiedy uchylił okienko.

– Rychu jest na warcie? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

– Jaja se robisz? Przecież Rychu weekendy spędza w domu. Żył sobie nie wypruwa. – Puścił do niej oko. – A po co ci on?

– Nieważne. – Otworzyła drzwi, gdy dyżurny zwolnił blokadę.

Komisariat był pusty i cichy. Zauważyła jednak uchylone drzwi do pokoju naczelnik prewencji, podkomisarz Aleksandry Jojczyk. Ta stanęła właśnie w drzwiach z czajnikiem w dłoni.

– O, Skalka! – Uśmiechnęła się krótkowłosa, farbowana blondynka, ubrana po cywilnemu, ale z najwyższą elegancją. Wbiła się w obcisłe czarne dżinsy, które podkreślały jej nienaganną figurę i długie nogi. – Wejdiesz na chwilę?

– To pilne? – spytała Skalska.

– Wejdz, proszę, przyniosę sobie wody i zaraz wracam. – Ruszyła do socjalnego, stukając niebieskimi szpilkami.

Skalska przekroczyła próg nowoczesnie umeblowanego gabinetu z kilkoma obrazami wprost z Ikei, ale nie usiadła. Oparła się o ścianę i odczekała kilka minut, bo widocznie szefowa prewencji musiała skorzystać z toalety. Wyglądała przez okno wprost na szary mur dzielący jednostkę od komendy straży pożarnej i fragment nieba rozpiętego nad Chełmżą, które coraz gęściej przesłaniały brzemienne w deszcz chmury.

Sięgnęła do kieszeni po gumę i po chwili poczuła przyjemny, orzeźwiający smak mięty.

Powrót Jojczyk oznajmił narastający stukot jej obcasów.

– Siadaj, proszę.

Skalska nie ruszyła się z miejsca.

– Masz dziś wolne, prawda? – Podkomisarz podeszła do komody, na której stała podstawka czajnika elektrycznego. Odstawiła go i włączyła, a wtedy rozświetlił się na niebiesko.

– Tak, ale wiesz, jak to jest. W godzinach pracy nie ogarniesz – próbowała zażartować Skalska.

– No wiem. W końcu też nie przyszłam tu z własnej woli, nie? – Jojczyk zaśmiała się krótko.

Aspirantka sztabowa spojrzała na jej pozbawione papierów biurko.

– Przyszedłś niedawno? – spytała, odkładając w czasie to, co miało nastąpić.

– Tak. I zamierzam zacząć od dobrze zaparzonej kawy. Napijesz się ze mną? – Kucnęła, by wyciągnąć z szafki elegancką filiżankę na spodku, paczkę mielonej kawy i niewielki zaparzac.

– Dzięki, jestem już po. Poza tym chciałabym się szybko uporać z robotą – skłamała Skalska, po czym zapadło krępujące milczenie.

Czajnik zaszumił cicho.

Odwróciwszy się do Skalskiej, Jojczyk oparła się biodrami o mebel i skrzyżowała ręce.

– Martwię się o Bernarda – wyznała, co Skałka przyjęła z wyraźną ulgą, bo sądziła, że Jojczyk dowiedziała się już o jej działaniach w sprawie Płockich, mieszkańców kamienicy w chełmżyńskim Ryнку.

– Masz coś konkretnego na myśli?

– Chodzi mi o to, że jest świetnym gliną, ale, jak zapewne wiesz, nie ma dobrych notowań w komisariacie – wyznała Jojczyk.

– Komisarz Śmierć? – dopytała Skalska.

– Tak, to też. Najpierw Otremba...

Skałka poczuła, jak zalewa ją fala gorąca, i ucieszyła się, że nie zdjęła bejsbolówki.

– Potem Stefański – kontynuowała Jojczyk. – A do tego śmierć Brandola i jego pogrzeb. To się wszystko kumuluje.

– Kumuluje?

– Mówię ci tylko to, co sama słyszę.

– Mówisz mi to, co dotyczy twojego pionu. W kryminalnym nikt nie ma z tym problemu.

– Doprawdy? – Uśmiechnęła się z wyższością.

Woda zabulgotała. Jojczyk wsypała dwie łyżeczki kawy do zaparzacza i zalała go wrzątkiem.

– A Łoniewicz i Nubiński?

Skalska nigdy nie słyszała, by robili Grossowi pod górkę.

– Jesteś pewna? – zainteresowała się.

W odpowiedzi Jojczyk pokiwała jedynie głową.

– Sama słyszałam. Kłopot w tym, że ta niechęć narasta.

– Tylko dlatego, że jest wymagający i skuteczny – zripostowała Skalska.

Jojczyk się zaśmiała.

– Wiesz, że go lubię, że imponuje mi na wielu polach, głównie sposobem podejścia do tej roboty. Uwielbiam jego nieustępliwość, ale komisariat żyje jednak swoim życiem. Nie muszę ci tego mówić.

- Nie musisz, ale mówisz.
- Tak, bo w prewencji rzeczywiście to się nasila.
- To zrób z tym porządek – wypaliła Skalka.

Jojczyk odwróciła się do komody, odcisnęła fusy i przelała napar do filiżanki. Podsunęła ją sobie pod nos i napawała się aromatem.

– My lubimy czyste sytuacje i nikomu nie mieszamy się do roboty. A wy, kryminalni, wszystkie zasady macie w dupie, prawda? – Podkomisarz zmrużyła oczy.

Skalska wytrzymała to spojrzenie.

– Powiesz mi, dlaczego tak jest? – Z twarzy Jojczyk zniknął przymilny uśmiech.

– W komisariacie nie ma lepiej poinformowanej osoby od ciebie – odparła aspirantka sztabowa, nie przestając żuć gumy.

– To sarkazm czy zwykła złośliwość?

– To prawda.

Jojczyk straciła chwilowo rezon. Wykorzystała ten czas na posmakowanie kawy. Dopiero potem odstawiła spodek z filiżanką na biurko i ułożyła się wygodnie w wysokim fotelu.

Ponownie skrzyżowała ręce, spoglądając na jeden z obrazów przedstawiających słynny most w San Francisco, którego przęsła znikają w gęstej mgle, jak droga prowadząca donikąd. Skalska miała wrażenie, że fotos jest alegorią ich rozmowy.

– Moniko – zaczęła Jojczyk, która nigdy w ten sposób nie zwracała się do niższej stopniem funkcjonariuszki. – Masz rację. Wiem wszystko, co powinnam wiedzieć, ale nie wszystko rozumiem.

Aspirantka sztabowa wydmuchała balon i czekała na dalszy ciąg.

– Tak jak nie rozumiem, dlaczego ty i Bernard zajmujecie się sprawą Płockich z kamienicy w Rynku. Możesz mi to wyjaśnić? – Jojczyk napiła się kawy, zostawiając na ściankach naczynia ślad czerwonej szminki.

Wytarła go opuszką.

Zamiast odpowiedzieć, Skalska pokręciła głową.

– Dlaczego?

– Bo sama chciałabym to wiedzieć – stwierdziła i wypuściła kolejny balon.

– A jeśli coś przede mną ukrywasz?

Skalska poczuła, jak narasta w niej złość.

– Byłaś kiedykolwiek u Płockich? Widziałaś siniaki na rękach ich kilkuletniego syna?

Jojczyk zrobiła wielkie oczy.

– Więc nie byłaś. Byli twoi ludzie, ale nie ty. I powiedz mi, co zdecydowaliście?

– Nie przeginaj. – Naczelniczka wydziału prewencji podniosła głos. – Sprawa toczy się swoim rytmem.

– A jaki to rytm?

– Robimy wszystko zgodnie z procedurami.

– Katowanym dzieciom też to powiesz? – Skalska wypuściła balon.

Jojczyk uniosła palec wskazujący, którego paznokieć błyszczał na niebiesko. Krótka walczyła z myślami.

– Nie prowokuj mnie. Poprosiłam cię tu, żeby raz jeszcze ustalić pewne zasady.

– Ale po co? – przerwała jej Skalska z sarkastycznym uśmiechem. – Dobrze wiesz, że mamy je w dupie.



– Proszę, niech pan wejdzie. – Wiktor Korczyński, sześćdziesięciokilkuletni, krzepki mężczyzna z żyłastymi bicepsami, odsunął nogą walizkę stojącą w korytarzu. – Przepraszam za bałagan, ale mówiłem panu, że wyjeżdżamy. Pakujemy się.

– Urlop?

Korczyński skrzywił się i machnął ręką.

– Zaledwie krótki wypoczynek. – Podciągnął markowe, dresowe spodnie na koszulkę lokalnego klubu piłkarskiego, którego był sponsorem, na co wskazywał logotyp firmy Korczyńskiego, Kor-stalu, umieszczony na piersi.

Weszli do kwadratowego, przechodniego pomieszczenia po prawej, które nie było ani jadalnią, ani korytarzem. Pośrodku stał czarny i lśniący politurą stół. Po jednej jego stronie ustawiono krzesła, po drugiej, przy bocznych ścianach – zaprojektowaną na wymiar ławkę. Grossowi wyglądało to na miejsce spotkań z obcymi ludźmi, listonoszem, kimś, kogo nie zaprasza się do kuchni, a już na pewno nie do salonu.

– Pan siada. – Korczyński wskazał krzesło. – Kawy się pan napije?

– Dziękuję. – Gross wyciągnął notatnik i usiadł.

– A ja się napiję. Głowa mnie coś pobolewa, chyba znowu będzie lało – jęknął i wyszedł drugimi drzwiami do kuchni.

Dzienne światło, wpadające przez okno za plecami Grossa, kładło na lśniącym meblu wydłużony cień komisarza. Na środku stołu leżała niewielka serweta. Na niej stał szklany wazon pełen herbacianych róż. Kilka płatków już z nich opadło, a łodygi moczyły się w mętnawej, zielonkawej wodzie.

Z kuchni dobiegł zgrzyt młynka mielącego kawę, a potem syk mleka wypływającego pod ciśnieniem.

Korczyński wniósł tacę, na niej latte w szklance na wysokiej stópce i srebrną, bogato zdobioną cukiernicę. Ułożył papierową serwetkę na blacie, a dopiero potem ustawił na niej kawę. Tak samo zrobił z cukiernicą. W końcu usiadł i posłodził napój.

A potem wychylił się w kierunku korytarza.

– No, Olga, idziesz wreszcie? – krzyknął w głąb domu.

Padła krótka odpowiedź, której Gross nie zrozumiał. Czekał więc spokojnie. Wykorzystał ten czas na obserwację mężczyzny średniego wzrostu, z błyszczącą łysiną i ciemnym zarostem okalającym usta. Silne przedramiona pokrywał gąszcz ciemnych włosów. Mieszając wolno napój, Korczyński wpatrywał się szklankę.

– Jak to się stało? – spytał, nie podnosząc głowy.

Komisarz usłyszał kroki, więc nie zdążył odpowiedzieć. Olga Korczyńska, szczupła, farbowana blondynka ze sztucznie kręconymi włosami, przywitała się z Grossem, podając mu mięką i ciepłą dłoń. Usiadła nieco dalej od męża.

– O co chodzi? – spytała, spoglądając raz po raz na obu mężczyzn.

Korczyński skończył mieszać kawę.

– Becker nie żyje – stwierdził.

– Rafał Becker? – Wyglądała na zupełnie zaskoczoną. – Jak to się stało?

Gross nie odnotował na jej twarzy ani żalu, ani smutku.

– Na pewno chodzi o brata Justyny? – upewniła się.

– No a o kogo, jak nie o niego? – zdenerwował się Korczyński.

– A co my mamy z tym wspólnego? – zwróciła się do Grossa.

Komisarz zerknął w notes, a potem spojrział na małżonków.

– Z końcem sierpnia stracił pracę w Kor-stalu – oznajmił policjant.

Ona nie zareagowała, a on potwierdził skinieniem głowy i upił łyk kawy.

– Dlaczego? – spytał policjant.

Mężczyzna zbierał myśli.

– Zabił się? – Biznesmen nie dowierzał.

Gross miał wrażenie, że oboje nie wyglądali na przejętych śmiercią Beckera.

Blondynka skrzyżowała ręce pod biustem.

– Wyjaśniamy sprawę jego śmierci – odparł komisarz.

– Wyjaśniamy? – Korczyński poruszył się na ławce. – Czyli że co? Ktoś go zamordował?

Gross sięgnął po notatnik.

– Kiedy poznali państwo Rafała Beckera? – spytał, ignorując pytanie gospodarza domu.

Korczyński uniosł dłonie.

– Uuuu... Chwila, chwila. Momencik – zaoponował. – Nie mamy czasu na długie rozmowy.

Mówiłem już, zaraz wyjeżdżamy.

– Dokąd konkretnie?

– Do Gdańska.

– Na jak długo?

– Do wtorku.

– Do wtorku – powtórzył Gross wolno i zanotował datę w notesie. – W takim razie rozumiem, że nie chciałby pan przerywać pobytu tylko po to, by w poniedziałek stawić się w komisariacie, prawda?

Korczyński pokręcił z niedowierzaniem głową.

– To tak nie działa i nie ma pan takiej mocy sprawczej – odrzekł. – A poza tym szantaż nie przystoi oficerowi policji, prawda? – Rozsiadł się wygodnie na ławce, która zatrzeszczała pod jego ciężarem. Położył rękę na oparciu. – Niech pan po prostu szybko skończy cały ten cyrk – poprosił.

Gross przyglądał mu się badawczo.

– Kiedy poznali państwo brata Justyny Becker, Rafała? – spytał po chwili.

Zauważył, że Olga Korczyńska myślami była daleko stąd. Wreszcie schowała twarz w dłoniach i potrząsnęła głową. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, miała wilgotne oczy.

– Przyjechał tu kiedyś z Justyną. Właściwie można powiedzieć, że ją odprowadził – oznajmiła, patrząc przez okno.

W pokoju, w którym siedzieli, zrobiło się ciemniej. Słońce musiało schować się za gęstniejącymi chmurami, które zbierały się nad zachodnią częścią miasta. Cień, który do tej pory rzucał Gross, niemal zupełnie znikł.

Kobieta sięgnęła po leżący na serwetce płatek róży i bezwiednie zaczęła się nim bawić.

– Widziałam ich przez wideofon, jak stali przy furtce. Rafał kiwnął Justynie na pożegnanie i zaczął odchodzić w głąb osiedla. Ale udało mi się zaprosić ich na lemoniadę. Chciałam go poznać, Justyna dużo o nim mówiła.

– Byli zgodnym rodzeństwem? – wtrącił Gross.

– Kto to panu powiedział?

– A było tak?

– Może.

– Może?

Przygryzła wargę.

Jej smukłe palce przesunęły się gładko w górę po opalonym przedramieniu.

– Rzeczywiście wyglądali na zgodne rodzeństwo. Ale odniosłam wrażenie, że... – Przerwała i popatrzyła na komisarza.

Gross uznał to za wymuszoną przerwę, dlatego nie zachęcał, żeby kontynuowała. Czekał spokojnie.

– Że Rafał był o nią zazdrosny – wyznała.

– W jakim sensie?

– No, tak po prostu. Nie umiem tego inaczej nazwać.

– Czym się to objawiało?

– Chciał być wszędzie tam, gdzie jego siostra. Zawsze tak było. Marcin się na to skarżył.

Często za nimi chodził, nie odstępował ich na krok.

– Komu się skarżył? Pani czy swojej dziewczynie?
– Pewnie i mnie, i jej.
– I co pani z tym zrobiła?
– Ja? – Przyłożyła dłoń do piersi.
– Porozmawiała pani z Beckerem?
– Nie, ale rozmówiłam się z jego siostrą, która uznała, że wyolbrzymiam problem. Pokłóciła się później o to z Marcinem. Dlatego nigdy więcej nie wracaliśmy do tego tematu.

Gross jeszcze raz zapytał o wizytę rodzeństwa.

– To był początek znajomości Marcina z Justyną – odparła Korczyńska. – Mogli być ze sobą miesiąc, góra dwa.

– Jak wtedy odebrała pani brata Justyny?

– Jako ułożonego, dobrze wychowanego chłopaka.

– Pomijając aspekt zazdrości, czy cokolwiek budziło państwa niepokój?

– Nie – odparła kobieta, a mąż się z nią zgodził.

– Ale po zaginięciu państwa syna coś już się w tym jego zachowaniu zmieniło, prawda?

Korczyńska położyła płatek róży na blacie i rozprostowała go, a następnie wygładzała opuszką.

Korczyński wysunął język, którym przesunął po górnej wardze. Siedział w napięciu i Gross tylko czekał, kiedy się odezwie.

– Panie komisarzy – zaczął, marszcząc czoło. – Czy naprawdę musimy do tego wracać? Co roku rozdrapujecie to wszystko. Co roku ktoś od was tu przyłazi i stale pyta o to samo. Przecież gdybym sobie coś przypomniał... – Zacisnął pięści. Mięśnie szyi wyraźnie się napięły. – Gdybym przypomniał sobie coś, co pomogłoby nam zwrócić syna, to już dawno byście o tym wiedzieli. – Sięgnął po kawę, a kiedy ją odstawił, unióś palec wskazujący. – I żeby mnie pan dobrze zrozumiał. Oczywiście cieszę się, że to robicie, każde działanie jest ważne, ale od wielu lat idziecie po linii najmniejszego oporu. Sprawdzacie po raz setny te same informacje, zamiast postarać się o nowe. I właśnie o to mamy do was ogromny żal.

Gross wytrzymał jego spojrzenie. Nie pierwszy raz był w takiej sytuacji. Nie pierwszy raz zbierał ciężki za robotę starszych kolegów, za niekompetencje poprzedników, którzy być może wylegiwali się już na emeryturach i nie wracali pamięcią do starych spraw. Za każdym razem Gross brał na siebie tę niezawinioną winę i uginał się pod jej ciężarem. Tkwiła w nim jak zadra.

– Jak zmienił się Becker? – powtórzył pytanie komisarz.

Korczyńska zbierała myśli.

– Jak? Diametralnie – wyznała. – I o mały włos nie skończyło się to tragicznie.

– To znaczy?

– Rafał Becker wpadł w szal – odparła.



Skalka uruchomiła komputer i zalogowała się do bazy danych.

Wybrała odpowiednią kategorię spraw i odszukała informacje, które dotyczyły zaginięcia studentów. Przyjrzała się metadaniom i zorientowała się, że w ciągu kilku ostatnich lat dokumentację prowadził aspirant sztabowy, a następnie podkomisarz Ryszard Nubiński. Wpisy pojawiały się regularnie, nie częściej niż raz na pół roku.

Skalka przejrzała je wszystkie i starała się porównać ich zawartość z informacjami zebranymi przez Grzegorza. Częściowo się pokrywały. Niektóre jednak zupełnie nie znajdowały odzwierciedlenia w oficjalnej teczce sprawy. Nie było to dla niej specjalnie zaskakujące. Być może część działań

prowadzono poza protokołem. Prawdopodobnie na to właśnie się umówili. Może prowadzili wspólnie jakąś grę i sondowali świadków, wypuszczali jedną informację, by pozyskać drugą, albo po prostu obserwowali reakcje i zachowania rozmówców.

W takich przypadkach trzeba było tak robić. Normalna praktyka.

Dlatego Skalska zastanawiała się, jaki ruch powinna wykonać. Czy zgłosić się do Nubińskiego i wprost porozmawiać o materiałach Otremby, czy czekać na spotkanie z Grossem? Ta pierwsza opcja bardzo ją kuszyła. Z Nubińskim znali się od lat, ale nie miała złudzeń: Rychu do niczego by się jej nie przyznał. Wolał siedzieć cicho, niż powiedzieć o jedno słowo za dużo. Zresztą nawet gdyby pokazała mu materiały Grzegorza, szedłby w zaparte. Postanowiła więc, że najpierw przedstawi je Grossowi. Nie zamierzała, szczególnie w obliczu konfliktu z Olą Jocznyk, robić czegokolwiek za jego plecami.

Wyjęła teczkę z dokumentacją Otremby i zanim schowała ją do zamykanej szafy, przyjrzała się zniszczonej kartonowej okładce. Między trzema nadrukowanymi liniami widniało jej nazwisko. Rozpoznała pismo Otremby. Wielokrotnie widziała kochanka, kiedy zapisywał coś w pośpiechu wielkimi literami, i zawsze w takich chwilach miała przed sobą faceta pełnego temperamentu i energii, mężczyznę skupionego na celu, niecofającego się z błałego powodu. Któregoś razu trzymał grubą czarną skuwkę mazaka w ustach i zapisywał w pośpiechu numer telefonu. Drugą dłonią przytrzymywał słuchawkę stacjonarnego przy uchu. Zauważył, że mu się przygląda, i wtedy puścił do niej oko, rozciągając usta w uśmiechu, na tyle, na ile pozwalała mu skuwka.

Zrobiło jej się ciepło na to wspomnienie.

Wsunęła teczkę na półkę i zamknęła szafę.

Wyszła na zewnątrz i szybkim krokiem przeszła ulicą Kopernika w kierunku Rynku. Skłębione chmury napływały, pograżając miasto w szarości. Na drugim piętrze w kamienicy po przeciwnej stronie pustego miejskiego placu starsza kobieta opierała łokcie na poduszce przełożonej przez parapet i wpatrywała się w niebo. Poniżej, na schodach prowadzących do wejścia, siedział mężczyzna.

Nagie konary czarnych drzew wyciągały się ku górze i przysłaniały rząd kamienic rozciągających się wzdłuż zachodniej pierzei od Chełmińskiej do Tumskiej. Kierowała się w stronę kamienicy z odrapanymi drzwiami i opuszczonym dawno sklepem. Wybrała numer mieszkania Płockich, ale nic się nie wydarzyło. Dzwoniła kilkukrotnie, z takim samym skutkiem. Zdecydowała się ponownie porozmawiać z Joanną Schilert, ale ta też nie podnosiła aparatu. Skalska cofnęła się kilka kroków i zerknęła w jej okna. Jedno z nich było uchylone. Ponownie wybrała numer jej mieszkania, a kiedy nikt się nie zgłosił, zadzwoniła do Stefana Rybkowskiego, byłego działacza sportowego tutejszej Legii.

Dziś nie miała szczęścia.

Rozejrzała się wokół i kątem oka go zauważyła. Szedł od Tumskiej, ale kiedy tylko ich spojrzenia się skrzyżowały, cofnął się i zniknął za narożnym budynkiem. Skalska poszła za nim, ale Rybkowskiego nigdzie nie dostrzegła. Nie sądziła, by schował się za sporym betonowym słupem ogłoszeniowym. Prędzej zrobiłby to za drzwiami niskiego budynku. Zbliżyła się i przystanąła przy drewnianym płocie i furtce, która kołysała się lekko na wietrze.

– Panie Stefanie – powiedziała głośno, gdy pierwsze krople deszczu uderzyły o bruk. – Wiem, gdzie pan jest. Niech się pan nie wygłupia.

– Wygłupiać? A to niby czemu? – spytał Rybkowski, który wyszedł z ciemnej klatki schodowej, do której prowadziły ostatnie drzwi. – Parasola zapomniałem – wyjaśnił, rozkładając go.

Odczekała, aż wysoki i tęgawy mężczyzna do niej podszedł.

– Pan mnie unika, a ja chciałabym z panem kawę wypić – zaproponowała, starając się rozegrać to łagodnie. – Da się pan zaprosić?

– A niby co takiego przeskrobałem? – zapytał postawny mężczyzna z kępkami siwych włosów nad uszami. Łysinę przykrywała leninówka, którą uniósł nieco, witając się z policjantką.

– Nic – uspokoiła go. – Ale mam sprawę.

– Już rozmawialiśmy – odparł i kiwnął ręką, by go przepuściła.

Skalska odsunęła się od furtki i szła obok starszego mężczyzny, który było od niej wyższy co

najmniej o głowę, nawet kiedy się garbił. Zasłonił się połami płaszcza przed deszczem.

– Pani znowu o tych Płockich chce pytać? – Przystanął na rogu ulicy.

Wyglądał na zmęczonego. Ciężko oddychał, jakby brakowało mu tlenu.

– Nie tylko.

– Cholera, ta pogoda mnie wykończy. – Rozłożył parasol i zaprosił ją, by podeszła i schowała się przed deszczem.

Przeszli kilka kroków.

– A sernik też dostanę?

Skalska kiwnęła głową i się zaśmiała.

– Niby nie powinienem, bo z cukrem walczę, ale mały sernik jeszcze nikogo nie zabił, co nie? – Rybkowski zakaszłał.

– Sernika nie ściągamy listem gończym – zapewniła.

– Bogu dzięki – wysapał i się rozejrzał. – Tam pójdziemy? – Wskazał na cukiernię, w której Skalska siedziała niedawno.

– Tam mają najlepszy sernik.

Ruszyli po skosie, nasłuchując szumu kropel siekących jak groch w parasol.

– Tyle że o Płockich to ja nie bardzo chciałbym rozmawiać. – Skrzywił się, a potem wysunął zuchwę.

– Dlaczego?

– No, nie chcę i koniec – zachnął się. – Co mogłem zrobić w tej sprawie, już zrobiłem.

– Zgoda, nie zapytam o Płockich. Mam ważniejszą kwestię.

– Ważniejszą? Mój Boże – zmartwił się.

Byli w połowie drogi do kawiarni, gdy eksdziałacz sportowy zamilkł, jakby chciał odgadnąć, jaki temat zamierzała z nim poruszyć Skalska.

Przez witrynę policjantka dostrzegła parę młodych ludzi siedzących naprzeciwko siebie w jasnym, przyjemnym wnętrzu. On, modnie wystrzyżony brunet, mieszał latte, a ona, drobna szatynka z prostymi, gęstymi włosami, opadającymi do połowy pleców, nabrała na długą łyżkę żółte lody z pucharka przyozdobionego kawałkami owoców przykrytych bitą śmietaną. Pozostawali zawieszeni w atmosferze zauroczenia, ale i zawstydzenia, tak charakterystycznego dla pierwszych randek młodych ludzi. A może wiek w tym przypadku nie miał znaczenia?

Kiedy Skałka z Rybkowskim stanęli przed drzwiami, mężczyzna chwycił klamkę, ale nie wszedł do środka.

– Pani chodzi o tę dobudówkę? – zaciekawiał się nagle, jakby wreszcie zrozumiał, co może interesować policjantkę.

Skinęła głową.

– Stary to może i jestem, ale głupi to na pewno nie – odparł i dodał: – Zaczęli tam remont.

Złożył parasol, a potem ściągnął czapkę i głośno się witając, wszedł do środka.

– Sabinko, kochanie, dziś zjemy sobie serniczek! – Zatarł energicznie ręce i wyszczerzył się do młodej pracownicy, która odwzajemniła tę wytrenowaną serdeczność. – Nie żałuj, skarbenku, i ukrój mi troszkę tego – poprosił, wskazując palcem na sernik z polewą karmelową wylaną na gęsto ułożone orzechy. Oblizwał wargi i dopiero wtedy spojrział w bok na Skalską. – Dziś wyżerka na koszt państwa, Sabinko, więc sparz mi jeszcze dużą kawkę z mleczkiem, prawda, pani aspirant?

Skalska skinęła głową.

Ekspedientka, grubokoscista blondynka z tatuażami na masywnych przedramionach, nałożyła porcję ciasta na talerzyk.

– Pan Stefek chyba glukometru dziś zapomniał, co? – Zaśmiała się, a on zawtórował, po czym zaniósł się głośnym kaszlem. – A dla pani? – spytała Skalską.

– Niech będzie to samo. Tylko znacznie mniej.

Rybkowski położył dłoń na ramieniu policjantki.

– Dobry wybór, moja droga, dobry wybór – pochwalił i odszedł w kierunku foteli ustawionych

w rogu pomieszczenia.



– Ludzi, częściej niż miłość, potrafi połączyć tragedia. – Olga Korczyńska wpatrywała się w swoje paznokcie. – Z Beckerami na dobre rozstaliśmy się dopiero po pogrzebie Antoniego, ojca Justyny. Pamiętasz, kiedy to było? – zwróciła się do męża.

Ten nabrał powietrza i, nadawszy policzki, myślał przez chwilę.

– W dwa tysiące dziesiątym roku – odparł.

Gross zanotował tę informację.

– Nie byli zbyt majątną rodziną. Stare mieszkanie, jakaś altana na działce i nic więcej – powiedziała z wyraźną wyższością. – Nie było ich stać na wynajęcie prywatnego detektywa, na opłacanie nagród za interesujące policję informacje. Oczywiście braliśmy to na siebie i nigdy nie chcieliśmy od nich niczego w zamian. Zdarzało się nawet, że pomagaliśmy im finansowo, ale nie ma to dla tej historii w zasadzie żadnego znaczenia. W każdym razie chciałam tylko powiedzieć, że robiliśmy, co mogliśmy, by odnaleźć nasze dzieci.

– A oni? – spytał Gross.

Korczyńska siedziała prosto, a jej mąż oparł się wygodnie i tylko od czasu do czasu przytakiwał żonie.

– W pewnym momencie się wycofali – oznajmiła.

– Wycofali?

– Chyba mieli dość. Nie chcieli w tym wszystkim uczestniczyć. Nie rozmawiali z dziennikarzami, nie udzielali się przy roznoszeniu ulotek. Po prostu zamknęli się w sobie. – Korczyńska jeździła opuszką palca po lśniącej blacie, zostawiając na nim tłuste ślady. – Myślę, że to przez niego.

– Przez kogo?

– No jak przez kogo? Przez Rafała – wyjaśniła.

Gospodarz domu zwiesił głowę.

– Miałam wrażenie, że to on mógł namówić matkę – kontynuowała Korczyńska. – Bo jego ojciec, gdy jeszcze żył, nie chciał o tym słyszeć. Interesował się każdym aspektem poszukiwań i był z nami w stałym kontakcie.

Gross przestał notować i podniósł wzrok na małżonków.

– Spierali się o to?

– Bóg raczy wiedzieć. – Olga Korczyńska wzruszyła ramionami. – Ale Jadwiga, jak to matka, chyba w pewnej chwili zrozumiała, że przez te wszystkie lata od zaginięcia Justyny jej syn został odstawiony na boczny tor.

Gross czuł, jak naraz zdrętwiał mu kark.

– I chyba obwiniała się o to i o tę jego depresję. Tak mi się przynajmniej zdaje – dodała. – Odwróciła się od nas i skupiła na modlitwie, na częstszych wizytach w kościele. A my, ponieważ jesteśmy niewierzący, musieliśmy znaleźć własną drogę, żeby poradzić sobie z tą stratą. To był nasz jedyny syn. Dlatego obiecaliśmy sobie – ścisnęła męża za rękę – że wyjaśnimy jego śmierć. Bo jesteśmy mu to winni jako rodzice. Dlatego stale będziemy nagłaścili tę sprawę, tak jak to robi matka tej, no, jak jej tam. – Spojrzała na męża.

– Wieczorek – podpowiedział.

– Właśnie, matka Iwony Wieczorek. Na pewno zna pan tę sprawę z Trójmiasta, prawda? – spytała, a kiedy Gross potwierdził, stuknęła kilkakrotnie paznokciem w stół. – Tak właśnie trzeba.

Tylko w ten sposób można dojść do prawdy.

– Powiedziała pani, że chcecie wyjaśnić śmierć syna. Dobrze zrozumiałem?

Nie odzywali się przez jakiś czas, ale wymienili znaczące spojrzenie.

– To też nas poróżniło – stwierdziła po cichu.

– Co takiego?

– Twardo stąpamy po ziemi, panie komisarzu. A to oznacza, że po kilku miesiącach od zaginięcia nie chcieliśmy karmić się złudną nadzieją – mówiła, a jej oczy napełniły się łzami. – Nasze wysiłki skierowaliśmy na znalezienie ciał. Mówiliśmy to także policji. Nie chcieliśmy pustych obietnic. Nasz syn, gdyby żył, na pewno by się do nas odezwał. Te wszystkie opowieści o ich wspólnym wyjeździe zagranicznym, o pracy w Danii, możemy od razu między bajki włożyć. Tak jak tę wersję o porwaniu. Gdyby do niego doszło, porywacze zażądałoby okupu. A my chętnie byśmy go zapłacili. Nie żałowalibyśmy grosza.

Zamilkła i zamrugła.

– I Beckerowie mieli wam to za złe? Że odbieraliście im nadzieję?

– Tak. Jadwiga Becker nawet nie chciała o tym słyszeć. I tu wracamy do sedna. Właśnie wtedy jej syn wpadł w szal. – Kiwnęła kciukiem za plecy. – To się stało w salonie.

Korczyński otarł usta, jakby chciał ukryć mimowolny grymas.

– Ledwie odciągnęliśmy go z Jadwigą od Wiktora, inaczej by go chyba udusił. To była agresja w najczystszej postaci.

– Nie gadaj głupot – skarcił ją mąż. – Nic mi nie zrobił.

– No masz! W takim razie przypomnij sobie, dlaczego cały tydzień nie chodziłeś do pracy.

– Daj już spokój! Kiedy to było, do cholery? Chłopak zareagował emocjonalnie i tyle – odparł ze złością Korczyński.

– Miałeś śliwę pod okiem, zadrapania na twarzy i jeszcze się zastanawiałeś, czy nie zrobić obdukcji – przypomniała mu, stukając go palcem w bark.

– Zrobił to pan? – zainteresował się Gross.

– A skąd! – obruszył się gospodarz. – Miałem chłopakowi paskudzić w kartotece? Bo tak by się to skończyło. A przecież Rafał Becker był taką samą ofiarą tego dramatu, jak my wszyscy. Nie będę go winił o to, że wciąż miał nadzieję na odnalezienie siostry. – Rysy twarzy Korczyńskiego złagodniały. Wbił spojrzenie w blat i trwał przez kilka sekund bez żadnego ruchu. – Przecież ja też chciałbym odnaleźć syna żywego – odezwał się w końcu. – Ale wiem, że oboje nie żyją. I to od dawna. Od bardzo dawna. – Głos mu się załamał.

Komisarz widział, że mężczyźnie drży broda.

Korczyński wziął głęboki oddech i się uspokoił. Dopił kawę i już miał się odezwać ponownie, kiedy żona przerwała mu gestem.

– Poczekaj, coś jeszcze powiem. – Sięgnęła po kolejny płatek róży i nawinęła go na palec. – Kilka lat po zaginięciu dzieci Jadwiga Becker przyjechała do mnie do domu. Usiadła tak jak pan, tyłem do okna, i się rozplakała. Powiedziała, że Rafał odchodzi od zmysłów, że popada w stany depresyjne, że coraz częściej mówi o śmierci, że za każdym razem, kiedy zbliża się rocznica zaginięcia, ona boi się o jego życie. Błagała mnie na kolanach, żebyśmy przestali wynajmować detektywów, jasnowidzów, żebyśmy przestali uprawiać cały ten cyrk.

– Tak to nazwała? – spytał Gross, przerywając notatki.

Za oknem gdzieś daleko rozszedł się grzmot. Kobieta wzdrygnęła się, a jej mąż spojrzął na ogród, potem na zegarek i wreszcie na walizkę w przedpokoju.

– Właśnie tak.

Gross rozumiał już, dlaczego jej nie posłuchali.

– Na długo straciliście kontakt? – Komisarz usłyszał za plecami szum towarzyszący ulewie.

W pomieszczeniu pociemniało jeszcze bardziej, ale nikt z domowników nie kwapił się do włączenia światła. Siedzieli zatopieni w półmroku, sięgając myślami do wydarzeń sprzed lat, równie mrocznych i tajemniczych. Niby silni i pogodzeni, ale z wyraźnym poczuciem żalu i bolesnej straty.

Dzieliła ich wolna przestrzeń, w której zmieściłaby się jedna osoba. Jakby było to miejsce wciąż przeznaczone dla ich jedynaka.

Zdaniem Grossa cierpieli oboje, ale w tym bólu po zaginięciu dziecka każde z nich było samotne, jakby nie mieli w sobie oparcia i jakby przeżywali tę stratę osobno.

„Ludzi potrafi połączyć także tragedia”, przypomniał sobie słowa Olgi Korczyńskiej, ale najwyraźniej nie odnosiły się one do ich małżeństwa.

– Właściwie od tamtej chwili nasze kontakty zupełnie się urwały – kontynuowała kobieta. – A co gorsza, czuję, że ona ma do mnie ogromny żal.

– Jak w takim razie doszło do zatrudnienia Rafała Beckera? – Gross postawił kropkę przy ostatnim zdaniu w notesie, ale zauważył, że długopis zaczął przerywać. Sięgnął do torby i wymienił go na inny.

– No... Wie pan... To nie był najlepszy pomysł – mruknął Korczyński, drapiąc się po brodzie. – Becker po prostu przeczytał ogłoszenie rekrutacyjne w sieci i wysłał dokumenty aplikacyjne. Chyba nawet nie wiedział, że aplikuje do mojej firmy. Przeszedł pierwsze sito, potem drugie. Komisja zarekomendowała mi trzy osoby.

– Mogłeś go nie zapraszać na tę cholerną rozmowę – syknęła Korczyńska.

– Przestań już! – Mężczyzna uderzył rantem dłoni w stół.

Woda w wazonie się zakolysała i na blat spadło kilka płatków róż.

Blondynka odwróciła się od niego, wciągnęła powietrze i obrażona uniosła brodę.

– Zaprosił go pan na rozmowę i...? – Gross chciał poznać szczegóły.

– Nic. Przyszedł i był dobrze przygotowany.

– Na jakie stanowisko aplikował?

– Kierownika zespołu agentów nieruchomości.

– Udawał, że pana nie znał?

– Tak. Ale ja robiłem dokładnie to samo.

– Źle zrobiłeś – przerwała mu żona.

– Dlaczego? – Gross nie chciał, żeby ta rozmowa przeistoczyła się w kłótnię małżeńską.

– Dobre pytanie. Po prostu wszedłem w rolę.

Komisarz obserwował reakcję mężczyzny. Cały czas miał wrażenie, że Korczyński jest spięty.

– Na początku towarzyszył nam szef agencji i dyrektorka działu HR, która potem zabrała Rafała, by dopełnić formalności, a kiedy już to zrobił, miał wrócić do mnie – wspominał biznesmen.

– I?

– I wtedy zapytałem go, po co to robi.

– Powiedział?

– Tak. – Korczyński uśmiechnął się do tamtych zdarzeń. – Stwierdził, że szuka dobrze płatnej pracy.

Komisarz zapisał to zdanie i podkreślił je.

– Jakim był pracownikiem? – zadał kolejne pytanie.

– Świetnym. Ale do czasu.

– Co się stało?

Olga Korczyńska znowu zaczęła się bawić płatkami róż. Mąż patrzył na jej ręce.

– Grał na dwa fronty. To po pierwsze. A po drugie, choroba się pogłębiała. Odseparowywał się, pograżał w smutku, przestał udzielać się na spotkaniach firmowych. Po jednym z nich został w moim gabinecie, na moją zresztą prośbę – stwierdził, zerkając na żonę. – A kiedy tylko zamknęły się drzwi, obrzucił mnie stekiem wyzwisk, wpadł w szał, przeklinał i w końcu znowu się na mnie rzucił.

– Tak bez powodu?

Korczyński odwrócił się do żony ze skwaszoną miną.

– No powiedz, powiedz. Pochwal się wreszcie – parsknęła.

– Powiedziałem mu tylko, żeby odpuścił i pogodził się ze śmiercią siostry. Miałem wrażenie, że wciąż to roztrząsa.

– A roztrząsał?

– Tak mi się wydawało.

Gross zapisał w notesie: „drugi napad szału”.

– Grał na dwa fronty? – Policjant wrócił do poprzedniego wątku. – Co to znaczy?

– Sprzedawał mieszkania na własną rękę.

– To dlatego wyrzucił go pan z pracy?

Korczyński pokręcił głową.

– Nie wyrzuciłem go. Po prostu nie przedłużyłem z nim umowy. Zresztą powinien się tego spodziewać, uprzedziłem go o tym.

– Jadwiga Becker jest przekonana, że pan go wyrzucił z pracy.

– Nie obchodzi mnie, co ona sobie myśli.

Przez kilka sekund mierzyli się wzrokiem, w końcu Gross zapytał:

– A jak on na to zareagował?

Korczyńska prychnęła i spojrzał na swój złoty zegarek.

– W ogóle nie zareagował. Siedział w fotelu naprzeciwko mnie i kiwał potulnie głową – odparł szef Kor-stalu.

– Powiedział coś?

– Tak. Ale nie wiem, czy dobrze go wtedy zrozumiałem.

– Co takiego?

Korczyński skrzywił się, jakby przełknął wódkę.

– Nie wiem, czy dobrze pamiętam, ale...

– Już nigdzie dziś nie pojedziemy – odezwała się nagle Korczyńska tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Odwołaj wyjazd!

– Słucham? – Otworzył usta ze zdziwienia.

– Odwołaj i już! – krzyknęła. Wstała i przeszła do holu, ale po chwili się cofnęła i przemówiła scenicznym szeptem: – Rozboliła mnie głowa. – Przyłożyła opuszki palców do skroni i zamknęła powieki.

Stała bez ruchu, a jej mąż przygryzał ze wściekłości wargę. Wreszcie Korczyńska wyszła, zamykając za sobą drzwi w holu.

Witold Korczyński zacisnął pięści.

– Zawsze to samo – wyszeptał ze złością.

Gross postanowił wrócić do tematu.

– Co powiedział panu wtedy Becker?

– Kiedy? – Mężczyzna wyglądał na oderwanego od rzeczywistości.

Gross powtórzył mu końcówkę ich niedokończonej rozmowy.

– A, tak – przypomniał sobie Korczyński. – To brzmiało jak jakaś stara sentencja. Tak mi się przynajmniej wydawało, ale nigdy potem nie sprawdziłem tych słów.

– Jakich słów? – Gross powoli zaczynał tracić cierpliwość.

– To był coś w stylu: „Żaloba to najsmutniejszy z refleksów miłości”.

Komisarz zanotował cytat.

– Jaki to miało związek z informacją o tym, że nie chciał pan przedłużyć mu umowy?

– No, wydawało mi się, że o tej żalobie to on powiedział w kontekście utraty pracy. Bo dobrze mu płaciłem.

– Jeszcze jedno. – Komisarz sięgnął do torby po wydruk i położył go na stole. – Rozpoznaje pan ten przedmiot?

Korczyński przyjrzał się uważnie zdjęciu.

– To karta do rejestracji czasu pracy i systemów kontroli dostępu? – spytał.

Gross się nie odezwał.

Patrzył na gospodarza, a potem pokazał raz jeszcze palcem na zdjęcie.

– Że niby co? Że to jego? O to panu chodzi? – zaciekawił się biznesmen.

Policjant pokiwał głową.

– W takim razie wątpię, żeby to była karta z mojej firmy. Nasze mają logo na odwrocie, zdjęcie pracownika, stanowisko i przydział. Poza tym Becker przed odejściem z pracy musiał ją zdać w kadrach.

– A jak wyglądają karty dla gości odwiedzających firmę?

Korczyński wzruszył ramionami.

– Nie wiem, ale sprawdzę i dam panu odpowiedź.

– Dziękuję. – Gross schował wydruk do torby i wstał.

Przeszli do przedpokoju.

Dopiero teraz komisarz dostrzegł na ścianie przy drzwiach wejściowych kilka sporej wielkości fotosów zawieszonych w gustownych drewnianych oprawkach. Na każdym z nich widniał Marcin Korczyński, najpierw jako kilkulatek z dużą dmuchaną piłką na plaży. Poniżej znajdowało się zdjęcie chłopca z rodzicami, z pasowania na przedszkolaka, które przypomniało Grossowi, że sam nie był na pasowaniu syna. Opuścił sobie tę uroczystość, bo miał wtedy dyżur. To i kilka innych okazji, które przepuścił, sprawiły, że nagle poczuł do siebie odrazę. Odrącenie syna nie zaczęło się wcale po tragedii, która spotkała Agnieszkę. Zupełnie nieświadomie robił to już wcześniej, zasłaniając się służbą i mundurem, powinnością policjanta, która za każdym razem wygrywała z powinnością ojca.

Poczuł w ustach gorzki smak popiołu.

– Panie komisarzu...

Gross odwrócił się do Korczyńskiego, który postukał palcem w atrakcyjny zegarek na nadgarstku.

– Tak, przepraszam – odparł policjant i sięgnął do klamki. Nie nacisnął jej jednak, bo jego wzrok zatrzymał się na innej fotografii.

Popatrzył na Marcina Korczyńskiego jako ucznia i studenta na tle gór, w trakcie jazdy konnej i wreszcie w domu, z długimi włosami, pochylonego i skupionego na grze na gitarze. A potem jego wzrok zatrzymał się na zdjęciu, które sprawiło, że Gross zamarł.

– Kiedy została wykonana ta fotografia? – spytał, wskazując palcem na portret studenta.

– Trzy albo cztery miesiące przed obroną magisterki. Miało posłużyć do tablo.

– Rozumiem. Chciałbym jeszcze tylko zobaczyć pokój pańskiego syna.

Oczy Korczyńskiego zalśniły.

– W tym domu nie ma już jego pokoju. – Mężczyzna wypowiedział te słowa z dojmującym smutkiem.

– Rozumiem.

– Pan wybaczy, ale gównie pan rozumie. – Biznesmen z trudem zachowywał spokój. – Z pomocą psychologów, którym zresztą nie mało płaciłem, już się z tym uporaliliśmy. Uporaliliśmy się ze śmiercią naszego dziecka i wiemy, że musimy żyć dalej.

Gross zauważył, że starszy mężczyzna zaczął szybciej mrugać i przygryzał wewnętrzną część policzka, dając odpór fali rozpacz. Wpatrywał się w bok, zanim złapał oddech.

– Niech pan nas zrozumie. My nie czekamy na syna. My czekamy na moment, w którym odnajdziemy jego ciało. Tylko to się dla nas liczy.

Gross odczekał kilka sekund.

– Ale zapewne zostawili sobie państwo pamiątki po nim?

– Pamiątki tak, ale resztę rzeczy, przynajmniej tych, które zostały, spakowałem w pudła i wyniosłem na strych.

– Chciałbym je przejrzeć.

– Dlaczego? Czy pojawiło się coś nowego w sprawie zaginięcia Marcina?

– Śmierć Rafała Beckera, brata Justyny, może...

– Czego pan nam nie powiedział? – Korczyński wszedł komisarzowi w słowo.

Gross nie rozumiał, o co mu chodzi.

– Lepiej niech już pan pójdzie. Zabrał nam pan dużo czasu i niepotrzebnie rozdrapał rany.

– Obawiam się, że...

– Niech pan przyśle kogoś po te pudła we wtorek – zaproponował Korczyński.

Gross zaakceptował to rozwiązanie.

– W takim razie, zanim wyjdę, mam ostatnią prośbę.

Gospodarz przewrócił oczami.

– Chciałbym zabrać to zdjęcie. – Ponownie wskazał na fotografię Marcina. – Ktoś, kto przyjedzie po pudła, zwróci je panu. Wykonam tylko skan, dobrze?

– Po jaką cholere?

Gross nie mógł odpowiedzieć na to pytanie.

– Po prostu jest mi potrzebne – wyznał.

– Dobra, niech je pan weźmie.

Komisarz sięgnął po ramkę, a następnie otworzył drzwi.

Niebo było zasnuwane gęstymi chmurami, a świat skurczył się do granic sporej działki, za którą szaruga pochłaniała wszystkie wyraziste kontury. Krajobraz rozplątywał się, pozostawiając im jedynie ten skrawek ziemi.

Niczym nieosłonięty golf komisarza odbijał się w obszernej kałuży.

– Niech pan schowa to zdjęcie do torby, żeby nie zamokło – poprosił Korczyński, a Gross spełnił jego prośbę i wyszedł na zewnątrz, gdzie przed ulewą chronił go wiszący tuż nad wejściem obszerny balkon.

Odwrócił się, ale dostrzegł tylko szybko zamykające się za nim lakierowane na biało drzwi z niewielkim witrażem pośrodku. Przyłgnęły do framugi z głuchym stukiem.

Gross postawił kołnierz kurtki i, zmarszczywszy brwi, przebiegł do samochodu. Ostatnie kroki pokonał na palcach, ale i tak nie uchronił się przed przemoczeniem obuwia.

Usiadłszy, odłożył torbę i wyjął z niej ramkę ze zdjęciem. Przyglądał się uważnie fotografii. Na szybkę spadło kilka kropli deszczu z jego mokrych włosów. Starł je dłonią i uruchomił wóz, a potem przetarł wycieraczkami przednią szybę.

Sylwetkę Korczyńskiego dostrzegł w oknie po prawej. Być może mężczyzna stał w kuchni. Gross włączył światła drogowe, które odbiły się od szyby, i wtedy właściciel domu zniknął. A być może zarys jego sylwetki stworzyła gra światła.

Policjant odłożył ramkę na fotel pasażera, skąd patrzył na niego przystojny młody blondyn z grubymi, ciemnobrązowymi brwiami i przepaską na czole.

Gross wrzucił jedynkę i nawinął na rondzie.

Raz jeszcze ukradkiem zerknął na zdjęcie.

Ta przepaska wyglądała dokładnie tak, jak zakrwawiona bandana znaleziona w kurtce Rafała Beckera.



Rybkowski wsunął ostatnią porcję sernika do ust i długo miał ją zębami. Żuchwa pracowała intensywnie niczym wielka prasa. Co rusz otwierał usta i wysuwał dolną szczękę. Łapał powietrze, jakby brakowało mu tchu, i ponownie wracał do przeżuwania.

Skalska obserwowała go w milczeniu.

W końcu odłożył łyżeczkę i dopił kawę. Cmoknął, otarł usta serwetką i rozsiadł się wygodniej, splatając pulchne palce na brzuchu, czym dawał znać, że jest gotowy na rozmowę.

– Pani serio chciała o tej dobudówce pogadać?

Skalska kiwnęła głową.

– To przesłuchanie? – spytał nieufnie, patrząc spod krzaczastych brwi.
– Przesłuchanie? Skąd ten pomysł?
– Tak tylko pytałem. – Poruszył się niespokojnie. – To niech już pani zaczyna, będę odpowiadał.

Skalska zerknęła do notatek.

– Pamięta pan, kiedy powstała ta dobudówka?

– W końcu lat osiemdziesiątych.

– I od początku była w rękach Płockich?

Kiwnął głową, przymykając oczy.

– Ale ostatnio wystawili ją na sprzedaż. I podobno kupił ją pewien mężczyzna, prawda? – upewniła się.

– Ja słyszałem, że kobieta – sprostował. – Ta sama, z którą widziała się pani dziś rano.

Skalska odcięła łyżeczką czubek ukrojonego w trójkąt ciasta i skosztowała go, próbując nie dać po sobie poznać, że informacja ją zaskoczyła.

– Od dawna stała pusta? – spytała po krótkiej przerwie.

Rybkowski zakręcił młynka kciukami i spojrzał w sufit.

– No, to już będzie kilkanaście lat.

– A kiedy Płocki planował sprzedać ten lokal?

– Z tego, co wiem, tam były jakieś nieuregulowane sprawy spadkowe, przez wiele lat kłócił się o to mieszkanie z siostrą, aż w końcu trzy lata temu, albo i dawniej, poszli do sądu. Sprawę wygrał i widocznie wreszcie postanowił je sprzedać. Ale nie mam pojęcia, kiedy dał ogłoszenie.

– Mieszkali tam?

– Nie. Jego matka tam poszła, a młodym zostawiła mieszkanie w kamienicy. Ale jak zmarła, no, to dobudówka długo stała pusta. Ostatnim najemcą był taki Olek, co to wrócił z kryminału i w papiarni dostał robotę po znajomości. Ale jak na lumpa z kryminału, to ten Olek był zupełnie cichy i spokojny. Mieszkał sobie, pracował. Czasami pijany wracał, ale w gruncie rzeczy nie powiedziałbym, że z pierdła wyszedł.

– Gdzie siedział?

– We Włocławku.

– A za co?

– Wszyscy mówili, że za szwagra.

– Zabił go?

– A Bóg jeden wie. On pewnie tego wcale nie pamięta, bo podobno zrobił to w alkoholowym widzie. – Rybkowski czknął. – W każdym razie nie wyglądał na mordercę. Zasuszony taki, niski.

– Długo tu przebywał?

– Nie pamiętam, kiedy się wprowadził, ale pamiętam za to bardzo dobrze, jak się wyprowadzał.

– Uśmiechnął się chytrze.

– A co się wtedy stało?

– Mistrzostwa świata w piłce nożnej się stały, droga pani. W Korei i Japonii. Tego samego dnia, kiedy zapakował się w jedną torbę i wyjechał z Chełmży, minęliśmy się w korytarzu na parterze. On wychodził, a ja wracałem ze sklepu. I gdybym wtedy go posłuchał...

– Posłuchał?

– Czasami lubię się zabawić i obstawiam zakłady bukmacherskie. – Postukał palcami w stół. – I wtedy, a to był wtorek, dwudziestego piątego czerwca dwa tysiące drugiego roku, odbyły się dwa półfinały. Niemcy grali z Koreą, a Turcja z Brazylią. I ten cały Olek, mnie, specjaliście od piłki nożnej, chciał wmówić, że Brazylija strzeli tylko jedną bramkę. Kto by w to uwierzył, jak ci cali *Canarinhos* strzelili jednaście bramek w fazie grupowej! W fazie grupowej, droga pani, czyli w zaledwie trzech meczach! Więc ja obstawiłem, że wygrają trzy do zera. Ale to ten skurczybyk miał, cholera, rację. Do dziś mnie skręca, że go nie posłuchałem.

Skalska dokończyła ciasto. Nie było za słodkie i przyjemnie rozplęwało się w ustach.

– Kto mieszkał po nim? – spytała.

– Już nikt.

– A ten Olek to jakaś rodzina Płockiego?

– Chyba nie. Ale coś pani powiem. Ja to tego Olka podziwiałem. Bo kto by chciał mieszkać w takich warunkach? W tej chałupie zawsze ciemno, słońce przez żadne okno nie wpada. Podwórko małe i zacienione. Niby samo centrum, ale zupełnie tam odludnie, droga pani.

Policjantka dopiła kawę, a Rybkowski ostentacyjnie spojrzął na zegarek.

– No, na mnie już czas – powiedział i podpierając się parasolem, który leżał złożony na podłodze, wstał.

– Jeszcze jedno – poprosiła.

– Tak? – zaczął sapać.

– Czy Olek remontował to mieszkanie?

Rybkowski się zamyślił.

– A skąd pani to wie? – Otarł ręką usta. – Rzeczywiście, było tak, że tuż przed tym, jak wyjechał, kupił kilka rolek tapet i jedna poturlała mu się pod samochód zaparkowany przy rynku. Jakiś dzieciak mu wtedy pomógł. A czemu to panią interesuje?

– Tak tylko pytałam. – Po czym dodała, że zostanie w ciastkarni, bo musi popracować.

– Pracuj, moje dziecko, pracuj. Młoda jesteś, masz siły, więc wykorzystaj swój czas. – Poczłapał do wyjścia, ponownie mieląc żuchwą. – Do widzenia, Sabinko! – krzyknął, po czym uniósł dłoń, żeby pomachać ekspedientce, a ta odwdzieczyła się tym samym gestem i zniknęła na zapleczu.

Drzwi się zatrzasnęły. Do środka wpadł powiew wilgotnego, mroźnego powietrza.

Skalska rozejrzała się po lokalu.

Została w nim sama. Sabina schowała się za drzwiami i siedząc na niskim krześle, wpatrywała się w leżący na swoim udzie smartfon. Gdy przewijała palcem pojawiające się na nim treści, czerwony niczym strażacki wóz lakier na paznokciu błyszczał.

Aspirantka sztabowa usiadła z powrotem, zerknęła na zegarek, po czym sporządziła notatkę służbową z rozpytania Stanisława Rybkowskiego. Zapisała miejsce spotkania, godzinę oraz wszystkie zebrane informacje, a na końcu odnotowała datę wyprowadzki kryminalisty Olka.

I dopiero wtedy zrozumiała.

O ile dobrze pamiętała, Olek wyprowadził się dokładnie cztery dni po zaginięciu Justyny Becker i Marcina Korczyńskiego.

Kryminalista, który miał zabić swojego szwagra, zniknął z miasta.



Świat miał utonąć.

Rzęsisty deszcz wciąż spływał po przedniej szybie i łomotał w dach.

Komisarz Gross zaparkował golfa i, nie czekając, aż oberwanie chmury minie, ruszył biegiem w stronę budynku Fundacji „Światło”.

Odwiedzając żonę w sobotnie popołudnie, miał nadzieję, że będzie z nią sam, nie licząc oczywiście szatynki, która leżała na łóżku przy drzwiach wejściowych. Przeliczył się. Już od progu usłyszał dochodzący z sali kobiecy głos.

Gross przedstawił się i przywitał uściskiem ręki z matką Roksany, Barbarą Stegnicką. Była starszą kopią swojej zapadłej w śpiączkę córki. Ten sam owal twarzy, te same usta i takie same duże siekacze, przywodzące na myśl króliczy pyszczek.

– Ciesz się, że mogę pana poznać, panie Bernardzie – powiedziała, odrzuciwszy część kołdry

przykrywającej nogi córki, dwie blade kłody pozbawione czucia, zeszywniałe od napięcia mięśni. Zaczęła je masować i głośno oklepywać. Plask za plaskiem. – Wiele o panu słyszałam.

Gross się zdziwił.

– Wszyscy tu mówią, że czyta pan żonie książki, że to była jej pasja.

Komisarz odchrząknął, chcąc coś odpowiedzieć, ale nie umiał przyznać się do tego, że to zwykły unik, byle nie rozmawiać z własną żoną. A do tego niechęć do zaprzeczania faktom. Nie mógł znieść tej ciągłej i nieznośnej manieri zadawania pytań nieprzytomnym pacjentom, komunikacji niemal jak z psem, w którą pewnie wpadłby niezauważalnie, gdyby tylko przebywał tu tak długo i często jak inni bliscy „śpiochów”. Widział i słyszał to nieraz. „Puścimy sobie radyjko?” „No, jak ci się dziś spało, co?” „Moglibyśmy wyjść na spacer, słoneczko zaraz wyjdzie, wiesz?” Ale on tak nie umiał. Czasami witał się z Agnieszką i żegnał szeptem, zbliżając usta do jej ucha. Na więcej nie było go stać. Dlatego czytał. Chciał po prostu przegonić kwitnącą tu ciszę.

Zorientował się, że wciąż stoi w jednym miejscu i gapi się niestosownie na to, jak kobieta okłada nogi córki solidnymi klapsami, a potem masuje mięśnie łydek i ud. Nie bez trudu, ze względu na spastykę, zginała nogi córki w kolanach. Sapała przy tym, ale nie przestawała mówić.

Gross podszedł do łóżka żony.

– To piękne i takie romantyczne – uznała Stegnicka, odwracając się na chwilę w jego stronę i przywołując na twarz szybki uśmiech. Jej krzepkie dłonie ugniatały ciało córki jak drożdżowe ciasto. – Musi pan bardzo kochać swoją żonę. Inny pewnie dawno by już ją zostawił. – Zaśmiała się smutno.

Gross poczerwieniał i zacisnął zęby.

Pogładził żonę po stopach przykrytych kołdrą, a następnie pochylił się, żeby pocałować Agnieszkę w przesuszoną skórę ciepłego czoła.

– Ach, mój Boże, jak to miło popatrzeć na zakochanego mężczyznę. Ja to powiem panu, że dużo miłości w życiu nie zaznałam. A już szczególnie po tym, co się stało Roksance. – Sapnęła, podnosząc nogę córki i rozpoczynając masaż jej szerokiej stopy. – Mąż odszedł od nas pół roku później. Dokładnie pół roku i dwa dni później. Ja rozumiem, że mógł odejść ode mnie, chociaż zawsze starałam się być dobrą żoną. Wyprane miał, wyprasowane też, obiad pod nos, dwudaniowy, a jakże, do tego zdrowe kanapki do pracy. Wszystko miał. Ale wiadomo, żona, rzecz nabyta. – Tym razem roześmiała się nerwowo. – Ale, panie Bernardzie, żeby dziecko swoje chore zostawić? – Przerwała, żeby odsapnąć. – To ja panu mówię, że to skurwysynem trzeba być ostatnim. – Głos jej się załamał. – Pan mi wybacz. Na co dzień nie przeklinam, zaręczam.

Chwilę później Gross usłyszał jej cichy, stłumiony płacz. Odwrócił się do niej.

– Przykro mi – powiedział, a następnie usiadł na krześle i otworzył książkę Bellovej, którą ostatnio czytał Agnieszce.

Przysunął się z krzesłem bliżej wezgłowia łóżka, oparł książkę na kolanach i zaczął cicho czytać.

– Może pan głośniej, proszę? Słyszałam, że pan tak pięknie czyta, jak prawdziwy lektor. Może i my z Roksanką trochę skorzystamy, prawda, kochanie? – zwróciła się do córki, a zaraz potem ponownie odezwała się do Grossa: – Ja już nic nie będę mówiła, zupełnie nic, obiecuję, panie Bernardzie, bo ja straszna gaduła jestem, ale niech pan mi nie ma tego za złe, bo przez tego cholernego męża, byłego męża już teraz, oczywiście, przez cały dzień nie mam się do kogo odezwać.

Komisarz odchrząknął.

Rzeczywiście kobieta nie mówiła już wcale. Usiadła tyłem do Grossa i zabrała się za masaż rąk i dłoni. Poklepywała je tak jak nogi, żeby usprawnić krążenie, ale robiła to już ciszej i ze słabnącą energią, zasłuchana w historię o dorastającym Namim, który zakochał się w Zazie, dziewczynie ze szkoły w Boros.

Gross z pewnym zażenowaniem odczytywał fragmenty o narastającym pożądaniu chłopaka, o spotkaniach z Zazą i chęci spełnienia się w roli mężczyzny. A potem o tym, jak oboje obejmowali się czule, a Zaza gładziła Namiego przez spodnie po twardym penisie. Stali wtedy gdzieś w pobliżu lasu, gdy nagle dziewczyna zobaczyła dwóch żołnierzy radzieckich z karabinami. Jeden z nich, ten wyższy,

dał jej znak, by podciągnęła spódnicę. Nami chwycił ją za rękę i chciał odejść, ale padł strzał. Huk, po którym oboje zamarli. Ze stresu ciało młodzieńca wpadło w drżenie. Nami słyszał wyraźnie chrzęst żwiru pod ciężkimi wojskowymi butami. Żołnierze byli coraz bliżej. Zaza w końcu wypuściła dłoń Namiego i zaczęła podciągać spódniczkę. Jeden z żołdatów dopadł ją od tyłu i zaczął miętosić jej piersi. Drugi, niższy i grubszy, miał uważać na Namiego i strzelać, jeśli chłopak zrobi jakieś głupstwo. W końcu żołnierz starszy stopniem rozpiął spodnie i wszedł w nią. Zaza nie odezwała się słowem, ale Nami miał ochotę wrzeszczeć wniebogłose. Chciał wyc z powodu własnej niemocy i bierności. Chwilę później żołnierze zamienili się rolami i Zaza została raz jeszcze zgwałcona. Wtedy Nami zdecydował się na desperacką ucieczkę, podczas której gonił go jedynie krzyk ukochanej dziewczyny.

Gross kątem oka obserwował Barbarę Stegnicką. Kiedy zagłębiał się w tę dramatyczną historię, kobieta zastygała na krześle ze zwieszoną głową. Jakby naznaczona tragedią młodych ludzi opowieść wysłała z niej krew i wszelką chęć do życia.

Komisarz ponownie skupił się na lekturze.

Czytał dalej o tym, jak Nami co noc kąpał się w jeziorze, żeby zmyć z siebie grzech zaniechania, który tkwił w nim jak zadra. To dlatego chłopak zdecydował się wyjechać z Borosu. Opuścił przydomowy kurnik, w którym kazał mu mieszkać przewodniczący kołchozu tuż po tym, jak wraz ze swoją rodziną zajął cały dom po babce Namiego.

Zapadła cisza.

Policjant wsunął zakładkę między strony i odłożył powieść. Chusteczką otarł ślinę zbierającą się w kąciku ust żony. Wychudzona twarz z siatką coraz bardziej zauważalnych zmarszczek postarzała ją co najmniej o dekadę. Wyplwiała blond włosy z roku na rok się przeredzały.

Do oczu napłynęły mu łzy.

Jego żona gasła. Miał tego świadomość.

„Żałoba jest najsmutniejszym z refleksów miłości”, przypomniał sobie słowa Rafała Beckera i zastanowił się, jak to będzie, kiedy rzeczywiście któregoś dnia stanie w progu tego pokoju i zastanie puste łóżko. Na ile kawałków rozpadnie się jego świat, tak zupełnie pusty i nijaki, świat, który od rana do nocy wypełniała jedynie praca. Zresztą świat ten miał rozpaść się wcześniej niż za sprawą śmierci Agnieszki. To miało się stać już w nowym roku, kiedy przejdzie na emeryturę. I to też napawało go przerażeniem.

Gross przyłożył dłoń do twarzy Agnieszki, czego nie robił od dawna.

„Przepraszam”, powiedział w myślach, gładząc delikatnie jej policzek.

– Panie Bernardzie? – zagadnęła nagle wciąż odwrócona plecami kobieta.

Komisarz ocknął się, bo zdał sobie sprawę, że nie jest w pokoju sam.

Stegnicka przez cały ten czas nie ruszyła się z miejsca i nie zmieniła pozycji.

Gross pocałował żonę na dobranoc, odstawił krzesło, szurając nim niechcący po podłodze, a potem włożył kurtkę i ruszył do drzwi.

– Panie Bernardzie? – Kobieta zatrzymała go w progu.

Spojrzał na nią, a zaraz potem jego wzrok przykuła drobna twarz Agnieszki, która spała z otwartymi ustami. Wrócił, żeby posmarować je pomadką ochronną, bo skóra warg, już nie tak jędrna jak kiedyś, zaczęła się łuszczyć.

– Panie Bernardzie. – Kobieta trzeci raz odezwała się w ten sam sposób, przy czym tym razem wskazała na głowę córki, na ten jej fragment, w którym brakowało kości czaszki, a skóra opierała się bezpośrednio na miękkiej tkance mózgu. – Pan przeczytał ten fragment książki i...

Komisarz milczał.

– Chodzi o to, że moja córka otrzymała cios w głowę – dokończyła. Nabrała powietrza i powstrzymywała łzy.

– Przykro mi – powiedział i chciał już stąd wyjść.

Niebo zasnuły gęstsze i cięższe chmury, które przemieszczały się z wolna i opadały niżej, jak wielki tłok. Dzień był bliski ostatecznej przegranej ze zmierzchem.

– Uderzono ją kijem bejsbolowym. – Stegnicka najwyraźniej nie skończyła swojej opowieści.

– Naprawdę mi przykro – odrzekł Gross. – Muszę już iść.

– Wie pan kiedy? – Nie dbała o plany mężczyzny. – Gdy próbowała wezwać karetkę tuż po tym, jak po sobotniej dyskotecie zgwałciło ją czterech kolegów.

Komisarz znieruchomiał.

– To byli jej koledzy. Znała ich wszystkich, bywali u nas w domu. Mogę ich panu wymienić z imienia i nazwiska, znam dobrze ich rodziców. – Kobiecie zaszkliły się oczy. – Dlatego proszę, niech już pan nie czyta tej książki mojej Roksance. I żonie też już niech pan nie czyta tych wszystkich okropności. – Łzy potoczyły się po jej wydatnych policzkach. – Czy my się zrozumieliśmy, panie Bernardzie? – Uśmiechnęła się sztucznie i zaraz potem jej uśmiech zastąpił smutek tak głęboki, że Gross czuł ciarki na plecach.

Także wtedy, kiedy wsiadł do samochodu i odjechał spod ośrodka.



– Ty nie masz co w domu robić? – Dyżurny śmiał się głośno, ponownie zwalniając blokadę zamka, żeby wpuścić Skalską do komisariatu. – Co się stało, że się tak kręcisz? Pożar jaki?

– Bo to pierwszy raz? – Skalska szarpnęła drzwi i przeszła w kierunku schodów. Kiedy wspinała się na górę, oficer wyjrzał z dyżurki.

– Monia! – zawołał konspiracyjnie.

Skalska przystanąła i odwróciła się do niego.

– Słuchaj – oparł się barkiem o framugę i rozejrzał po pustym korytarzu – a może, tego, no... Może poszlibyśmy gdzieś razem, co? Kino jakieś albo wiesz, może jakaś pizza?

Trzymał w rękach długopis i pstrykał chromowanym klipsem.

– Do kina? A może od razu do łóżka? – spytała.

– No, kurwa – zachnął się. – Czemu taka jesteś? Ja serio pytałem.

– Jaka jestem? – Zeszła na parter i ściągnęła bejsbolówkę.

– No po co tak od razu z tym łóżkiem – stwierdził zniesmaczony.

Podeszła na tyle blisko, że poczuła zapach jego wody kolońskiej z lekką nutą sandałową. Widziała gładką skórę brody i policzków, wciąż lśniąca od delikatnej warstwy kremu po goleniu.

Zmieszał się. Odwrócił głowę w bok. Grdyka, ukryta pod cienką skórą, przypominająca kształtem rozłupany kamień, przesunęła się w górę i w dół.

Skalska uniosła brodę i odczekała kilka sekund, zanim wreszcie spojrzał na nią pełnym zażenowania wzrokiem.

– A skąd wiesz, czy nie wolałabym właśnie najpierw do łóżka? – Puściła do niego oko i oblizwała usta, tak żeby wyraźnie widział wilgotny czubek języka, przesuwający się wolno po górnej wardze.

Zaniepokoiła się, że być może dostrzegł w jej spojrzeniu moment zawahania. Chwilę, w której instynkt każe się wycofać, chociaż jest już za późno. Już niczego nie da się odwrócić. Dlatego, maskując swoje zawstyżenie, wypaliła:

– A wolisz od tyłu czy po bożemu?

Zniesmaczony pokręcił głową.

– Dobra, zapomnij. Nie było tematu. – Podniósł dłonie w obronnym geście.

Cofnął się w głąb tonącego w żółtym świetle pomieszczenia i stanął przed monitorem wyświetlającym jednocześnie obraz z kilku miejskich kamer. Widoki przełączały się automatycznie na puste, skąpane w szarościach ulice, na których jedynym gościem były gęstniejąca wieczorna mgła i rozproszone światła ulicznych latarni.

– Ale... – Odwrócił się do niej. – Coś ci jednak powiem.

– No? Co takiego? – Zalotnie obniżyła ton głosu.

„Nie brnij w to, idiotko”, zrugwała się w myślach.

– To jest maska, Monia. To tylko twoja zbroja – stwierdził poważnie. – W dodatku krucha jak porcelana.

Jej flirciarski uśmiech gasł powoli, jak dopalająca się zapalka. Zrozumiała wreszcie, że przegrała to starcie z kretesem.

– Bo ty wcale taka nie jesteś – dodał poważnie.

Skalska poczuła, jak napinają się jej mięśnie i twardnieją niczym zastygający beton. Musiała się odezwać, zanim zaciśnięte gardło sprawiłoby, że nie wypowiedziałaby już więcej ani słowa.

– Gównu o mnie wiesz! – Trzasnęła drzwiami do dyżurki, a potem uciekła na schody.

– Wiem o tobie więcej, niż ci się wydaje! – zawołał.

Obcasy z hukiem uderzały o posadzkę.

Kiedy dotarła do swojego gabinetu i opadła na fotel, dyszała ze złości. Nie mogła uwierzyć, że dała się tak zaskoczyć.

W ustach wciąż miała smak porażki, wypierany z wolna przez gorzcy upokorzenia.

Włączyła komputer, żeby rzucić się w wir pracy, ale wciąż drżały jej ręce.

Przypomniała sobie jedno z pierwszych spotkań z Otrembą. Wtedy też, na jego zwykłe pytanie bez podtekstów, odpowiedziała zbyt obcesowo. Niesmak pozostał, a cała ta sytuacja wryła się jej głęboko w pamięć. Miała być dla niej lekcją. Powinna się przecież uczyć na błędach i nigdy już ich nie powtarzać. Ale to tak nie działało. Popępiała coraz to nowe, utrwalać obrazy wcześniejszych porażek, które zamiast blednąc z biegiem lat, stawały się bardziej wyraziste i przejmujące. Zdała sobie sprawę, że wszystkie te doświadczenia sprawiały jej ból, bo w takich chwilach zawodziła samą siebie.

Kiedyś, zaczepiana przez facetów, często zawstydziała ich wyuzdanymi tekstami lub wyzywającym zachowaniem. Zazwyczaj to działało, ale tylko na tych, którzy byli jej całkowicie obojętni. Na Grzegorz nie zrobiło to wówczas najmniejszego wrażenia. Po prostu bez słowa komentarza wrócił do swojego zajęcia, a ona stała zmieszana pod obstrzałem spojrzeń innych policjantów.

Krótko potem, któregoś wieczoru, gdy miała dyżur, Grzegorz wyłączył komputer i spakował torbę. Siedział nieruchomo, wpatrując się w nią.

Na zewnątrz letni wieczór żegnał się pomarańczowym blaskiem słońca i gęstymi, długimi cieniami rozłożonymi na asfalcie.

Skalska rzucała mu ukradkowe spojrzenia znad monitora, a Otremba cały czas siedział cicho. Czowała w nim jakieś napięcie.

W końcu podszedł do drzwi i zamknął je od wewnątrz. Brelok dowieszony do kluczy zahuszał się lekko. Otremba wolnym krokiem podszedł do niej i oparł ręce na podłokietnikach fotela, żeby nie mogła się wyrwać. Ale przecież w ogóle nie zamierzała. Pochylił się, żeby ją pocałować. Niemal musnął wargami jej usta i zastygł na moment. Potem wyszeptał do ucha, co z nią robi, gdy tylko rozbierze ją do naga.

Jego ciepły oddech muskał małżowinę. Skalskiej z nagłego podniecenia zaszumiało w głowie.

Otremba wyciągnął T-shirt z jej spodni, a ona uniosła ręce, żeby mu to ułatwić. Rzucił koszulkę za siebie. Rozpiął jej stanik, a piersi zakołysały się pod własnym ciężarem. Pochylił się, żeby wziąć do ust sterczący sutek. Rękoma próbował rozpiąć jej szorty, ale Skalska chwyciła go za dłonie i wkładając sporo siły, odciągnęła je.

Skonsternowany przestał pieścić piersi i spojrzał na nią pytająco.

To był ten moment, w którym wszystko musiało się rozegrać wyłącznie według jej scenariusza. Przynajmniej ten pierwszy raz.

– Rozbierz się – rozkazała i odepchnęła go lekko nogą.

Zrobił krok do tyłu i bez ociągania ściągnął koszulkę. Wyraźnie zarysowane mięśnie brzucha się napięły. Zerknęła wyżej na szerokie barki i bicepsy. Rozpiął spodnie i zsunął je razem z majtkami.

Wstała i minęła go. Skierowała się do drzwi, oparła się o nie plecami. Grzegorz chciał do niej podejść, ale powstrzymała go gestem. Przekręciła zamek i otworzyła drzwi gabinetu na oścież.

Nie wiedziała, czy ktoś oprócz nich jest jeszcze na tym piętrze albo niżej. I właśnie to podnieciło ją jeszcze bardziej.

Otremba chciał zaprotestować, ale położyła palec na ustach i zsunęła szorty. Zbliżyła się do niego i stanęła na palcach. Jej sutki dotknęły owłosionego torsu. Wsunęła język w jego rozwarte usta. Odpowiedział tym samym, ale kiedy chciał ją dotknąć, zabroniła mu. Po chwili przesunęła palcami od jego klatki piersiowej po wyżłobieniach mięśni brzucha niżej, aż do krocza. Wyczuła pomarszczoną i owłosioną skórę jąder. Pomasowała je, a drugą dłonią chwyciła penisa i delikatnymi ruchami doprowadziła go do erekcji. Wtedy odwróciła się do niego plecami i położyła się na zimnym blacie.

Nie wszedł w nią od razu.

Najpierw poczuła jego dłonie na biodrach, a potem krótki i ciepły strumień wydychanego powietrza pogładził skórę jej pośladków. Przymknęła powieki i czekała, aż język Otremba wsunie się w wilgotną cipkę.

Stłumiła jęk.

Ciepło zaczęło się rozchodzić falą od brzucha do głowy i stóp. Zmusiła się, by nie zamykać oczu i patrzeć przez szeroko otwarte drzwi. Podniecało ją to, że codziennie przechodzi tamtędy mnóstwo osób, że ktoś mógłby, tak jak oni, przyjść dziś do pracy i wykonać zaległą robotę. Że ktoś mógłby usłyszeć rytmiczne skrzypienie biurka, krótkie posapywania Otremba i jej coraz głośniejsze błagania o to, by nie przestawał.

Po wszystkim Otremba opadł na fotel i otarł pot z czoła. Skalska wciąż jeszcze czuła drżenie mięśni ud i brzucha, kiedy szła nago przez gabinet, żeby zamknąć drzwi.

Ubrali się w ciszy, zawstydzeni swoją nagością.

W milczeniu zeszli na parter, a Otremba odwiózł Skalską do domu.

– Przyjadę po dyżurze – oświadczył.

– Przyjedź – odparła i z nową falą energii wysiadła z jego prywatnego samochodu.

Wzięła długą kąpiel, ogoliła dokładnie nogi, położyła czerwony lakier na paznokciach stóp i schłodziła wino. Wyrzuty sumienia dopadły ją później, po ekscytującej nocy wypełnionej seksem, kiedy obudziła ją komórka. Głośna, rockowa muzyka. Otremba włożył T-shirt na lewą stronę i szarpał się z dżinsami. Zerknęła na wyświetlacz.

„Ewelinka”.

I wtedy zrozumiała, że jeśli nie przerwie tego od razu, to na długo pozostanie tą drugą.

Mijały miesiące, ale wciąż nie chciała z niego zrezygnować. Wiedziała, że jest egoistką, ale przynajmniej nie była hipokrytką. A poza tym zdrada już się dokonała. Czy ciągnięcie jej było jeszcze większym grzechem?

Brnęła w to dalej, żywiąc cichą nadzieję, że kochanki przynajmniej w jednym są zawsze na pierwszym miejscu.

I to jej wystarczało.



Uśpiony monitor rozbłysnął światłem.

Skalska wprowadziła hasło i kolejne, kiedy logowała się do Krajowego Systemu Informacyjnego Policji.

Nie mogła zrozumieć, dlaczego powróciła myślami do pierwszego seksu z Otrembą, ale finał tego wspomnienia pojęła już dobitnie. Przyszła tu w konkretnym celu, spełniając prośbę Eweliny

Otremby. Czyż nie zgodziła się pomóc, bo była jej coś winna? Nie łudziła się, że jest inaczej, ale dlaczego robiła to w takim tempie? Przecież nic nie wymagało szybkich działań. Skalska dobrze jednak wiedziała, że jeśli materiał ze ściany przybudówki okaże się ludzką krwią, wówczas będzie o krok do przodu. Trzeba będzie rozpocząć formalne śledztwo, ale ona będzie miała w rękę kilka sznurków. Tego nauczyła się od Grossa. Zdobyć przewagę już na starcie, nie odpuszczać i iść za głosem intuicji. Wyciągać odpowiednie wnioski.

Kryminalista miał na imię Aleksander, o ile nie było to fałszywe imię. Jak mogła go znaleźć? Miała dwie możliwości. Pierwszą mogła sprawdzić wyłącznie w komisariacie. Postanowiła wybrać odpowiedni zakres dat, obejmujący mniej więcej pobyt mężczyzny w Chełmży i pracę w papiarni. Wpisała w rubryki pozostałe skąpe informacje i kliknęła w odpowiedni przycisk w programie. Otrzymała kilkanaście rekordów, ale za każdym razem chodziło o ludzi zameldowanych w Chełmży. Adresy nie pasowały jednak do dobudówki kamienicy w Rynku, a poza tym wydawało się jej mało prawdopodobne, że Płoccy zameldowaliby byłego kryminalistę we własnym domu. Czy sama zaoferowałaby mieszkanie człowiekowi, który opuścił więzienie? Facetowi, który popijał i zapewne niewiele zarabiał, być może pracował na czarno? A skoro niewiele zarabiał, to niewiele był też w stanie płacić. O ile w ogóle cokolwiek zostawało mu z lichej pensji.

Skalska odnotowała to na kartce i pomyślała, że powinna znaleźć rozsądną odpowiedź. Uznała też, że jeśli mężczyzna pracował na czarno, nie uzyska o nim żadnych informacji, jeżeli spróbuje wykorzystać oficjalną drogę, tak jak to zamierzała zrobić, przygotowując sobie pismo pod podpis komendantki.

Zarzuciła ten pomysł i zastanowiła się, od kogo ze znajomych mogłaby uzyskać jakiegokolwiek informacje w tej sprawie. Wybrała numer do jednego z miejskich radnych, byłego pracownika papiarni, i powiedziała mu, w czym rzecz.

– Kojarzysz takiego pracownika? – spytała, nie licząc na wiele.

– Olek, Olek, Olek. – Mężczyzna powtarzał imię, jakby to mogło mu odświeżyć pamięć. Miał spokojny, donośny głos i dobrą dykcję. – Mówisz, że pracował na czarno?

– Nie wiem. To tylko moje domysły.

– Taaa... no nie ma co ukrywać, że kryminalisty pewnie nikt by u nas oficjalnie nie zatrudnił. Ale, jeśli mam być szczerzy, to nie uwierzyłbym, żeby komuś udało się złapać tam robotę na czarno. Zawsze mieliśmy sporo różnych kontroli. Krótko mówiąc, zbyt duże ryzyko.

– Pewnie masz rację – odparła.

Skalska pożegnała się szybko i wróciła do swoich notatek z rozmowy z Rybkowskim. Trafiła na informację o tym, że Olek dostał pracę po znajomości.

Przeniosła wzrok na najświeższe zapiski na kartce i dopiero wtedy zauważyła światełko w tunelu.

Sięgnęła po myszkę i najechała kursorem na pole do wprowadzenia nazwiska, a kiedy już skorzystała z klawiatury, mocno uderzyła w klawisz enter.

Odczekała w napięciu, przygryzając wewnętrzną część policzka.

Komputer odszukał jeden rekord.

Aleksander Płocki.

Skalska przyjrzała się danym i dopiero wtedy potwierdziło się, że Aleksander był synem Józefa, mieszkańca Chełmży, który wyprowadził się z miasta przed tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym rokiem. Okazało się, że Aleksander Płocki był bliskim kuzynem właściciela dobudówki.

Aspirantka sztabowa uporządkowała swoje notatki, spakowała się i zeszła na parter.

Wstyd po głupim zachowaniu podczas rozmowy z dyżurnym nie odpuszczał. Dariusz Styczyński był atrakcyjnym facetem, a do tego podobno wolnym, po rozwodzie, bez dzieci. Nie romansował z użytkami. Miał jedynie hopla na punkcie biegania. Zaliczał maratony w Polsce i w Europie, skąd przywoził wyróżnienia i nagrody. Być może dlatego tak świetnie prezentował się w mundurze. Dbał o siebie, co imponowało Skalskiej. A poza tym wśród dyżurnych tego komisariatu Styczyński wyróżniał się tym, czego wielu innym brakowało. Intuicją. Miał intuicję, popartą niezbędną

na tym stanowisku wyobraźnią. Kilkukrotne już odbierał pochwały od komendanta wojewódzkiego. Ostatnio za utrzymywanie telefonicznego kontaktu z samobójczynią, która po spożyciu wielu leków zadzwoniła do komisariatu i bełkotała do słuchawki. Odpływała, milkła, ale przytomność umysłu i opanowanie Darka pozwoliły na ustalenie adresu, z którego dzwoniła, i skierowanie patrolu, karetki oraz strażaków niezbędnych do wyważenia drzwi. Pomoc przyszła w ostatniej chwili.

Skałka zapukała do pomieszczenia oficerów dyżurnych.

– Co jest, aspirantko? – Misiowaty kolega odwrócił się do niej z uśmiechem.

– Darka szukam – odparła zaskoczona, że Styczyńskiego już nie było.

– Przebrał się, wsunął obcisłe galoty i poszedł pobiegać. Jak go dogonisz, będzie twój. –

Dyżurny zaśmiał się i odgryzł kawał odwinętej z papieru śniadaniowej kiełbasy, której intensywny zapach wypełniał niewielkie biuro.

Na komodzie obok stała jeszcze sałatka jarzynowa, a w kubku parowała herbata.

– Dawno temu?

– Znając jego tempo, będzie już pod Toruniem. A co od niego chciałaś? Może ja ci pomogę, co?

– Nie, dzięki. Do jutra – powiedziała i wyszła wprost w zimną i ciemną noc, która spłynęła na bezludne o tej porze ulice miasta, otulone miękką mgłą.

Zimne powietrze, przesycone smrodem dymu unoszącego się nad dachami kamienic, drapało w gardło.



W domu przywitały go ciemność i chłód.

Komisarz Gross przekroczył próg tonącego w mroku mieszkania, zdjął buty i odwiesił kurtkę. W przemoczonych skarpetkach przeszedł do kuchni, rozświetlonej poświatą podwórkowej lampy.

Odstawił torbę na krzesło i rozprostował plecy. Potem podniósł czajnik i zakręcił nim, żeby sprawdzić, czy wystarczy wody na kubek herbaty. Zachlupotało. Gaz rozbłysnął niebieskim płomieniem. Rozkołysana woda sprawiła, że naczynie, ustawione na nierównym palniku, kiwało się jak huśtawka, uderzając w żeliwne ramy raz po jednej, raz po drugiej stronie. Głuchy stuk trwał krótko, w końcu ucichł zupełnie.

Gross usiadł naprzeciwko wyeksploatowanej kuchenki, porzewiałej na rogach, z których dawno już odprysła emalia, i z ciemnymi zaciekami od frontu. Mimo starań nie usunął ich żadną dostępną chemią.

Gaz syczał jednostajnie, a płomienie liżące dno blaszanego czajnika rozświetlały się gdzieś na pomarańczowo. Wpatrywał się w to bezmyślnie, zmęczony dniem i długimi rozmowami, wykończony deszczową aurą.

Przysunął się, żeby ogrzać zziębnięte dłonie.

Kiedy wchodził na górę, minął dwie sąsiadki z pierwszego piętra. Skinął im głową, ale nie był pewien, czy zauważyły jego gest. Ze strzępków ich rozmowy dowiedział się, że doszło do awarii ciepłowniczej, która potrwa do wtorku. Zastanawiał się, czy powinien odszukać farełkę, żeby ogrzać mieszkanie przed położeniem się spać, ale pamiętał, że po zesłej zimie zniósł ją do piwnicy.

Nie miał siły, by tam zejść.

Sięgnął po telefon, żeby sprawdzić, czy Malwina Lemańska nie wysłała mu żadnej wiadomości albo nie puściła „wędki”, której zwyczajnie nie usłyszał. Niepotrzebnie się łudził.

Kiedy zalewał torebkę liptona nad zlewem, myślał o śmierci Rafała Beckera, o motywacjach do odebrania sobie życia, których wciąż nigdzie nie znajdował, nie licząc być może tej najważniejszej –

depresji. Odebranie sobie życia w lesie, w pełnej konspiracji i z przebraniem się w kurtkę moro, z dala od domu, wydawało się komisarzowi trudem ponad miarę. Nagle przyszła mu do głowy inna myśl.

„A co, jeśli Becker chciał w ten sposób zostać uznany za zaginionego, jak jego siostra?”

Komisarz postanowił to odnotować.

Wstał i podszedł do stołu w dużym pokoju, żeby włączyć lampę kreslarską. Żarówka rozświetliła się na ułamek sekundy, a chwilę później coś głośno trzasnęło i ciemności powróciły.

Włączył drugą lampę, taką samą, znajdującą się po drugiej stronie stołu.

Przyniósł notes, a następnie zrobił w nim odpowiednie zapisy. Potem przewrócił kilka kartek, żeby spojrzeć w notatki z ostatniej rozmowy z matką Beckera, kiedy wszedł do jej mieszkania tuż po telefonie od Bartka, gdy usłyszał wiele gorzkich słów. Ale nie chciał teraz o tym myśleć. Wolał przypomnieć sobie odpowiedzi na pytania, które zadał Jadwidze Becker.



Zamknął wtedy za sobą drzwi.

Kobieta zapraszała go do salonu, komisarz jednak odmówił, wykręcając się kolejnym spotkaniem.

– Gdzie syn trzymał narzędzia? – Z trudem panował nad własnym głosem. Stres dopadł go z siłą sztormu.

– Narzędzia? – spytała kobieta, ubrana cała na czarno.

– Młotek, śrubokręt, wszystko to, co przydaje się w domu.

– A, takie narzędzia. Są nad panem, w pawlaczu.

Gross odwrócił się i rzucił okiem na zawieszoną nad drzwiami szafkę. Zajmowała całą szerokość przedpokoju.

– Mogę tam zajrzeć? – spytał.

Kobieta przyniosła taboret i podała go policjantowi razem z gazetą. Rozłożył ją na stołku, po czym wszedł na niego i otworzył szafkę. Stara i sztywna okleina na krawędziach drzwiczek obłaziła, więc musiał uważać, żeby jej nie złamać.

– Widzi pan?

Widział.

Plastikowy neseser średniej wielkości z czerwoną rączką i takiego samego koloru zapinkami. Stał dokładnie na wysokości jego wzroku i tuż przed nim. Zanim go zdjął, przyjrzał się kurzowi na dnie szafki. Wyglądało na to, że nikt tej skrzynki od dawna nie ruszał. Zapytał o to właścicielkę mieszkania, ale ta nie umiała sobie przypomnieć, czy syn korzystał ostatnio z jakichkolwiek narzędzi.

Gross wyjął skrzynkę i przytrzymał ją, starając się przyjrzeć zawartości szafki. Leżały tam stare koce i dwa zrulowane śpiwory, wsunięte w poszewki związane sznurkiem.

Komisarz zszedł z taboretu i ustawił na nim skrzynkę. Kobieta stanęła obok i przypatrywała się temu, co robił.

Pod plastikowym wiekiem znajdowała się tacka z dwoma podłużnymi wgłębieniami, w których leżały klucze płaskie i kombinerki, kilka kostek elektrycznych do instalacji lamp podsufitowych, nożyk do tapet i płaskie ołówki budowlane z zestruganymi końcówkami odsłaniającymi połamane grafity. Gross wyjął tackę i odłożył ją na podłogę. Wewnątrz skrzyni było kilka pojemników na śruby i kołki, gwoździe i nakrętki, a także obejmy do rur, kawałek sznurka i pozginanego drutu. Ale to, co interesowało Grossa najbardziej, znajdowało się na dnie, w trudno dostępnym miejscu. Powyciągał mniejsze pojemniki, żeby dostać się do leżących luzem kilku plastikowych opasek samozaciskowych. Były czarne, jak te, które Bloch znalazł w miejscu powieszenia mężczyzny.

Gross włożył rękawiczkę lateksową i wyjął kilka trytek.

Wsunął je do koperty, którą wyciągnął z torby, i zakleił. Potem posprzątał i odstawił skrzynię na miejsce.

– Co pan robi? Po co to panu? – spytała Beckerowa, gdy zamierzał się już pożegnać.

Popatrzył na nią i nie odpowiedział.

– Co to w ogóle jest?

Wyjaśnił jej i dodał:

– Muszę już iść.

Odstawił taboret do kuchni, żeby nie sprawiać jej kłopotu.

Gdy wrócił do korytarza, Jadwiga Becker czekała na niego bez ruchu. Zabrał pozostałe rzeczy z pokoju Beckera, pożegnał się i skierował do drzwi. Przystanął przed nimi, bo chciał ją jeszcze o coś zapytać.

– Pani syn podobno dobrze zarabiał – stwierdził.

Wyglądała na zaskoczoną.

– Znał się na nieruchomościach. Miał do tego smykałkę – przypomniał sobie opinię Wiktora Korczyńskiego. – Wie pani, co robił z pieniędzmi? Odkładał je?

– Nie wiem – odparła. – Dużo pieniędzy? – Wyraźnie była zaskoczona.

– Może chciał kupić sobie mieszkanie?

– Nic mi o tym nie wspominał. – Kościstą ręką poprawiła siwe włosy.

Cisza się przedłużała i Gross ponownie usłyszał tykanie zegara.

– Był z kimś? – dążył.

– Nie. Przecież bym wiedziała.

– A w okresie od zaginięcia pani córki związał się z jakąś kobietą?

Tym razem potwierdziła.

– Dwa razy, ale zawsze krótko to trwało. Jedna miała na imię Basia i mieszkała w pobliżu. A drugą, Zuzannę, poznał latem, przez Internet – odparła zamyślona. – Pierwsza była śliczną, szczupłą blondynką. Drugiej nigdy nie widziałam. Zresztą oni chyba nigdy się ze sobą nie spotkali.

– Skąd pochodziła?

– Nie wiem. Nie powiedział mi. Aż w końcu któregoś dnia uznał, że to już historia.

Gross czuł, jak pasek jego ciężkiej teczki zaczyna mu się wrzynać w ramię.

– Jak długo trwały te jego związki? – zagadnął po chwili.

– W tym pierwszym przypadku chyba kwartał. W drugim znacznie krócej.

– Powiedział dlaczego?

– Nie. A ja nie pytałam.

– Rozumiem – dodał i wyszedł na chłodny korytarz. – Do widzenia.

Odszedł w kierunku schodów, ale zatrzymał go jej głos.

– Chciał kupić bilety na koncert. – Jadwiga Becker wyszła za nim na zimną klatkę schodową.

Otuliła się połamami czarnego swetra.

– Słucham?

– Prosił pan, żebym sobie przypomniała coś, co wydawałoby się dziwne, prawda? A mój syn mówił coś o koncercie.

– O jakim koncercie?

– Nie wiem. Ale pamiętam, że wtedy panowały nieznośne upały, więc to chyba był sierpień.

Mieliśmy pootwierane okna i drzwi. Rafał słuchał muzyki, a kiedy przyszłam prosić, żeby ją trochę ściszył, powiedział, że chce pojechać na koncert i zastanawia się, czy kupić bilety, bo były drogie.

– Jakiego zespołu?

– Mówił, ale nie zapamiętałam. Ten koncert ma się odbyć dopiero za kilka miesięcy.

– Użył liczby mnogiej?

– W jakim sensie?

– Chodziło mu o bilet czy bilety?

- O bilety.
- Jest pani pewna?
- Tak.
- Kupił je?
- Nie wiem. – Rozłożyła ręce.

Gross czekał na dalsze informacje, ale Jadwiga Becker nic więcej nie powiedziała. Patrzyła na niego, jej głowa drgała jak figurka pieska z ruchomym łbem, którą jego ojciec woził kiedyś w dużym fiacie na półce za tylną kanapą.

- Zamierzał zabrać panią na ten koncert?
- Nie, na pewno nie. Wiedział przecież, że nie mogę w nich uczestniczyć ze względu na hałas.

Nie zniosłabym tego.

- W takim razie kogo mógł mieć na myśli?
- Może Karola?
- Karola Formowicza? – Gross pamiętał nazwisko mężczyzny, do którego miał się wybrać Rafał Becker, choć nigdy nie dotarł do mieszkania kolegi.
- Być może – odparła strapiona. – Jak widać, niewiele wiem o własnym synu.



Gross zamknął notes.

Dopił herbatę, ale w kuchni zrobił sobie kolejną. Przygotował też dwie kromki chleba z białym twarogiem pokrojonym w grube plastry. Posypał je cukrem i zaniósł talerz oraz kubek do pokoju.

Jadł w ciszy i czuł, jak słodkie kryształki chrupały mu między zębami.

Sięgnął po teczkę ze sprawą zaginięcia Justyny Becker i Marcina Korczyńskiego.

Wynotował sobie listę nazwisk osób, z którymi należało ponownie porozmawiać. Jeśli jednak chciał przyspieszyć działania, powinien wykorzystać wsparcie Skalskiej. Zrobił wstępny podział świadków.

Odniosł naczynia do zlewu i już miał iść pod prysznic, kiedy spojrzał na modelarską część stołu w salonie. Przysiadł na chwilę i wyciął z wyprasek ramę podwozia oraz części drewnianej paki towarowej wraz z nadkolami. Oszlifował wstępnie miejsca łączenia karoserii z plastikową ramką, a potem ze sobą spasował. Kiedy udało mu się uzyskać kąty proste między bokiem skrzyni ładunkowej a jej podstawą, połączył elementy klejem. Odczekał, odwrócił ją do góry dnem i zajął się montażem szerokich nadkoli i oświetlenia.

Trudno mu się pracowało przy świetle z jednej lampy, bo jego spore dłonie rzucały cień na drobne elementy. Ich instalację musiał przełożyć na później.

Wykręciwszy zepsutą żarówkę z klosza lampy kreślarskiej, odłożył ją przy szafce z butami.

Dopiero teraz poczuł, że skostniał z zimna. Miał zgrabiące ręce, zimny nos i lodowate stopy.

Wszedł pod gorący prysznic. Strumienie wody chłostały go i znikwały, wirując w odpływie. Mył się długo i odkładał myśl o wyjściu z zaparowanej łazienki.

Wytarł się energicznie, umył zęby. Zgasił światło i po ciemku poszedł do łóżka.

Przez jakiś czas, zanim zasnął, dygotał w zimnej pościeli, kołyszany do snu odgłosem porywistego wiatru uderzającego w okna z siłą orkanu.

A potem śnił zupełnie dziwny sen o tym, jak tańczył z Agnieszką na policyjnym balu sylwestrowym pełnym par i z muzyką graną na żywo przez zespół ubrany jednakowo w białe garnitury i czarne muszki. Trzymał żonę w objęciach, a ona złożyła swoje dłonie na jego ramionach. W jego wypastowanych czarnych półbutach odbijały się światła wielkich kryształowych lamp.

Żona uśmiechała się do niego.

W jej oczach widział prawdziwą, głęboką radość, ale też miłość, którą go darzyła. Wciąż się zastanawiał, co tak piękna i mądra kobieta zobaczyła w nim, cichym i wycofanym pospolitym mężczyźnie. Nie wiedział, czym zasłużył sobie na to uczucie. Ale bał się o to zapytać. W zasadzie nie zapytał nigdy. I dlatego nosił w sobie niewytłumaczalny żal, bo pojął, że tajemnica pozostanie na zawsze nieodkryta, nawet jeśli odpowiedź Agnieszki zawierałaby w sobie jakiś banał, a nie prawdę o nim samym, o tym, jaki jest. A mimo to w głębi duszy zadręczał się niewiedzą.

Głościki dudniły, a parkiet drżał z każdym uderzeniem perkusji. Tańczyli ze sobą kolejną już piosenkę, tym razem wolną, w smutnej tonacji moll.

Sen był realistyczny, ale podświadomie czuł, że to tylko mara, zwykła ułuda.

Nie umiał tańczyć, ale dał się prowadzić żonie, która dyskretnie kierowała nimi w stronę okrągłych stołów, przykrytych białymi obrusami, przy których siedzieli pozostali goście. W pewnej chwili Gross zauważył tam Malwinę Lemańską. Odsunięta nieco od stołu założyła nogę na nogę, a jej niebieska suknia z rozcięciem odsłoniła gładką, pięknie opaloną skórę smukłego uda i łydki. Bose stopy tkwiły w sandałkach na szpilce. Ciepły uśmiech, który znał doskonale, nie zniknął z jej twarzy. Dostrzegła go i pomachała dłonią. Gross odwzajemnił uśmiech i po chwili zobaczył, jak do Lemańskiej podchodzi tanecznym krokiem wysoki, przystojny mężczyzna z kilkulatką na rękach. Ku ucieście małej wykonuje obrót i niski skłon, który sprawia, że długie włosy dziewczynki muskają twarz matki. Postawił roześmianą księżniczkę na ziemi i pochylił się, żeby pocałować w usta szczęśliwą żonę.

Gross mimowolnie posmutniał. Nie chodziło o zazdrość, chociaż ta rozkwitała w jego sercu, ale o to, co czeka Lemańską. Wiedział, że jej córka i mąż zginą w Chełmży na przejściu dla pieszych. Obwinił się, że zna tragiczną przyszłość i milczy, zamiast ich ratować.

– Kochasz ją? – spytała Agnieszka szeptem, kładąc głowę na jego ramieniu.

Poczuł zapach szamponu do włosów. Delikatny i zmysłowy. I wtedy stało się coś, co zmroziło mu krew.

– On cię zdradza, mamó – usłyszał głos syna, ale nie widział go. Komisarz nerwowo obracał głowę, wkoło tańczyły jednak tylko inne pary.

Rozbolało go serce, jakby ktoś nagle je ścisnął, blokując dopływ krwi. Gross się wystraszył, że ból, który rozlewał się od mostka, przemieni się w zawał, a on upadnie na parkiet i umrze.

Nic takiego się jednak nie stało. Chociaż może powinno. Pomyślał tak, kiedy spojrzał na Agnieszkę. Zaczęła z nim wirować na parkiecie z wykrzywionymi ustami, jakby fizycznie zadał jej ból. Wiedział, że ją zawiódł, że nie sprostał roli męża i ojca, człowieka honoru i zasad. Stał się kimś, dla kogo nic nie znaczy złożona przysięga.

Od tego szalonego tańca zakręciło mu się w głowie.

Po policzkach żony płynęły łzy, które żłobiły ścieżkę w makijażu i ciągnęły za sobą czarne smugi tuszu do rzęs.

Świat wciąż nieznośnie wirował.

Chciał jej powiedzieć, że to nieprawda. Chciał kłamać, żeby tylko zaprzeczyć słowom syna, ale czuł, że to niczego już nie zmieni, że zadra w jej sercu pozostanie na zawsze.

– Zostawił mnie, a teraz zostawi ciebie. On już taki jest, mamó. – Znowu usłyszał ten sam głos, ale nieco odmieniony i donośny. Musiał płynąć z głościków. Gross zerknął w stronę sceny. Syn trzymał w ręku mikrofon. Muzyka ucichła, a tańczące pary się zatrzymały i wszyscy spojrzeli w ich stronę. Oni jako jedyni nie przestawali wirować niczym karuzela.

Rzucił okiem na Lemańską.

Stała w czerni tuż obok i płakała nad grobem z brązowego marmuru, który wyrósł pośrodku parkietu.

– Jeb się, ojciec! – Wściekły krzyk syna wypełnił salę.

Przerażony Gross pokręcił głową, ale Agnieszka nawet na niego nie spojrzała. Spod w półprzymkniętych powiek ciągnęły się ciemne smugi i sięgały już niemal ust, a te straciły swój pierwotny kolor i jędrność.

Okręcali się, tracąc dech, a ona zaczęła gubić długie blond włosy. Jej fryzura stała się krótka i wypłowiała, mocno już przerzedzona i przetłuszczona, lepiąca się do skóry czaszki. Twarz pokryła się zmarszczkami, a policzki się zapadły. Z kącika bezwładnej dolnej wargi, odsłaniającej poźółkłe zęby, zaczęła ściekać strużka śliny.

Wreszcie się zatrzymali i Gross poczuł, że jego żona opadła z sił. Przytrzymał ją.

– Nie chcę cię znać. Zostaw mnie – wypowiedziały spękane usta. Twarz wykrzywił grymas wściekłości.

Jej bezwładne ciało stało się nad wyraz ciężkie i policjant stracił równowagę.

W chwili, gdy oboje uderzyli o płytę marmurowego grobu, przy którym płakała Lemańska, Gross drgnął gwałtownie w swoim łóżku i nagle się przebudził.

Przetarł oczy, jakby chciał wymazać z pamięci ten koszmar. Przekręcił się na bok i nasłuchując wiatru, próbował usnąć. Wciąż jednak miał wrażenie, że w tym dochodzącym od okien świcie kryją się obelgi syna. Słyszał jego złowrogi szept.

Usnął, ale płytkim snem. Co rusz się wybudzał i patrzył w czarną noc, aż w końcu, kiedy szary świt uderzył w okna nową falą deszczu, przebudził się i usiadł na łóżku.

Pościel była wilgotna od potu.

Wstał, umył się pod prysznicem, a potem usiadł do stołu z kubkiem parującej herbaty, żeby ponownie zagłębić się w sprawę sprzed szesnastu lat.

dzień szósty

Kiedy przestało padać, komisarz Gross przeszedł mostem nad wzburzoną taflą jeziora w kierunku centrum miasta. Wiatr dął mu w plecy i szarpał ciężką torbą.

Chełmża wyglądałaby na opustoszałą, gdyby nie czarne dymy z kominów, które przez wiatr skręcały na północ i szybko się rozwiewały. W okolicy Mistrala, na plaży, dostrzegł kobietę z kapturem na głowie, która rzucała psu patyk. Zwierzę biegło radośnie i aportowało, moczyło łapy w lodowatej wodzie, zupełnie nie zważając na aurę.

Przechodząc mostkiem nad niżej umiejscowionym drewnianym trapem, widział rozkołysane łodzie i słyszał wyraźny chłopot wody uderzającej o burty. Towarzyszył temu głuchy jęk, a czasami zgrzyt, kiedy łajby ocierały się siebie. Gdzieś tam dźwięczały też porzewiałe łańcuchy. Naprężały się i opadały z metalicznym łoskotem na stare deski mola.

Skręcił na Bulwar i przeszedł obok szarego budynku klubu kajakarskiego, w kierunku plaży, ale tuż przed nią odbił w lewo i szerokim, długim, schodkowym podejściem wyszedł wprost na narożnik rynku, tuż przy bibliotece. Przeciął po przekątnej pusty plac i, omijając kałuże, udał się do szpitala. Zerknął jeszcze w stronę kamienicy, w której mieszkali Płoccy i gdzie starszy mężczyzna, który zaprosił go do siebie, opowiedział historię z początku drugiej wojny światowej. Komisarz dostrzegł go teraz w oknie i ukłonił się, ale staruszek chyba go nie rozpoznał, bo schował się za firanką i zniknął w mroku.

W szpitalu panował niezwykle spokojny.

Komisarz dotarł na chirurgię i odnalazł właściwą salę. Drzwi były zamknięte. Zapukał, ale zanim nacisnął klamkę, odczekał chwilę. Dopiero kiedy uchylił je na całą szerokość, zobaczył puste, zasłane świeżą pościelą łóżko, które czekało na nową pacjentkę. Metalowa szafka, na której niedawno widział okulary Lemańskiej, świeciła pustką.

Gross przekroczył próg i przywitał się z kobietami, przerywając ich rozmowę.

– Wyszła wczoraj na własne życzenie – stwierdziła przysadzista brunetka, z którą rozmawiał ostatnio.

– Wróciła do domu?

– Tak.

– Mówiła coś? – spytał z nadzieją.

– Ale niby co? – Kobieta okryła połamany szlafrok nogi.

Druga pacjentka tylko przysłuchiwała się ich rozmowie, łypiąc na oboje.

– Zostawiłem jej kartkę – przypomniał.

– Ach, wie pan. Ona jak tylko z tych badań wróciła, to zaraz się spakowała i wyszła.

– Dobrze się czuła?

– Chyba tak, skoro chciała już wrócić do domu.

Gross podziękował i wycofał się na korytarz. Spojrzał na zegarek. Było krótko przed dziesiątą. Sięgnął po telefon i wybrał numer Lemańskiej. Stres spiął mu mięśnie barków i szyi. Bał się tej rozmowy, nie wiedział, co go czeka, a jednocześnie czuł, że coś w tej relacji z bibliotekarką się skończyło.

Automatyczna odpowiedź poinformowała go, że abonent jest poza zasięgiem.

Sprawdził, która jest godzina.

Nie zdążyłby zajrzeć do bloku przy Sikorskiego, bo i tak był już spóźniony na spotkanie ze Skalską, która zaczynała dyżur, i z Judycką.

Szybkim krokiem pokonał krótki odcinek ze szpitala do komisariatu. Pchnął ciężkie drewniane drzwi i kiedy nachylił się do okienka dyżurnego, ten oznajmił, że obie już na niego czekają.

– Długo?

– No będzie już kwadrans – oznajmił oficer dyżurny, dobrze zbudowany trzydziestokilkulatek.

– Spokojnie dziś? – zainteresował się komisarz.

– Chyba wszyscy jeszcze śpią. – Uśmiechnął się policjant. – A może pogoda zatrzymała złe duchy w domach. Tyle tylko, że zaraz zacznie się sezon na pożary, co nie?

Gross wiedział, co dyżurny miał na myśli. Dogrzewanie domów starym sprzętem elektrycznym albo gazowym, zakrapiane alkoholem spotkania, brak kontroli nad ogniem w piecach i nieszczęście gotowe. Albo czad zbierze żniwo, albo ktoś zaśnie w fotelu z papierosem w dłoni.

Wszedł od razu na drugie piętro do pokoju dziewczyn.

Obie siedziały przed monitorami. Skalska żuła gumę, a Judycka studiowała wydruki i zaznaczała fragmenty tekstu kolorowym zakreślaczem. Kiedy tylko się pojawił, przerwały rozmowę.

Usiadł przy pustym biurku po Januszu Stefańskim, który latem zginął w wypadku samochodowym. Z wewnętrznego naboru nikt nie chciał dołączyć do zespołu Komisarza Śmierci. Nie dziwiło go to i nie naciskał na szefową. Na razie dawali sobie radę w okrojonym składzie.

Nie ściągnął kurtki, a torbę ustawił obok na blacie. Wyjął z niej ramkę ze zdjęciem Korczyńskiego oraz kilka trytek znalezionych w domu Beckera. Część z nich zabezpieczył i opisał, a kilka zabrał po to, by pokazać je policjantkom.

Skalska odchyliła się na oparcie krzesła i podciągnęła kolano, stawiając stopę na siedzisku. Kita długich czarnych włosów zwisała z lewej strony na puchowym bezrękawniku, pod którym policjantka miała czarny polar. Bejsbolówka leżała obok.

– Co mamy? – spytała Skalska.

Judycka odłożyła papiery na skraj biurka i zatknęła skuwkę na markerze.

Komisarz przyglądał się im bez słowa, ale kiedy Skalska wypuściła kolejny balon i zrobiła zdziwioną minę, streścił zdobyte informacje. Były skąpe, niewiele wносиły do sprawy zarówno śmierci Rafała Beckera, jak i zaginięcia jego siostry i Marcina Korczyńskiego.

– Czyli nadal jesteśmy w punkcie wyjścia – podsumowała Judycka.

– Ale mamy też to. – Gross podniósł zdjęcie w ramce i obrócił je w ich stronę.

Judycka podeszła i wzięła od komisarza ramkę, przeszła z nią pod światło wpadające przez połaciowe okno. Skalska do niej dołączyła.

– To ta sama? – Aspirantka sztabowa odwróciła się do komisarza.

Ten wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Przynajmniej wygląda na taką samą.

Judyta Judycka zmarszczyła brwi.

– Z zebranych materiałów nic nie wskazuje na to, że miał ją wówczas przy sobie.

– Wówczas, czyli...? – dopytał Gross.

– W dniu zaginięcia – sprecyzowała Judyta.

– Dlatego musimy to zbadać. Musimy wiedzieć, czy miał wtedy na sobie tę bandanę. A jeśli miał, to jak to się stało, że znalazła się w kurtce Beckera. – Wyciągnął notes i przedstawił plan działania.

Odczytał nazwiska osób, które wynotował z dokumentacji poświęconej zaginionym studentom.

– Każdego z nich raz jeszcze zapytamy o ubiór albo o coś interesującego w stroju chłopaka i dziewczyny, ale nie podpowiemy niczego, nie pokażemy też ani tego zdjęcia, ani tej bandany – zaznaczył.

– To oczywiste – stwierdziła Skalska a Judycka przytaknęła. – Jest coś jeszcze. W materiałach

Grześka natrafiłam na plotkę.

– Co masz na myśli? – zaciekał się Gross.

Skalska streściła im bardzo dokładnie treść odnalezionych zapisków Grzegorza i poinformowała, że otrzymała je od Otremy.

– Niestety, prócz tego, że jest tam hasło „lubiła starszych” z kilkoma znakami zapytania, niczego więcej w tej sprawie nie wiemy – przyznała, wertując teczkę. – Początkowo pomyślałam o starym Korczyńskim i tym jego wypadzie do Monachium. Temu też należałoby się przyjrzeć.

– Słusznie – pochwalił ją komisarz. – Biorę to na siebie.

Zapadła cisza.

– Coś jeszcze? – odezwała się Skalska.

– Trytki. – Komisarz podniósł kilka z nich i podał aspirantce sztabowej, nachylając się nad biurkiem. Potem wręczył jej opisaną procesowo kopertę z wypełnioną metryczką dowodu. – Zajmij się nimi, proszę, i jeszcze dziś nadaj do laboratorium. Niech zrobią badanie porównawcze co do składu. Musimy wiedzieć, czy to te same, które zacisnęły się na dłoniach Beckera.

– Co nam to da? – Skalska rozłożyła ręce.

Gross wzruszył ramionami.

– Dno pawlacza, w którym stała skrzynka narzędziowa, jest pokryte warstwą kurzu. Moim zdaniem nikt tej skrzynki nie ruszał od dawna. A trytki leżały na samym dole tej skrzynki. Bez jej wyjęcia z pawlacza trudno byłoby je tam umieścić, a jeszcze trudniej wyjąć.

– No właśnie – potwierdziła Skalska.

– Ale nie mamy żadnego innego punktu zaczepienia. Nic. Zupełnie nic – zmartwił się. – Kto wie, czy Becker wcześniej ich stamtąd nie wyjął i nie przetrzymywał razem ze sznurem.

– To by przeczyło twojej teorii, że Becker targnął się na życie w przypływie chwili – zauważyła Skalska i odłożyła opieczetowaną kopertę na bok.

– Wciąż szukamy po omacku – zauważył. – Ale jeśli chodzi o rozmiar, to byłyby wystarczające. – Gross odwrócił się do Judyckiej. – Wiemy już coś więcej w sprawie tego marszu na orientację? – spytał komisarz.

Młoda policjantka sięgnęła do notesu.

– Obdzwoiliam organizatorów imprez z kujawsko-pomorskiego, w tym hufce harcercskie, ale nikt z tych, do których dotarłam, nie organizował ani latem, ani we wrzeźniu żadnej imprezy w lesie w Grodnie.

Gross potarł dłonią gładko ogoloną brodę.

– Masz tę listę?

Wstała i podała mu notes.

Przeczytał kilka nazwisk właścicieli firm.

– Jaki z tego wniosek? – spytał.

Judycka odebrała notatnik i założyła kosmyk blond włosów za ucho. Przyjrzała się raz jeszcze swoim zapiskom.

– Co najmniej dwa. Pierwszy jest taki, że niepotrzebnie zawęziłam organizatorów imprez do kujawsko-pomorskiego.

– Dlaczego? – przerwała jej Skalska.

– Bo wiesz – odparła przez ramię w stronę koleżanki – równie dobrze ktoś mógł organizować taką imprezę dla młodzieży, która przyjechała tu z daleka na wakacje. A to oznacza, że musiałabym jeszcze zweryfikować organizatorów wypoczynku dziecięcego w kujawsko-pomorskim kuratorium oświaty.

– Zajmij się tym – poprosił Gross, przyszła mu jednak do głowy pewna myśl. – Ale nie trać zbyt dużo energii. Być może to droga donikąd. Może nigdy nie było takiej imprezy.

– Jak to? – spytała Skalska, żując intensywnie gumę.

– Nigdzie poza tym jednym miejscem nie natrafiliśmy na żaden dodatkowy znak.

Policjantki spojrzały po sobie.

– Co szef chce przez to powiedzieć? – spytała Judycka.
– To, że tam nie odbywał się żaden marsz na orientację.
Skalska wstała i zaczęła przechadzać się po pokoju. Rozpięła polar.
– Racja – stwierdziła. – Nie trafiliśmy na żaden inny znak, a przecież szliśmy tyralierą.
– Pierwsze oznaczenia powinny pojawić się zapewne na drzewach rosnących wzdłuż ściany lasu – podpowiedziała Judyta. – Niczego nie zauważyliście?
– Na pewno nie – odparła szybko Skalska. – A poza tym tych wskazówek powinno być więcej.
– Spojrzała na komisarza.
– Dlatego powinniśmy przyjąć dwa rozwiązania. Co najmniej dwa. Możemy założyć, że jeśli marsz na orientację się odbył, to organizator imprezy powinien po sobie posprzątać i ściągnąć oznaczenia z drzew, prawda?
Judycka pokiwała głową.
– Tak to się zazwyczaj odbywa.
– A to drugie? – Skalska przysiadła na rancie biurka.
– A drugie powinno dać nam do myślenia. – Komisarz odchylił się wygodnie na oparciu fotela.
Judycka włączała i wyłączała energicznie długopis. Ale w pewnej chwili przestała to robić.
– To znaczy, że chodziło o oznaczenie tego konkretnego miejsca, tak? – spytała, a Gross wzruszył ramionami. – I szef sądzi, że Rafał Becker by to zrobił? Że w ten sposób ułatwił sobie odnalezienie idealnego miejsca do popełnienia samobójstwa? – Skrzywiła się z niedowierzaniem.
Policjant wstał i założył torbę na ramię, potem zapiął kurtkę i stał tak przez moment.
– Bernardzie – zaczęła nieśmiało Skalska. – Mam jeszcze jedną sprawę. Masz chwilę, żeby ją przegadać?
Komisarz jej nie usłyszał. Intensywnie myślał o tym, co powiedziała Judycka.
– Zapytaj w firmach reklamowych, czy ostatnio nie przygotowywali takich znaków. Może tak szybciej trafimy na organizatora. – Zamyślił się i wyszedł bez słowa z gabinetu.
Obie usłyszały jego kroki na korytarzu i spojrzały po sobie z nieskrywanym zdumieniem. Początkowo dźwięk się oddalał, po czym ucichł nagle i nastąpiła długa cisza. Ale naraz stukot butów rozbrzmiał ponownie i narastał.
Gross stanął w progu i spytał:
– A co, jeśli to nie on oznaczył to miejsce?



Zszedł na parter i wtedy zdał sobie sprawę, że o czymś zapomniał.
Wrócił do swojego gabinetu i zadzwonił na górę.
Judycka odebrała po chwili.
– Mam jeszcze jedną sprawę, Judyto – stwierdził, wyjmując notes z torby.
– Tak, szefie?
– Chodzi mi o pewną piosenkę. – Odszukał odpowiednie zapiski, a następnie podyktował jej imię i nazwisko artysty oraz tytuł utworu.
– I co mam z tym zrobić? – zastanowiła się.
– Możesz odnaleźć tekst i spróbować go przetłumaczyć?
– Z tym nie powinno być problemu.
– Świetnie, dziękuję. – Chciał odłożyć słuchawkę.
– Moment, szefie! Skalka chciałaby z panem pogadać.
– To daj ją do telefonu – poprosił Gross, wpatrując się w obrazy z kamer monitoringu, mozaikę

jesiennego miasta, złożoną z pustawych dróg i skrzyżowań.

– Bernardzie, rozmawiałam z Jarkiem Blochem, prosił, żebyś sprawdził maila i...

– Jasne, zrobię to, ale strasznie się spieszę. Odłożmy to do jutra. – Gross się rozłączył.

Sięgnął do torby po notes i popatrzył na odręczną notatkę. Mark Knopfler, *Piper to the End*. Przypomniawszy sobie ten utwór, rozpoczynający się od charakterystycznych dźwięków dudy i skrzypiec. Nostalgiczna muzyka wpadająca w ucho.

Podszedł do okna usianego kroplami deszczu i spojrzął na zniekształcony obraz wieży kościoła Świętego Mikołaja, która pod nisko zawieszonymi chmurami wyglądała pośępnie i ponuro. Woda rozmywała strzeliste linie gotyckich okien i kontury smukłej wieżyczki na samym szczycie.

Stał tak przez moment, opierając się o parapet, a potem uznał, że powinien już iść. Przypomniawszy sobie jednak o mailu od technika kryminalistyki.

Jarosław Bloch przekierował do niego wiadomość z laboratorium kryminalistycznego w Bydgoszczy. Biegły, znajomy Jarka, przyjrzał się pętli wisielczej i sznurowi. Gross przeczytał niezbędne informacje dotyczące szczegółowego opisu użytego materiału do produkcji sznura, sposobie zaplatania i wreszcie o producencie. Okazało się, że lina powstała z włókien sialu. Surowiec włókienniczy pozyskiwano z dużych liści agawy, rosnącej w strefach tropikalnych Brazylii. Biegły dodał też niezwykle cenną informację, że produkty firmy Corda z Włoch sprzedawane są najczęściej w hurtowniach budowlanych pod szyldem marek własnych potentatów tej branży. W Polsce, w sprzedaży detalicznej, nie występują.

Gross podziękował koledze za szybkie załatwienie sprawy i miał do siebie żal, że wtedy w prosektorium zwątpił w Blocha. Mógł powstrzymać się od zbędnego komentarza. Nie miał zamiaru rozżłościć kolegi, który w trakcie zabezpieczania miejsca zdarzenia spisał się znakomicie, a potem, mimo ogromnego zmęczenia, stawiał się w prosektorium i odnalazł zakrwawioną bandanę w kurtce Beckera.

Korzystając z tego, że miał włączony komputer, Gross załatwił kilka zaległych spraw, napisał parę pism do prokuratury. Na bok odłożył jedynie wnioski podwładnych o szkolenia. Przed wyrażeniem zgody chciał zweryfikować w kadrach, jakie do tej pory policjanci przebyli kursy. Postanowił się tym zająć później.

Wyłączył komputer, pochował papiery i zamykał już drzwi gabinetu, gdy usłyszał głos Moniki Skalskiej. Zbiegała właśnie po schodach.

– Jeszcze tu jesteś? – zdziwiła się.

Gross spojrzął na zegarek.

– O cholera. Muszę jeszcze zdążyć do hurtowni budowlanej – wytłumaczył się i ruszył w kierunku schodów.

– Robisz remont?

– Jaki remont? – spytał zdezorientowany, schodząc kilka stopni.

– Malujesz mieszkanie? – spytała. – Zresztą nieważne. Mam dwie sprawy.

Komisarz przystanął.

– Chodzi o Płockich. Jójczyk już wie. – Ściszyła głos.

Zrezygnowany machnął ręką.

– Odbyłyśmy niezbyt przyjemną rozmowę. Niczego jej nie powiedziałam, ale odesłałam ją do ciebie.

– I dobrze zrobiłaś. Ale masz ich wciąż na oku? – spytał, znowu schodząc kilka stopni.

– Właśnie się do nich wybierałam. Jeśli się czegoś dowiem, zadzwonię, bo widzę, że się spieszysz. Poza tym jest jeszcze jedna sprawa... Chodzi o Grzegorza Otrembę.

Gross się zatrzymał.

– O Grzegorza? – Zmrużył oczy.

– To ważne – powiedziała.

Nabrał powietrza.

– Dobrze, zadzwoń do mnie później. Muszę już iść, przepraszam – usprawiedliwił się, stukając

w zegarek, po czym zszedł na parter.

Wyszedłszy z komisariatu, skręcił w lewo, w kierunku Sikorskiego. Deszcz kapał niemrawo, zbierając siły na nowe uderzenie. Niebo poczerwiano na północy i nowy front zbliżał się nieuchronnie. Na głównym trakcie miasta porywisty wiatr zakręcił papierową torebką. Poderwał ją z bruku, nadał jak balon i poniósł w bok, w stronę jeziora.

Wokół wirowały liście.

Policjant zwolnił nieco i przy bloku po lewej spojrzął w okna mieszkania Malwiny Lemańskiej oraz na drzwi klatki schodowej. Nieokreślony lęk zagnieździł się w okolicy serca.

Ruszył dalej, w dół ulicą, która krótkim łukiem łączyła się z drogą wojewódzką. To za nią znajdowała się biedronka, a dalej, zasłonięta zabudowaniami, hurtownia budowlana.

Dotarł tam i ruszył do kas, gdzie zapytał o dyrektora chłopaka w niebiesko-żółtym polarze z logotypem sklepu na piersi.

– Nie wiem, czy już nie wyszedł – powiedział kasjer z długimi bokobrodami.

– Przecież byłem z nim umówiony.

Pracownik zwlekał z wykręceniem numeru wewnętrznego i taksował Grossa nachalnym spojrzeniem.

– Kogo mam zapowiedzieć?

– Komisarz Bernard Gross, komisariat policji w Chełmży – odpowiedział policjant, ale w tym momencie mężczyzna podniósł palec, dając znak, że odebrano połączenie.

– Asiu, tu Norbert. Szef jeszcze w pracy? – spytał, drapiąc się w głowę końcówką długopisu. – A zapytaj go, czy przyjmie komisarza... – Mężczyzna szybko odwrócił się do Grossa i uśmiechnął przepaszająco. – Jak pana nazwisko?

Policjant powtórzył.

– Czy przyjmie komisarza Grossa – powiedział pracownik do słuchawki. – Okej, jasne. Czekam.

Odłożył ją na widełki i przekazał policjantowi, żeby zaczekał.

Gross odszedł kilka kroków. Między regałami, na dziale z armaturą, kręciło się dwóch mężczyzn. Kilka rzędów dalej młode małżeństwo z płaczącym dzieckiem wybierało płytki.

Z głośników leciały cicho znane przeboje.

Wrócił do punktu informacji i wyjął z torby wydrukowane zdjęcie Rafała Beckera, po czym położył je na szarym kontuarze, tuż obok starannie poukładanych w wachlarze ulotek.

– Czy rozpoznaje pan tego mężczyznę? – spytał, przerywając młodemu pracownikowi wykreślanie kolejnych pozycji z listy przypiętej do granatowej podkładki.

Chłopak wstał i przyjrzał się pobieżnie wydrukowi. Wąska kreska na jego czole świadczyła o skupieniu.

– Nie sędzę. Chyba do tej pory go nie widziałem, ale mamy sporo klientów. Trudno wszystkich zapamiętać – wyjaśnił.

– Mieszka w pobliżu. Być może robił tu ostatnio zakupy.

– Czyli kiedy?

– W połowie września.

Chłopak zaśmiał się serdecznie.

– Pan żartuje, prawda? – spytał.

– Nie. Nie sędzę, żebym wyglądał na człowieka skłonnego do żartów. Nie w tej chwili – zdenerwował się Gross.

Młody mężczyzna natychmiast spoważniał.

– Nikogo takie nie widziałem – zapewnił.

– Na pewno?

– Tak – potwierdził stanowczo w chwili, kiedy zadzwonił telefon na ladzie. – Dobrze, rozumiem – powiedział krótko, po czym odłożył słuchawkę i odezwał się do Grossa. – Pójdzie pan prosto, do końca i zapuka w drzwi po lewej.

Komisarz schował wydruk i ruszył we wskazanym kierunku.

W niewielkim pomieszczeniu, za biurkiem pełnym papierzyśk, siedziała brunetka w średnim wieku, ubrana w firmowy polar zapięty pod szyję. Za nią na otwartym regale piętrzyły się kolorowe segregatory. Kobieta wstała i przywitała się z Grosse, po czym podeszła do bocznych drzwi i zapukała w nie cicho. Uchyliła je i skinęła znacząco głową dyrektorowi. Wreszcie otworzyła je szerzej i zaprosiła Grossa do środka.

Niski, grubawy mężczyzna z okazałym wąsem włożył marynarkę i przywitał się z komisarzem, po czym wskazał na kąt z okrągłym stołem i trzema drewnianymi, rozkładanymi krzesłami. Na komodzie obok znajdowały się ekspres do kawy na kapsułki i kilka papierowych kubków odwróconych do góry dnem. Gross dostrzegł też plastikowy pojemnik z torebkami liptona, śmietankami do kawy, kawą rozpuszczalną i cukrem w saszetkach.

– Napije się pan czegoś, panie komisarzu? – spytał dyrektor, podciągając spodnie.

Gross uprzejmie podziękował.

Pokój dyrektora był ciasny, pozbawiony okien. Na suficie znajdowały się dwa kasetony jarzeniówek z odbłyśnikami, z których sączyło się nieprzyjemne, zimne światło. Komisarz zastanawiał się, jak można pracować w takich warunkach.

– Co pana sprowadza? – Dyrektor Armin Świąder oparł się wygodnie i szeroko rozłożył nogi, robiąc miejsce na wydatny brzuch. Jego pozorny spokój zdemaskowało nerwowe pocieranie oprószonego siwizną, gęstego wąsa.

Komisarz ponownie wyjął kartkę z wizerunkiem Rafała Beckera, ale nie podał rozmówcy, a jedynie położył przed sobą na stole. Dyrektor poprawił się na krześle i chrząknął.

– Jak długo przechowujecie nagrania z monitoringu? – spytał Gross.

– Zgodnie z wewnętrznymi przepisami dwa tygodnie. I od razu uprzedzę, że nie mam na to żadnego wpływu, nikt z nas nie ma dostępu do serwerów monitoringu. Przyjeżdża od czasu do czasu serwisant i tyle.

Komisarz pokiwał głową. Spodziewał się takiej odpowiedzi.

– W takim razie interesuje mnie inna rzecz. Czy jest możliwe przeszukanie bazy sprzedanych artykułów?

– Sprzedanych?

– Chodzi mi o to, czy może pan sprawdzić, kiedy sprzedano w pana sklepie dany artykuł – wyjaśnił Gross.

Dyrektor skrzywił się i zaczął pocierać grubymi palcami płatek ucha.

– Jest jakiś konkretny powód takiego... – Szukał odpowiedniego słowa, ale komisarz nie zamierzał mu pomagać. Pstrykając palcami, w końcu znalazł odpowiedź: – Takiej weryfikacji?

– Tak – stwierdził Gross. – Ale nie mogę nic więcej powiedzieć.

– To będzie trudne i pracochłonne. Możemy uzyskać sporo takich rekordów i co wtedy?

– Tym proszę się nie martwić.

– Łatwo powiedzieć – zachnął się dyrektor i zaczął się wiercić na krześle. – Muszę zlecić takie zadanie pracownikowi. To będzie trwało i, szczerze mówiąc, nawet nie wiem, czy mamy taką techniczną możliwość. Łatwiej byłoby wyszukać po danych nabywcy, nieprawdaż?

– Obawiam się, że ktoś, kto kupił ten przedmiot, nie potrzebował faktury. Rachunek pewnie też wyrzucił.

– Rozumiem. A o co konkretnie chodzi?

– Sznur sizalowy o przekroju dwunastu milimetrów i długości dziesięciu metrów. Robiła go włoska firma Corda, ale w całej Europie ukazuje się pod szyldem marek własnych. Wy też macie taką markę własną i taki sznurek w sprzedaży, prawda?

– Nie wiem, nie znam przecież całego asortymentu. – Zaśmiał się nerwowo. – Sądzę też, że mimo wszystko musimy to załatwić oficjalną drogą. Mamy w firmie sporo obowiązków. Pan wybaczy, nie mogę teraz nakazać pracownikowi poszukiwania paragonu z jakimś sznurkiem.

Gross wiedział, że nic więcej nie ugra. Popatrzył na zdjęcie Rafała Beckera, a potem odwrócił

je w stronę Świądra.

– Mieszka pan w Chełmży? – spytał mężczyznę.

– Tak – odparł dyrektor.

– W okolicy?

– Tu wszystko jest w okolicy – zażartował. – Mam dom na Maja.

– A ten mężczyzna mieszkał w bloku naprzeciwko – stwierdził Gross. – I zależy mi na tym, żeby wyjaśnić zagadkę jego śmierci.

Dyrektor wziął wydruk.

– To syn Jadwigi Becker, nieprawdaż? – spytał dyrektor.

Gross potwierdził.

– Ależ ją życie doświadczyło – westchnął.

– Zna ją pan?

– Była moją wychowawczynią w podstawówce. Uczyła mnie fizyki – wyjaśnił. – Pamiętam, jak jej dzieci przychodziły czasami do nas na lekcje, bo nie miał się kto nimi zająć – wspomniał Armin Świąder. – A teraz oboje nie żyją. – Mężczyzna spojrział na Grossa, ale ten siedział cicho. – No on to podobno się powiesił w Grodnie – kontynuował dyrektor. – A o niej to już chyba ładnych kilka lat nie ma żadnych wieści. Albo i dłużej. Więc raczej też już nie żyje, nieprawdaż?

Komisarz wstał i schował kartkę. Dyrektor nagle szerzej otworzył oczy.

– Jasna cholera! To on się na tym sznurku powiesił?

– Jutro przyniosę pismo z komisariatu. – Gross zignorował jego pytanie i ruszył do drzwi.

– Panie komisarzu, spokojnie. Nie trzeba żadnego pisma. Skoro mogę coś zrobić dla pani Becker, to chętnie to zrobię. Szczególnie w takiej sytuacji – dodał. – Wygląda na to, że dość już wycierpiała.

– A jej syna widywał pan w sklepie?

– Jedyne, co ja tu widuję, to te cztery ściany i Asiulkę, która mi pomaga. – Kiwnął głową w kierunku ściany, którą dzielił z sekretariatem. – A gdy już idę na salę, to skupiam się wyłącznie na pracownikach i produktach – stwierdził. – Zapiszę sobie te parametry sznurka, bo to rzeczywiście nie jest towar pierwszej potrzeby. Ale nie powinno być tego dużo. I niech mi pan jeszcze powie, o jaki przedział czasowy chodzi.

– Cały wrzesień.

Dyrektor się skrzywił, ale podszedł do biurka i zapisał dane na kolorowej karteczce.

Gross podał mu jeszcze raz imię i nazwisko oraz numer telefonu, a następnie poprosił o kontakt, kiedy już będzie coś wiadomo.

Wymienili uścisk dłoni.

– Odezwę się – obiecał korpulentny dyrektor, podnosząc kartkę.

– Ile to potrwa?

Mężczyzna zmarszczył czoło i przymknął jedno oko.

– Do środy powinienem się wyrobić.

– Bardzo na to liczę – odparł Gross.

– Szukamy tylko sznurka?

Komisarz się zastanowił.

– Szukajmy takiego rachunku, na którym oprócz sznura są tak zwane trytki. Na pewno pan wie, o co chodzi.

– No jasne, że wiem. – Zrobił dopisek do listy. – Czy to wszystko?

– Niech pan się do tego przyłoży.



Zofia Płocka, która wpuściła Skalską do mieszkania w kamienicy przy Rynku, miała widoczne na przedramionach nieregularne żółtosine ślady i podłużne czerwone przebarwienia. Nos wyglądał na lekko opuchnięty, a na jego grzbiecie błyszczała niezabliźniona niewielka rana.

Przetłuszczone włosy założyła za ucho.

– Pani wejdzie – powiedziała i po chwili dodała uspokajająco: – Męża nie ma, do roboty polazł. Skalska sądziła, że kobieta bardziej uspokajała siebie niż ją, ale nie skomentowała tego.

Płocka, ubrana w prostą sukienkę, poprowadziła policjantkę do ciemnego pokoju. Panował tam półmrok. Grał telewizor, a dwóch chłopców wierciło się na rozłożonych na dywanie poduszkach i oglądało bajkę, tonąc w niebieskawej poświacie.

Na niskiej ławie stały talerze z kanapkami i herbata w plastikowych kolorowych kubkach. W drugim pokoju przechodnim, w pobliżu otwartych drzwi, spało trzecie dziecko. Skalska widziała je przez szczeble niemowlęcego łóżka.

– Pani siada – poprosiła Płocka, wskazując na wysłużony fotel. Brudna gąbka strzępiła się spod rozdartej na podłokietnikach tapicerki.

Zapadnięte siedzisko, twarde jak kamień, wyłożone było kocem.

– Herbaty pani zrobię – zaproponowała Płocka, ale policjantka poprosiła ją, by usiadła.

Kobieta przysunęła sobie pufę i zaczęła trajkotać.

– To nie jest tak, jak pani myśli. Naprawdę. Mój mąż jest do rany przyłoż. – Na jej lewym profilu układały się refleksy od telewizora. – Pani myśli, że my tu mamy melinę, że ciągle pijani chodzimy, że tu się bije dzieci. – Odwróciła się do dwójki maluchów. – Widzi pani? Siedzą cichutko, oglądają bajeczkę. Kolacyjkę sobie zjadły, a po bajce pójdziemy się myć i do łóżeczek.

– Dziś jest tak, a jutro będzie awantura i bijatyka – zauważyła Skalska.

– Ale co też pani opowiada! – oburzyła się gospodyni.

– Ma pani siniaki na rękach i ranę na nosie.

– Siniaki, siniaki. – Odwróciła głowę, żeby ukryć zachodzące łzami oczy. – Wszystko minie, a rana się zagoi. – Pociągnęła nosem. – To naprawdę nie jest tak, jak pani myśli. Musi pani powiedzieć na komendzie, że wszystko jest dobrze, że my o nie dbamy. – Uśmiechnęła się smutno, odsłaniając krzywe zęby i brak górnej dwójki.

– To tak nie działa – przypomniała jej Skalska. – Pewne procedury zostały wszczęte.

– Musi im pani powiedzieć, że to już historia. Proszę!

Skalska przyjrzała jej się raz jeszcze.

– Okej, powiem – skłamała. – Ale informacja za informacją.

Kobieta przysunęła bliżej pufę, pochyliła się i dała znak, by policjantka powiedziała, o co jej chodzi.

– Dobudówka za kamienicą.

Zofia Płocka wyglądała na zaskoczoną.

– No i? – spytała.

– Mieszkał tam pewien mężczyzna.

– Kiedy, pani? Bo już od dawna nikogusieńkiego tam nie było.

– Dawno temu. Ponad piętnaście lat – doprecyzowała Skalska.

– Aaaa, to trzeba było tak od razu. Olek tam mieszkał. O Olka pani chodzi, tak?

– Kim jest?

– To kuzyn męża. Ich ojcowie byli braćmi. Obaj zresztą nie żyją.

– Jak długo Olek tu mieszkał?

– Ale co się stało? Czemu pani o niego pyta? Znowu coś zmajstrowało to bydłę?

– Bydłę?

– Szwagra swego zabił, pijak jeden! – oburzyła się. – Pogoniłabym go, gdyby nie mój ślubny!

Gdyby to nie była jego rodzina.

– A jak się zachowywał, kiedy tu mieszkał?

Gospodyni podrapała się w zamyśleniu po policzku.

Skalska kątem oka dostrzegła na ekranie dwa pingwiny, które starały się zachowywać jak najlepsi agenci wywiadu, ale w gruncie rzeczy nic im nie wychodziło. Gdy jeden z nich się poślizgnął, starsze z dzieci się zaśmiało, a drugie natychmiast mu zawtórowało. Bez troski śmiech rozszedł się po pogrążonym w mroku mieszkaniu, ale wkrótce zgasł i znowu w pokoju dominowały dźwięki z telewizora.

– W sumie to normalnie, nie mogę powiedzieć. Ale ciężko tak żyć obok kogoś, kto ma najcięższy grzech na sumieniu – odparła. – Wyszedł z pierdła, a ponieważ chciał zmienić środowisko, to przyszedł do nas. Wujek zadzwonił i ubłagał mojego starego, żeby Olkowi dać dach nad głową.

– Długo tu pomieszkiwał? – Skalska powtórzyła wcześniejsze pytanie.

– Nie pamiętam.

– A czy ktoś do niego przychodził? Miał tu jakichś znajomych, kolegów z pracy?

– Nie. Zresztą kto by tam chciał się z kryminalistą zadawać? Sam tu siedział. Musiał być cichy i spokojny, bo wiedział, że jak coś, to go na ryj wywalimy. – Zdrapała sobie strupa z przedramienia, a w tym samym miejscu natychmiast pojawiła się kropla świeżej krwi. – Czasami schlał się nawet z tym moim ślubnym, bo pić to on umiał. Ale żeby do bitki był chętny, to raczej nie. Tylko czemu pani o niego pyta?

– To ja zadaję pytania, okej? – stwierdziła Skalka i wsunęła sobie do ust dwie drażetki gumy do żucia. – A w dobudówce nie doszło do żadnej awantury? Albo do pobicia?

– W dobudówce? A skądże! Nigdy!

– To dlaczego ludzie mówią, że tam straszy?

– Że co? Kto takie głupoty opowiada?

Skalska milczała. Specjalnie pociągnęła tę rozmowę w takim kierunku.

– Niech pani im nie wierzy. – Pogroziła palcem Płocka. – Absolutnie.

Policjantka pokiwała zgodnie głową.

– Gdzie jest teraz Olek? – spytała, bacznie przyglądając się kobiecie.

– A skąd mam to wiedzieć? Tak jak wyjechał, tak nigdy już się nie zobaczyliśmy. Nawet nie wiemy, gdzie teraz mieszka.

W jej zachowaniu Skalska nie zauważyła żadnej zmiany, żadnego zawahania, najdrobniejszej pauzy, która mogłaby świadczyć o kłamstwie.

– Nie odzywał się do was? Niczego nie chciał wyjaśnić?

– A niby co miał wyjaśnić? Zapłacił za wynajem, wszystko było uregulowane.

Dzieci ponownie się zaśmiały.

Bajka jeszcze się nie skończyła, a obok niezdarnych pingwinów szary lemur w koronie udawał króla.

– Podobno od czasu sprawy spadkowej nie mogliście sprzedać tego mieszkania. To prawda? – drażyła Skalska.

– Jak to? Przecież my w ogóle nie chcieliśmy go sprzedać.

– Ale w końcu sprzedaliście.

– No tak.

– Dlaczego?

– A dlaczego sprzedaje się mieszkania? No chyba po to, żeby mieć kasę.

– I kto je kupił? – chciała zweryfikować informacje u źródła.

– Pani Otremba, wdowa po policjancie, i jej gach. To znaczy, zapisali je na nią.

– Tylko na nią?

– Tak. – Płocka zawiesiła wzrok na ekranie i dłuższą chwilę nic nie mówiła. – A teraz tak sobie przypominam – zaczęła – że on też tu kiedyś przychodził do nas i te same głupie pytania zadawał.

Aspirantka sztabowa drgnęła na te słowa.

– Kto? – spytała.

– A nie, nikt. – Płocka odwróciła się do telewizora.

Skalska zrozumiała, że kobieta popełniła błąd.

– Niech pani pamięta o swoich dzieciach – przypomniała jej.

Płocka otarła twarz i odciągnęła włosy za uszy.

Spojrzała na policjantkę.

– No, ten glina. Krótco przedtem, zanim sobie w łeb palnął.

Aspirantka sztabowa wzdrygnęła się.

– Przyłaził tu i chciał, żeby mu pokazać mieszkanie.

– Chciał je kupić? – niedowierzała Skalska.

– Nie. Nie wiem, po co je oglądał. Z mężem gadał.

– Ale obejrzał je?

– No tak, zeszli tam razem.

– A czego chciał się dowiedzieć?

– Z tego, co pamiętam, to głównie o robotę się rozchodziło. To znaczy o Olka robotę.

– W papiarni?

Kobieta zaśmiała się jak z najlepszego dowcipu.

– Że co? W jakiej tam papiarni? Kto by go tam zatrudnił? Mój stary nagrał mu robotę w budowlance u prywaciarza. Oczywiście na czarno.

– U prywaciarza?

– No pewnie – odparła z pełnym przekonaniem. – To dzięki Zdzichowi Olek za pomocnika murarza robił.

– U kogo?

– U Stacha Piernickiego.



Skalska wypytała ją jeszcze o kilka spraw, a potem zapewniła, że przekaże w komisariacie informacje o tym, że u Płockich się poprawiło.

Wyszła na zewnątrz na zalewany strugami deszczu Rynek, który błyszczał jak tafla jeziora. Postanowiła przeczekać ulewę na schodach wejściowych do kamienicy.

Sięgnęła po telefon, żeby połączyć się z Grossem, ale usłyszała jedynie formułkę, że abonent jest poza zasięgiem. Spojrzała na aparat i raz jeszcze wybrała numer szefa.

„To pewnie przez tę pogodę”, pomyślała i nasunawszy kaptur ocieplacza, zeszła po trzech schodach, a potem puściła się truchtem w kierunku domu.



Wyszędłszy z hurtowni budowlanej, Gross próbował odszukać okna mieszkania Jadwigi Becker, której śmierć sukcesywnie odbierała bliskich, a przez to nigdy nie pozwoliła jej się otrząsnąć ze straty.

„Żałoba to najsmutniejszy z refleksów miłości”, znów przypomniał sobie słowa jej syna.

Patrzył na blok z dwiema kolumnami balkonów po obu stronach i czterema długimi rzędami okien. W końcu rozpoznał rozsunięte kuchenne zazdrostki, jedyne pośród nowoczesnych żaluzji

i tradycyjnych długich firan. Jednak nigdzie, ani w kuchni, ani w pokoju, nie dostrzegł żadnego ruchu. Wpatrując się w okna, nie zwrócił uwagi na deszcz, który początkowo łagodnie, a później z większą siłą chrobotał w dachy zaparkowanych samochodów.

Wisiały nad nim gęste czarne chmury. Zastanawiał się, czy wycofać się do hurtowni, czy przejść do marketu spożywczego. Wybrał tę drugą opcję i od razu poczuł smagnięcia lodowatych strug deszczu niesionych silnym, skandynawskim wiatrem.

Schował się do sklepu i, tak jak inni, starał się przeczekać ulewę, kręcąc się między regałami i robiąc drobne zakupy. Wkładał właśnie pasztet do koszyka, gdy odezwał się jego telefon.

Poczuł ucisk w żołądku.

– Cześć, Bernardzie – odezwała się Malwina Lemańska.

Nagle się uspokoił, chociaż w jej słowach nie było tyle ciepła co zawsze. Mówiła ciszej, jakby półszepem.

– Cześć – odpowiedział, nie bardzo wiedząc, czy powinien dodać coś więcej, czy czekać na to, co ona miała mu do powiedzenia. Postawił na tę drugą opcję i poczuł, że robi mu się gorąco.

Gdy cisza w słuchawce zgęstniała, odezwali się oboje naraz. Wtedy usłyszał jej krótki śmiech, naturalny i piękny, za którym bardzo się stęsknił. Potrzebował tego jak lekarstwa.

– Przyjdiesz? – spytała.

Gross skierował się do kas.

– Wiem, że może jesteś zajęty, może masz dyżur, więc nie chciałabym ci przeszkadzać – zaczęła wyliczać, ale komisarz jej przerwał.

– Będę za chwilę – powiedział i się rozłączył.

Stanąwszy w krótkiej kolejce do kasy, drżącą ręką całkowicie wyłączył telefon i schował go z powrotem do kieszeni.

Zapłacił, a potem, nie zważając już na deszcz, wyszedł ze sklepu i skierował się na Sikorskiego.

Odebrała domofon dopiero po kilku sygnałach, gdy Gross zaczął się już niepokoić.

– Chodź, chodź – powiedziała tylko.

Szarpnął drzwi i pokonywał po kilka stopni na raz.

I wtedy ją zobaczył. Chowała się za drzwiami mieszkania, ale jednak zdążył dostrzec, że jest w piżamie, zgarbiona i z ugiętymi w kolanach nogami. Gdy wszedł, nie spojrzała na niego, tylko zamknęła drzwi i przekręciła zamki. Kilka ruchów, które całkowicie pozbawiło ją sił.

Odwrociwszy się, złożyła jedną dłoń na brzuchu i próbowała się uśmiechnąć.

Ale za tym uśmiechem Gross dojrzał coś, co go przeraziło.

Fizyczny, trudny do zniesienia ból.

– Dobrze cię widzieć, Bernardzie – powiedziała i podała mu dłoń, by pomógł jej trafić do łóżka.

dzień siódmy

We wnętrzu konkatedry tchnęło chłodem.

Ziąb przenikał od kamiennej posadzki przez podeszwy butów i wciskał się pod warstwy zimowych ubrań. Kątem oka Gross zauważył, jak Skalska podciągnęła suwak zimowego płaszcza, a Judycka otarła chusteczką poczerwieniały nos i włożyła rękawiczki.

Echo co i rusz niosło odgłos zamykanych drewnianych drzwi, stukot obcasów, pochrząkiwania i pokasływania wiernych. Wszystkie te dźwięki maciły pełną zadumy ciszę. Wkrótce jednak ktoś rozświetlił ołtarz, zapalił knoty gromnic, a pod sklepienie uniosły się smutne dźwięki pierwszych akordów wygrywanych przez organistę.

Po bokach wystawionej na katafalku trumny stało czterech funkcjonariuszy, odgrywających rolę warty honorowej.

W pierwszych ławkach Gross dostrzegł wdowę po Brandolu i najbliższą rodzinę policjanta, Lucynę Wojtasik i jej zastępcę oraz burmistrza i przewodniczącego Rady Miejskiej. Tuż za nimi siedzieli żona i syn aspiranta sztabowego Janusza Stefańskiego.

„Komisarz Śmierć”, kołatało mu w głowie.

Sama ceremonia trwała niespełna czterdzieści minut, a komisarz nie mógł się skupić i powracał myślami do nieprzespanej nocy spędzonej w domu Malwiny, na czuwaniu, podawaniu jej herbaty i okrywaniu ciepłym kocem. Bał się o nią, kiedy jej twarz wykrzywił grymas pooperacyjnego bólu. Nie pytał o nic, chciał tylko być przy niej, a ona chciała jego towarzystwa. Drzemał w fotelu tuż obok jej łóżka.

Znużenie sprawiło, że nie wsłuchiwał się ani w kazanie księdza, ani w przemowę wyraźnie wzruszonej komendantki. Docierały do niego pojedyncze słowa i zwroty. „Wierny służbie”, „oddany mundurowi”, „prawdziwy przyjaciel”, „wymagający więcej od siebie niż innych”.

Trudne do wysłuchania banały. Ale nikt w takiej chwili nie spodziewał się czegoś innego. Może dlatego Gross rozgrzeszył się z braku koncentracji i skupił na tym, co wcześniej rano pokazała mu Skalska.

Chodziło o ukryte materiały śledcze Otremby w sprawie zaginionych przed laty studentów. Przejrzał je uważnie i wysłuchał jej, przedyskutowali wnioski, które wysnuła, i nie widział w nich żadnych błędnych założeń. Wciąż jednak analizował, dlaczego podwładny zataił przed nimi te zadania. Nie rozumiał też, dlaczego i z jakich względów Grzegorz Otremba zgodził się na współpracę z Nubińskim, o którym nie miał najlepszego zdania.

Gross zaczepił podkomisarza tuż przed wejściem do konkatedry. Poprosił go na bok. Wymienili informacje.

– To chociaż powiedz mi, dlaczego trzymał je w domu? – zainteresował się Gross, kiedy stali przed wejściem na przyświątynny plac ogrodzony niskim murkiem.

Rozmawiali już na temat materiałów Otremby w komisariacie z samego rana, ale komisarzowi wciąż nasuwały się nowe pytania.

– Nie wiem – odparł Nubiński, chowając dłonie do kieszeni płaszcza. – Część z nich przekazywał mi na bieżąco. Nie wiedziałem, że trzyma cokolwiek u siebie. A skąd je masz? – Minę

miał posępną.

Mijały ich kolejne osoby. Od czasu do czasu Gross odklaniał się przybyłym, ale milczał. Wpatrywał się w zmęczoną twarz podwładnego, w worki pod jego oczami.

– Ale stało się coś, że akurat teraz o tym musimy gadać? – Podkomisarz nie krył zdziwienia.

Gross nadal milczał, co zirytowało Nubińskiego.

– Bernardzie, pytałem o coś.

– Co razem robiliście? – rzucił komisarz wyrwany z głębokiego zamyślenia.

– Nic. Po prostu pracowaliśmy razem. Grzechu mi pomagał. Zresztą sam wiesz, jak to jest, kiedy ktoś spojrzy na sprawę świeżym okiem. – Odwrócił się i uklonił starszemu małżeństwu. – A tak poza tym w tych materiałach nie może być nic ciekawego. Byłem z Grzechem w stałym kontakcie. – Podkomisarz zmrużył oczy.

Gross nie powiedział mu, że na okładce znajduje się wypisane przez Otrembę nazwisko Skalskiej. I nie wypomniął Nubińskiemu wytyków co do śledztwa, sformułowanych w trakcie kontroli przez specjalistę do spraw zaginięć z komendy wojewódzkiej. Był przekonany, że wykorzysta to później.

– Co nowego wniósł Otremba do tej sprawy? – drażył komisarz. – W teczce podręcznej nic nie wykazaliście.

Nubiński podrapał się po czerwonych policzkach. Zimny wiatr dał od strony Rynku i mierzwił mu włosy.

– Musiałbym się zastanowić, bo tak z marszu to, wiesz, nie pamiętam. Zresztą jakbym zerknął w te papiery, to byłoby mi łatwiej. Tam jest wszystko. – Nubiński przeciągnął dłonią po brodzie i uśmiechnął się do kolejnego znajomego wchodzącego do świątyni. – Poza tym pamiętam, że drażył w sprawie jakiejś plotki, której źródła nie potrafiliśmy ustalić. Chodziło o to, że Justyna Becker podobno miała starszego faceta, że romansowała z nim w okresie, gdy była z tym studenciakiem. Ale nikt nigdy tego nie potwierdził.

Gross przypomniał sobie ten wątek – rzeczywiście prowadził donikąd.

– Zerknij raz jeszcze w papiery, bo tam na serio jest wszystko – przypomniał Nubiński.

„Wszystko”, powtórzył w myślach Gross.

– A zresztą prawda jest taka, że wszystkie te nasze działania, cała ta tajna zabawa, były o kant dupy potłuc. Grzechu się nalatał, ale do niczego nie doszliśmy. Nie popchnęliśmy tej sprawy o krok. – Ryszard Nubiński skinął głową w kierunku kościoła. – Chodźmy już, bo zaraz złączą.

Gross go zatrzymał.

– Kiedy ostatni raz z nim o tym rozmawiałeś?

Nubiński przystanął i się zamyślił.

– Krótco przed tym, jak palnął sobie w łeb.



Tuż po pogrzebie i złożeniu kondolencji Gross wrócił do komisariatu.

Sekretarka jadła właśnie kanapki. W plastikowym pojemniku z sałatką zanurzyła łyżeczkę. Zatrzymała ją tuż przed ustami, kiedy zobaczyła komisarza.

– Chryste, Bernardzie, co ci się stało? Dlaczego jesteś taki blady?

Zbył ją machnięciem dłoni.

– Mam do ciebie prośbę. – Podeszedł i stanął za jej plecami. – Chciałbym, żebyś coś mi kupiła.

– Artykuły modelarskie? – wymamrotała, przeżuując sałatkę.

– Nie. Tym razem chodzi o bandanę. Czerwoną bandanę z białymi wzorkami.

Różycka odsunęła kanapki i wklepała w wyszukiwarkę odpowiednie słowo. Zdjęcia i linki pojawiły się natychmiast.

– Właśnie taką. – Gross wskazał palcem. – Kwadratowa i z tymi wzorkami.

– Piętnaście złotych – powiedziała.

Komisarz sięgnął do kieszeni.

– Plus przesyłka – zauważyła.

– Zapłacę.

– A ja wiem, że zapłacisz, robaczku, wiem. Tak tylko mówię.

– Czyli zamówisz? – upewnił się.

– Jeszcze dziś. – Puściła do niego oko.

Podziękował i poszedł do siebie.

Judycka, zgodnie z tym, co powiedziała, tuż przed mszą pogrzebową zostawiła na jego biurku przetłumaczony tekst piosenki, o który prosił, i dołączyła informację o genezie powstania utworu.

Okazało się, że Mark Knopfler skomponował piosenkę o swoim wujku, żołnierzu jednego ze szkockich batalionów. Mężczyzna idąc na drugą wojnę światową, zabrał ze sobą ukochany instrument – dudy. Grał na nich w wolnych chwilach, umilając przyjaciółom czas: poprzez tradycyjne celtyckie melodie przenosił ich do ukochanej Szkocji, do rodzinnych domów, stęsknionych dziewczyn, które czekały na ich powrót. Niósł nadzieję. Niestety, wujek brytyjskiego muzyka zginął na froncie na północy Francji w maju tysiąc dziewięćset czterdziestego roku.

Piper to the End.

Gross wreszcie zrozumiał tytuł: „Być dudziarzem do końca”.

Uruchomił utwór na YouTube i kiedy rozbrzmiały pierwsze dźwięki skrzypiec i fletu, wczytał się w melancholijny, przepelniony nostalgią tekst o śmierci, niespodziewanym pożegnaniu, ale też o nadziei na spotkanie gdzieś tam po drugiej stronie.

Zatrzymał się na wybranym fragmencie i przeczytał go kilka razy.

„Choćby przyjaciel rozdzielić miał czas, pewnego dnia spotkamy się znów, powrócę, by nie zostawić cię więcej i w dudy dać aż po kres dni”.

Gross odłożył kartkę i przyglądał się siedzącemu na scenie starszemu już gitarzyście. Mężczyzna w rozpiętej pod szyją białej koszuli z wywiniętymi rękawami trzymał na kolanach gitarę elektryczną, a palcami szarpał struny.

Komisarz zadzwonił do Judyckiej.

– Tak, szefie?

– Chodzi o tekst piosenki – wyjaśnił.

– Tak?

Wziął do ręki wydruk.

– Śpiewa o przyjaźni z instrumentem – stwierdził.

– Tak mi się właśnie wydaje.

Gross wciągnął powietrze.

– *Someday we will meet again* – odczytał fragment po angielsku i zawiesił głos.

– Smutny tekst – podsumowała Judyta.

– Czy sądzisz, że możliwa jest inna interpretacja?

– Jaka? – zainteresowała się.

– Czy mogło chodzić o dziewczynę?

– O dziewczynę?

Usłyszał jakiś szmer w słuchawce.

– Nie, nie sądzę – odparła, kiedy nieprzyjemne dźwięki ustały. – W tym tekście nie ma słowa o kobiecie.

– *If friends in time be severed* – przeczytał.

– No tak, ale tu raczej chodzi o instrument. Przynajmniej ja to tak właśnie odbieram. Dwie linijki wcześniej autor tekstu przywołuje dudy.

– Tak – zgodził się Gross. – Dziękuję. Na pewno masz rację.

Odłożył słuchawkę i raz jeszcze przeczytał cały tekst, a następnie jego tłumaczenie.

„Pewnego dnia spotkamy się znów”, powtórzył w myślach i nagle coś zrozumiał. Coś, co nie miało związku z tekstem, ale z samym wykonawcą.

Uruchomił drugie okno i wpisał kilka słów w Google.

Wpatrywał się w wyniki, wystukując palcami rytm na blacie. Kliknął w jeden z pierwszych odsyłaczy i został przekierowany do serwisu sprzedającego bilety na wydarzenia kulturalne. Dostrzegł zdjęcie brytyjskiego muzyka i nazwę trasy promującej nową płytę.

Za kilka miesięcy Knopfler miał zagrać w Polsce dwa koncerty: w Krakowie i Gdańsku. Gross zastanawiał się, czy to właśnie te bilety zamierzał kupić Becker, zanim zniknął. Poprosił Judycką, by ustaliła to w trybie pilnym z organizatorem i ze sprzedawcami.

Następnie raz jeszcze wsłuchał się w utwór brytyjskiego muzyka o dramacie wojny z perspektywy młodego dudziarza, który w całej tej toczącej się przez Europę nazistowskiej machinie śmierci wolał dostrzec piękno złotej otoki chmur, oświetlanych promieniami zachodzącego słońca, słyszeć śpiew ptaków i gruchanie gołębia. Ale w tym tekście było coś jeszcze.

Teraz widział to dokładnie.

Ponownie wybrał numer do Judyckiej.

– *When I leave this world behind me*. Tak się zaczyna ten tekst – przypomniał. – Czy sądzisz, że ten utwór jest także o gotowości na śmierć?

– Nie rozumiem,

– Chodzi o to, że kiedy idziesz na wojnę z dudami zamiast z karabinem, powinieneś spodziewać się najgorszego – zauważył.

Judycka przetrwała jego myśl.

– W zasadzie tak, szczególnie że w kolejnych zwrotkach to się potwierdza. *This has been a day to die for*, a kawałek dalej: *this has been a day to die on*.

Gross ponownie podziękował i odtworzył utwór kolejny raz.

Czy Rafał Becker też był gotowy na śmierć?

Skupienie przerwał mu telefon.

– Legner z tej strony – zaczął poważnie prokurator. – Panie komisarzu, tydzień już mi pan grilluje brelok z lasu. Dlaczego nie mam jeszcze wszystkich papierów u siebie? Na co pan tam jeszcze czeka, do cholery? Sprawa prosta jak drut, a kwity rozgrzebane.

– Mamy jeszcze czas, nigdzie nie musimy się spieszyć – odrzekł spokojnie Gross.

– Czy mi się wydaje, czy robi mi pan pod górkę?

– Powiedzmy, że ustalenia w sprawie śmierci Rafała Beckera ciągle trwają.

– Ciągle trwają? – zarechotał Legner. – To może mnie pan oświeci, bo gdy ostatnio staliśmy w tym pieprzonym lesie, to twierdził pan, że nic nie wskazuje na morderstwo. A może ja o czymś nie wiem? Może ma pan mnie w dupie, co?

– Twierdziłem, że trudno cokolwiek wykluczyć. I nadal to podtrzymuję.

– Chuja tam!

– Panie prokuratorze – powiedział spokojnie Gross.

– Z dupy żeś się pan urwał? – warknął Legner. – Papiery muszą być w porządku!

Komisarz westchnął.

– Sprawę Beckera zamkniemy wtedy, kiedy upewnię się, że to było samobójstwo. Mam na to czas, więc niech mnie pan nie pogania.

– Gross, ja panu rozkazuję...

– Do widzenia, panie prokuratorze. – Policjant przerwał połączenie.



Zanim wyjechał do Torunia na umówione przez Wiktora Korczyńskiego spotkanie z kadrą Kor-stalu, zdążył zrobić szybkie zakupy i zanieść je Malwinie.

Nocą cierpiała, ale teraz Gross pocieszył się tym, że wyglądała znacznie lepiej. Dostrzegł wreszcie błysk w jej oku, a usta chętniej składały się do uśmiechu. Zgłodniała i z przyjemnością zjadła kleik ryżowy, który przyrządził, krzątając się po kuchni, podczas gdy ona, przykryta kocem w pokoju, oglądała skandynawski serial kryminalny.

Kilkadziesiąt minut później zostawił jej w kubku gorący kisiel, ubrał się i skierował do drzwi.

– Wrócisz? – spytała, wyciszając telewizor.

– Nie wiem – odparł strapiony.

Zasmucił ją, ale tym razem nie zamierzał składać obietnic, których nie mógłby spełnić. Musiał wyjechać do Torunia, a przedtem miał się ponownie spotkać ze Skalską i z Judycką. Opowiedział jej o tym.

– Rozumiem – powiedziała i podniosła się z łóżka.

Lekko zgarbiona podeszła do starej komody w przedpokoju. Gross stał już przy drzwiach wyjściowych. Lemańska wyjęła coś z szuflady i wyciągnęła w jego stronę rękę.

– Weź je, proszę.

Gross poczuł chłód na dłoni.

Leżały na niej klucze.

Podeszła do niego i przytuliła się, a on objął ją, odsunął włosy z jej czoła, a potem pocałował ją delikatnie.

Wsunęła język w jego usta, wprawiając go w drzenie.

Nie całował tak kobiety od ponad dziesięciu lat.

– Tęskniłam za tobą – powiedziała, kiedy skończyli.

Nigdy nie zdradził swojej żony, a teraz czuł się właśnie tak, jakby tym jednym pocałunkiem, którego zresztą pragnął, napluł chorej Agnieszce w twarz.

„Tyle są warte te twoje przysięgi”.

„Jeb się, ojciec”.

– Czemu posmutniałeś? – spytała z rozbajającym uśmiechem.

Ocknął się jak z koszmaru.

– Słyszałeś, co powiedziałam?

Zdezorientowany pokręcił głową.

– Mówiłam, że bardzo za tobą tęskniłam.

– Tak – odparł i sięgnął do klamki.

Wyszedł, a właściwie uciekł.

Szedł przed siebie pod wiatr, zupełnie nie zwracając uwagi, dokąd idzie.

Dopiero kiedy się zorientował, że w dłoni wciąż trzyma klucze, przystanął i schował je do kieszeni.

„Też za tobą tęskniłem”, przyznał w myślach.



– Jesteś pewien? – odparła Skalska.

Wracając z pogrzebu Brandola, postanowiła przystanąć przy grobie Grzegorza Otremby i właśnie wtedy odebrała telefon od Jarka Blocha, technika kryminalistyki.

Dawno jej przy tym nagrobku nie było. Nie chciała narażać się wdowie. Zwyczajnie odpuściła, miała dość awantur i wyzwisk na oczach skonsternowanych gapiów. Tego dnia do żadnej scysji pewnie by nie doszło, bo Ewelina Otremba zbyt wiele mogłaby stracić. Ale Skalska i tak odczekała, aż wdowa z przysłym mężem wyjdą z cmentarza.

Stała przy nagrobku z rękami w kieszeniach i pochyloną głową schowaną w kapturze czarnego płaszcza. Stopy jej przemarzły mimo ciepłych skarpet. Przeszła z nogi na nogę, wpatrując się w wyryte w marmurowej płycie nagrobnej połączone nazwisko kochanka.

Chciała z nim porozmawiać, opowiedzieć o wielu sprawach, które się wydarzyły, od kiedy była tu ostatnio, ale nie zdążyła. Kolejny raz policyjna robota sama się o nią upomniała.

– Tak, jestem pewien – odezwał się technik. – Nie może być żadnych wątpliwości. To ludzka krew.

– Cholera – wyszeptała.

– Powiesz mi, skąd ją wytrzasnąłeś? – spytał Bloch.

– Kamienica przy Rynku. Ślady znalazła nowa właścicielka mieszkania, a raczej ekipa remontowa, która zrywała stare tapety. Ściana, zanim je przyklejono, została pociągnięta emulsyjną na białą. Ale rozmazy wciąż były widoczne. Pewnie dlatego ktoś postanowił zakleić je tapetami.

– Trzeba się do tego to zabrać – stwierdził Bloch.

– Koniecznie. O której będziecie?

– Gdy tylko Marian skończy swoją robotę. – Bloch wspominał o starszym koledze i szefie techników w Komendzie Miejskiej Policji w Toruniu. – Nie prędzej jak za półtorej godziny. Dam znać. Zresztą możemy po ciebie wpaść – dodał.

– Okej. – Rozłączyła się i skontaktowała z dyżurnym, żeby przysłał jej kogoś do zabezpieczenia terenu. Potem zadzwoniła do Grossa i zdała mu relację z rozmowy z Blochem oraz przekazała wcześniejsze informacje zebrane u Płockiej.

– To mówisz, że ten Olek wyprowadził się tuż po zaginięciu Justyny Becker i Marcina Korczyńskiego? – spytał jej szef.

– Wszystko na to wskazuje. A tuż przed opuszczeniem miasta był widziany z tapetami pod pachą.

Gross zamilkł.

– Halo? Jesteś tam, Bernardzie?

– Musimy go odszukać – zdecydował.

– Zrobiłam to jeszcze przed pogrzebem Brandola. Ale nie zdążyłam ci powiedzieć.

– Doskonale. W takim razie trzeba koniecznie z nim porozmawiać.

– Nie da rady – odparła. – Facet rozpląnął się w powietrzu.



Przez całą drogę do Torunia Gross miał w głowie płataninę myśli.

Odtwarzał smutną piosenkę o dudziarzu, analizował poranną rozmowę z Nubińskim i zastanawiał się nad tym, co powiedziała mu Skalska. O kryminaliście, który zniknął tuż po zaginięciu studentów. I wreszcie rozmyślał o operacji Malwiny Lemańskiej i o niej samej. O kobiecie, która w jednej chwili straciła męża i córkę, ale też o sile i pokładach miłości, które w sobie nosiła, niewyczerpane jak energia słoneczna.

Tego dnia, gdy do niej nie przyszedł, gdy kolejny raz ważniejsza okazała się dla niego praca

i sprawa odnalezionych w lesie kości, miała mu powiedzieć o tym, co ją czeka na oddziale chirurgii i jakie będą konsekwencje operacji ginekologicznej. Chciała poprosić go o pomoc w opiece nad mieszkaniem i nad nią samą.

Słyszając jej słowa, komisarz zapadał się w sobie. Raz po raz uderzała w niego fala wstydu o sile sztormu, który próbował zatopić niewielki kuter wspinający się na wysokie grzbiety rozkołysanego oceanu.

Wyrzuty sumienia kładły na nim grubą i czarną jak smoła warstwę cienia. Na ten cień składało się wszystko to, w czym zawiódł Malwinę Lemańską, i wszystko to, w czym zawodził pozostającą w śpiączce żonę.

Paraliżował go lęk związany z konsekwencjami wyboru, którego miał dokonać, a jednocześnie wiedział, że jeśli zostanie z Lemańską, i tak nie opuści żony. Będzie do niej jeździł jak dotychczas. I wciąż będzie ją kochał. A może kochał tylko wspomnienia?

Zdał sobie sprawę, że w życiu prywatnym unika konfliktów i zwarć, zupełnie inaczej niż jako policjant. Na służbie ten konflikt wpisany był we wszystko, co robił, w same fundamenty policyjnej misji. Ale to, co mu się udawało wtedy, gdy wkładał mundur, nie sprawdzało się, kiedy go zdejmował. Chował się we własnej skorupie, cichy i milczący, i znikał w zupełnie innym świecie. Do tej pory miał tylko pasję modelarską, klejenie plastiku i imitowanie śladów zużycia na powstałych w ten sposób niewielkich replikach wojennych pojazdów. Precyzyjna i spokojna robota, która – jak się okazywało – przypominała mu jednak pracę w policji, bo łączył te detale po to, by stworzyć spójny obraz zdarzeń.

I do drzwi tego cichego świata pukała właśnie Malwina Lemańska.

Chciał jej otworzyć, a jednocześnie bał się, że póki pracuje w policji, będzie ją stale zaniedbywał. Będzie znikał na zawołanie oficera dyżurnego i babrał się w rynsztoku, szukając ludzi, dla których życie innych okazało się bezwartościowe.

Za szybą spokojny i płaski rolniczy krajobraz uciekał mu za plecy i zmieniał się, gdy Gross zbliżał się do Torunia. Naturę zastępowały wielkie i proste hale, zabudowania strefy ekonomicznej, rozciągające się po obu stronach starej krajowej jedyńki. Nieco dalej droga, znaczone wypełnionymi deszczówką koleinami, wrzynała się na krótko w las, który ustępował pola wielkiemu cmentarzowi po lewej i kolejnym halom, tym razem już miejskich firm, po prawej.

Wypogodziło się i zawieszono nisko na niebie słońce, chociaż już nie grzało, oświetlało mu drogę, rażąc jadących z przeciwka. W powietrzu wirowały liście, które od czasu do czasu spadały z płaskim na przednią szybę.

Szum silnika i opon był usypiający.

Gross przeciął miasto i kierował się na południowy wschód, drogą wylotową na Warszawę. Biurowiec firmy Korczyńskiego znajdował się tuż za salonem dwóch japońskich marek samochodów: Suzuki i Nissana.

Zaparkował w pobliżu oszklonego wejścia, do środka prowadziły obrotowe drzwi.

Obszerny hol, nowoczesnie urządzone i wysoki na dwa piętra, robił wrażenie. Za jasnym kontuarem, przy którym siedziała błękitnooka recepcjonistka o urodzie Brigitte Bardot, szemrała woda. Spływała z pionowej tafli i znikła w odpływowej kratce. Po bokach rosły winobluszcze. Nieco dalej znajdowały się logo Kor-stalu, pomarańczowo-granatowy neon oraz tablica informacyjna przy drzwiach prowadzących do części biurowej.

Kiedy wszedł, recepcjonistka powitała go ciepłym uśmiechem.

– W czym mogę pomóc? – spytała tuż po tym, gdy Gross się przedstawił.

– Miałem się spotkać z szefową działu kadr.

– W jakiej sprawie?

Wyjaśnił.

– Rozumiem, proszę sekundę poczekać. – Chwyciła słuchawkę i wybrała numer wewnętrzny.

Czekając na połączenie, wskazała mu skórzane fotele, niskie, bez wysokiego oparcia i podłokietników. Designerski styl, elegancki i odstrasający niewygoda zarazem. Dał znak, że poczeka, i skierował się do szklanych drzwi, za którymi ciągnął się wyłożony grubą wykładziną korytarz.

Słyszał głos recepcjonistki, a kiedy przestała rozmawiać, podszedł z powrotem do kontuaru.

– Pani Krystyna Kuś przyjdzie po pana. Proszę poczekać w części rekreacyjnej. – Ponownie wskazała na fotele.

– Długo to potrwa?

– Nie sędzę.

Rozdzwonił się jego telefon.

Gross podszedł do wyjścia.

– Judyta – usłyszał w słuchawce.

– Coś pilnego? Za chwilę mam spotkanie – powiedział, spoglądając na zastawiony samochodami parking.

– Rozmawiałam ze Skałką, będzie zabezpieczała mieszkanie w dobudówce.

– Wiem. Coś jeszcze?

– Tak. Spotkałam się dziś ze świadkiem, który w dniu zaginięcia studentów rzekomo widział fotografa.

– No i? – Komisarz wolnym krokiem przeszedł w stronę wyłożonego granatową wykładziną narożnika holu i przysiadł na skraju szerokiego siedziska fotela.

– Facet właściwie cały czas mówi to samo.

– Niczego sobie nie przypomniał? – zmartwił się Gross.

– Nie.

– W takim razie odpuśćmy go sobie.

– Jest tylko jedno „ale”.

Komisarz zerknął na prowadzące do biur drzwi, z których wyszła korpulentna kobieta w szarym kostiumie. Zauważyła go, a on skinął jej głową i wstał. Dała mu znak, że poczeka, i podeszła do recepcjonistki. Szła na palcach, żeby jej szpilki nie stukały głośno w kafle.

– Co masz na myśli?

– Powiedział mi, że ostatnio też spotkał fotografa, który robił zdjęcia ptakom. Poprzednio widział go pół roku temu.

Odwróciwszy się, Gross przeciągnął wzrokiem po kolorowych dachach nowych japońskich samochodów stojących na zewnątrz, na wygradzonym placu.

– Szeffie?

– Jestem, jestem – odparł.

– Okej, bo myślałam, że zerwało nam połączenie. No, w każdym razie fotograf zdradził mu, że przyjeżdża nad Jezioro Chełmżyńskie od lat, właśnie w tym celu, żeby fotografować ptactwo. Zdjęcia wykorzystuje w kalendarzach.

– Powiedział mu, skąd jest?

– Tak, z Torunia. Podobno rozmawiali ze sobą kilka minut.

Gross odwrócił się w kierunku kontuaru. Kobiety cały czas gawędziły, ale wiedział, że nie powinien nadużywać niczyjej cierpliwości.

– Poznał jego nazwisko?

– Nie, ale podobno pracuje w mediach. To mogłoby nam ułatwić zadanie.

– Mogłoby?

– Skontaktowałam się z naszą rzeczniczką i poprosiłam o namiary do wszystkich redakcji.

– Rozumiem, że nasz świadek skłamał. Taki fotograf nie istnieje, prawda? – odparł.

– Dokładnie.

Gross doceniał detektywistyczny zmysł Judyckiej.

– Żaden z toruńskich fotoreporterów nie ma takiej pasji – dodała. – Żaden nie fotografuje ptaków.

– Rozmawiałaś z którymś?

– Z trzema. A przecież znają się jak łyse konie. Trzymają się razem i pomagają sobie. Tak przynajmniej twierdzi rzeczniczka. Gdyby ktokolwiek fotografował ptaki, wiedzieliby o tym.

- Masz rację. I co teraz zamierzasz, Judyto?
- Mogłabym wezwać świadka na komisariat, ale obawiam się, że szkoda czasu.
- Więc?
- Ustaliłam ze Skafką, że jutro rano we dwie do niego pójdziemy.

Gross uznał, że to dobry pomysł. Przewaga psychologiczna i ostrzał pytań mogą sprawić, że mężczyzna zacznie się denerwować.

- Musimy wiedzieć, dlaczego przez tyle lat kłamał – dodała.
- Tak. To konieczne – uznał. – Muszę już kończyć.

Komisarz podszedł do kadrowej. Przeprosił ją za oczekiwanie i się przedstawił. Energicznie wyciągnęła do niego rękę, wyprostowaną w łokciu, po czym poprosiła, by poszedł za nią.

Przy prowadzących na korytarz drzwiach przyłożyła do czytnika kartę, a system zwolnił blokadę.

Biurove wewnątrz wypełniał zapach odświeżacza o aromacie lasu.

- Gdzie znajduje się biuro nieruchomości, w którym pracował Becker?

Kobieta przystanęła i odwróciła się do niego.

- Na drugim piętrze. Chce pan je teraz zobaczyć?
- Może najpierw zajmijmy się tą kartą.

Podeszli do kolejnych drzwi i kobieta weszła do swojego gabinetu z jasnymi meblami i dużym biurkiem oraz półokrągłą dostawką, przy której stały dwa krzesła obite skórą.

- Niech pan siada. – Wskazała na jedno z nich.

Gross usiadł i wyjął worek foliowy, w którym tkwiła karta.

- Interesuje mnie, czy to karta należąca do Rafała Beckera – zaczął bez zbędnych wstępów.
- Na pewno nie.
- Nie? Skąd ta pewność?

Kobieta przyjrzała się plastikowi ukrytemu w etui z dołączoną smyczą, reklamującą jedną z rozgłośni.

- Oddał ją w dniu zakończenia pracy.
- Jest pani pewna?
- Absolutnie. – Oparła łokcie na stole i złączyła dłonie.

Dopiero teraz zobaczył, że pomalowała paznokcie, używając dwóch kolorów lakieru.

- A możemy sprawdzić, czyja to karta?

Kadrowa pokręciła głową. Uprzejmy uśmiech nie zniknął z jej wąskich ust.

Gross zrozumiał, co to mogło oznaczać.

- To nie jest karta, której używacie w zakładzie?
- Oczywiście, że nie. Bardzo mi przykro – powiedziała. – Wszystkie nasze karty mają czytelne nadruki, bo używamy ich także jako identyfikatorów.

- A karty dla gości?

– Też są opisane.

- Ale pewnie ma pani jakieś nieużywane dla nowych pracowników?

– Są zamknięte w sejfie i policzone. Nigdy żadna z nich nie wydostała się poza ten gabinet.

– Rozumiem.

Gross był zły na siebie, że stracił czas.

Schował worek foliowy i wstał.

- Mogę zobaczyć biuro nieruchomości? – spytał.

Kobieta skinęła głową, ale się nie podniosła. Sięgnęła po słuchawkę i wybrała numer wewnętrzny.

– Sebastianie, zejdź do mnie, proszę. Jest u mnie pan komisarz Gross, który chciałby... – Przerwała na kilka sekund. – Aaa, rozumiem... Dobrze, nic się nie stało. – Odłożyła słuchawkę i zwróciła się do policjanta. – Odprowadzę pana.



Skalska wstrzymała oddech, przechodząc przez ciemny i mroczny korytarz kamienicy w stronę przybudówki i klaustrofobicznego podwórka otoczonego szarymi ścianami innych budynków. Tam przynajmniej nie śmierdziało kocim moczem. Za nią szedł jeden ze świeżo upieczonych funkcjonariuszy, Marek Świejak, nieco sepleniący, grubokościsty i krótko ostrzyżony szatyn.

Stanęli na wydeptanej ścieżce. Wysokie chwasty rosły wzdłuż murów dobudówki i nieotynkowanego budynku gospodarczego. Zimy wiatr nawiał skądś pożółkłe i zbrązowiałe liście, które wyściełały narożniki podwórka i tonęły w kałuży, w której odbijało się okno dobudówki.

Skalska się rozejrzała.

– Rozwiniesz taśmę i nikogo nie będziesz wpuszczał – powiedziała, wskazując na teren przed wejściem do mieszkania. – Technicy powinni być za chwilę, a ja dzwonię po właścicielkę.

Kiwnął głową i zabrał się do roboty.

Skalska sięgnęła po aparat w chwili, gdy dwuskrzydłowe drzwi dobudówki się uchyliły. Dostrzegła w nich barczystego narzeczonego Eweliny Otremby. Wyszedł z szeroko rozłożonymi rękoma, jakby pod pachami trzymał niewidzialne piłki. Pod rozpiętą bluzą dresową dostrzegła T-shirt z wizerunkiem pitbulla.

– A co się tu dzieje? – spytał.

Skalska nie sądziła, że kogokolwiek zastanie w mieszkaniu.

– Proszę opuścić budynek – rozkazała.

– Niby, kurwa, czemu? – Zszedł po schodkach.

– Niby, kurwa, temu, że mamy tu podejrzenie popełnienia przestępstwa. Właśnie w tym mieszkaniu.

– Że co? Pojechało was? Masz jakiś nakaz?

Skalska sięgnęła do kieszeni ocieplacza i podała mu dokument. Leszek Smoliński przebiegł wzrokiem kartkę.

– Jest tam ktoś? – spytała.

– Nie ma nikogo, sam tu przyjechałem – stwierdził, nie odrywając wzorku od pisma.

– A Ewelina Otremba gdzie jest?

– No a gdzie ma być? Toć w pracy jest!

– A pan co tu robi?

– Czekam na budowlańców. Zaczynamy dziś remont, więc nie możecie mi tu teraz... – powiedział, gdy rozdzwoniła się jego komórka. Miał ją w nerce na pasku, więc błyskawicznym ruchem rozpiął suwak i wyciągnął aparat. – Halo.

Skalska dała znać Świejakowi, by rozciągnął taśmę policyjną od rury spustowej przy włączniku węglowym kamienicy do klamki drzwi domku gospodarczego.

Policjant zabrał się wreszcie do roboty.

– No, gdzie pan jest, do diabła? – spytał wyraźnie rozszłoszczony Smoliński. – Pod drzwiami kamienicy? Dobra, już idę, bo chyba jednak dziś nie zaczniemy. – Rozłączył się i zszedł ze schodów, wysuwając palec wskazujący w stronę policjantki. – Zaraz wracam! – zapowiedział.

Zniknął za drzwiami prowadzącego przez kamienicę korytarza, a Skalska stanęła w progu dobudówki.

– Policja! Jest tu kto? – krzyknęła.

Odpowiedziało jej echo.

Świejak stanął obok niej z rulonem niebieskiej taśmy w ręku,

– Tak może być? – spytał, a Skalska w odpowiedzi skinęła głową.

Po chwili dotarły do niej podniesione głosy z korytarza kamienicy.

– Co się tu dzieje? – usłyszała głos starszego mężczyzny.

– Nie twoja sprawa, wypierdalaj do siebie, dziadku – warknął narzeczony Otremby. Wyszedł na podwórze i machnął otrzymaną od Skalskiej kartką. – Co to ma znaczyć? – Pociągnął taśmę w górę, ale Świejak zagroził mu drogę i powstrzymał go, rozkładając ręce.

– Tam nie wolno – rzucił.

Mężczyzna wyglądał na zdezorientowanego.

– Klucze od samochodu zostawiłem przy wejściu!

– Zaraz je panu podam – oznajmiła Skalska i weszła do mieszkania.

Odnalazła je na parapecie w pokoju.

Zabrała ze sobą, ale po chwili się cofnęła. Miała wrażenie, że kredens stał pod innym kątem niż ostatnio.

Przeszła przez pokój i skierowała się do drugiego pomieszczenia. Stary mebel rzeczywiście zmienił położenie.

Spojrzała na ścianę, na której jeszcze niedawno wykwitwały widoczne spod warstwy farby rozmazy.

Teraz ich nie było. Tak jak i reszty tapet.

Ścianę pokrywała wilgotna miejscami gładź, a na panelach w jej pobliżu znajdowały się zeschnięte skrzepy białej masy.

Skalska poczuła, jak krew w niej buzuje.

Plastikowe wiadro i narzędzia stały w rogu pomieszczenia.

Wyszła na zewnątrz i podeszła do pakera, który stał z zaciśniętymi pięściami, opartymi na biodrach.

– Kto zaszpachlował tę ścianę?! – ryknęła.

Mężczyzna przyglądał się jej badawczo.

– Ja.

– Dlaczego?

– Była nierówna, poza tym wyłaził na niej jakiś grzyb – wyjaśnił. – Chciałem to zrobić, zanim kolejna ekipa zaczęłaby pierdolić głodne kawałki o tym, że tu straszy.

Skalska wciąż patrzyła mu w oczy.

– Spierdalaj stąd – rzuciła cicho.

– Że co, kurwa? – jęknął. – Jak śmiesz?

– Znikaj stąd i nie próbuj przeszkadzać – wyszeptwała.

Kątem oka dostrzegła ruch w korytarzu.

Marian Chęciński i Jarosław Bloch weszli na podwórze, niosąc aluminiowe walizki.

Smoliński zdębiał.

– Proszę stąd wyjść i nie utrudniać pracy policji – powtórzyła głośno ostrzyżonemu mięśniakowi.

Ten splunął gęstą śliną, ale w końcu wycofał się na korytarz.

– Złóżę na was skargę! – krzyknął.

– Nie ty pierwszy, kochaniutki, nie ty pierwszy. – Zaśmiał się Chęciński, postawny, nieco przygarbiony policjant z posiwiałymi, dłuższymi włosami opadającymi na czoło. Przywitał się ze Skałką. – To tu? – spytał, wskazując na otwarte mieszkanie.

Bloch rozejrzał się po podwórzu i próbował zajrzeć przez stare okienko do budynku gospodarczego.

– Tu – odparła Skalska, która wciąż nie mogła się uspokoić. – Ale właśnie zobaczyłam, że facet, którego przed chwilą poznaliście, zaszpachlował całą ścianę. Tę z rozmazami – rzuciła załamana.

Chęciński machnął ręką.

– Spokojnie, Skałka – odparł bez pośpiechu. – Takich dwóch, jak my z Jarkiem, to wiesz... Damy sobie radę. Nie przejmuj się tak, dziewczyno, bo to piękności szkodzi.

– Nie ruszył paneli – zauważyła. – Pod nimi jest stary parkiet. Sądzę, że tam też znajdziecie sporo śladów krwi. Poza tym część z nich zostawiły muchy. Na żyrandolu i na kratce wentylacyjnej.

Skalska miała wrażenie, że Chęciński spojrzął na nią z uznaniem.

Bloch w tym czasie zapalił papierosa i chodził po niewielkim podwórku, zadzierając głowę do góry.

– Może zanim zaczniemy, zanim pojawi się prorok, przywieźć wam coś do żarcia? – spytała Skalska.

Złożyli zamówienie na kawę i hot-dogi.

– Kto napisze protokół? – spytał Bloch z oddali.

– Ja – stwierdziła.

– Uff. – Uśmiechnął się do niej i mrugnął, a potem rzucił peta w rozmokniętą glebę i rozdeptał go obcasem.



Biuro, w którym pracował Rafał Becker, wciąż było puste.

Mężczyzna miał osobny, przeszklony gabinet na końcu korytarza. Rozciągał się z niego widok na puste działki i stare drzewa, z których wiatr zrywał liście. Przez gałęzie widać było osiedle domków jednorodzinnych i gęste chmury nad nimi.

Sebastian, pracownik agencji nieruchomości, który przywitał Grossa, miał na sobie markowy garnitur. Z błyszczącymi butami bardziej przypominał komisarzowi bankiera niż jeżdżącego po mieście sprzedawcę używanych domów i mieszkań.

Policjant podszedł do biurka.

– Mamy nowego szefa, ale jeszcze nie wprowadził się do tego gabinetu – zauważył agent. – Wszystkie prywatne rzeczy Rafał zabrał w końcu sierpnia.

– Prywatne rzeczy? – zdziwił się Gross. – Co na przykład?

Młody mężczyzna wzruszył ramionami.

– W zasadzie nic specjalnego. Niewiele tego było. Głównie jakieś drobiazgi. I zdjęcie.

– Zdjęcie?

– Takie w niewielkiej ramce.

– Jego dziewczyny? – spytał Gross z nadzieją.

– No, a kogo? – Uśmiechnął się agent szeroko.

Komisarz usiadł w wygodnym skórzanym fotelu.

– Miał pan dobry kontakt z szefem?

– Tak, Rafał był otwarty. Lubiliśmy go – dodał Sebastian.

– Opowiadał panu o siostrze?

– Czasami.

– Co mówił?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Po prostu wspominał o niej od czasu do czasu.

– Coś konkretnego?

– Nie.

– Słuchał w biurze muzyki? – Gross zmienił temat.

– Raczej nie. Wolał pracować w skupieniu.

Komisarz schylił się, żeby zajrzeć pod biurko.

– Za to tuż przed odejściem często mówił o koncercie.

– Koncercie? – zainteresował się Gross.
– Tak, że chciałby pojechać na koncert Marka Knopflera. Tego gitarzysty i wokalisty z Dire Straits.

- Kupił bilet?
- Tak.
- Jest pan pewien?
- Kurier mu przywiózł. Przy nas otworzył kopertę i się nimi chwalił.
- Ile ich kupił?
- Dwa.
- Mówił, z kim się wybierze na koncert?
- Nie, ale chyba nietrudno się domyślić.

Gross wstał.

- Musimy uruchomić jego komputer – powiedział.
- Nie wiem, co na to prezes Korczyński – odparł z wahaniem pracownik. – Poza tym trzeba wezwać naszego komputerowca. Na tym sprzęcie są dane naszego nowego szefa.
- Korczyńskiego biorę na siebie, a pan w takim razie niech wzywa informatyka – odparł Gross, sięgając po komórkę.



Popołudniową porą Gross zajechał pod Komendę Miejską Policji w Toruniu.

Stanął na kopcierze przeznaczonej dla radiowozów, tylko dlatego, że nie było wolnych miejsc. Odczekał kilka minut, aż deszcz straci na intensywności. Wpatrywał się w pokryty wodnym filmem asfalt i obserwował tworzące się na nim i znikające szybko okręgi.

Wkrótce szyby zaparowały i komisarz powrócił do niedawnej przeszłości. Do lasu i bezgłowego ciała ukrytego w krzakach, do biletów kupionych przez Beckera na koncert brytyjskiego muzyka i do melodii, której brat zaginionej dziewczyny słuchał w domu.

W jego firmowym komputerze Gross nie znalazł żadnych prywatnych plików i folderów. Niczego, co dałoby mu jakąkolwiek wskazówkę.

– Jaka była rola Beckera? – spytał Sebastiana, kiedy informatyk udostępnił mu wgląd w dane zapisane na dysku służbowego komputera Beckera.

Komisarz dostrzegł tapetę z konkatedrą ukrytą wśród mgieł i spłoszonymi ptakami na pierwszym planie, dokładnie tę samą, którą Becker miał na ekranie prywatnego laptopa. Następnie przyjrzał się ikonom programów. Folderów i plików nie było dużo.

– Kierował pięcioosobowym zespołem – wyjaśnił pracownik agencji. – Odpowiadał za wyniki przed Korczyńskim, no ale to wiadomo. Poza tym rozpoczął współpracę przy sprzedaży nowych mieszkań. To był jego konik. Z poprzedniej pracy miał dobre kontakty z deweloperami i potrafił być bardzo aktywny na rynku pierwotnym. Umiał sprzedać mieszkanie, jeszcze zanim wylano fundamenty pod blok.

- Sam to robił czy miał wśród was kogoś do pomocy?
- Ostatnio ruch na rynku zrobił się większy, dlatego miał mnie do pomocy – podkreślił z dumą.
- Od dawna pan tu pracuje?
- Byłem jeszcze przed nim.
- Spotykaliście się poza pracą?
- Czasami, ale niespecjalnie często.

Gross spojrział na niego, nic jednak nie powiedział.

– Mówił panu o swojej chorobie? – spytał komisarz.

– O chorobie? To znaczy? – zainteresował się Sebastian.

Gross nie zamierzał zaspokajać jego ciekawości i szybko zmienił temat.

– Jak nazywa się jego dziewczyna?

– Paulina Marcińska.

Komisarz przypomniał sobie słowa matki Rafała Beckera, która niewiele wiedziała o związkach syna z innymi kobietami. Twierdziła tylko, że trwały krótko.

– Jaką byli parą?

– Nie wiem. Nie mam pojęcia.

– Ale spotykał się pan z nimi?

– Czasami, raz czy dwa. Za każdym razem zabierałem swoją dziewczynę.

– Jak oni się zachowywali?

– To znaczy?

Gross nie odpowiedział, milczał, aż w końcu młody mężczyzna poczuł się skrępowany ciszą.

– Nie wiem dokładnie, o co pan pyta, ale nie byli zbyt wylewni. – Oparł się o ścianę i skrzyżował ręce na piersi. – Nie całowali się przy nas. Byli raczej... No tacy staroświeccy byli, wie pan, co mam na myśli. Albo po prostu nie chcieli zwracać na siebie uwagi.

Gross zastanowił się nad jego słowami.

– Od dawna byli razem?

– Szczerze mówiąc, nigdy o to nie pytałem.

– W takim razie kiedy pierwszy raz pan ją spotkał?

– Kilka miesięcy temu, na początku lata.

Komisarz przypomniał sobie, że wtedy Becker miał poznać przez Internet Zuzannę.

– I jakie wrażenie na panu zrobiła?

– Była miła. – Rozłożył ręce. – Po prostu miła. Ale to dziewczyna z odzysku. Podobno krótko po rozwodzie, chyba rok temu, przyjechała z Zabrze do Torunia. Razem z kilkuletnią córką.

– Widział pan tę dziewczynkę?

– Ani razu.

Gross zmarszczył czoło.

– A może ma pan jakiś kontakt do tej Pauliny? Wie pan, gdzie ona mieszka albo pracuje?

– Nigdzie nie pracuje. I kontaktu też żadnego nie mam. Nie wymienialiśmy się telefonami.

– A media społecznościowe? Jest na Facebooku?

– A fakt, na Facebooku jest, ale jakoś tak mało aktywna.

– Może mi pan wydrukować jej profil i skontaktować się z nią?

– Wydrukować? Może linka panu wyślę?

– Nie korzystam z Facebooka – odparł Gross zakłopotany. – Niech jej pan poda mój numer telefonu i poprosi o kontakt, dobrze? – Zapisał mu ciąg cyfr, wykorzystując długopis i kartkę z organizera na biurku.

– Okej. Zaraz to zrobię.

Sebastian ruszył do drugiego gabinetu, w którym stało kilka biurek. Gross widział go przez szeroką szybę w ścianie. Mężczyzna podszedł do komputera i stukał w klawiaturę. Potem odebrał wydruk z drukarki i wrócił do Grossa.

– Proszę – powiedział, podając mu kartkę.

Komisarz miał przed sobą profil Pauliny Marcińskiej pozbawiony zdjęcia profilowego. Natomiast pozioma fotografia przedstawiała fragment jakiejś grafiki. Komisarz nie bardzo wiedział, na co patrzył. Czerwone i żółte poziome kreski ułożone na przemian, a do tego kilka jaskrawych kropek.

– Ostatnia sprawa – rzekł.

– Tak?

– Czy każdy pracownik biura ma swój region? Dzielicie się osiedlami?

– Tak. Obsługujemy cały Toruń i powiat i rzeczywiście każdy z nas, w przypadku rynku

wtórnego, ma swój kawałek tortu. Ponieważ pracujemy w dużej mierze na prowizjach, to ma dla nas spore znaczenie.

– Jaki region miał wasz szef?

– W Toruniu? Żadnego. Ten tort był w całości dla nas, od początku tak to ustawił i bardzo mu byliśmy za to wdzięczni.

Gross wrócił do sprawdzania zawartości dysku twardego i na jakiś czas zapadła cisza.

Kątem oka dostrzegął, że Sebastian wydlubował brud spod paznokci.

Kiedy komisarz wyłączył sprzęt, dotarł do niego sens wypowiedzi młodego pracownika, dlatego postanowił zadać jeszcze jedno pytanie.

– Skoro Becker oddał wam Toruń, to co sobie zostawił?

Mężczyzna wyglądał na zaskoczonego.

– No jak to? Przecież miał Chełmżę na wyłączność.

– Chełmżę?

– Tak. Dobrze znał to miasto.

– Oczywiście – dodał Gross i się zamyślił. – Ale to chyba nie jest rynek z dużym potencjałem?

– No nie, ale sam tak wybrał.

– A sprzedał tam coś ostatnio?

Sebastian pokiwał głową.

– Złapał kupca na mieszkanie, którego przez lata nikt nie chciał kupić.

– W dobrym miejscu?

– A skąd! Podobno jakaś dobudówka, nic specjalnego. Ale poszła w naprawdę przyzwoitej cenie. – Pracownik był pełen uznania dla nieżyjącego szefa.

Gross wstał i poczuł nagły skurcz żołądka.

– Rafał musiał sporo zarobić na prowizji – dodał sprzedawca nieruchomości.



Na zewnątrz powitały ich chłód i oblepiająca wilgoć.

Wyszedszy z dobudówki, Marian Chęciński ściągnął fizelinowy strój i włożył go do worka na śmieci. Sięgnął po termos, z którego nalał sobie do kubka gorącej herbaty, i przysiadł na schodach, dając wytchnienie zmęczonemu kręgosłupowi i mięśniom nóg.

Skalska wyszła tuż za nim i zmrúżywszy oczy, zadarła do góry głowę. Fragment nieba wycięty przez otaczające ich budynki był jednolicie sinoszary. W górę snuły się czarne kłęby dymu, a gryzący smród stawał się nieznośny. Do tego w powietrzu wirowały drobinki tłustej sadzy. Skalska strząsnęła taki paproch z protokołu, ale pozostawił po sobie brudną smugę.

Jarek Bloch zatrzymał się na progu i obszukał kieszenie. Wyciągnął paczkę papierosów i zapalił jednego. Szary dym przysłonił jego twarz.

Światła rozstawionych wewnątrz domu reflektorów rzucały przez okna poświatę na podwórko. Musieli je rozstawić, bo nowi właściciele nie podpisali jeszcze umowy na dostawę prądu.

– Trup – stwierdził Chęciński i siorbnął gorącej herbaty. – Trup, jak nic.

Skalska dokończyła pisanie protokołu i złożyła swój podpis. Potem podeszła do techników i podała podkładkę z formularzem Blochowi, a sama zadzwoniła do Grossa. Zanim się do niego dodzwoniła, wsunęła do ust listek gumy do życia i zaczęła go rozgryzać, uwalniając przyjemny, miętowy smak.

Opowiedziała szefowi o zdjęciu paneli i odkryciu krwawych smug na parkiecie i w szczelinie między nim a ścianą, a także, po zerwaniu parkietu, na posadzce. O zrzuconiu warstwy niedoschniętej

gładzi i dotarciu do rozmazów na ścianie. I wreszcie o zabezpieczeniu krwawych śladów przenoszonych przez muchówki na lampie i kratce wentylacyjnej.

– Marian nie ma wątpliwości, że tyle krwi może świadczyć tylko o jednym – kontynuowała.

Słyszała, jak Gross oddycha, miarowo i spokojnie.

Wypuściła balon, przyglądając się, jak Bloch przekazuje formularz i długopis Chęcińskiemu. Ten odstawił kubek termosu na schody, otarł ręce w dżinsy i dopiero potem się podpisał.

– To się wszystko może łączyć – odparł po chwili Gross. – Być może trafiłaś na ślad zabójstwa studentów.

– Pomyślałam o tym samym, dlatego dzwonię. – Skalska ponownie rozejrzała się po ciasnej przestrzeni. Przesuwała wzrok po oknach kamienicy i innych budynków wychodzących na podwórze. – Zastanawiam się, jak do tego doszło. Co zaszło między Olkiem a Justyną Becker i Marcinem Korczyńskim? – powiedziała policjantka. – No i jeśli zabił ich oboje, to jak pozbył się stąd ciał?

– Mamy Piernickiego z samochodem z plandeką oraz jego nocny powrót do domu – przypomniał jej szef. – Ale to wciąż za mało. Brak na razie związków mężczyzny z zaginięciem studentów.

– Ale ten cholerny Olek, kryminalista, pracował u Piernickiego.

– Zgoda. Musimy to potwierdzić w przesłuchaniu. Wreszcie mamy jakiś trop, którym możemy podążać – zauważył.

Wyczuła w jego głosie zmęczenie.

– Poza tym nie wyobrażam sobie, żeby Piernicki miał jakkolwiek interes w tuszowaniu zbrodni swojego pracownika zatrudnionego na czarno, a do tego kryminalisty.

– A czy na filmie z monitoringu widać, kto siedział za kierownicą?

Gross milczał.

– Trzeba będzie to sprawdzić w materiale wideo – stwierdził wreszcie. – W teczce podręcznej nie jest to jasno sprecyzowane. Mamy tylko informacje z przesłuchania Piernickiego, który potwierdził, że zabrał na stopa Justynę Becker i Marcina Korczyńskiego.

– A później? Myślałam o tym jego nocnym powrocie dostawczakiem z założoną na pace plandeką – wyjaśniła.

– Sądysz, że Olek mógł być kierowcą?

Skalska przytaknęła, ale sama szybko zwątpiła w takie rozwiązanie.

– Nawet jeśli tak było, to czy to w dzień, czy w nocy, narobiłby tu straszego hałasu. To ciasne podwórko, dźwięk ucieka do góry jak dym z komina. Ktoś z mieszkańców by to usłyszał, ktoś mógłby coś zobaczyć. Mówimy o dwóch ciałach, a Olek podobno był chudy i zasuszony. Z kolei wynoszenie zwłok do samochodu zaparkowanego w Rynku wygląda na jeszcze większy idiotyzm.

– Musiał znaleźć inne rozwiązanie – rzucił Gross.

Skałka pomyślała o rozczłonkowaniu zwłok, wywożeniu fragmentów ciał do lasu albo spuszczeniu w kanalizację.

– Mogło tak być – przyznała ze zgrozą i ponownie przyjrzała się ciasnej podwórkowej przestrzeni wydzielonej przez ściany budynków.

Kucnąwszy, Bloch poczęstował się herbatą Chęcińskiego. Rozmawiali w ciszy, żartowali, dając upust napięciu, które towarzyszyło im przez kilka godzin.

Skalska odwróciła się i spojrzała na elewację kamienicy, na zamknięty właz węglowy i niewielkie okna tuż nad gruntem.

– Piwnica? – spytała.

– A mógł mieć do niej dostęp?

– Nie wiem. Pewnie nie. A nawet jeśli, to musiałyby się przebijać przez posadzkę, żeby zakopać ciała – obaliła kolejną swoją teorię. – Chyba szkoda zachodu.

– Szkoda – potwierdził. – To musiało być coś łatwiejszego. Coś, na co można poświęcić zaledwie dwie, trzy godziny, nie więcej. To było lato, letnia noc szybko się kończy i wstaje świt. Musiał się spieszyć.

Skalska minęła techników i weszła do przybudówki. Przeszła przez większy pokój do mniejszego. Obeszła stary kredens i popatrzyła na oświetloną przez halogeny ciemną plamę na parkiecie i zerwane klepki wokół. Na ścianie ze świeżo położoną gładzią, skutą od dołu, ponownie wypęzły rozmazy.

– Letnia noc – powtórzyła niczym echo. – Masz rację. Odezwę się, gdy coś wymyślę.

Rozłączyła się i podeszła do okna, zbliżając twarz do szyby na tyle, na ile pozwolił daszek jej bejsbolówki. Okno wychodziło wprost na stary budynek gospodarczy.

Krzywe ściany z obtłuczonych cegieł z odzysku. Małe okno. Wypaczone drzwi zamykane na pordzewiałą kłódkę. Chwasty sięgające rygla.

„To musiało być coś łatwiejszego”, przypomniała sobie słowa Grossa.

Serce przyspieszyło skurcze.

– Chryste – szepnęła.



Gross wysiadł z samochodu i przeciął chodnik.

Ciemnoszare niebo przesunęło się z wolna nad niebieskim, wysokim biurowcem komendy. Samochód przejechał blisko i pióropusz lodowatej wody z kałuży bryznął na nogawki i buty komisarza.

Policjant odsunął się od krawędzi jezdni.

Rozmyślał nad tym, czego dowiedział się od Skalskiej, kiedy wreszcie udało mu się odszukać długowłosego, siwego analityka, Andrzeja Tatarskiego, informatycznego specja z Komendy Miejskiej Policji w Toruniu. Przekazał Tatarowi kartę do systemu kontroli dostępu odnalezioną w spodniach Beckera.

Analityk jednym ruchem dłoni odgarnął opadające na twarz i przyczepiające się do trzydniowego zarostu włosy. Obiecał zająć się tym po spotkaniu u kryminalnych, na które nie mógł się spóźnić. Przeprosił Grossa i wbiegł na schody. Komisarz ruszył na parter, a na półpiętrze spotkał komendanta. Ten zaprosił go do siebie.

Inspektor Wacław Kryszak zdjął płaszcz w sekretariacie, w skupieniu wysłuchiwał kilku krótkich relacji od sekretarki, a potem, pocierając chłodne dłonie, otworzył drzwi do gabinetu i przepuścił Grossa. Usiedli w fotelach przy niskim stoliku, na którym leżało kilka miesięczników policyjnych z połyskującymi okładkami i złożona na kupce prasa codzienna.

Poświęcili kilka minut na niezobowiązującą rozmowę, po czym energiczny komendant, farbujący na ciemny blond krótko przystrzyżone włosy, założył nogę na nogę i westchnął.

– Jest temat – zaczął. – Podobno wrócił pan do sprawy zaginionych studentów. Czy to prawda?

Gross skinął głową.

– Tak. No więc, jak pan doskonale wie, panie komisarzu, ojciec zaginionego chłopaka, Wiktor Korczyński, jest kuzynem jednego z moich poprzedników. Chodzi o Jana Stelmacha. Dlatego cieszę się, że złapałem pana na schodach. – Kryszak przeciągnął ręką po lśniących włosach. – Rzecz w tym, by postępował pan w tej sprawie niezwykle roztropnie.

– Co pan ma na myśli, komendancie? – Komisarz poczuł się niezręcznie, a szef chyba to wyczuł.

– Niech mnie pan dobrze zrozumie. Stelmach wciąż zna ludzi, tu i tam. W komendzie wojewódzkiej i prokuraturze okręgowej podobno też. Dochodzą do mnie różne sygnały.

Gross przypomniał sobie napastliwy telefon od Legnera.

– Obawiam się, że nie rozumiem – wyznał.

Kryszak zaśmiał się nerwowo, a kiedy jego śmiech ucichł, mężczyzna, nieco młodszy od Grossa, ściągnął usta i spojrzał komisarzowi w twarz.

– Niech pan będzie rozsądny. I niech się pan trzyma procedur. Tylko w ten sposób będzie mógł pan wykonać swoją robotę, a ja w niczym panu nie przeszkodzę. Znam pana i wiem, że jest pan świetnym fachowcem. Szanuję pańskie osiągnięcia – wyznał ciszej. – Dlatego zależało mi na tej rozmowie i na tym, by wysłuchał pan mojej prośby.

– Prośby czy rozkazu?

– Prośby – podkreślił enigmatycznie komendant.

Gross wciąż czuł się dezorientowany.

– Niech się pan trzyma procedur, panie komisarzu – stwierdził Kryszak.

Gross zastanawiał się, co to miało znaczyć, a Kryszak uznał zapewne jego milczenie za zgodę. Wstał i wyciągnął rękę na pożegnanie, a kiedy komisarz ruszył po wzorzystym dywanie w stronę wyjścia, dodał:

– A jeśli w tej sprawie będzie pan potrzebował jakiegokolwiek pomocy, szybszego uzyskania danych z naszego labo czy czego tam jeszcze, niech pan śmiało do mnie dzwoni.

Gross podziękował.

Zszedł na parter, wsiadł do samochodu i uruchomił silnik.

Wycofał wóz i odjechał spod firmy, kiedy deszcz uderzył kolejną falą.

Nie przekraczał dozwolonej prędkości i wsłuchiwał się w miarowe poskrzypywanie starych gum wycieraczek. Zamiast zbierać wodę, rozmazywały ją na szybie.

Dojechał do stacji BP, znajdującej się przy wylotówce na Bydgoszcz, naprzeciwko galerii handlowej. Skręcił na placu Skalskiego w lewo i nawrócił.

Dojechał na parking blisko dystrybutorów. Kiedy deszcz nieco ucichł, wszedł do rozświetlonego sklepu i w kącie obok toalet odszukał odpowiedni komplet wycieraczek.

Podszedł do kasy, gdy zadzwonił jego telefon.

– Dzień dobry, czy dodzwoniłam się do pana Bernarda Grossa? – usłyszał ciepły kobiecy głos.

– A kto mówi?

– Paulina Marcińska – przedstawiła się nieznajoma. – Podobno chciał pan ze mną rozmawiać.

Policjant schował portfel i podziękował sprzedawczyni skinieniem głowy.

Odszedł od kas, gdy jego rozmówczyni odezwała się ponownie.

– Jestem dziewczyną Rafała Beckera.



Kiedy Bernard Gross wrócił do komisariatu, w holu na parterze czekała na niego Jadwiga Becker. Podniosła się z krzesła, gdy tylko dostrzegła policjanta. Podszedł do niej w chwili, gdy drzwi do gabinetu Jojczykowej się otworzyły.

– O, cześć, Bernardzie. – Podkomisarz uśmiechnęła się do niego. – Zobaczymy się później?

Zrozumiała, że ma gościa, więc nie czekała na odpowiedź, tylko zaczęła wspinać się schodami na piętro. W wypielęgowanych dłoniach trzymała segregator, szara okładka ładnie podkreślała róż na jej paznokciach.

Gross obiecał, że odwiedzi ją później, po czym spojrzał na starszą kobietę w żałobnej czerni.

– Czy wiadomo już coś więcej? – spytała.

– W jakim sensie? – zdziwił się, nie bardzo rozumiejąc, co Jadwiga Becker miała na myśli.

– Co się stało z moim synem?

Przestraszył się, że kobieta cierpi na starcze zaburzenia pamięci, chociaż do tej pory nie

zdradzała takich oznak. Zbierał myśli, żeby przyoblec je w słowa, ale zanim zdążył się odezwać, ponownie usłyszał jej głos.

– Chodzi o to, że miał pan sprawdzić, co mu się tak naprawdę stało i czy sam mógł odebrać sobie życie.

Siwe włosy zaczesła do tyłu i spięła za pomocą prostych, drucianych wsuwek.

Głowa kiwała się rytmicznie.

Patrzył w jej zmęczoną twarz, jakby sieć zmarszczek wnikała głębiej w pergaminową skórę, ciężącą pod oczami i na podbródku.

Było mu jej po ludzku żal.

– Badamy tę sprawę.

– Badamy? – zdziwiła się.

– Sprawdzamy każdy szczegół.

– Jak? W jaki sposób?

– Mamy swoje metody.

– Tak, wiem. Ale chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej. Chciałabym wreszcie zrozumieć...

– odparła pozbawiona zupełnie życiowej energii. – Rozmawiał pan już z Korczyńskimi?

Gross kiwnął głową i czekał.

– Co mówili? Powie mi pan coś więcej?

– Nie mogę.

Kobieta wyglądała na zawiedzioną i zasmuconą zarazem. Jej oczy się zaszkliły. Otworzyła usta, ale zamknęła je, by po chwili przełknąć ślinę. Odnosił wrażenie, że smutek, który nosiła w sobie od lat, niczym zasłona, tylko maskował stres.

– Chciałabym zobaczyć syna – wyznała nagle.

Komisarz potarł czoło.

– Obawiam się, że to nie będzie możliwe.

– Nie będzie możliwe? Dlaczego?

– Ciało zostało poddane szczegółowej identyfikacji, nie ma potrzeby angażować...

– Ale chciałabym się z nim pożegnać – przerwała mu.

Policjant nie zamierzał dłużej prowadzić tej rozmowy w holu, więc zaprosił Beckerową do swojego gabinetu.

Wyprzedził ją na schodach i włączył u siebie światło. Odczekał przy drzwiach i zamknął je, kiedy kobieta weszła i zmęczona usiadła z ulgą na najbliższym krześle.

– Jak długo to wszystko będzie trwało?

Gross sądził, że pytanie było retoryczne.

Jej nieobecny wzrok krążył po ścianach. Usiadł naprzeciwko niej i czekał.

– Muszę wyprawić pogrzeb, porozmawiać z księdzem, zamówić lokal na stypę – wyliczyła i utkwiała w nim spojrzenie.

Milczeli oboje.

– Chciałabym go zobaczyć – powtórzyła nagle.

Gross podrapał się po wnętrzu dłoni.

– Pani syn zaginął siedemnastego września – zaczął, zastanawiając się, jak przekazać jej resztę informacji. Nie wiedział, co sprawiło, że Beckerowa spytała o zwłoki swojego dziecka. – Nie możemy wykluczyć, że data zaginięcia jest również datą jego śmierci. Tym samym – zawiesił głos – ciało uległo znacznemu rozkładowi, ale przeprowadzone badania jednoznacznie wskazują, że zwłoki mężczyzny... Że to pani syn.

Siedziała w ciszy i spoglądała za okno.

– Ale mówił pan, że był ubrany w inne ubrania, że miał inne buty i kurtkę.

Kolejny raz przytaknął.

– Co to wszystko znaczy? Myślałam, że sam odebrał sobie życie. A może jednak ktoś go zabił?

– odezwała się, nie przestając obserwować tonącej w mroku wieży kościoła.

– Wciąż szukamy odpowiedzi na te pytania – odparł, złączywszy zimne dłonie.

Ponownie zaczęła drżeć jej broda.

Nie chciał widzieć jej łez. Nie chciał nosić na swoich barkach smutku matki, która musi pochować własne dziecko.

– Niech pani sobie przypomni – poprosił. – Jak syn zareagował na wieść, że córka ma chłopaka? Że spotyka się z Korczyńskim?

Niemal niezauważalnie uniosła ramiona.

– To było zgodne rodzeństwo – przypomniała to, co powiedziała mu ostatnio u siebie w domu. „Zgodne rodzeństwo”, powtórzył w myślach Gross.

– Nie daliby sobie krzywdy zrobić – dodała.

– O co innego pytałem – stwierdził. – W takim razie dlaczego pani syn nie spędził tamtego wieczoru z siostrą i jej chłopakiem?

– Był tam.

– Był, ale krótko.

– Miał swoje plany i swoich kolegów.

– Ale to była ważna uroczystość dla jego siostry, prawda?

– Co pan insynuuje? – zaniepokoiła się.

– Zastanawiam się tylko.

– Niby nad czym?

– Dlaczego zgodne rodzeństwo nie bawiło się razem? I dokąd poszedł Rafał tamtej nocy? – dociekał Gross.

– Wrócił do domu.

– Tak, tak właśnie powiedział. To wynika ze śledztwa – dodał komisarz. – Ale może wcale tak nie było?

Wydawało mu się, że jej głowa poruszała się z większą szybkością.

– Dlaczego pan w to wątpi? – spytała wystraszona. – Dlaczego?

Rozpłakała się.

Nabrał powietrza.

– Jest coś, o czym powinnam wiedzieć jako jego matka? – odezwała się, ocierając chusteczką oczy.

Zachmurzył się.

Posunął się za daleko. Nie miał prawa tak myśleć, wciąż nie miał do tego żadnych podstaw.

Przeprosił ją, a potem przez chwilę obserwował, jak ulga przegoniła napięcie z jej pomarszczonej twarzy.

Złajał się w duchu za swoje zachowanie i nawet nie próbował się usprawiedliwić tym, że zbyt dużo spraw zważyło mu się na głowę. A w tej nadal błędził. Wciąż za mało wiedział, więc musiał skrupulatnie szukać dalej, po omacku, zupełnie na chybił trafił.

Nawet rozmowa z Pauliną Marcińską niewiele wniosła. Owszem, kobieta powiedziała mu, że od kilku miesięcy byli parą. Szłochała, gubiła wątek, ale niczego więcej się od niej nie dowiedział. Nie znała żadnych znajomych Beckera, nigdy nie była z nim w Chełmży. Spotykali się po pracy. A potem, gdy Becker stracił posadę, był podenerwowany, nie potrafił się skupić. Widywali się krótko. Czasami wysyłali sobie esemesy i rozmawiali przez telefon. Ostatni raz dzień przed zaginięciem, o którym dowiedziała się od Sebastiana. Resztę doczytała w lokalnej prasie i dodała dwa do dwóch.

Nigdy nie poznała matki Beckera.

Gross miał w pamięci tę rozmowę.

Długo patrzył na Jadwigę Becker, która nieruchomo siedziała na krześle.

– Czy pani syn miał dziewczynę lub narzeczoną? – przerwał w końcu ciszę.

– Słucham? – Zaskoczona odwróciła się do niego. – Już o tym rozmawialiśmy.

– Czy od dnia zaginięcia Rafała Beckera kontaktowała się z panią jakaś kobieta?

– Kobieta?

– Mogła mieć na imię Paulina – odpowiedział.

– Kto taki?

– Dzwoniła do pani? – powtórzył.

Wdowa najpierw pokręciła delikatnie głową, a potem odparła spokojnie, niemal cicho:

– Nie.

– Czy pani syn mógł to przed panią ukrywać? Czy miał powód, by to robić?

Starsza kobieta wstała nie bez wysiłku i zrobiła krok do drzwi, po czym wróciła i przytrzymała się oparcia krzesła.

Gross się podniósł.

– Mój syn nie miał żadnej kobiety – wyznała.

– Dlaczego tak pani sądzi?

– Wiedziałabym o tym. Jestem... Byłam jego matką – dodała.

– Dzielił się z panią takimi informacjami? Rozmawialiście o jego kobietach?

– Oprócz tych dwóch, o których panu wspomniałam, nie było żadnych kobiet – stwierdziła, po czym, wyraźnie zdenerwowana, podniosła głos. – Nie było i już!

– A czy Justyna była w tych sprawach z panią szczerą?

Kobieta patrzyła na niego chłodno.

– Co tym razem pan wymyślił?

– Czy chciała się rozstać z Marcinem?

– Nie rozumiem, do czego pan...

– Czy mówiła pani o tym? Czy znała jakiegoś starszego mężczyznę, z którym chciała się związać?

Dłonie kobiety zaczęły się trząść.

– Pan jest bezczelny! – krzyknęła i zniknęła za drzwiami.

Komisarz spuścił głowę. Czuł się zupełnie bezradny. Miał świadomość, że kilkudniowe śledztwo nie przyniosło żadnych istotnych rezultatów. W sprawie Beckera wciąż gromadzili nowe dane, ale żadna z nich nie dawała szansy na spojrzenie na śmierć mężczyzny z innej perspektywy. Czas leciał, a pytań i wątpliwości przybywało.

Czy Becker rzeczywiście mógł się targnąć na własne życie? Czy jednak padł ofiarą zbrodni?

Nie zdążył odetchnąć, kiedy zadzwoniła Judycka.

– Szefie, przyszły wyniki badań kluczy znalezionych w pobliżu miejsca znalezienia zwłok Beckera.

– I?

– Hmm. – Usłyszał szelest kartek. – Wygląda na to, że były zupełnie czyste. Żadnych, nawet dynamicznych śladów odbitek linii papilarnych. Zdaniem biegłego musiały zostać dokładnie wyczyszczone.



Chrobot przepiłowywanej kłódki niósł się po niewielkim podwórku.

Skalska obserwowała, jak czarne popiersia mieszkańców pojawiały się w rozświetlonych oknach. Interesowali się tym, co się działo na dole. Byli czujni.

Wcześniej załatwiła z komendantką zgodę na otwarcie budynku gospodarczego i poinformowała Legnera, że szuka trupa. Prokurator zamierzał przyjechać na miejsce, ale inne obowiązki zatrzymały go w Toruniu. Potem zadzwoniła do Eweliny Otremby, która wściekła się na Skalską za to, że jej nie uprzedziła o działaniach policyjnych, że nie tak się umawiały. Że Leszek

Smoliński w napadzie złości zaczął się z nią szarpać.

– Rozmazy na ścianie powstały z ludzkiej krwi, a twój narzeczony próbował je zaszpachlować – przypomniała spokojnie Skalska i zadała kolejne pytanie: – Czy wraz z mieszkaniem kupiliście domek gospodarczy?

– Jaki domek gospodarczy? Tę małą rudere obok?

Skalska potwierdziła.

– No tak, ale zamierzamy ją rozebrać i postawić tam garaż na motocykl – wyznała Otremba. – Mieliśmy to zrobić po remoncie, jeśli zostałyby nam pieniądze. Ale zaraz, chwileczkę – zaproponowała. – Ile czasu to wszystko zajmie? Kiedy będziemy mogli zabrać się do remontu mieszkania? Mamy wynajętą ekipę, a tak trudno o dobrych...

– Dam znać – przerwała jej Skalska.

Powiedziała technikom, że musi na chwilę zniknąć.

Pobiegła w stronę uchylonych drzwi prowadzących do korytarza przecinającego wszerz kamienicę i drewnianymi schodami dostała się na drugie piętro do Płockich.

Otworzyła Płocka. Przetłuszczone włosy wisiały na niej jak nieudana peruka.

– Co tam robicie na dole? – spytała zdenerwowana gospodyni. – Hałasujecie ciągle, dzieci spać położyć nie mogę.

Skalska wpatrywała się w Płocką, ale kobieta nie wydawała się pijana. Nie wiało od niej alkoholem.

– Czy Olek miał dostęp do budynku gospodarczego?

– A ja tam wiem? Pani myśli, że ja wszystko pamiętam? – Odwróciła się do wnętrza mieszkania i wezwała męża. – Chodź tu, no!

Po chwili zamieniła się z nim w drzwiach.

Aspirantka sztabowa spojrzała w przekrwione oczy zasuszonego mężczyzny.

– O so chodzi? – spytał, sepleniąc. Oparł się barkiem o ścianę, żeby zatrzymać wirujący świat. Próbował skupić wzrok na policjantce.

Zadała mu to samo pytanie.

– Musiał mieć – wybełkotał. – Latem, krótko przed zniknięciem, kupił nawet tonę węgla i przerzucił ją tam.

Skalska poczuła dreszcz.

Podziękowała i zbiegła na dół.

Kiedy podeszła do techników, Chęciński skierował latarkę na rygle, a Bloch, przygryzając dolną wargę, intensywnie piłował pałak kłódki. Opiłki połyskiwały w snopie światła i ginęły, wpadając w mrok i wysokie chwasty. Brzeczot gładko wrzynał się w skorodowany materiał, aż w końcu Skalska usłyszała metaliczny brzdęk. Bloch zdjął kłódkę ze stalowych rygli. Szarpał się z drzwiami, które nie chciały się otworzyć z powodu kęp chwastów rosnących przed progiem. Za radą Chęcińskiego podciął je saperką i dopiero wtedy dawny składzik węgla stanął przed nimi otworem.

Marian Chęciński oświetlił zagracone wnętrze.

– Złomowisko – sapnął.

Bloch przyjrzał się wszystkiemu uważnie.

– Szkielet starego łóżka polowego, zardzewiała rama od roweru, zużyte opony i stare felgi – wyliczył krótko młodszy z techników, a potem odwrócił się do Skalskiej. – Co robimy?

Poprosiła Chęcińskiego o latarkę, a następnie skierowała owal światła do wnętrza rudery i zatrzymała go na fragmencie ubitej gleby.

Wypuściła balon, a kiedy pękł, powiedziała:

– Kapiemy.



Dwie godziny później Gross zszedł do Oli Jojczyk, ale gabinet był zamknięty. Uznał, że szefowa wydziału prewencji, nie doczekawszy się go, poszła do domu.

Wyszedł z komisariatu wprost w zimny, mglisty wieczór. Pochłonięty sprawą Rafała Beckera i przeszłości, która odcisnęła na nim piętno, doszedł niespiesznie do kamienicy po drugiej stronie rynku. Drzwi były uchylone, a w ciemnym korytarzu szalał przeciąg. Zmrużył oczy i postawił kołnierzą skórzaną kurtki. Na końcu długiego, tonącego w mroku przejścia dostrzegł część podwórka i intensywne światła halogenów skierowanych na krwiście czerwone cegły budynku gospodarczego. Krzątało się tam dwóch techników w białych strojach.

Podszedł do nich i przywitał się ze skupionymi na pracy technikami. Nieco dalej, pod murem, zauważył kilka porzeczonych metalowych sprzętów, zrzuconych na kupę jak w składzie złomu.

Skalska wyłoniła się z dobudówki i podeszła do niego.

Intensywnie żuła gumę. Jej twarz zniknęła pod daszkiem bejsbolówki.

– Zerknij – poprosiła i wskazała brodą na ruderę.

Komisarz minął spory kopiec świeżo narzuconej ziemi z kawałkami gruzu, znajdujący się tuż przed wejściem do małego budynku.

Wewnątrz, na wysokim stelażu, technicy zainstalowali halogen skierowany ku dołowi. Oświetlał rozkopaną glebę, niezbyt głęboki dół, szeroki na metr, a długi na dwa. Po bokach wykopu leżały rozsunięte poły przegniłego koca albo dywanu.

A pośrodku, z brunatnej ziemi, wystawały pożółkłe kości żeber i miednicy.

dzień ósmy

Gdyby Grossa nie obudziły odgłosy dobiegające zza drzwi, to i tak koszmarny sen przerwałby mu ziąb.

Trząsł się z zimna, śniąc o tym, że leży na zamrzniętym jeziorze i że pod zarysowaną taflą lodu widzi dłoń nastolatka, którego rzeczywiście odłowił wspólnie ze strażakami zeszłej zimy.

Podniósł opartą na złożonych na biurku rękach głowę i nagle poczuł nieznośny ból, jakby ktoś wbił mu w kark rozżarzony gwóźdź i zapamiętałe nim wiercił.

Wstał skostniały, próbując rozmasować napięte mięśnie szyi, i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, dlaczego w jego gabinecie było zimno jak w psiarni. Miał uchylone okno.

Zamknął je, a potem odkręcił termostat grzejnika i przyłożył dłonie. Poczuł wyraźnie napływające ciepło. Odczekał chwilę i kiedy minęły mu dreszcze, nastawił wodę. Drapało go w gardle i z trudem przełknął ślinę. Nos miał zapchany.

Pamiętał, że kiedy skończyli wszystkie czynności na miejscu odnalezienia szkieletu, wstawał dzień. Mrok przechodził w szarugę, gdy kijanka techników policyjnych pozostawiła po sobie na Rynku siwy kłęb spalin i cichnący odgłos silnika wkręcającego się na wyższe obroty. Szkielet został wcześniej zabrany przez firmę pogrzebową i miał trafić do zakładu patomorfologii doktor Raszei, lekarki sądowej.

Legner, Skalska i Gross wrócili do wciąż pustego komisariatu, gdzie ustalili dalsze kroki postępowania. Potem prokurator zaoferował Skalskiej podwózkę, a Gross zamierzał przygotować się do szykującego się długiego dnia, w którym nie znajdzie chwili na odpoczynek. Chciał też zadzwonić do Malwiny Lemańskiej, ale wiedział, że przed szóstą rano niepotrzebnie by ją tylko obudził i zestresował. A przecież potrzebowała kojącego snu i spokoju.

Miał świadomość, że w tę relację wnosi brud policyjnej roboty, którym od lat był zbrukany. Nawet wtedy, kiedy siedział cicho. Kiedy nie wspominał o bezgłowych zwłokach znalezionych w lesie, kiedy milczał o trupach gnijących w wodzie i zbrodni rodzącej się z prostych, zwierzęcych instynktów oraz złych emocji, tłumionych od lat.

Nosił to wszystko w sobie.

Uginał się pod ciężarem przestępstw i niewymazywalnych obrazów różnych oblicz śmierci. Nie chciał tego pamiętać, ale wciąż miał przed oczami bruzdę wisielczą na szyi kilkulatka, skrzepłą krew na nagich piersiach zabitej narkomanki, wytrzewione zwłoki starszego mężczyzny czy wreszcie zastygłe, przerażone twarze ofiar z otwartymi oczami i martwym wzrokiem wbitym wprost w niego.

Te obrazy pozostały z nim na zawsze.

Pamiętał je wszystkie, a co rusz dochodziły nowe.

Czuł, że wszyscy oni patrzą na niego wyczekująco i z nadzieją. To wzmacniało jego siłę i nieustępliwość. Musiał walczyć o prawdę i nie lękać się własnych słabości.

Musiał wytrwale iść śladem ofiar, aż w końcu znajdzie winowajców.

To wszystko tkwiło w nim głęboko.

Zaparzył herbatę i przymknął oczy, opierając głowę na zagłówku fotela.

I wtedy usłyszał, jak otwierają się drzwi.

Uniósł jedną powiekę.

– Nie byłeś w domu? – zdziwiła się Skalska, wyglądająca na równie zziębniętą i wykończoną. Zdawało mu się, że schudła, że jej czerwone od chłodu policzki zaczęły się zapadać.

– Nie – odparł, krzywiąc się z bólu. – Która godzina?

– Dziewiąta.

Aspirantka sztabowa usiadła na swoim ulubionym krześle przy ścianie. Nie zdjęła okrycia wierzchniego.

– Judyta i ja weźmiemy na siebie rozpytanie mieszkańców kamienicy – zaproponowała. – Przyciśniemy ich. Muszą coś pamiętać. Muszą coś wiedzieć.

Gross sięgnął po herbatę. Popijał ją drobnymi łykami, żeby nie sparzyć podniebienia i języka.

– Dobrze – zgodził się po chwili zastanowienia.

Otarł zmęczoną twarz. Czuł się nieswieżo, pragnął wziąć gorący prysznic, ogolić się i przebrać w czyste ciuchy. Ale to wszystko musiało teraz poczekać.

– Mamy tylko jeden szkielec – stwierdził.

– Do tego męski – zauważyła.

Gross wiedział, że będą musieli poczekać na ostateczne potwierdzenie Raszei, ale nie sądził, żeby się pomylili. Duża czaszka, spękana od uderzenia tępym narzędziem, długie kości nóg i wąska miednica, a także ostry kąt podłonowy nie pozostawiały złudzeń co do płci zabitego.

– Myślisz, że to Korczyński? – spytała.

Nie znał odpowiedzi.

– Nieważne, co myślę – odparł rozdrażniony. – Bierzmy się do roboty. Dywagacjami nie popchniemy tej sprawy do przodu.

Skalska pokiwała energicznie głową i wstała.

– Jedziesz do Raszei?

– Nie, nie sądzę, żeby to miało jakikolwiek sens. Sama do nas zadzwoni, gdy już coś ustali. – Ziewnął, zasłaniając usta. – Zaczynjcie te rozpytania. I koniecznie dociśnij Płockich. Być może trafimy na coś w sprawie dobudówki.

Opowiedział Skałce o tym, że to Becker osobiście pośredniczył w sprzedaży mieszkania.

– Trzeba sprawdzić, czy znał Płockich, czy utrzymywali jakieś kontakty. Dowiedz się wszystkiego. A ja zapytam o to samo Jadwigę Becker. Potem przejmę waszego świadka. Tego, który widział fotografa.

– Okej. – Skalska wydmuchała balon, po czym wstała. – W kontakcie – rzuciła, wychodząc.

– W kontakcie? – odparł zdziwiony sam do siebie i dopił herbatę.

Chwytał telefon i przedzwonił do Jadwigi Becker.

– To pan? – spytała, kiedy się przedstawił. – Stało się coś?

Zapytał ją o Płockich, ale starsza kobieta nie kojarzyła takiego nazwiska.

– Zofia, Zofia? – powtarzała wolno. – A on? Jak miał na imię?

– Zdzisław – powtórzył kolejny raz policjant. – Mówi to pani coś?

Milczała.

Gross pochylił się i ponownie zadał to samo pytanie.

– Nie. Nic mi nie mówią te imiona – odezwała się wreszcie.

Podziękował i się rozłączył.

W gabinecie zrobiło się cieplej, ale musiał już iść. Spakował torbę i wyszedł z komisariatu w to ciche, otulone mgłami miasto, spływające deszczem. Świat kończył się za łamaną linią dachów.

Wilgoć, chłodna i lepka, sprawiła, że znowu poczuł dreszcze.

Kupił w aptece lekarstwa i przeszedł wzdłuż bloku Malwiny Lemańskiej. Zawrócił i przystanął przy klatce schodowej, a potem krótko się wahał, czy wybrać przycisk jej domofonu.

Zrobił to.

Ucieszył się, bo była w lepszej kondycji. Ewidentnie wracała do zdrowia, co rozpoznał po błysku w oczach i ciepłe, którym obdarzała go w każdym z kilku krótkich uśmiechów. Jej usta zdawały

się czerwieniejsze niż ostatnio. Skóra odzyskała dawny blask i elastyczność. Malwina ubrała się w domowe ciuchy, czarne legginsy i luźny T-shirt. Gross podziwiał długie i smukłe nogi, a także wyprofilowane biodra i zarys wąskiej talii. Kiedy się do niego przytuliła, poczuł zapach jej skóry i świeżo umytych, puszystych włosów. Uniosła głowę, żeby na niego spojrzeć, i sprężyste kosmyki przysłoniły piwne oczy ukryte za okularami.

Chciała, żeby wszedł do salonu, ale odmówił, wskazując torebkę leków.

– Pokaż, co tam masz. – Pociągnęła go lekko na zachętę. Weszli do kuchni.

Nastawiła wodę i wsypała zawartość jednej z saszetek do szklanki.

– Jak się czujesz? – spytał, usiadłszy na taborecie przy ścianie.

Nie rozebrał się, bo wciąż było mu zimno.

– Dużo lepiej. Najgorsze mam za sobą. – Uśmiechnęła się pełna energii i oparła biodro o rant zlewozmywaka. – W piątek idę na kontrolę. Ale już jestem spokojna.

Zastanawiał się, czy powinien wprost zapytać o to, co jej dolegało. Chciał wiedzieć, ale jednocześnie musiał uważać, by swoich zawodowych nawyków: ciągłego i niezaspokojonego dążenia do odnalezienia odpowiedzi na każde pytanie, do weryfikowania każdej uzyskanej informacji, nie przenosić do ich życia. Chociaż być może wykazałby tym samym troskę o jej zdrowie i o nią samą.

„Naszego życia”, pomyślał.

Czy naprawdę tak to przed chwilą ujął? Czy rzeczywiście było jakieś „nasze życie”?

Lemańska przyłożyła mu dłoń do czoła.

– Chyba masz temperaturę – rzekła zatroskana, gdy zagwizdał czajnik.



Antoni Nowicki otworzył szeroko drzwi i dał Grossowi znać, żeby nie bał się psa.

– Mój kochany staruszek nawet nie wstanie z posłania – zapewnił i zwrócił się do psa: – Prawda, Archie?

Czarny cocker-spaniel spojrzał na przybysza smutnymi czarnymi oczami i uniosł posiwiałą wokół matowego nosa kufę, jakby próbował zwietrzyć jego zapach. Końcówki długich uszu opierały się o niebieski koc, w który rytmicznie uderzał ogon.

– Niech pan wchodzi śmiało, panie komisarzu, Proszę, proszę – zachęcał gestem właściciel mieszkania. – Napije się pan kawy? Albo herbaty?

Gross zwrócił uwagę na głębokie zakola Nowickiego i czerwony krwiał umiejscowiony wysoko nad pobrużdżonym zmarszczkami czołem. Przypomniawszy sobie policjantowi Michaiła Gorbaczowa. Podziękował za herbatę, bo lekarstwo, które wypił niedawno, rozgrzewało go od wewnątrz.

Gospodarz był sam w domu, a nieco młodsza żona, jak wyjaśnił, odliczała ostatnie miesiące do emerytury, wydając dowody rejestracyjne w wydziale komunikacji Starostwa Powiatowego w Toruniu. Syn mieszkał w Łodzi, rzadko odwiedzał rodziców i Chełmżę, ale utrzymywał częsty kontakt telefoniczny. Gross odniósł wrażenie, że w tym zapewnieniu o rozmowach z synem kryły się żal i rodzaj zawodu, jaki dorosłe dzieci sprawiają swoim rodzicom, kiedy z biegiem lat, nie znalazłszy tematów do rozmów, coraz częściej o nich zapominają i coraz rzadziej dzwonią.

– Więc całe dni spędzam z moim starym druhem, kochanym i wiernym przyjacielem Archiem. Ale biedaczysko, też już coraz starszy. Ma problemy z pęcherzem. – Nowicki znowu uśmiechnął się do leżącego na posłaniu w przedpokoju psa, który na dźwięk swojego imienia znowu poruszył ogonem i wolno uniosł powieki.

Usiedli w niewielkim salonie, którego wystrój, jak się domyślał Gross, nie zmieniał się od lat.

Kremowe tapety, jasna meblościanka z witryną na kryształ i stara rogówka z rozkładaną ławą obok. A do tego trzy rodzinne fotografie zawieszona w rogu.

Gross zajął miejsce na kanapie, a mężczyzna wybrał ciężki, stary fotel, który przetoczył ostrożnie po wycyklinowanym, błyszczącym parkiecie.

– Pan w sprawie tego fotografa, prawda? – spytał.

Komisarz celowo nie odpowiedział na pytanie. Sięgnął wolno po notatnik. Otworzył na pierwszej czystej stronie i zapisał datę oraz godzinę spotkania. Poniżej odnotował imię i nazwisko gospodarza. Dopiero potem popatrzył na niego i udał, że szuka czegoś w swoich notatkach.

– Na początku lipca dwa tysiące drugiego roku policjant Ryszard Nubiński przesłuchiwał pana do protokołu na okoliczność zaginięcia Justyny Becker i Marcina Korczyńskiego – zaczął formalnie.

– Oczywiście, pamiętam – przerwał mu Nowicki.

– Niech mi pan pozwoli dokończyć – zezłościł się Gross. – Czy wie pan, jakie sankcje grożą za wprowadzenie policji w błąd?

Mężczyzna w jednej chwili stracił dobry humor. Poprawił się w fotelu i rozłożył ręce.

– Ale ja nikogo nie wprowadziłem w błąd! – zaproponował. – Rzeczywiście widziałem wtedy tego fotografa. Bo to pewnie o niego panu chodzi, tak? Wczoraj też mnie przesłuchiowano w tej sprawie. Była u mnie pani Skalkowska.

– Aspirantka sztabowa Skalska – poprawił mężczyznę, ale celowo nie wyprowadził go z błędu, bo nie chodziło o przesłuchanie. Wpatrywał się w mężczyznę. Ten poczuł się nieswojo.

– Przepraszam, ale czy pan mi zamierza coś zarzucić? – Na czole gospodarza pojawiły się głębokie, poziome bruzdy.

Komisarz zajął do notatek.

– Przyszedłem tu, żeby ostatecznie rozstrzygnąć pewne fakty – wyjaśnił.

– Jakie fakty?

– Żaden z fotoreporterów pracujących i współpracujących z toruńskimi mediami nie zajmuje się fotografowaniem ptaków. Sprawdził to dokładnie. – Gross obserwował reakcję mężczyzny.

Ten siedział bez ruchu.

– W takim razie mnie okłamał – rzucił po chwili zamyślenia.

– Albo pan okłamuje nas. I to od dłuższego czasu.

– Dlaczego miałbym to robić?

– To właśnie chciałbym ustalić. Raz na zawsze.

Mężczyzna wydawał się spokojny. Złączył dłonie i oparł je na brzuchu.

– Wie pan, panie komisarzu, czasami żałuję, że zgłosiłem się wtedy do was i powiedziałem prawdę. – Umilkł. – Ta sprawa młodych ludzi śni mi się nieraz po nocach. Chciałem wam pomóc, ale odnoszę wrażenie, że to się obraca przeciwko mnie.

Gross nie zareagował.

– Owszem, nie zapamiętałem wiele, nie byłem w stanie pomóc wam w sporządzeniu portretu pamięciowego tego mężczyzny, bo było ciemno. Ale jedno jest pewne. Ten fotograf tam był.

– I co? Po wielu latach wrócił ponownie? I akurat panu udało się go rozpoznać, tak? – powątpiewał Gross. – Musi pan wiedzieć, że od dawna nie wierzę w cuda.

Emeryt pokiwał smutno głową i wstał, po czym zrobił kilka kroków w stronę przedpokoju, dając Grossowi znak, by zaczekał.

Komisarz zwrócił uwagę, że jego mokre i brudne podeszwy zostawiły błotne smugi na parkiecie.

Rozejrzał się po salonie. Na jednej ze ścian wisiało nocne zdjęcie ich syna z żoną w sukni ślubnej na plaży Stolbudu. W tle rozpoznał zarys Mistrala i fragment konkatedry. Pomarańczowe światła na bulwarze i część panoramy miasta, wraz z wysoką wieżą świątyni, odbijały się w wodzie.

Nie zważając na to, że rozniesie błoto, wstał i podszedł do fotografii. Była wykonana tydzień przed zaginięciem dwojga studentów, o czym świadczyła komputerowo naniesiona na zdjęcie data wraz z imionami nowożeńców.

Przyglądał się jej jakiś czas, a kiedy usłyszał odgłosy dochodzące z przedpokoju, wrócił na miejsce.

Gospodarz przyniósł kolorową teczkę spiętą gumką.

Usiadł tym razem na pufie, by być bliżej komisarza, i otworzył ją. Gross dojrzał wydruki zdjęć pochowane w koszulkach.

– Nie mówiłem o tym nawet mojej rodzinie – dodał gospodarz i odwrócił teczkę w stronę komisarza. – Niech pan je przejrzy. Śmiało, proszę.

Policjant spojrział na pierwszą fotografię przedstawiającą gęś w niskim locie nad gładką taflą wody, która odbijała obraz ptaka z rozłożonymi skrzydłami. Na kilku kolejnych zdjęciach dostrzegł mewy na tle jasnoniebieskiego nieba oraz kaczki, za którymi w oddali płynęły żaglówki. Gross szybko się zorientował, że wszystkie te niezwykle fotografie łączy znajdująca się w tle architektura, którą bez trud rozpoznawał. Chełmża. Kościół Świętego Mikołaja lub konkatedra, czasami marina klubu kajakarskiego, nowoczesny niewielki blok z tarasami widokowymi i komisariat z komendą straży pożarnej obok. Na zdjęciach zmieniały się jedynie pory roku. Ostre zimowe słońce oświetlało czarne kruki zerwane do lotu nad ośnieżonymi dachami kamienic. Widział mewy chodzące po zamarzniętym jeziorze i kaczki z młodymi, ukryte w sitowiacz, spomiędzy których wyłaniały się nitki wczesnojesiennych mgieł.

Każde ze zdjęć nosiło nadrukowany adres strony jednego z forum fotograficznych oraz nick autora.

„Kruk”.

Przejrzał ten swoisty album złożony z około trzydziestu zdjęć zebranych w ciągu kilku lat, o czym świadczyły odręcznie zapisane daty na odwrocie kartek, po czym wrócił do fotografii, którą dobrze już znał. Do gęsi zerwanych do lotu i ukrytej za mgłą konkatedry. Wybrzmiewał z tego zdjęcia fałszywy akord. Na pierwszym planie, u samego dołu, wyrastał prosty drewniany pomost bez barierki, taki, jaki często można znaleźć nad jeziorami. Ale w Chełmży, na drugim brzegu jeziora, z którego było widać panoramę miasta, nigdzie nie było takiej namiastki mola.

– Widzę, że pana też to dziwi – dodał emeryt. – Mnie zdziwiło jeszcze bardziej, gdy przeczytałem znajdujący się na tym forum wpis. Pojawił się rok temu. Odnalazłem go wczoraj wieczorem. Po rozmowie z panią Skalską.

– Jaki wpis? – spytał Gross.

– Jest na odwrocie.

Komisarz przełożył kartkę i przeczytał informację.

„Zerknijcie, proszę, na moją *Zadrę*. Taki dałem tytuł tej fotografii, ale o tym za chwilę. Pomost obrobiłem w Photoshopie i wyciąłem z innego mojego zdjęcia, znad Bachotka. A teraz o *Zadrze*. Pokazałem wam tę fotkę, bo pamiętam, jak piętnaście lat temu, w dniu zaginięcia młodych studentów, miałem sesję fotograficzną w Chełmży. Widziałem młodzież balującą na plaży przy Mistralu. A potem usłyszałem krzyki. Kłócili się. Dziewczyna z chłopakiem. Pamiętam jej krzyk i złość. Ale krótko to trwało. Potem wszystko wróciło do normy. W sumie jak cisza przed burzą”.

Gross przeczytał raz jeszcze tę samą treść.

Zadra.

O jakiej kłótni pisał autor zdjęcia, nazywający siebie Krukiem? Co miał na myśli? Czy chodziło mu o kłótnię Justyny Becker z Marcinem Korczyńskim tuż po tym, jak świeżo upieczony magister zniknął z pomostu, gdzie wpatrywał się w czerń jeziora? Czy w trakcie tego spotkania zdarzyła się jeszcze inna kłótnia?

„To było zgodne rodzeństwo”, przypomniał sobie słowa Jadwigi Becker. „Nie daliby sobie krzywdy zrobić”.

Komisarz zamknął teczkę i odwrócił się do Antoniego Nowickiego.

– Dlaczego od razu nie poinformował nas pan o swoim odkryciu i odnalezieniu fotografa?

– Może uzna mnie pan za idiotę, ale skoro wtedy, w dwa tysiące drugim roku, się nie sprawdziłem i nie zapamiętałam wyglądu fotografa, to teraz chciałem być pewien na sto procent, że

chodzi o niego. O Kruka.

– Skąd pan wiedział, że przyjedzie do Chełmży?

– Z tego forum. Napisał, że wybiera się na nową sesję i że zamieści z niej zdjęcia. Chciałem poznać go bliżej, do czego zresztą zachęcał mnie jeden z pańskich kolegów.

– Moich kolegów? – zdziwił się, a potem przypomniał sobie zapisy w aktach sprawy. – Chodzi o Ryszarda Nubińskiego?

– Nie, nie – zaprzeczył mężczyzna i ponownie zmarszczył czoło, próbując sobie przypomnieć nazwisko policjanta. – Kiedyś starałem się przekazać informacje w tej sprawie panu Nubińskiemu, ale pamiętam, że nie był zainteresowany. Właściwie to mnie wyśmiał. Wtedy obiecałem sobie, że nikomu nic nie powiem. Przynajmniej dopóki sam nie ustalę konkretów. A potem pojawił się ten pański kolega. No, jakże się on nazywał, do diaska – zezłościł się mężczyzna, po czym klepnął się otwartą dłonią w udo.

Gross czekał.

– Wiem! – Nowicki się uśmiechnął. – To był Otremba. Grzegorz Otremba.



Skalska i Judycka wróciły do gabinetu na poddaszu z zapiekankami, które dokończyły w ciszy.

Judycka zmięła tekturą podkładkę i wyrzuciła ją do kosza, po czym zaparzyła dwie kawy. Czerwony kubek nescafe postawiła na biurku Skalskiej i wróciła do siebie.

Monika ściągnęła bejsbolówkę, zsunęła z ramion polar wraz z ocieplaczem i powiesiła je na oparciu fotela.

– Coś ukrywają. – Judycka poprawiła włosy i spojrzała na Skalską. Ta odchyliła się i podciągnęła stopy na siedzisko fotela.

Podzieliły się piętami tak, by Skalska mogła przepytać Płockich. Oboje byli w mieszkaniu, ale pijany mąż spał na kanapie i pochrapywał. Zofia Płocka zaprosiła policjantkę do kuchni. Dzieci wyglądały na zadbane i nakarmione. Podchodziły do Skalskiej i uśmiechały się nieśmiało. Siniaki zniknęły z ich przedramion, a po pękniętej niedawno wardze Płockiej pozostał jedynie niewielki strup. Podobny do tego, który tkwił na nosie.

– Co tym razem, pani władzo? – spytała wyraźnie zniechęcona ciągłymi odwiedzinami, a jednocześnie nazbyt nerwowa. Zdradzały to jej nieskładne ruchy, szybkie odwracanie głowy.

Aspirantka sztabowa zadała serię pytań o dzień, w którym zaginęli studenci, ale Płocka, podobnie jak pozostali mieszkańcy kamienicy, niewiele z tego okresu pamiętała. Mieszkali wtedy sami, matka męża, właścicielka dobudówki, nie żyła już od kilku lat. Dzieci jeszcze wtedy nie mieli.

– Ale pojawił się Olek – stwierdziła Skalska. – Który tuż po zaginięciu młodych zniknął.

– Wyjechał.

– Nie wiemy, gdzie jest ani gdzie przebywa.

– Pewnie wyjechał z kraju i pozrywał kontakty. To nie był dobry okres dla kryminalisty. Tylko gdzieś za granicą mógł zacząć wszystko od nowa.

– Ale nie odzywał się ani do was, ani do swojej rodziny.

– To prawda.

– Więc nie wiadomo, gdzie jest.

Płocka pokiwała nerwowo głową.

– A ten szkielet to czyj? – spytała, biorąc na kolana chłopca w czerwonych rajtuzach. – Naprawdę kogoś zabito w dobudówce? – spytała, głaszcząc go po głowie.

– Nie mogę o tym rozmawiać.

- To zwłoki tej dziewczyny? Tej studentki z Chełmży?
- Znała ją pani?
- Nie.
- Na pewno?
- No przecież bym pamiętała. Zresztą wtedy, krótko po jej zaginięciu, chodzili tu z ulotkami, na których było jej zdjęcie.
- A jej brata? Znała pani?
- Poznałam później. Zgłosił się, kiedy daliśmy kolejne ogłoszenie do „Nowości”. To o sprzedaży mieszkania.
- Oglądał dobudówkę?
- Tak.
- I co?
- I zajął się jej sprzedażą. Nawet szybko mu poszło.



Gross wrócił do komisariatu, czując, że opuszczają go siły. Nie zdjął kurtki. Paliło go rozgrzane czoło. Pocił się. Zupełnie przemoczona koszulka, którą nosił pod swetrem, lgnęła do ciała i odrywała się od niego z każdym oddechem, raniąc rozpaloną skórę nagłymi uderzeniami zimna.

Fala drgawek spięła mu mięśnie.

Łyknął nową porcję leków i popijał wciąż ciepłą, ale odrobinę przestudzoną herbatę, która spływała do pustego żołądka. Nie miał ochoty nic jeść. Obawiał się, że jeśli cokolwiek włoży do ust, zwymiotuje.

Zadzwoił do Skalskiej i poprosił, by zeszły obie.

Skalka weszła pierwsza.

Komisarz dał znać, by zamknęły drzwi.

– Co ci jest? – spytała Skalska, widząc, jak oddycha ciężko przez zapchany nos. – Może powinienes pójść do domu?

Zbył jej pytanie.

– Siadajcie – poprosił, a kiedy to zrobiły, zrelacjonował im spotkanie z Antonim Nowickim. Skalska przypomniała sobie jedną z notatek Grzegorza odnalezionych w tajemniczej teczce: inicjały A.N.

– To by się zgadzało – odparła i odszukała w leżących na biurku Grossa materiałach właściwy zapis: „A.N. – Kruk. Album. Prowadzić wątek”.

Judycka zajrzała jej przez ramię.

– Odsuńcie się ode mnie, nie chcę was zarazić – poprosił.

Komisarz chciał skupić wzrok na kartce i się zastanowić. Notatka była wcześniejsza niż ustalenia Nowickiego. Te nadeszły już po śmierci Otremby.

– A co u was? – spytał, gdy obie rozsiadły się na krzesłach w pobliżu drzwi.

Skalska streściła mu rozmowę z Zofią Płocką.

– A pytałaś ją o klucze? – Wyciągnął ich fotografię z torby.

Policjanta zaprzeczyła ruchem głowy.

– W takim razie zostaw już Płockich i koniecznie skontaktuj się z Otrembą. Ustal, czy nie były to klucze do dobudówki. W razie czego zapytaj, czy wymienili zamki, a jeśli to zrobili, to czy zachowali wkładki. Wyślemy je do laboratorium.

– Okej. Zaraz się do tego zabiorę – odparła aspirantka sztabowa.

– A co ze mną? – Judycka kręciła się nerwowo na krześle.

– Sprawdź stare zapisy z monitoringu. Zobacz, czy można rozpoznać, kto siedział za kółkiem pomarańczowego dostawczaka. Zrób to, proszę, jak najszybciej, a potem pójdz do Piernickiego i punktualnie o dwudziestą powiedz mu, że będę chciał się z nim zobaczyć o ósmej rano na komisariacie w celu złożenia dodatkowych wyjaśnień w sprawie zaginięcia Justyny Becker i Marcina Korczyńskiego. Powiedz mu o nowych faktach w tej sprawie.

– Czyli o czym? Bo o szkielecie wie już cała Chełmża – zauważyła Judycka.

– To nie ma znaczenia – uspokoił ją Gross. – Ale koniecznie daj mu znać, że wiemy wszystko o Olku, o tym, że u niego pracował – zakończył, bo poczuł, że bolące gardło wyschło mu na wiór. Zwilżył je kolejnym łykiem herbaty.

– Dobra. – Judycka wyglądała na zadowoloną, że wreszcie będzie mogła wykazać się inaczej, niż siedząc w biurze i zbierając informacje.

– To bierzmy się do roboty. – Klasnął w dłonie. – A, i jeszcze jedno. Musimy rozpytać osoby uczestniczące w spotkaniu na plaży. Musimy wiedzieć, co z tą bandaną Korczyńskiego. Czy w dniu zaginięcia miał ją na sobie, czy nie.

Kiedy został sam, zadzwonił do komendanta miejskiego policji w Toruniu i poprosił go o pomoc.

– O co chodzi, panie komisarzu? – zainteresował się Kryszak.

– O zbadanie śladów krwi – wyjaśnił Gross i dodał, że ma na myśli bandanę oraz zabezpieczone przez techników ślady w dobudówce.

– Co chce pan uzyskać?

– Potwierdzenie, że pochodzą od jednej ofiary.

– Załatwione – odparł inspektor.

Gross podziękował i raz jeszcze przejrzał krok po kroku materiały Grzegorza Otremby i uporządkowane przez Skalską notatki, a potem zajrzał w akta sprawy zaginionych studentów. Szukał w nich dziur i nieścisłości. Porównywał zapiski Otremby z materiałami w teczce podręcznej ze śledztwa oraz z zarzutami podkomisarza Gracza, specjalisty z Komendy Wojewódzkiej Policji w Bydgoszczy, który kontrolował prowadzone śledztwa w sprawie osób zaginionych.

Przygotował prostą tabelę złożoną z trzech kolumn. Na szczycie tej z lewej wpisał drukowanymi literami imię i nazwisko podwładnego: „Ryszard Nubiński”. Obok dodał nazwisko Grzegorza Otremby, a w trzeciej kolumnie – nazwisko policjanta z komendy wojewódzkiej. Poniżej zaczął wypisywać poszczególne działania Nubińskiego i Otremby, a następnie zalecenia i wskazówki Gracza.

Był przy trzecim zarzucie, kiedy musiał wybrać się do toalety.

Wrócił po chwili i rzucił okiem na tabelę, na wypisane nazwiska.

Wreszcie zrozumiał, że zarówno Skalska, jak i on sam byli w błędzie.

Fala potu oblała go ponownie. Poczuł zimne dreszcze i jeszcze większe nudności. W pewnej chwili myślał, że będzie musiał ponownie biec do toalety, ale kilka głębokich oddechów powstrzymało torsje.

Zgasił lampkę na biurku, a potem wstał i wyłączył światło w gabinecie.

Wyszedł na zewnątrz skulony przed zimnym wiatrem, którego silne powiewy, niczym niewidzialna ręką, popychały go przed siebie. Szedł po niebezpiecznie śliskim pomoście. Deski zdawała się pokrywać szadź, a niespokojna woda w dole kołysała się i chlupotała o wsporniki.

Zmęczony dotarł do bloku przy Kościuszki czterdzieści jeden, ale nie znalazł w sobie siły, by wspinać się na poddasze do swojego mieszkania i się odświeżyć. Wyprowadził samochód z garażu i pojechał w stronę Torunia.

Przed Grzywną poczuł pierwsze strumienie ciepłego powietrza, które przyjemnie wypełniły wnętrze golfa. Nastawił cicho radio, ale nie mógł słuchać kłócących się polityków. Przełączył na rozgłośnię nadającą stare przeboje.

Wyjął z kieszeni telefon i zdecydował się zadzwonić pod numer znaleziony w teczce. Żałował,

że nie wpadł na to od razu. Że nie rozwiązał tej prostej zagadki wcześniej.

– Halo – usłyszał niski męski głos.

Komisarz się przedstawił.

– Dobry wieczór, panie komisarzu. Zastanawiałem się, czy do pana nie zadzwonić – odparł mężczyzna. – Prawdę mówiąc, chciałem to zrobić jutro z samego rana.

Gross zastanawiał się, co kryło się za tymi słowami.

– Jutro rano?

– Kontaktowałem się z komendantem miejskim policji w Toruniu, który zapewnił mnie, że sprawa zaginionych studentów wreszcie trafiła w dobre ręce. – W głosie podkomisarza Rajmunda Gracza dało się słyszeć nuty optymizmu.

Gross wpatrywał się w drogę, oświetlaną reflektorami fragment asfaltu, który nieco dalej ginał w czarnej mgle.

Jechał wolno, trzymając się krawędzi jezdni.

– Mam tylko jedno pytanie.

– Mam nadzieję, że będę mógł pomóc.

– Grzegorz Otremba – wychrypiął Gross, przywołując w myślach hasło „przekazano R.” z notatek nieżyjącego już policjanta.

Nie chodziło o Ryszarda Nubińskiego, tylko o Rajmunda Gracza.

– Współpracował z panem, prawda? – dodał Gross. – Wykonywał pana polecenia.

– Tak – padła szybka odpowiedź. – Chociaż jak pan zapewne wie, robił to nieoficjalnie.

– Dlaczego? – Gross chciał się upewnić, czy wyciągnął odpowiednie wnioski.

– Dlatego, że Ryszard Nubiński... – Gracz przerwał. – Niech mi pan nie ma tego za złe, panie komisarzu, w końcu mówię o pana podwładnym, ale chodzi o to, że Nubiński, mam wrażenie, nie nadaje się do tej roboty. Czytał pan zapewne moje zarzuty?

– Znam je na pamięć. Ale zastanawiam się, dlaczego Otremba włączył się w to śledztwo. – Gross nagle sam to zrozumiał. – Bo to była jego inicjatywa, prawda?

Mgła miejscami gęstniała. Gross zwalniał i szukał osi jezdni wyznaczonej przerywanym pasem białej farby.

Rajmund Gracz nie odzywał się, jakby próbował zebrać myśli. Komisarz wcale nie zamierzał go poganiać.

– Punkt dla pana, panie komisarzu – odparł podkomisarz z Bydgoszczy. – Otremba zgłosił się do mnie kilka miesięcy przed śmiercią.

– Zdradził panu powód?

– Liczył na szybszą ścieżkę awansu.

Gross przemyślał te słowa i zastanowił się, czy powodem był związek Grzegorza ze Skalską? Dokładnie to, że jego kochanka była wyższa stopniem? Czy rzeczywiście mogłoby chodzić o tak błahą rzecz jak ambicja?

– Zdradził coś więcej? Mówił o powodach, dla których ten awans był mu potrzebny? – Gross drażył.

– Nie. Przyznam szczerze, że nie pytałem go o to. Bardziej interesował mnie jego pogląd na tę sprawę. Materiały ze śledztwa miał znakomicie opanowane. Poruszał się w tej sprawie znacznie lepiej niż Nubiński. Szybko mi zaimponował. Gdyby w każdej komendzie pracowali tacy ludzie, niech mi pan uwierzy, nie martwilibyśmy się o statystyki.

– Jak wyglądał tryb waszej pracy?

– Dlaczego pan o to pyta?

– W nasze ręce trafiła teczka z notatkami Grzegorza. Trzymał ją ukrytą w domu. Wdowa po nim przekazała nam materiały przy okazji innej sprawy.

– Innej sprawy?

– Powiedziałbym panu coś więcej, ale akurat jadę samochodem. Obiecuję jednak, że pogadamy i o tym – uspokoił go Gross.

Z naprzeciwka zbliżały się dwa żółte punkty. Komisarz zwolnił i zjechał nieco w prawo. Po chwili z mgły wyłoniła się ciężarówka i oślepiła go. Minęła gołfa z ogłuszającym warkotem silnika.

Gross zamrugał, żeby pozbyć się uciążliwych powidoków. Ciemne plamy pojawiały się i znikwały mu przed oczami.

– Otremba zbierał materiały i prowadził rozpytania. Tylko tyle.

– Czy wasze działania wynikały z inicjatywy byłego toruńskiego komendanta Jana Stelmacha?

– Nie, w żadnym wypadku.

– Jak Otremba przekazywał panu informacje? – Czuł, że musi to ustalić.

– Telefonicznie.

– Miał w zanadrzu bombę?

– Nawet jeśli, to obawiam się, że tę wiedzę zabrał do grobu – odparł Gracz.

Gross zaprosił Gracza do Chełmży. Inspektor odpowiedział, że pojawi się w ciągu kilku najbliższych dni.

Mgła na krajowej jedynce nie była już tak dokuczliwa i się rozprasała. Pomarańczowe poświaty lamp, rozstawionych przy halach strefy ekonomicznej po obu stronach drogi, łączyły się nad jezdnią, dzięki czemu komisarz, spięty do tej pory za kierownicą, rozluźnił się, bo jazda przestała być dokuczliwa.

Pogrążony w głębokim rozmyśleniu przejechał przez miasto na pamięć. Dojechał do posiadłości Korczyńskich, a kiedy zbliżał się podjazdem pod ogrodzenie, brama się uchyliła. Wjechał na działkę i zatrzymał się blisko wejścia. W pobliżu drzwi, przez okno pomieszczenia, w którym siedział niedawno, zobaczył ciemną postać. Sądził, że to Korczyński czekał na niego, oparłszy się o parapet.

Gross wysiadł z samochodu i zapukał do drzwi. Ponownie odczuwał dreszcze wywołane wysoką temperaturą.

Ojciec zaginionego studenta wpuścił go do ciepłego wnętrza. Zamknął drzwi i spojrzał na Grossa.

– Przykro mi. Żona zabroniła mi wydawać pamiątek po synu.

Komisarz spojrzał na zegarek. Czas go gonił, ale Gross nie zamierzał marnować ani minuty.

– W takim razie chciałbym je po prostu przejrzeć – zaproponował.

Korczyński pokiwał głową, po czym przeszedł do pomieszczenia z dużym czarnym stołem.

– Niech pan tu wejdzie – zaprosił go gestem.

Komisarz zauważył na stole dwa duże kartonowe pudła ozdobione nadrukiem w geometryczne wzory.

– Zrobię panu herbaty, a pan może się zająć swoją robotą – stwierdził gospodarz.

– A pańska małżonka? – spytał Gross. – Jest w domu?

– Przedłużyła sobie pobyt w hotelu. Pojadę po nią dopiero w piątek. Tylko niech jej pan nic o tym nie mówi. – Wskazał na kartony.

Komisarz zdjął oba pudła i ustawił je na krzesłach. Potem usiadł obok, ściągnął kartonową pokrywę z pierwszego z nich i zaczął przeglądać rzeczy należące do zaginionego Marcina Korczyńskiego.

Martwił się, że ma za mało czasu. Punktualnie o dwudziestej musiał zameldować się pod blokiem, w którym mieszkał Piernicki. Ale przedtem chciał jeszcze wstąpić do żony. Chciał z nią o czymś porozmawiać.

Pierwszy raz od chwili, w której znalazła się w sypialce, powinien opowiedzieć jej o tym, jak bardzo ją zawiódł jako mąż.

Chciał, ale wciąż nie wiedział, czy zbierze się na odwagę i powie jej o Lemańskiej. O kobiecie, za której obecnością w swoim życiu tęsknił coraz bardziej. A może myślał tak z obawy przed czekającą go na emeryturze samotnością? Może w tej relacji nie było żadnego prawdziwego uczucia?

A co, jeśli tę tęsknotę za miłością zrodził w nim lęk?

Musiał odrzucić te dywagacje i skupić się na pracy.

Zaczął wyciągać pierwsze rzeczy z kartonów i ustawiać je na stole.

Były wśród nich mniejsze lub większe bibeloty, porcelanowe figurki smukłych chartów i spanieli. Przyjrzał im się, podziwiając jakość wykonania. Odkładał na bok płyty DVD z ulubionymi filmami i oryginalne opakowania gier komputerowych. Otwierał je na chybił trafił, ale nie znalazł w nich niczego poza płytami CD i instrukcjami. Znalazł też pudełko z kostkami do gry na gitarze, kilka kompletów strun do gitary elektrycznej oraz zeszyt ze śpiewnikiem i zapisem akordów. Potem sięgnął głębiej i wyciągnął stare winylowe płyty Dire Straits, a następnie wyjął płytę z okładką nieba i fragmentem kadłuba samolotu pasażerskiego.

Odczytał nazwisko wykonawcy i puls mu przyspieszył.

Mark Knopfler, *Sailing to Philadelphia*.



Klaudia Rolska-Mizgoń usiadła ciężko na krześle i stłumiła ziewnięcie. Włosy w nieładzie, zmięty koc na wersalce i wklęśnięcie w poduszce uświadomiły Skalskiej, że wybudziła kobietę z popołudniowej drzemki. Na ławie leżała złożona gazeta.

– Byłyśmy umówione – usprawiedliwiła się policjantka.

Rolska zerknęła na zegarek.

– Tak, przepraszam – westchnęła. – Wczoraj pracowałam do późna, a dziś musiałam wcześniej wstać.

Kobieta mieszkała z rodziną w starym popeerelowskim piętrowym klocku na Reymonta, w pobliżu torów kolejowych i południowych rogatek miasta. Była nauczycielką matematyki w Grzywnie, do której jeździła na rowerze, rzadko korzystając z usług PKS.

Tuż przed wejściem Skalska zadzwoniła do Grossa i powiedziała mu, o co zamierzała wypytać kobietę. Wysłuchał jej w skupieniu.

– A ty masz do niej jakieś pytania? – rzuciła do słuchawki.

– Tylko jedno. Zapytaj ją o rodzeństwo.

– O coś konkretnego?

– Jacy byli.

– Tak po prostu?

– Tyle wystarczy.

Tamtego dnia, kiedy zaginęli Justyna Becker i Michał Korczyński, niezamężna Klaudia Rolska bawiła się z nimi na miejskiej plaży. Skalska odniosła wrażenie, że kolejne spotkanie z policjantem nie robiło już na niej żadnego wrażenia. Znużenie i zmęczenie wyryły się w jej twarzy.

Po domu krzatali się mąż i dwie nastoletnie córki. Cała trójka przygotowywała się do kolacji. W pokoju dziennym, do którego Rolska zaprowadziła aspirantkę Skalską, słyszały ich śmiechy i głośne rozmowy.

– Mam ich uspokoić? – spytała kobieta, unosząc brodę w kierunku drzwi.

– Nie ma takiej potrzeby.

Gospodyni pokiwała głową. Miała na sobie tylko T-shirt i dresowe szorty, odsłaniające masywne uda i siniaki na piszczelach.

Podrapała się po kostce.

– Co panią sprowadza? – spytała, poprawiając włosy. – Chodzi o ten szkielet? Czy to oznacza, że odnaleźliście Justynę?

Skalska zdjęła bejsbolówkę i rozpięła ocieplacz, bo w domu było wyjątkowo ciepło.

– Chciałabym wrócić na chwilę do tamtego dnia. – Policjantka pominęła odpowiedź na jej

pytanie.

– Zawsze to robicie. – Uśmiechnęła się smutno. – Za każdym razem każecie mi w tym grzebać.

– Przykro mi.

– Pani jest przykro, a ja ciągle, przez te wszystkie cholerne lata, obwiniam się o to, co się wtedy stało. O to, że nie poszłam za nimi, że nie odprowadziłam ich wspólnie ze znajomymi do domu. Że to się wszystko tak skończyło.

– Naprawdę mi przykro.

– Oni zaginęli, a ja... – Spojrzała na swoje bose, szerokie stopy. – Ja ciągle tkwię na tamtej plaży. Ciągle muszę do tego wracać i naprawdę jestem już tym zmęczona.

– Z kim ostatnio pani o tym rozmawiała?

– Pani pyta o swoich kolegów?

– Tak.

Rolska uniosła brwi i wyduła wargi.

– To było dziwne, bo jeden z policjantów, ten, który zabił się u was na komisariacie, prosił mnie, żebym nikomu nie mówiła o jego wizycie. Ale jego śmierć chyba wszystko zmienia, prawda?

Skalska stężała. Z opóźnieniem pokiwała głową.

– Wpadł do mnie do pracy, tuż po zimie – kontynuowała Rolska. – Pytał mnie o jakiegoś fotografa. Był zainteresowany tym, czy zapamiętałam człowieka chodzącego nocą po plaży ze statywem i robiącego zdjęcia

– I co mu pani powiedziała?

– Że nie zauważyłabym na tej plaży Brada Pitta, nawet gdyby tańczył nago. – Uśmiechnęła się, po czym ścisząc głos, dodała: – Mieliliśmy w czubie, bawiliśmy się we własnym gronie i, szczerze mówiąc, nie zwracaliśmy uwagi na to, co się wokół działo. Taka jest prawda. Z każdym kolejnym rokiem wszystko się zaciera i znika, a tę cholerną noc zaczyna przysłaniać mgła.

– Rozmawiacie jeszcze o tej sprawie ze znajomymi? Z tymi, którzy byli wtedy na plaży?

– A pani by to robiła? – Rolska się skrzywiła.

– Nie wiem.

– Zapewniam, że nie. Ekscytowaliśmy się na początku, włączyliśmy się przecież w poszukiwania, ale im więcej czasu upłynęło od tamtych zdarzeń, tym bardziej chcieliśmy o tym wszystkim zapomnieć. Dlatego nie tylko o tym nie rozmawiamy. Mam wrażenie, że właśnie przez to, co się stało, nie utrzymujemy już kontaktów. Po prostu żadne z nas nie chce już do tego wracać.

Skalska przygryzła wewnętrzną część policzka.

– No, co tak pani na mnie patrzy? To jest życie, droga pani – bąknęła Rolska.

– Nie wątpię.

– Powiem pani coś. Coś, co zresztą mówiłam już temu Otrembie. – Wyciągnęła w kierunku policjantki palec wskazujący. – Chciałabym, żebyście odnaleźli ich zwłoki. Myślę, że wszystkim by to dobrze zrobiło. Bo ludzie myślą, że cierpi tylko rodzina. Ale tak nie jest. Wie pani, przez co my przechodziliśmy? Czy pani wie, jakie ja miałam koszmary? Ile mnie to wszystko kosztowało i nadal kosztuje? A wy ciągle w tym grzebiecie. Ciągle na nowo zmuszacie nas do tego, byśmy wracali pamięcią do tamtych dni! Matko Boska! Już nie mam na to siły! Jak długo jeszcze? – jęknęła.

– Przykro mi.

Rolska rozłożyła ręce.

– Ech, jasne – odparła zrezygnowana. – No dobra, ale ja tu jęcę, a pani ma pewnie jeszcze jakieś pytania. Miejmy to już za sobą.

Skalska spojrzała w jej zastygłą i zmęczoną twarz. Widziała ziemistą cerę, obwisłe policzki i sine półksiężyce pod oczami. A w samych oczach, pozbawionych blasku, czaiła się rezygnacja.

– Pamięta pani, jak był wtedy ubrany Marcin Korczyński?

– Na czarno, jak zawsze.

– Nosił jakieś ozdoby?

– Ozdoby? W sensie?

- Wisioriki, bransolety, cokolwiek. – Starła się nie wskazać bezpośrednio na bandanę.
- Coś tam miał na szyi i rękach.
- Proszę to sobie dokładnie przypomnieć. To ważne.

Rolska ponownie wyduła wargi.

– No miał jakieś rzemyki na szyi i wisioriki, ale nie wiem dokładnie, co to było. Po prostu coś mu się tam majtało. Były wtedy modne takie frotki na rękę i on chyba miał coś takiego.

– Frotkę?

– Tak mi się wydaje.

– Jakiego koloru?

– Czerwonego chyba. Po prostu lubił się wyróżniać strojem. Trochę był z niego taki rockandrollowiec.

Skalska postanowiła zagrać w otwarte karty.

– A może to była chusta?

– Nie wiem. Wydawało mi się, że to frotka. Ale głowy sobie nie dam uciąć.

– Proszę chwilę pomyśleć. Nie musi mi pani odpowiadać od razu.

– Ale ja chcę odpowiadać od razu. Czy to dla pani jasne? – zezłościła się.

– Rozumiem, co pani czuje...

– Gównu pani rozumie – zachnęła się. – Mam jeszcze sporo pracy, więc jeśli...

– Ostatnia sprawa.

– Dużo ma pani tych ostatnich spraw? – spytała z przekąsem.

– Chodzi o Justynę i Rafała. O rodzeństwo.

– No i?

– Jacy byli?

– Normalni, a jacy mieli być?

– Kochali się, szanowali?

– Bardzo. Szczególnie Rafał był troskliwy. Może nawet za bardzo.

– Za bardzo?

– O Jezu! Niech mnie pani nie łapie za słówka. Po prostu był opiekuńczy. Czasami aż za nadto. Bywał wszędzie tam, gdzie Justyna, co czasem ją martwiło.

– Wtedy też? – spytała Skalska.

– Na naszej imprezie? – Gospodyni wolała się upewnić. – Nie, chyba nie. Generalnie to było bardzo zgodne rodzeństwo.

– Czy Rafał był zazdrosny o Marcina?

Rolska się skrzywiła.

– Że niby jak? Jak chłop o chłopca? Przecież to była jego siostra.

– To niczego nie wyklucza.

Rolska uniosła oczy do sufitu.

– Jeśli zajmujecie się takimi pierdołami, to się nie dziwię, że do tej pory nikt ich nie odnalazł. A ja już myślałam, że przychodzi pani z jakimiś konkretami, że coś pani wie, że może jesteście coraz bliżej rozwiązania tej tajemnicy. – Prychnęła. – W co ja, naiwna i głupia stara baba, wierzyłam? Znowu się dałam nabrać. Znowu mnie w to wciągnęliście. Mam już tego serdecznie dość.

– Naprawdę mi przykro – dodała Skalska.

– Tak, wiem. Jasne. Lepiej niech już pani idzie.

– Czy Justyna Becker była z panią szczerą, jak przyjaciółka? – spytała Skalska.

– Tak – odparła, przewracając oczami. – Co tym razem pani wymyśliła?

– Czy chciała zerwać z Marcinem?

– Zerwać? Pani oszalała? Oni się kochali!

– I nic pani nie mówiła o ewentualnym, podkreślam, ewentualnym związku z innym, starszym mężczyzną? Albo o przelotnym romansie?

– Chce pani zrobić z niej dziwkę? – warknęła Rolska. – Niech już pani da mi spokój, do

cholery.

Skalska niechętnie się podniosła i włożyła czapkę.

– Gdyby coś sobie pani przypomniała...

– Do widzenia – odparła Rolska i krzyknęła w stronę przedpokoju: – Mieciu! Odprowadź panią do drzwi.

Rozmowy w kuchni ucichły.

– Już idę, kochanie.

Skalska pożegnała się i wyszła do przedpokoju, gdzie natknęła się na uśmiechniętego, jowialnego mężczyznę.

– Proszę uważać na schodach – powiedział z sympatią. – Gdy są mokre, to można się na nich nieźle wyłożyć. Wiem, co mówię, bo już nieraz ratowałem się poręczą.



Grossa zaniepokoił ciężki, chrapliwy oddech Agnieszki.

Jakby coś rzeziło w jej drogach oddechowych. Zwrócił na to uwagę pielęgniarki dyżurnej, która obiecała skonsultować się z lekarzem dyżurującym w pobliskim szpitalu.

Uspokojony wrócił z powrotem do niewielkiej sali i usiadł na krześle obok łóżka, w którym żona leżała na wznak.

Czuł na sobie martwy wzrok Roksany Stegnickiej. Jej wółprzymknięte oczy wpatrywały się w niego. W lekko rozchylonych ustach połyskiwały wilgotne od śliny duże siekacze.

Nigdy wcześniej obecność innych pacjentek nie przeszkadzała Grossowi. Ale w tej sytuacji nie mógł odezwać się do Agnieszki. Drażniło go to. Walczył ze sobą, ale wciąż natrafiał na oczy Roksany.

Nie powinien tu w ogóle przychodzić. Nie w tym stanie. Nie, kiedy był przeziębiony i z podwyższoną temperaturą oraz gardłem, które bolało niemiłosiernie.

Sięgnął po powieść Bianki Bellovej i skonstatował, że ponownie ktoś odczytał Agnieszce większy fragment tekstu. Przekartkował powieść, żeby się zorientować, jak potoczyła się ta historia, po czym wrócił do miejsca, w którym tkwiła zakładka.

Spróbował czytać głośno, po chwili musiał jednak przejść do szeptu. Nie mógł pozwolić sobie na utratę głosu. Nie teraz.

Czytał o tym, jak Nami mieszkał w rezydencji Starej Damy i jak któregoś dnia pomarszczona, dystygowana kobieta odwiedziła go w sypialni z kubkiem mleka w dłoni. To się stało właśnie wtedy. Powiedziała mu, że wie, kim jest jego matka. Nami nic nie czuł. Pierwsze wzmianki przyjmował obojętnie, bez entuzjazmu. Ale kiedy tylko się dowiedział, że jego matka przyjechała z Borosu tuż po tym, jak została zgwałcona przez jednego z tamtejszych prostaków, coś w Namim pękło. Chociaż znał ten schemat aż za dobrze, wciąż nie mógł uwierzyć, że matce nie udało się przed gwałtem obronić. Wyparł to, bo sam kiedyś postąpił haniebnie. Uciekł, zostawiając Zazę z dwoma żołdatami.

Stara Dama miała dla niego jeszcze jeden przekonujący argument. Chłopiec, którego powiła zgwałcona kobieta, miał na imię tak samo jak on.

Dalej Gross czytał o tym, jak młody mężczyzna dotarł do opustoszałej wioski pośrodku pustyni, z której kobiety wyszły na zbiory bawełny. Dopiero podczas zachodu słońca zauważył ludzi wracających z pól i wtedy jego ciałem wstrząsnął dreszcz. Instynktownie ją rozpoznał. Poszli razem do mizernego, niewielkiego domu z glinianą podłogą.

Zadał jej pytanie, które tkwiło w nim od dziecka. Od najstarszych wspomnień o matce, na które składały się tylko trzy czerwone trójkąty. Strój bikini, w którym była z nim dawno temu na plaży.

Z synem poczętym z gwałtu.

Twarz matki w jego wspomnieniach była zamazana.

– Dlaczego mnie zostawiłaś? – Gross, ku swojemu zaskoczeniu, przeczytał to pytanie na głos.

Usta Roksany się wykrzywiły. Wydała z siebie krótki, gardłowy jęk. Wzrok zatoczył chaotyczne koła po suficie i ścianach.

I nagle wszystko się uspokoiło.

Tylko Agnieszka oddychała ciężko.

„Nie zostawię cię”, pomyślał, a następnie spojrział na zegarek i odłożył książkę.

Pożegnał się z żoną, gładząc suchą skórę nóg. Tym razem nie pocałował jej w czoło, w trosce o to, żeby nie podłapała jego przeziębienia.

I wyszedł, nie załatwiwszy sprawy, z którą tu przyjechał.



Był kwadrans po dwudziestej, kiedy drzwi domu przy Słowackiego uchyliły się i Ewelina Otremba wyslizgnęła się na zewnątrz.

Nasunęła na głowę wełnianą czapkę, po czym zbiegła ze schodów i otworzyła furtkę.

– Chodźmy stąd – rzuciła ze schyloną głową i szybkim krokiem ruszyła w kierunku ulicy Moniuszki.

Skalska uprzedziła telefonicznie Otrembę o planowanej wizycie, ale nie powiedziała, o co konkretnie chodzi. Wdowa po Grzegorzu szeptała konspiracyjnie do słuchawki, przez co aspirantka sztabowa miała trudności z jej zrozumieniem. Mimo to wydawało jej się, że wdowa była szczerze przerażona.

Kiedy zrównały krok, kobieta nagle się odwróciła, by rzucić okiem na dom przyszłych teściów.

– Leszek wpadł w szal – powiedziała, nie zatrzymując się.

Dopiero kiedy dotarły do skrzyżowania i skręciły w lewo, zwolniła nieco, ale nadal wciąż nerwowo się rozglądała.

– Dlaczego to robicie? – Otremba przystanęła przy wysokim płocie nowoczesnego domu, tonącego w ciemnościach. Wszystkie rolety były zasunięte.

– Dlaczego co robimy? – powtórzyła Skalska z niedowierzaniem.

Rozmawiały poza kręgami świateł lamp ulicznych.

Otremba ruszyła dalej energicznym krokiem.

– On niedawno rozmawiał z kimś przez telefon i strasznie się zezłościł – rzuciła.

– Słyszałaś tę rozmowę?

– Nie.

– Nie wiesz, z kim rozmawiał? Sprawdziłaś jego telefon?

Otremba ponownie się zatrzymała i zawiesiła wzrok na pobliskim drzewie. Wiatr przedzierał się z szumem przez czarne gałęzie i resztki obwisłych liści. Część z nich porywał i gnał jak latawce.

– Ewelina! Z kim rozmawiał? – ponagliła Skalska.

– Z Piernickim – odparła i po kilku metrach zapytała: – Czy Leszek zrobił coś złego?

Drżącymi dłońmi poprawiła czapkę, która zsunęła się aż na brwi. Skalska przyglądała jej się przez chwilę.

– Jak dobrze znałaś Rafała Beckera? – spytała policjantka.

– Beckera? W ogóle go nie znałam. – Wzruszyła ramionami. – Leszek już prędej, bo mieli wspólnego znajomego, takiego Karola. Mówił mi potem, że Becker się z nim trzymał.

– Formowicz?

– Tak, chyba tak się właśnie nazywał.

– Ale poznałaś osobiście Beckera, prawda?
– Dopiero kiedy umówiliśmy się na oglądanie mieszkania.
– Czy odniosłaś wrażenie, że Becker i Leszek dobrze się znają?
– Znali się na pewno – zastrzegła. – Ale czemu o to pytasz? O co ci chodzi?
– Ile par kluczy dostaliście po zakupie mieszkania? – Skalska zmieniła temat, nie udzielając odpowiedzi.

– Jedną.
– Pamiętasz, jak wyglądały?
– Te klucze? – Otremba wyglądała na zdziwioną.
– Tak.
– Normalnie, to były zwykłe klucze do normalnych, starych zamków.
– Jak wyglądały? – ponowiła pytanie Skalka i ruszyła wolnym krokiem przed siebie, bo zrobiło jej się zimno.

Otremba poszła za nią.
– Oba były srebrne – przypomniała sobie.
– Co z nimi zrobiliście?
– Chyba nic. A co mieliśmy zrobić?
– Wyrzuciliście je? Wymieniliście zamki?
– Tak. To chyba normalne – stwierdziła, po czym nie kryjąc wątpliwości, dodała: – Każdy tak robi, prawda?

– Kiedy?
– Co kiedy?
– Kiedy je wyrzuciliście? – warknęła Skalska, balansując na granicy cierpliwości.
– Nie pamiętam.
– To sobie przypomnij, do cholery!
Oczy Otremby się powiększyły. Skalska widziała, że na dolnych powiekach zbierają się łzy.
– Kiedy kupiliście to mieszkanie? Data! No już! Potrzebuję dokładnej daty!
– Boże – jęknęła wdowa. – To było w połowie września, jakoś przed weekendem. Piętnastego chyba – zastanowiła się. – Tak, w piątek piętnastego.

Zimny wiatr obkurczał naczynia krwionośne i skóra na policzkach policjantki boleśnie się napięła. Skalska poczuła, jakby nosiła na twarzy ściśle przylegającą plastikową maskę.

– To teraz policz dni do wymiany zamków.
Odgłosy ich kroków na chodniku tłumiły narastający świst wichury.
– Leszek zrobił to tego samego dnia – rzuciła Otremba. – Przyjechał już z nowymi zamkami.
Kiedy weszły w rozproszony krąg światła z ulicznej latarni, wdowa po Grzegorzku machinalnie odwróciła głowę i wytrzymała lodowate smagnięcia mas powietrza, które Skalskiej zsunęły kaptur z głowy.

To dało jej do myślenia.
– Ej, spójrz na mnie – poprosiła policjantka.
Otremba się zgarbiła.
– Ewelina! – krzyknęła policjantka.
Wdowa drgnęła i wreszcie nieznacznie odwróciła się do światła.
Policjantka wysunęła rękę i chwyciwszy kobietę za brodę, wyczuła jej napięcie. Ale krótko to trwało. W końcu wdowa się poddała i obróciła twarz do Skalskiej.
Pod grubą warstwą korektora i pudru policjantka zauważyła ciemniejszą, nieregularną plamę na kości policzkowej.

Otremba spuściła wzrok.
– Musisz mi pomóc – wyszeptała. – Bo inaczej on mnie zabije.



Minęło kilka minut od chwili, w której komisarz Bernard Gross odczytał esemes od Judyckiej. Napisała w nim jedno słowo: „Już”.

Zaparkował na gruntowej drodze między stacją elektroenergetyczną a ogródkami działkowymi, przodem do bloków. Zgasił światła, ale nie wyłączył silnika i nawiewu, który szumiał jednostajnie, tłocząc ciepłe powietrze do wnętrza wozu. Mimo to policjant miał zimne dreszcze.

Z tego miejsca widział dwa samochody firmowe Piernickiego: pomarańczowego, zdezelowanego volkswagena z wytartą reklamą malowaną na burtach skrzyni załadunkowej i nowsze białe ducato z wyklejanym czerwonymi literami hasłem „Usługi remontowe Stanisław Piernicki”. Dostrzegął też numer telefonu komórkowego. Jeden za drugim stały wzdłuż Frelichowskiego. Z kolei na parkingu, przy samej latarni, Gross zauważył focusa, którym na co dzień poruszała się żona budowlanca. Poznał go po numerze rejestracyjnym. Wszystkie te informacje przekazała mu telefonicznie Judycka, kiedy wracał do Chełmży. Powiedziała także, że na żadnym zapisie monitoringu nie widać twarzy Piernickiego.

– Skąd w takim razie wzięło się to przekonanie, że siedział za kółkiem? – spytała go wtedy Judycka.

– Z przesłuchania samego Piernickiego. Nikt tego nie kwestionował, bo nie było powodu – wyjaśnił. – Poza tym młodzi, Justyna Becker i Marcin Korczyński, potwierdzili to w rozmowie z rodzicami i bratem dziewczyny. A to chyba najlepszy dowód.

Usłyszał, jak Judyta cmoka nieprzekonana.

– Okej, rozumiem, że Piernicki, jeśli miał coś na sumieniu, uciekł w kłamstwo. Ale jaki ta dwójka miała w tym interes?

– Dobrze pytanie, Judyto – przyznał jej rację. – Być może istniał zupełnie inny powód, którego już nigdy nie poznamy.

Gross dopił letnią herbatę kupioną na stacji przy dawnym budynku chełmżyńskiego dworca i zastanawiał się, kiedy zacznie działać nowa dawka paracetamolu. Siedział spięty, z rękami w kieszeniach zapiętej pod szyją kurtki i wytracał resztki ciepła. Nękał go głód i raz po raz uderzające zniechęcające fale mdłości. Starał się skupić wzrok na ścieżce prowadzącej od parkingu do trzyklatkowego bloku, w którym mieszkał Piernicki, ale obraz często mu się rozmazywał.

Rozświetlone okna salonu wychodziły na rzędy garaży i dwie linie wysokiego napięcia, wiszące nad polami ciągnącymi się aż do zabudowań przy drodze wjazdowej z Chełmży w kierunku Torunia, ale nie widział ich teraz ze względu na mgłę, w której snuły się duchy. Mężczyzna w czapce z nausznikami i kobieta z zarzuconym na głowę kapturem długiej kurtki. Szli, trzymając się za ręce ukryte w grubych rękawiczkach. Przystawali czasem, gdy pies obwąchiwał niski żywopłot. Z zimna podnosił przednią łapę. Nie poganił go, nie spieszyli się. Mężczyzna przytulił kobietę, a następnie potarł energicznie jej plecy. Zbliżyli do siebie czoła, ale pies pociągnął ich dalej. Przeszli pod lampą parkingową, która wydobyła kolory z ich ubrań, a następnie, już poza żółtym, rozproszonym światłem, trzy czarne sylwetki zaczęły znikać w oparach nieprzejrzystej czerni.

Gross obserwował też inne przemykające między blokami sylwetki, ale żadna z nich nie zbliżyła się do samochodów Piernickiego.

„Być może fortel się nie uda”, pomyślał.

Nie powinien liczyć na to, że budowlaniec, o ile jest jakkolwiek umocniony w tę sprawę, po szesnastu latach straci nagle głowę i zacznie wykonywać dziwne ruchy. Pierwszym z nich byłoby to, że spróbuje z kimś porozmawiać. Wyjść z domu i przewietrzyć gorącą głowę.

Na razie nic tego nie zapowiadało.

Wrócił myślami do Torunia i przeglądania kartonów z rzeczami Marcina Korczyńskiego. Robił

to sam w zupełniej ciszy. Przekładał zeszyty ze studiów, notatki, czasopisma o grach komputerowych, zdjęcia, a nawet długopisy, identyfikatory ze szkoleń studenckich i konferencji naukowych.

Raz po raz przychodził do niego atletycznie zbudowany Korczyński z butelką piwa w ręce i pytał o postępy, co Gross zawsze odbierał jako zachętę do pożegnania.

– Niczego pan tu nie znajdzie – sapnął, siadając na ławce w tym samym miejscu, co ostatnio.

Gross nie odpowiedział, tylko wybierał kolejne rzeczy z drugiego już pudła.

– Pana syn lubił muzykę – stwierdził, kiedy trafił na kolejne płyty.

– To chyba normalne, nie?

– Grał na gitarze?

– Tak, grywał. Sam się do niej zabrał, nie chodził do szkoły muzycznej.

– Miał jakiś zespół?

– Nie. – Korczyński sięgnął po butelkę. – Dla siebie grał.

Gross odnalazł wśród innych przedmiotów wyłożonych na okrągłym stole płytę Marka Knopflera i przesunął ją w stronę Korczyńskiego. Potem wskazał na ustawione na krześle płyty winylowe Dire Straits. Kartonowe okładki najlepsze lata miały dawno za sobą.

– To pana?

Po kilku łykach Korczyński odstawił piwo. Butelka zostawiała mokre okręgi na nieskazitelnie czystym blacie. Widocznie o mebel dbał tylko w obecności żony.

– Moje – powiedział z dumą. – Syn nauczył się ich słuchać ode mnie. Kiedy był mały, zawsze wieczorem puszczałem mu te płyty, a on tańczył i śpiewał.

Gross spojrział w jego wilgotne oczy.

– Podobno o zaginięciu syna i Justyny Becker dowiedział się pan w Niemczech.

Mężczyzna pokiwał głową.

– Jednak dzień wcześniej zniknął pan swoim pracownikom – dodał Gross.

Korczyński chciał kolejny raz sięgnąć po piwo, ale jego dłoń zatrzymała się w połowie drogi do butelki.

– Wyjaśniałem to już – wspominał.

– Tak, bólem głowy. Ale trudno jeździć samochodem, kiedy atakuje migrena.

– Pojechałem kupić leki.

– Pana samochodu nie było nad ranem na hotelowym parkingu.

– Wyjaśniałem to już – powtórzył z naciskiem.

– Samochód pojawił się dopiero wieczorem. – Gross nie zamierzał ustąpić.

Korczyński dopił piwo.

– Pana wyjaśnienia w tej sprawie były mętne. Jedno wiemy na pewno: nie zdążyłby pan przyjechać do Chełmży, a następnie wrócić do Monachium. Nie mieliśmy wtedy autostrad.

– No to o co panu chodzi? – warknął Korczyński.

– A jeśli nie lubił pan swojej ewentualnej przyszłej synowej?

Na twarzy Korczyńskiego pojawił się grymas zaskoczenia.

– Co pan insynuuje?

– Czy syn mówił panu o tym, że Justyna chce z nim zerwać?

– Nie, absolutnie. Kochali się przecież.

– A on nie chciał z nią zerwać z jakiegoś konkretnego powodu? Może miała kogoś na boku?

Korczyński rozłożył z niedowierzaniem ręce.

– Co pan, kurwa, kombinuje? – warknął.

– Niech pan po postu powie prawdę, którą ktoś będzie mógł potwierdzić – odparł spokojnie Gross.

– To, co się stało w Monachium, nie ma nic wspólnego z ich zaginięciem, do cholery!

– Dobrze to wiem, ale w papierach mamy nieścisłości. To burzy obraz.

Korczyński wziął do ręki porcelanową figurkę charta i obracał ją w palcach.

– Miałem wtedy kochankę, Niemkę. Współpracowałem z jej firmą. Ot, cała historia.

Powiedziałem zresztą o niej innemu policjantowi.

– Grzegorzowi Otrembie?

– Nie wiem, jak się nazywał, nie pamiętam. Taki blondyn przed czterdziestką.

– Kiedy był u pana?

– Kilka miesięcy temu. W marcu albo w lutym.

– Tylko jemu zdradził pan tę informację?

– Tak. Nie przekazał jej dalej?

– Przekazał – skłamał Gross.

– To po cholere pan o to pyta? Przecież dałem mu namiary na tę kobietę. Powiedziałem, gdzie się z nią zatrzymaliśmy.

– Wiem. Sprawdziliśmy to. – Gross dalej brnął w kłamstwo. – Przepraszam, ale musiałem się upewnić, czy pamiętał pan o prośbie funkcjonariusza.

– No właśnie, ten gliniarz mnie prosił, żebym nikomu nic o tej naszej rozmowie nie mówił – dodał gospodarz.

– I dobrze pan zrobił – pochwalił go policjant, sięgając po kolejne rzeczy Marcina Korczyńskiego, schowane w pudle.



Oderwał się od wspomnień, kiedy we Frelichowskiego, od strony Bydgoskiej, wjechał samochód.

Najpierw ujrzał dwa zamglone okręgi żółtego światła. A chwilę potem jasny snop przeciął ciemność. Wóz przejechał przed jego maską, po czym wolno skręcił na parking.

Policjant opuścił się w fotelu i zgasił silnik.

Z butelkowej skody octavii, w której nie świeciło się jedno światło stopu, wysiadł barczysty mężczyzna w rozpiętej kurtce i ruszył w stronę bloku, w którym mieszkał Piernicki.

Gross wybrał numer telefonu do Judyckiej, która czekała w komisariacie.

– Jestem, szefie – odezwała się.

Podyktował jej numer samochodu, ale zanim dotarł do ostatniej cyfry, policjantka powiedziała:

– To samochód Leszka Smolińskiego.

– Dziękuję – wychrypiał Gross.

Odłożył telefon i zastanowił się, co teraz.

Przede wszystkim zdziwiło go to, że Smoliński nie przyjechał od strony osiedla, na którym mieszkał. Gdyby tak zrobił, skoda podjechałaby z lewej, od strony garaży. Przy okazji zdał sobie sprawę że mógłby jej wówczas w ogóle nie zauważyć, bo przed skośnie ustawionym blokiem Piernickiego zbiegały się prostopadle dwie ulice, a miejsca parkingowe znajdowały się przy obu osiedlowych jezdniach.

Gross skłął się w duchu, że popełnił prosty błąd, ale tym razem obyło się bez konsekwencji.

Sprawdził godzinę i odczekał równo dziesięć minut, potem kolejne pięć, aż wreszcie zmartwiony przepisał do telefonu numer komórkowy Piernickiego, zapisany na burcie dostawczaka.

– Halo, pan Piernicki? – spytał policjant, kiedy mężczyzna odebrał połączenie.

– Tak, a bo co? – odezwał się nerwowo rozmówca.

– Koło pana dostawczaków kręci się dwóch krzepkich gości. Obchodzą je w kółko. Z okien może ich pan nie zobaczyć, bo teraz się schowali.

– Kto mówi?

– Sąsiad – odparł Gross. – Niech pan to lepiej sprawdzi.

Rozłączył się i czekał na bieg wydarzeń, rozcierając zziębnięte dłonie. Ciepło z golfa wyparowało szybciej, niż się spodziewał. Stopy miał zmarznięte na kość, a teraz jeszcze zgrabiały mu ręce.

Kilka minut później od strony bloku zauważył dwie postacie. Czarne cienie, które zbliżały się do parkingu.

Piernicki odrobinę kulał, przenosił ciężar ciała na prawą nogę. Mimo to szedł szybko, energicznie.

A tuż za nim kroczył kierowca octavii z szeroko rozłożonymi ramionami.



Skalska zjadła hot-doga z pikantnym sosem paprykowym i sięgnęła po dwie gumy.

Zaczęła je żuć pod klatką domu Krzysztofa Dymurskiego.

Uprzedziła go, podobnie jak Rolską, o pilnej wizycie. Chciała mu zadać te same pytania, co nauczycielce.

Kiedy otworzył drzwi, uderzył ją zapach gotowanej kiszzonej kapusty. Ciężki i gęsty.

Dymurski zaprosił ją do kuchni, gdzie w szerokim garze bulgotał bigos. Para znikwała pod okapem.

– Poczęstowałbym panią, ale nie jest jeszcze gotowy. – Uśmiechnął się, sięgając po papierosy, które leżały na stole tuż obok deski do krojenia. Na niej, w wilgotnej brązowej plamie, znajdowały się częściowo pokrojony kapelusz borowika i krótki nóż do warzyw.

Dymurski zapalił papierosa i zaciągnął się. Stał tyłem do zlewu, z dłońmi opartymi o jego rant. Mięśnie przedramion się napięły, a spod ściągaczy bluzy wystawały tatuaże: diaboliczna twarz Jokera Nicholsona i niebiesko-czerwona tarcza Kapitana Ameryki.

– Duży popłoch na mieście, nie? Zupełnie jakby szambo wybiło. – Dym przysłonił mu twarz. – Cała Chełmża trąbi o szkieletorze. A teraz jeszcze pani mnie odwiedza. Ze smutkiem stwierdzam, że to się składa w ładny obrazek.

– Nie lubi pan z nami rozmawiać, prawda? – Skalska przypomniała sobie treść notatek Nubińskiego, który nie miał szczęścia do zastania mężczyzny w miejscu zamieszkania.

Nie skomentował, tylko ponownie się zaciągnął.

Dymurski zazwyczaj był nieobecny, podobno wyjechał z Chełmży do pracy pod Londynem, a ówczesny funkcjonariusz tylko raz zdecydował się wezwać go na przesłuchanie. Były chłopak Justyny Becker zasłaniał się niepamięcią i w związku z tym powiedział niewiele więcej niż podczas pierwszego przesłuchania.

– To jak? Pogadamy? – spytała Skalska, żując gumę.

Pokiwał głową i strzepnął popiół do zlewozmywaka.

– Przynajmniej spróbujmy. – Mrugnął do niej.

Skalska zadała kilka kontrolnych pytań o godzinę, w której pojawił się na plaży, i kogo tam wówczas spotkał, a także o kłótnię i przepychanki z Marcinem Korczyńskim.

Odpowiadał niemal tymi samymi słowami, które znała z protokołów przesłuchań.

– Czy tamtego wieczoru spotkał pan na plaży albo w jej okolicach kogoś nietypowego?

– Nietypowego? – zdziwił się, ale po chwili pokiwał głową, jakby właśnie coś sobie przypomniał. – O fotografa pani pyta?

– Na przykład.

– No to na przykład ja go nie widziałem. Serio. Nie pamiętam, by ktoś taki kręcił się na plaży. Zresztą kiedyś miałem taką teorię, że to ściema mordercy. Że ten, co wam wcisnął kit o tajemniczym

fotografie, musi mieć sporo na sumieniu.

– A ta wasza kłótnia? Pana i Marcina Korczyńskiego?

Włożył papierosa do ust i odwrócił się, żeby zamieszać drewnianą łyżką w garnku.

– W tej sprawie powiedziałem wam już wszystko. Byliśmy młodzi i głupi. Korczyńskiemu po prostu się nie spodobało, że wpadłem na plażę – rzucił przez ramię. – On coś krzyknął, ja się odgryzłem, a potem poszturchaliśmy się i tyle.

W mieszkaniu rozległ się dźwięk domofonu. Mężczyzna przeprosił i wyszedł do przedpokoju. Zapewne podniósł słuchawkę, ale nie powiedział ani słowa. Skalska słyszała tylko, jak ją odwiesza, a zaraz potem dotarł do niej zgrzyt przekręcanego w drzwiach zamka.

Kiedy Dymurski wrócił do kuchni, przykręcił gaz pod bigosem.

– To w zasadzie tyle. Tak to wyglądało – dodał, odwróciwszy się do Skalskiej.

– A może powiedział mu pan coś niemiłego, co?

– Pewnie tak było – zgodził się.

– Chodzi mi o to, że mógł mu pan powiedzieć, że Justyna spotykała się od czasu do czasu z nieco starszym od siebie mężczyzną.

Zaciągnął się.

– Chodziły takie plotki.

– Czyli właśnie to mu pan powiedział.

Roześmiał się.

– I to mnie stawia w kłopotliwej roli podejrzanego?

– Wiedział pan, o kogo chodzi?

Zaprzeczył.

– W takim razie idźmy dalej. Pamiętaj pan, jak był ubrany Korczyński?

Zastanowił się chwilę.

– Chyba cały na czarno. Przyznam, że kiedy ich nawiedziłem na plaży, byłem na lekkim rauszu.

Poza tym było już ciemno.

– Miał na sobie coś nietypowego?

– Niby co? – Zaśmiał się. – Czapkę z nausznikami? Różowe kalesony?

– Strasznie śmieszne.

– No bo pyta mnie pani o jakieś pierdoły – usprawiedliwił się, nie przestając się uśmiechać.

Usłyszeli otwieranie drzwi.

– Cześć – dobiegł ich kobiecy głos z korytarza. – Już jestem.

– Słyszę, słyszę – odparł Dymurski. – Mam gościa. Siedzimy w kuchni.

Po chwili młoda i krucha blondynka zajrzała do nich.

Skalska się przywitała.

– Okej, to nie będę wam przeszkadzać – stwierdziła dziewczyna. Na oko była dużo młodsza od gospodarza. – Zrobię sobie gorącą kąpiel.

Policjantka przeniosła wzrok na mężczyznę.

– No więc? – spytała Dymurskiego, gdy usłyszeli szum napuszczanej do wanny wody.

Mężczyzna usiadł przy stole i dokończył krojenie grzyba.

– Naprawdę niczego więcej sobie nie przypominam. – Wzruszył ramionami. – Był ubrany na czarno, nosił jakieś tam wisiorki na szyi, a na ręce miał przewiązaną czerwoną bandanę. To znaczy taką chustę. Kiedy się szarpaliśmy, rozwiązała się i spadła na piasek, co go jeszcze bardziej rozjuszyło.

– Miał bandanę na ręce? – Skalska się spięła.

– Ano miał – odparł zdziwiony i zaraz, jakby dopiero to do niego dotarło, spojrzał na policjantkę. – A co? Odnalazła się?



Gross wszedł po schodach na pierwsze piętro i zapukał do drzwi mieszkania Jadwigi Becker. Wcześniej, kiedy Piernicki rozstał się na parkingu ze Smolińskim, który odjechał w kierunku domu, policjant zadzwonił trzykrotnie na jej komórkę. Ponieważ nie odebrała, postanowił spotkać się z nią osobiście. Jeszcze dziś musiał z nią porozmawiać o stroju Korczyńskiego, żeby rankiem mógł się wymienić ze Skalską i z Judycką zebranych informacjami.

Poza tym coś jeszcze nie dawało mu spokoju.

Stale myślał o kierowcy, który podwiózł Justynę Becker i Marcina Korczyńskiego do Chełmży.

Kobieta otworzyła po chwili i odsunęła się od drzwi, robiąc mu miejsce. Dał jednak znać, że nie wejdzie, i przeprosił za późną porę.

– Mam tylko dwa pytania – usprawiedliwił się.

Jej głowa dygotała w znanym mu tempie.

– Czy po zaginięciu pani córki i Marcina Korczyńskiego wracaliście do ich ubioru? Czy przypomniał sobie jakieś szczegóły dotyczące ich strojów?

– Rozmawialiśmy o tym wielokrotnie. Kiedy córka wychodziła razem z chłopakiem, mąż mył naczynia w kuchni. Nie wiedział, czy zdążyli się przebrać ani w co się dokładnie ubrali. Syn też wyszedł wcześniej, ale to on wszystko opisał na policji, bo przecież widział się z siostrą na plaży.

– Ten opis wyszedł od Rafała? – Komisarz wolał się upewnić.

– Tak.

Podziękował.

– A czy Justyna i Marcin potwierdzili, że tamtego dnia podrzucił ich do domu Stanisław Piernicki?

– Oczywiście.

– A może chodziło o któregoś z pracowników jego firmy? Czy na pewno on prowadził?

– Mój mąż i Rafał byli o tym przekonani. Justysia tak im to przedstawiła. Na pewno nie skłamałaby w tak prostej sprawie.

– Oczywiście – przyznał, chociaż musiał przyjąć wersję, że oboje mieli ważny powód, by kłamać. – O której mieli wrócić do domu?

– Nie wiem, ale pewnie nad ranem.

– Pani mąż dobrze sypiał?

– Mój mąż?

– Pytam, czy miał twardy sen.

– Tak.

– A przebudzał się w nocy? Chodził do toalety?

– Nie, ale nie bardzo rozumiem, do czego pan zmierza.

Gross czuł, że jest blisko właściwego tropu, ale nie umiał odnaleźć tej nici, która powiodłaby go prosto do prawdy.

– Mogliby wejść niepostrzeżenie do domu?

– O co panu chodzi?

– Tak żeby go nie obudzić? Mogliby? – wychrypiał.

– Być może. Raczej tak. Ja bym się obudziła, ale mój mąż rzeczywiście spał jak głaz.

Sen. To miało z tym związek. Chodziło o sen. A raczej o spanie.

– Czy Justyna i Marcin mieli spać razem?

Jadwiga Becker złapała poły szlafroka narzuconego na domowy strój i przysunęła dłonie pod szyję. Zawstydził ją tym pytaniem.

– Wiedzieliśmy, że oni są dorośli, że na pewno... Że mieli już to za sobą, ale jednak

w rodzinnym domu... Wie pan, bez ślubu...

– Więc jak mieli spać?

– Marcin miał przygotowane posłanie u Rafała, a syn miał wtedy iść na noc do znajomego – wyjaśniła.

– Do Karola Formowicza?

– Tak. – Skinęła trzęsącą się głową. – Tak było ustalone.



Komisarz niewiele zjadł w ciągu dnia, a ból żołądka tłumiły duże dawki środków na obniżenie temperatury. Wmusił w siebie dwie kromki chleba z masłem, które żuł długo i popijał herbatą. Potem wziął kolejną porcję leków na przeziębienie, a następnie zaparzył sobie herbatę w sporym kubku termicznym, który postawił na podłodze przy łóżku.

Umył się szybko, po czym wsunął w zimną pościel, pod którą długo szczekał zębami.

Łóżko wirowało tak samo, jak myśli w jego głowie. Początkowo snuł rozważania o Piernickim, Beckerach, o świętowaniu zakończenia studiów, które przerodziło się w traumę dwóch rodzin.

„Ale jedna z nich, Beckerowie, w ciągu kolejnych lat straciła najwięcej. Śmierć nie opuszczała ich kręgu”, pomyślał.

Łóżko dalej unosiło się na wysokich falach, ale o dziwo, nie zemdlilo go. Kołysał się, czując jedynie irytujący i stale narastający ból w skroniach.

Z kolejnych myśli wykrystalizowały się te o Namim i o niesamowitej mocy literatury, której chyba nigdy nie był wielkim entuzjastą. Cały ten wyimaginowany świat, w który dał się wciągnąć, nie pozwalał mu teraz zasnąć. Złościł się na przeziębienie i ból gardła, i na leki, które tylko go otumaniały. Wydawało mu się niedorzecznością to, że przeżywał emocje powołanych do życia postaci, twórców wyobraźni zupełnie obcej mu osoby, czeskiej autorki, o której nigdy nic nie słyszał. Złościł się sam na siebie i na nią również. Na to, czego się dopuściła, a co było jednocześnie misternie skonstruowaną ułudą, dającą poczucie istnienia innego realnego świata, paralelnej przestrzeni, powstałej tylko po to, by go zwabić w pułapkę. W pewnym sensie Gross czuł się sprowadzony do roli widza prestidigitatorskiego spektaklu, na który kupił bilety, mimo że nigdy nie wierzył w moc magii. I to irytowało go jeszcze bardziej.

Skulony drżał pod kołdrą z zimna i zżymał się na te domorosłe, filozoficzne rozważania, których wcale nie zamierzał prowadzić, a jednak uparcie, wbrew rozsądkowi, to robił.

Zrzucił to na chorobę.

Na wysoką temperaturę.

Zamknął oczy i znowu mimowolnie powrócił myślami do Namiego, syna poszukującego matki, i do obozowładniającej pustki otwierającej podwoje każdemu, kto wypełnił w swoim życiu jakąś misję. Była to pustynia bez drogowskazów, którą młody człowiek musi przejść, żeby daleko na horyzoncie, w drgającym powietrzu, dostrzec nową, łamaną linię górskich szczytów. I zastanowić się, na który z nich się wspiąć.

Ale on?

Co on miał z tym wspólnego?

Zaszczekał zębami.

Był przekonany, że wkrótce, kiedy zdejmie mundur, sam znajdzie się na rozległej pustyni. Ale nie dane mu będzie zawiesić wzroku na takim widnokręgu. Nie będzie już przed nim żadnych szczytów. Znikną za zasłoną rozpiętej wokół niego gęstej mgły. Wszystkie, które miał w życiu zdobyć, już zdobył. I zostawił je gdzieś daleko w tyle, jak stare zdjęcia, nietrwałe świadectwa przeszłości, do

których być może będzie wracał w rzadkich przyływach melancholii.

Wiedział, że pozostały mu zaledwie dwa miesiące pracy.

A potem na tej pustyni nastaną trudne do zniesienia dni, przepełnione lękiem o brak perspektyw.



Śnił o piasku.

Piasek był wszędzie, jak zastygłe, rozkołysane morze, ciągnął się mniejszymi i wyższymi wydrami aż po horyzont. Zachodzące słońce rzucało wydłużony cień jego sylwetki, który koślawił się w wyżłobionej przez wiatr falistej powierzchni. Przypomniał wskazówkę zegarka.

Czas.

Wiedział, że miał mało czasu. Musiał się spieszyć.

Szedł przed siebie, a stopy zapadały się w piasku. Czuł jego ziarna między palcami, wciskały się pod paznokcie. Bolały go mięśnie ud i łydek. Mimo to przyspieszył, gdy w oddali ujrzał trumnę. Leżała pośrodku pustyni. Nie był w stanie unieść jej wieka. Było przybite gwoździami. Ciężka trumna zapadała się coraz niżej, a on stał i patrzył bezsilnie jak Duch Pustyni zabiera zwłoki.

Pomyślał, że obserwuje własny pogrzeb, że ta uroczystość tak właśnie będzie wyglądała. Krótka chwila bez żadnych świadków, chwila, której nikt o zdrowych zmysłach nie nazwałby ceremonią. Złożenie ciała do grobu. Tylko tyle. Patrzył, drwiąc z paradoksu, który jedynie sny mogą tak bezkarnie oferować.

Ale jeśli to był jego pogrzeb, to dlaczego wezbrała w nim fala smutku?

Łkał bezgłośnie. Cały ten pokaz był niczym niemy film. I ta cisza, tak niezwykle dojmująca.

Czuł ciepło łez na policzkach i widział, jak skapywały w piach, jak ten pod wpływem słonej wilgoci zmieniał swoją barwę i ciemniał. I jak w te dwie mikroskopijne oazy wpadały kolejne łyzy.

Wszystko w ciszy i smutku.

Odczuwał przemożny ból i stratę. Jakby to nie on sam umarł, tylko ktoś mu znacznie bliższy. Nieodwracalny koniec, który zostawi wyrwę w jego sercu.

Trumna wolno, ale nieuchronnie zapadała się niżej, a ziarna piasku przesuwały się jak kolonie małych robaków. W końcu kilka piaskowych kulek poturlało się po gładkiej i lśniącej powierzchni lakierowanego drewna.

Chciał to wszystko zatrzymać, chciał z tym walczyć, ale zabrakło mu siły. Coś wciągało trumnę głębiej i głębiej.

Tak jak ona znikwała w piasku, tak słońce chowało się za horyzontem, oddając pole nocy.

Niezwykle szybko nastały ciemność i chłód.

Niewyobrażalny chłód i nieprzenikniona ciemność.

A on płakał.

Nad ranem otworzył oczy, ale świt jeszcze nie nadszedł.

dzień dziewiąty

Zimy wiatr rzucał w niego pojedynczymi kroplami deszczu.

Gross stał nad brzegiem jeziora z rękoma w kieszeni kurtki, opierając się porywom wiatru, który pchał go w kierunku wzburzonej wody.

Zapomniał o nieznośnym bólu gardła i koszulce lepiącej się do wilgotnych pleców.

Czarna noc mieszała się z nadchodzącym dniem i przechodziła w paletę szarości.

Policjant od kilkunastu minut wpatrywał się w przeciwległy brzeg, próbując namierzyć fotografa i miłośnika ptaków. Nigdzie go jednak nie było.

Gross najpierw udał się na obchód południowej strony jeziora. Szedł wzdłuż plaży Stolbudu, przez niewielki, ale wciąż tonący w mroku las i dalej wzdłuż zaoranych pól Strużala, z których unosił się zapach ciężkiej, wilgotnej ziemi. W odsuniętych od jeziora domach okna wciąż pozostawały czarne.

Nikogo po drodze nie spotkał.

Towarzyszyły mu jedynie szum drzew i świst wiatru, który rozpędzał się na otwartej przestrzeni, szarpał nadbrzeżną roślinność i zrywał liście.

Niespiesznie wrócił na plażę Stolbudu, skąd patrzył na panoramę miasta, rozpiętą między wieżami kościołów. Budynki obok budynków, jedno za drugim, w gęstej zabudowie. Większość z czarnymi oknami. Opustoszałe, śpiące miasto, w którym Gross nie dostrzegł żywej duszy.

Wrócił do Plażowej wysypanej szlaką i spojrzał, czy nie parkuje tam żaden samochód z obcą rejestracją. Nie parkował. Wrócił więc na wygrodzony teren przed swoim blokiem i wyprowadził golfa z garażu. Odjechał w stronę jeziora Archidiakonka na północy miasta i zatrzymał się przed ogrodzeniem domu. Znał ten adres z protokołów przesłuchań Piernickiego.

Spędził w samochodzie kilkanaście minut, zanim zobaczył, że drzwi garażowe uniosły się i lśniący biały SUV wytoczył się na wyłożony granitową kostką podjazd. Kuta brama ogrodowa odjechała w bok, a zamontowany na słupku ogrodzenia kogut rozbłysnął pomarańczowym światłem.

Gross wysiadł z wozu i ruszył w tamtą stronę. Sięgnął po blachę i zanim podszedł do pojazdu, wyciągnął ją przed siebie, tak by siedząca za kierownicą kobieta miała szansę ją dostrzec.

Widział w jej oczach narastający strach. Opuściła przednią szybę, nim zdążył podejść.

– Boże, jak mnie pan wystraszył. – Przyłożyła dłoń do klatki piersiowej. – Stało się coś?

Gross się przedstawił i pochylił.

– Pani Dorota Szlachecka? – wychrypiał.

– Tak. O co chodzi?

Komisarz spojrzał na tylne siedzenie samochodu. Było puste. Na przednim spoczywała sporej wielkości skórzana torebka.

– Proszę się nie martwić, nie zabiorę pani dużo czasu. Chodzi o pewną starą sprawę, o zaginięcie dwojga młodych ludzi. To było wtedy, gdy remontowali państwo dom.

– Pamiętam, ale nie bardzo wiem, co mogłabym mieć z tym wspólnego?

– Pani mąż jest w domu? Moglibyśmy porozmawiać razem?

– Nie. Rozwiodłam się. Mąż wyjechał za granicę.

Pokiwał głową i wrócił do meritum.

- Pamięta pani ekipę budowlaną?
- Którą? Bo sporo ich się tu przewinęło.
- Tych, którzy kładli państwu tynki.
- Pamiętam. Chodzi o firmę Piernickiego?
- Chodzi o tamten konkretny dzień.

Kobieta spojrzała na zegarek, a następnie na Grossa, po czym wzięła torebkę z przedniego fotela.

– Niech pan wsiądzie – zaprosiła go. – Mam kilka minut zapasu.

Gross przeszedł na drugą stronę i zajął miejsce w wygodnym, wysoko posadowionym fotelu.

W samochodzie było ciepło, a z głośników płynęły przyciszone dźwięki radia. Silnik przyjemnie mruczał.

– Chodzi mi tylko o to – podjął Gross – czy tamtego dnia, kiedy Stanisław Piernicki wyjechał po tynk do Torunia, byli państwo w domu?

Kobieta patrzyła przez przednią szybę.

– Ile to już lat upłynęło? – spytała, obserwując drogę do centrum miasta.

– Szesnaście – dodał.

– Szesnaście – westchnęła. – Niby szmat czasu, ale ten remont to jakby się zakończył wczoraj.

– Pokręciła z niedowierzaniem głową. – Pan też tak ma? Panu również tak szybko umyka czas?

Nie odpowiedział.

– Tamtego dnia, zresztą jak co dzień podczas remontu, wyjechaliśmy z mężem do pracy, do Torunia.

– Widzieli się państwo z Piernickim?

– Tak. Otworzyliśmy mu garaż, w którym trzymał sprzęt budowlany, żeby go nie wozić ze sobą.

– O której wróciliście?

– Po pracy. Ale tego dnia obiecaliśmy pracownikom grilla, więc zatrzymaliśmy się jeszcze w sklepie. Mogliśmy być w domu przed siedemnastą.

– Ilu pracowników przywoził Piernicki?

– W sumie czterech.

– Czterech? – Gross wolał się upewnić. – A więc był wśród nich Olek, prawda?

Kobieta zastygła na chwilę.

– Był – przyznała. – Piernicki zatrudniał go na czarno i prosił nas, żebyśmy nikomu o nim nie mówili.

– Powiedział dlaczego?

– Nie, ale twierdził, że z tym Olkiem szybciej im pójdzie. A dla nas to miało wówczas znaczenie – przypomniała sobie.

Gross zrozumiał, dlaczego nigdzie w protokołach nie było wzmianki o czwartym budowlancu.

– Kto zazwyczaj prowadził pomarańczowego volkswagena transportera? – wrócił do listy pytań, którą miał w głowie.

– Piernicki.

– Zawsze?

– Tak. Przyjeżdżał rano i odjeżdżał wieczorem, po pracy.

Gross czuł, że zmarnował czas, przyjeżdżając tutaj. Teoria, którą układał w głowie, właśnie się rozsypała.

Sięgnął do klamki.

– Czy w ostatnim roku rozmawiał z panią aspirant Grzegorz Otremba? Szczupły blondyn przed czterdziestką.

Wnętrze wozu wypełniło się ciepłym i suchym powietrzem. Grossowi zaschło w gardle.

– Tak.

– O co pytał?

– O to samo, co pan. O to, kto pojechał po tynk.

Komisarz znowu poczuł pot na plecach.

– I co mu pani powiedziała?

– Prawdę. Że nie wiem.

– A o Olka nie pytał?

– Nie.

– Czy ten Olek był dobrym pracownikiem?

– A skąd mam to wiedzieć? Niech pan Piernickiego zapyta. W każdym razie u nas odgrywał rolę pomocnika. Taki „przynies, podaj, pozamiataj”. Piernicki traktował go gorzej od innych i podobno płacił mu głodowe stawki. Wiem o tym, bo ten Olek przyszedł dwa albo i trzy razy do mojego męża z prośbą o pieniądze. To znaczy prosił nas o jakieś dodatkowe prace.

– I dostał?

– Tak, zaczął przekopywać ogród i nawozić czarnoziem.

– Nadawał się? Był słowny i terminowy?

– Tak. I chyba ta praca sprawiała mu radość. Wolał ziemię od cementu, jeśli o to chodzi. Nie bałaganił tak jak oni, jak ci budowlańcy. Po nich to codziennie musiałam działkę sprzątać. A to worki po cemencie, a to fragmenty styropianu. No i puszki po piwie. Chociaż z puszkami to było łatwo, bo Olek je zbierał i wywoził na złom.

Gross pokiwał głową.

Podziękował kobiecie za spotkanie i poświęcony czas. Zapisał sobie jej numer telefonu, ale wciąż miał poczucie, że nie dowiedział się niczego istotnego. A najgorsze było to, że stracił trop.

Wysiadł i zatrzasnął drzwi. Wrócił do golfa i się przyjrzał, jak biały SUV wyjechał na asfalt i odjechał w kierunku Chełmży.

Poranny ruch stawał się coraz większy. Obok przemykały ze świstem osobówki, a podmuchy od jezdni mierzwiły mu włosy.

Gross wszedł do golfa i zapiął pas. Samochód zdążył się wychłodzić i komisarzowi zrobiło się przeraźliwie zimno. Uruchomił silnik i nawiew, ale z kratek dmuchnęło ledwie letnie powietrze.

Wrzuciwszy jedynekę, policjant ruszył w stronę miasta, śladem białego SUV-a.

Wciąż jedna myśl, która pojawiła się w rozmowie z kobietą, nie dawała mu spokoju.

Zaparkował pod komisariatem, a następnie wyciągnął telefon i wybrał numer Szlacheckiej. Przyłożył aparat do ucha, gdy przed maską golfa stanęła Skalska. Odczytał z jej ust jedno słowo.

„Idziesz?”

Wskazał palcem na aparat.

Policjantka odwróciła się i zniknęła za drzwiami komisariatu.

Gross doliczył się szóstego sygnału, gdy w końcu Dorota Szlachecka odebrała.

– Przepraszam, że znowu niepokoję – rzekł komisarz ścisłym przez ból gardła głosem.

– Nic nie szkodzi.

– Chodzi o puszki po piwie.

– O puszki?

– Tak. Czy budowlańcy pili piwo?

– Nawet się z tym nie kryli. – Zaśmiała się. – Ale było lato, więc szybko z nich wyparowywało.

Pocili się w słońcu, a w pracy nie oszczędzali. Więc czasem my też kupiliśmy im jedną czy dwie zgrzewki.

– Wszyscy pili? Olek też?

– Nie. Jego z piwem nie widziałam.

– A Piernicki?

– Piernicki potrafił dwa wypić do śniadania, ale nigdy nie pił po dwunastej, żeby być gotowym do jazdy przed fajrantem. W rozmowie z mężem chwalił się dobrą przemianą materii. A poza tym bał się, żeby nie stracić prawa jazdy.

– Prawa jazdy? – zainteresował się Gross, gdy pierwsze krople deszczu spłynęły po szybie.

– Tak. Mówił, że dla niego to byłaby śmierć. Bał się tego strasznie.
– Czego konkretnie?
– Chyba chodziło o to, że gdyby nie mógł jeździć samochodem, to rozłożyłby firmę na łopatki – wyjaśniła. – Wie pan, dojazdy do klientów, po towar.
– Tak – odparł Gross, wpatrując się w komisariat z czerwonej cegły. – Ma pani rację. To byłaby śmierć. Dla niego i dla rodziny.
Porozmawiali jeszcze przez chwilę. Potem komisarz schował aparat do kieszeni, ale nie wysiadł z samochodu.
Wpatrywał się w drzwi komisariatu. Nie zwracał uwagi na dzwoniący w dach deszcz ani na to, że budynek zupełnie zatracił ostre linie.



Komendantka Lucyna Wojtasik odbierała w sekretariacie teczkę z korespondencją. Odwróciła się w momencie, kiedy Gross przeszedł korytarzem do swojego gabinetu.
– Bernardzie!
Spojrzał na nią.
Kiwnęła na niego, by podszedł, a kiedy to zrobił, otworzyła drzwi do swojego gabinetu i puściła go przodem.
– Proszę nikogo nie łączyć – zwróciła się do Beaty Różyckiej, sekretarki, która dawała Grossowi znak, by po spotkaniu ją odwiedził.
Zbliżył się do stołu konferencyjnego i zatrzymał.
Lusi zajęła miejsce za biurkiem i odłożyła teczkę na bok, po czym splótła dłonie. Perłowy lakier na jej paznokciach zalśnił w kręgu światła lampy.
– Stelmach chce nas jutro odwiedzić – powiedziała.
Gross czekał na dalszy ciąg wypowiedzi.
– No usiądźże wreszcie! – warknęła.
Zrobił to niechętnie, spojrzawszy na zegarek.
– Tylko mi nie mów, że się spieszysz.
– Mam zaraz spotkanie.
– Czego on od nas chce? – spytała.
– Nie wiem.
– Nie rozmawiał z tobą?
– Nie.
– Oboje wiemy, że chodzi o Korczyńskiego. – Przekrzywiła głowę na której tkwił zapleciony rudy kok. – Byłeś u niego?
– Tak. Dwukrotnie.
– Obraziłeś go? Oskarżyłeś, nie daj Boże?
Gross zacisnął zęby.
– No, powiedz coś, bo muszę wiedzieć, czego mam się tu spodziewać! – jęknęła.
– Nie wiem, nie mam pojęcia, o co mu chodzi. – Komisarz wstał i ruszył do drzwi.
– Bernardzie, ale wiesz, że odeślę go do ciebie!
Gross pokiwał głową.
– Dlaczego wszyscy się go boicie? – spytał, stanąwszy ponownie przed jej biurkiem.
Odwróciła wzrok i złapała się za płatek ucha.
Komisarz zamierzał już wyjść.

– Poczekaj jeszcze chwilę – odezwała się szefowa. – Legner dzwonił i naciskał na zamknięcie sprawy samobójcy.

Gross westchnął zbyt głośno.

– No co tak wzdychasz? – zezłościła się. – Najpierw wzniecasz ogień, a potem się dziwisz, że wszędzie się pali.

Komisarz poczuł ukłucie w okolicy mostka.

– Naprawdę tak widzisz moją pracę? – spytał, wbijając wzrok w komendantkę, która nie odwróciła głowy. – Tak to odbierasz?

Milczała przez dłuższą chwilę.

Ktoś otworzył drzwi, ale szybko je zamknął.

– Lepiej już idź. – Sięgnęła po teczkę z korespondencją.



Wyszedłszy z sekretariatu, Gross odwrócił się na głos sekretarki.

Beata Różycka uśmiechała się od ucha do ucha i machała niewielką kopertą.

– Twoja bandana – powiedziała i podrzuciła pakunek w jego stronę.

Złapał go.

– Ile jestem ci winien? – spytał.

– Dwadzieścia dwa pięćdziesiąt.

Komisarz wysupłał drobne i podziękował sekretarce.

– Zawsze do usług, Berni!

Odwrócił się do niej, ściągając brwi.

– Oj, tak się z tobą tylko drocze, Bernardzie. Wiem, że nie lubisz zdrobnień. – Zaśmiała się. – Ale Berni brzmi fajnie, robaczku!

Nie miał na to siły.

Skalska i Judycka czekały już na niego w gabinecie. Pierwsza bujała się na krześle i żuła gumę. Bejsbolówkę zawiesiła na kolanie. Druga, ubrana w zieloną sukienkę i wysokie brązowe kozaki, pisała coś na skrawku papieru.

Gross przywitał się i usiadł za biurkiem. Kopertę z bandaną włożył do szuflady. Nastawił wodę, po czym wysypał do kubka z saszetki lekarstwo na grypę, a resztę leków położył na biurku. Do drugiego kubka wrzucił herbatę i dopiero odwrócił się do policjantek.

– Nie mamy dużo czasu – oznajmił, ponownie spoglądając na zegarek.

Skalska zrelacjonowała mu rozmowy z Klaudią Rolską i Krzysztofem Dymurskim. Opowiedziała też o tym, że Leszek Smoliński uderzył Ewelinę Otrembę.

– Pali mu się grunt pod nogami – dodała.

– Wieczorem, po otrzymaniu esemesa od Judyty, Piernicki miał gościa. Przyjechał do niego Smoliński – podzielił się Gross.

– Czyli coś jednak jest na rzeczy. – Skalska przestała się bujać.

– Zupełnie nie znamy roli Smolińskiego w tej sprawie – zauważył komisarz.

– Ani Piernickiego, jak się okazuje.

– Z tym wnioskiem jeszcze poczekajmy – zastrzegł.

– Szef na coś trafił? – zainteresowała się Judycka.

Komisarz spojrzął na zegarek.

– Zobaczmy, co nam powie – odparł.

Zapadła chwila cisza, w której głośno bulgotała woda. Czajnik pstryknął i Gross zalał lek

i zaparzył herbatę.

– Jeszcze jedno – rzuciła Judycka, wertując notes. – Billingi Beckera. Nie dostaniemy ich wcześniej niż za dwa lub trzy tygodnie.

– Trudno. A jak sprawa firm reklamowych? Udało ci się dotrzeć do kogoś, kto mógł przygotowywać nadruki do marszu na orientację?

– Niestety, nie. Nikt u nas niczego takiego nie robił.

Komisarz zamieszał lekarstwo.

– Przegrywamy – mruknął, spoglądając na policjantki. – A wyciągi z konta Beckera?

– Jutro mają być gotowe.

– Jutro – zezłościł się. – Wszystko jutro.



Stanisław Piernicki wszedł do gabinetu komisarza Grossa, ściskając w dłoni czapkę. Ciągnął chorą nogę, szurając ciężkim butem po podłodze. Nie powiedział nic, skinął jedynie głową i wyciągnął spracowaną rękę z grubymi jak kiełbasa palcami. Uścisk miał mocny i pewny, a skórę szorstką. Rozglądał się nerwowo.

Gross wskazał mu miejsce przy stole, a sam cofnął się do biurka, na którym leżała otwarta teczka z materiałami poświęconymi zaginięciu pary studentów. Wertował dokumenty. Sięgnął do torby, z której wyjął dodatkowe materiały. Poukładał je równo na blacie, po czym rozejrzał się po pokoju.

– Przepraszam, już do pana idę – rzucił, odwróciwszy się do regału. Zdjął kilka spiętych ze sobą kartek. Przejrzał je pobieżnie, po czym położył na biurko. – Już, już. Proszę się nie niepokoić.

Usiadł przed komputerem i kliknął kilkukrotnie myszką.

Wreszcie zabrał notes i długopis i dopiero wtedy usiadł naprzeciwko Piernickiego.

Spojrzał w okrągłą, dość pospolitą twarz mężczyzny. Gdyby miał ją opisać policyjnemu rysownikowi, zapewne miałby problem. Zaczęłyby od dużych, nieco odstających uszu i krótkich, siwiejących włosów porastających boki głowy. Piernicki ogolił się gładko, ale Grossowi nie umknęło kilka zaczerwienionych drobnych zacięć.

– Jak się pan czuje? – spytał komisarz zachrypniętym głosem.

– A jak się mam czuć? – Nerwy wciąż jeszcze nie opuściły budowlańca.

– Pytam, bo chyba szaleje w Chełmży grypa. Rozbiera mnie na całego. Ból gardła jest nieznośny, mówię panu. – Wstał i sięgnął z biurka tabletkę do ssania. – Chce pan? – Skierował w jego stronę blister z drażetkami.

Mężczyzna pokręcił głową.

Gross ponownie usiadł na krześle i zerknął w swoje notatki.

– Nie wiem, czy panu wiadomo, ale z pewnych względów musieliśmy odkopać sprawę zaginionych studentów, których w czerwcu dwa tysiące drugiego roku podrzucił pan z Chełmży do Torunia.

– Odwrotnie.

– Odwrotnie?

Mężczyzna podrapał się po wnętrzu dłoni.

– Chodzi mi o to, że z Torunia ich tu przywiozłem.

Gross spojrział w notatki.

– Racja. Naturalnie. O to mi właśnie chodziło. – Komisarz postarał się uśmiechnąć.

Piernicki uczynił to samo, ale w jego uśmiechu czaił się stres.

- Kiedy to było? Zaraz, mam tu gdzieś zapisane... – Policjant przewertował notes.
- W sobotę dwudziestego pierwszego czerwca – uzupełnił Stanisław Piernicki.
- Tak. Ma pan znakomitą pamięć – pochwalił go Gross.

Mężczyzna rozchmurzył się i poprawił na krześle, odchylając się na oparcie.

- O pewnych sprawach trudno zapomnieć – powiedział gość.
- Oczywiście, całkowicie się z panem zgadzam. Czy przypomni mi pan, jak do tego doszło?
- Niby do czego?
- Jak ich pan rozpoznał?

Budowlaniec się zamyślił.

- Normalnie. – Wzruszył ramionami. – Po prostu znałem tę dziewczynę.
- Znał ją pan?
- No tak. Dlatego ich zabrałem.
- Oczywiście. To ma sens – przytaknął Gross. – Ale jak to wyglądało?
- Nie rozumiem?
- Kto machał?
- Ona.

– Ona? – Gross nachylił się do notatek. – Racja. Rzeczywiście tak było. Tyle tych spraw, że wciąż mi się mylą. Najmocniej przepraszam. To przez tę chorobę. – Otarł pot z czoła.

- Nie szkodzi. – Piernicki znowu się uśmiechnął i tym razem napięcie zniknęło z jego twarzy.
- No więc ona machnęła, a pan się zatrzymał.
- Bo ją znałem. Zresztą nie pierwszy raz wyświadczyłem jej podobną przysługę – wyjaśnił.
- Tak, oczywiście. A pamięta pan, w co byli ubrani?

Fachowiec kiwnął głową, po czym przytoczył opis niemal dokładnie jak z protokołu przesłuchania.

Gross notował od myślników. Zapisał trzy czwarte kartki, a kiedy skończył, dostrzegł coś, na co wcześniej nikt nie zwrócił uwagi. Zapisał to sobie na boku i podkreślił.

- Coś się stało? – Piernicki zainteresował się przedłużającą się ciszą.

– Hmm – zaczął Gross. – Nie, chyba nic. Może to tylko drobnostka. Brakuje mi w pańskim opisie jednej rzeczy.

- Czego dokładnie?

– Chodzi o chustę, którą Marcin Korczyński miał na przegubie. Pamięta pan? Ale to drobiazg, niech się pan nie przejmuj. – Gross machnął ręką. – Zaraz to dopiszę, żeby wszystko się zgadzało z pańskim poprzednim zeznaniem. Żeby nikt z nas nie miał kłopotów, prawda?

– No tak, tak – odparł Piernicki. – Faktycznie ta chusta zupełnie wyleciała mi z pamięci. Ale teraz rzeczywiście ją sobie przypominam.

– Mówiłem, że pan ma rewelacyjną pamięć. Gdyby każdy świadek spamiętał tyle, co pan, to policja szybciej łapałaby sprawców. – Gross nie odrywał wzroku od notatek.

- Niech pan nie przesadza, panie komisarzu – zawstydził się Piernicki.
- Tę chustę to na której miał ręce? Pamięta pan? Bo nie ma tego w notatkach.
- No jak na której? Na prawej.

– Na prawej – rzekł wolno Gross, zapisując tę informację. Po czym przewertował kilka wcześniejszych kartek i wrócił do pisania, sylabizując każdy z wyrazów. – Chusta koloru czarnego...

- Czerwonego.
- Czerwonego? Chyba czarnego – zmartwił się Gross i raz jeszcze wrócił do starych notatek.
- Nie, nie. Była czerwona – zapewnił Piernicki.
- To znaczy, że ze mną jest gorzej, niż myślałem – wyznał komisarz, odkładając notatnik.

Podszedł do biurka. – Mam nadzieję, że pana nie zarażę. – Łyknął tabletkę i popił ją przestudzoną herbatą.

– Złego licha nie weźmie. – Zaśmiał się Piernicki. – Poza tym my w tej robocie to jesteśmy zahartowani. Bo właściwie czy lato, czy zima, to ciągle na zewnątrz siedzimy. Teraz też, bo wiosną

podłapałem robotę na dom. I wiadomo, że przed pierwszym śniegiem i mrozem trzeba się wyrobić ze stanem surowym zamkniętym.

– Koniecznie, koniecznie – przytaknął policjant i pociągnął go za język.

Rozmowa toczyła się swobodnie. Gross pytał go koszty robocizny i ceny materiałów, a także o to, gdzie najchętniej się zaopatruje w sprzęt i materiały do wykończeń.

– W hurtowni.

– Tej naszej, koło biedronki?

– Tak, bo raz, że ceny dobre, a dwa, że wszystko na miejscu. I zamówienia też przyjmują i szybko załatwiają.

– Dobrze. – Komisarz zamierzał wrócić do głównego wątku, i dlatego spojrzął w dokumenty. – Więc mówi pan, że chusta była czerwona i zaginiony miał ją przewiazaną na rękę?

– Na prawym przegubie – uzupełnił budowlaniec.

– Znakomicie. Wszystko się zgadza. – Policjant zamknął notatnik i spojrzął na Piernickiego. – Wszystko z wyjątkiem jednego.

– Tak? – Budowlaniec się uśmiechał. – W czym jeszcze mogę pomóc?

– Interesują pana nowinki techniczne? Komputery, maszyny, najnowsze technologie?

– Niespecjalnie.

– Powinien pan baczniej się im przyglądać.

– Niby tak, ale w budowlance ciągle najważniejsze są betoniarka i kielnia. Tu nikt niczego nowego szybko nie wymyśli – stwierdził wesoło.

– W budowlance może i nie. Ale w kryminalistyce postęp goni postęp. To, co było niemożliwe szesnaście lat temu, dziś jest codziennością.

– Czyli co? Bo nie bardzo rozumiem.

– Czyli na przykład to, że łatwo zweryfikować wszystkie pana kłamstwa, panie Piernicki. – Gross umilkł. – Od samego początku celowo wprowadza pan w błąd organy ścigania.

Gładkie mięśnie rozluźnionej twarzy wyraźnie się spięły. Piernicki lekko wysunął żuchwę i tarł zębami o szczękę, aż zazgrzytało. Usta zamieniły się w wąską kreskę.

– Nie kłamię. Powtarzam tylko to, co już wcześniej panu mówiłem. Co jest w protokole. Wszystko wyjaśniłem. Sam pan mówił, że wszystko się zgadza, że dobrze wszystko zapamiętałem.

– Niech pan nie udaje idioty – warknął Gross. – Policja zna przypadki, kiedy pozorny świadek zdarzenia kryminalnego okazywał się być mordercą. Wie pan, jak wpadł?

Piernicki milczał.

– Za bardzo wczuwał się w rolę. Zbyt dużo szczegółów zdarzenia znał i potrafił je spamiętać – wyjaśnił komisarz. – I z panem jest podobnie, z tą tylko różnicą, że pan tamtego dnia nie widział Justyny Becker i Marcina Korczyńskiego. Pan się wyuczył tego, w co byli ubrani. I tak się złożyło, że zrobił pan to zbyt perfekcyjnie.

– Co mi pan tu...

– Zaczniemy od drobnego kłamstewka – przerwał policjant.

Piernicki sięgnął po czapkę.

Z tyłu miała tłuste zabrudzenia od potu, a z przodu, na daszku, wykwitwały ciemniejsze plamy, ale za to mniejsze i okrągławe. Jakby od wkładania brudnymi rękoma.

Gross wstał.

– Technologia, o której panu mówiłem, się nie myli. I dzięki tej technologii udało nam się rozpoznać, kto rzeczywiście kierował volkswagenem. Poddaliśmy cyfrowej obróbce film z monitoringu – skłamał Gross. – Właśnie drukuje się portret kierowcy. Z przyjemnością go panu pokażę, bo nie zmienił się pan aż tak bardzo.

– Słucham?

Gross przeszedł za plecy Piernickiego. Ten poruszył się niespokojnie, ale nie wstał.

– To ja słucham, panie Piernicki.

Nic się nie wydarzyło. Mężczyzna siedział nieruchomo.

Komisarz zebrał myśli.

– Latem dwa tysiące drugiego roku tynkował pan dom państwa Szlacheckich – zaczął policjant.
– Wówczas zatrudnił pan na czarno Aleksandra Płockiego, człowieka, który kilka miesięcy wcześniej wyszedł z więzienia. Czy tak było?

Piernicki skinął głową.

– Było? Chciałbym to usłyszeć.

– Tak.

– Olek dorabiał sobie, zbierając złom, prawda?

– Tak.

– Co najczęściej zbierał?

– Różnie, to, co się dało. Wrzucał to na pakę wozu. – Piernicki zaczął się wiercić.

– Ale co zbierał najczęściej?

– Puszki.

– Zgadza się, panie Piernicki. A po czym to były puszkki?

Piernicki przełknął ślinę.

– Po piwie.

– Właśnie. Piliście w trakcie pracy piwo. Pan też. Ale pan podobno tylko do dwunastej, prawda? Bo bał się pan stracić prawo jazdy.

Cisza.

– Więc to nie pan jechał wtedy samochodem do Torunia po towar, tylko Olek, prawda?

Piernicki zaprzeczył ruchem głowy.

– Pamięta pan o naszej umowie – upomniał go Gross. – Wystarczy jedno kłamstwo i zostanie pan z nami na dłużej.

Mężczyzna kiwnął na znak, że rozumie.

– Rano wysłał pan po towar do Torunia Olka Płockiego. I to on zabrał Justynę Becker i Marcina Korczyńskiego, zgadza się?

– Skąd pan to wie? Kto panu o tym powiedział?

– Mówiłem panu. Monitoring. Monitoring nie kłamie. A obraz z kamery zaraz będzie gotowy. Chce pan na niego zerknąć?

– Nie chcę – odparł mężczyzna. – Ma pan rację.

Gross stanął obok Piernickiego.

– Dlaczego pan kłamał, panie Piernicki?

Starszy mężczyzna zmiażdżył czapkę.

– Nie wiem, psiakrew, nie wiem! – jęknął. – To wszystko przez tego Olka.



Bernard Gross oprócz bólu gardła zmagał się teraz z bólem barku i solidnym bólem głowy. Odchorowywał stres, kiedy to Piernicki rzucił się na niego, gdy komisarz oświadczył, że zatrzyma go na czterdzieści osiem godzin.

Wpadli razem na ścianę, w którą Gross uderzył barkiem. Potem Piernicki rzucił nim o meblościankę. Hałas zaalarmował policjantów w komisariacie, którzy po chwili wpadli do gabinetu i obezwładnili krewkiego budowlańca.

Komisarz usiadł wykończony w fotelu i przymknął oczy. Serce wciąż nie wróciło do normalnego rytmu.

Nie usłyszał, gdy drzwi się otworzyły.

– Co się tu działo? – spytała Skalska od progu.

– Wejdz i zamknij drzwi.

– Poczekajmy jeszcze na Judytę. Już idzie – dodała Skałka i zajęła swoje miejsce.

Judycka zeszła po kilku minutach, w trakcie których Gross zdążył ochłonać.

Zebrał myśli i masował bark.

– Justyna Becker i Marcin Korczyński przyjechali do Chełmży z Olkiem Płockim. To on prowadził samochód – stwierdził.

Judycka spojrzała na Skalską, a potem z powrotem na Grossa.

– Justyna Becker rozpoznała samochód Piernickiego – kontynuował – i powiedziała Olkowi, że zarówno ona, jak i rodzice znali szefa firmy. Olek zostawił ich w Chełmży i dostarczył towar. Wieczorem, po grillu u właścicieli domu, który tynkowali, Płocki rozwiózł chłopaków i Piernickiego do domów. Piernicki wypił za dużo i nie chciał się narażać. Następnego dnia rano zastał Olka w sfoferce. Spał jak zabity.

– Dlaczego? Przecież mieszkał w dobudówce – przypomniała Skalska.

– Olek stale potrzebował pieniędzy. Zbierał nawet złom – wyjaśnił Gross. – Moim zdaniem zaoferował młodemu swoje mieszkanie. Prawdopodobnie na tę jedną noc. Chcieli pobyć ze sobą z dala od domu i ojca Justyny, śpiącego obok. Sądzę, że Korczyński z ochotą zapłacił Olkowi za dostęp do cichego lokum.

– Poszli tam? – spytała Skałka.

– Skąd mam to wiedzieć? Wiemy tylko tyle, że są ślady krwi w dobudówce i zakopane zwłoki w składzie na węgiel. Prawdopodobnie męskie.

– Męskie – dodała Judycka. – Dodzwoniłam się do doktor Raszei. Mężczyzna średniego wzrostu, około stu siedemdziesięciu pięciu, może siedmiu centymetrów.

– Obaj tyle mieli. I Olek, i Korczyński – zauważyła Skalska. – Nic nam to nie daje.

– Mężczyzna zginął od uderzenia tępym narzędziem w głowę. Uszkodzenia czaszki nie pozostawiają złudzeń – uzupełniła Judycka. – Badania DNA potwierdzą lub wykluczą, że chodzi o Korczyńskiego. Bo w jego przypadku przynajmniej mamy materiał referencyjny.

– A złamania? Ewentualne inne przebyte urazy, które mogłyby pomóc w identyfikacji? – zainteresował się Gross.

– Raszeja dopiero zabrała się do badania. Musimy czekać.

Komisarz upił łyk herbaty. Myśli kotłowały mu się w głowie.

– Na razie powinniśmy przyjąć jedno rozwiązanie – zaczął po krótkiej przerwie. – Korczyński ginie, a Olek znika kilka dni później. Być może to on jest sprawcą. Reszta to jedna wielka niewiadoma. Nie wiemy, co się stało z Justyną Becker ani gdzie szukać jej ciała. I jaki z tym wszystkim ma związek śmierć jej brata Rafała odnalezionego z zakrwawioną bandaną.

– A co z Leszkiem Smolińskim? – Skalska zmieniła temat. – Po co spotkał się z Piernickim?

– Piernicki szedł w zaparte, że chodziło o remont dobudówki. Leszek miał do niego przyjechać i pogadać o zleceniu. Tylko tyle.

– Trudno w to uwierzyć – powiedziała Skalska i wypuściła balon.

– Trudno, ale akurat na Smolińskiego nie mamy żadnego haka.

– A to, że uderzył Ewelinę Otrembę? – Policjantka podciągnęła rękawy polaru.

– To jeszcze nie jest przyznanie się do winy – zauważył Gross. – Ale miej ich na oku.



Komisarz umówił się z Pauliną Marcińską w Grande Coffee na Rynku Staromiejskim

w Toruniu, w pobliżu Dworu Artusa.

Gdy przyszedł, siedziała z tyłu, przy schodach prowadzących do piwnicy. W filiżance kołysała się resztką cappuccino, a na talerzyku z okruchami pozostała resztką torciku czekoladowego. Długi skórzany portfel zapinany na srebrne bigle spoczywał obok.

Przywitał się z nią, a potem cofnął do lady, żeby zamówić herbatę, i wrócił do stolika.

Kręcone blond włosy opadały na szerokie, zaokrąglone plecy. A w okrągłej twarzy blondynki dostrzegł smutek, kiedy opowiadała o Rafale Beckerze, o ich miłości, planach i wspólnym życiu.

– Jak pani trafiła do Torunia? – spytał Gross.

– To długa historia, poza tym zbyt osobista, by o niej opowiadać. Nie chcę tego robić. Nie chcę wracać do złych wspomnień. Rozumie pan?

Rozumiał.

– Czy Rafał Becker często wspominał o swojej siostrze?

Kiwnęła głową, po czym zanurzyła usta w kawie, a potem je oblizała.

– Co mówił?

– Że bardzo za nią tęskni – westchnęła. – Bardzo ją kochał. Ilekroć o niej wspomniał, miałam wrażenie, że jego świat się rozpada.

– Obwiniał się o cokolwiek? – Gross podziękował kelnerce, która przyniosła mu herbatę, a następnie posłodził napój miodem i zamieszał.

Wciąż odczuwał dreszcze, a pot perlił się na jego plecach.

– Być może – odparła. – Ale o tym akurat nigdy nie chciał rozmawiać.

– O czym konkretnie?

– O tej nocy, kiedy zaginęła jego siostra z tym jej Marcinem.

– Nie chciała go pani wesprzeć w poszukiwaniach? Dowiedzieć się, co się wtedy wydarzyło?

Pokręciła głową.

– Na początku, kiedy się poznaliśmy, próbowałam to robić, ale za każdym razem wyczuwałam jego opór. Potem odpuściłam, bo niby dlaczego miałabym go w ten sposób krzywdzić. – Rozciągnęła usta w grymasie płaczu, ale zdołała się powstrzymać. – A pan? Co by pan zrobił na moim miejscu?

Gross nie odpowiedział.

– Przyniosła pani to zdjęcie? – przypomniał o swojej prośbie, którą zgłosił przed spotkaniem.

Sięgnęła do portmonetki i ją otworzyła.

Gross spojrział na tkwiący pod przezroczystą osłoną portret.

– To tę fotografię trzymał na biurku? – upewnił się.

– Tak. Tylko powiększył ją do rozmiarów tamtej ramki.

– Wie pani, co się z nią stało? – zainteresował się.

– Rafał zawiózł ją do domu. – Kobieta zaczęła skubać skórki przy paznokciach.

Gross pamiętał ramkę do zdjęć. Przypomniał sobie, że będąc w pokoju Beckera, rozłożył ją. Ale nie było w niej nic oprócz zdjęcia Justyny.

– Rafał był szefem agencji nieruchomości. Dobrze zarabiał, prawda? – Komisarz postanowił zmienić temat.

– Tak. Miał talent do sprzedaży nieruchomości. Chciał flipować mieszkania i do tego dążył. Odkładał pieniądze, żeby założyć własną firmę. Taki miał plan.

– Co to jest to całe flipowanie? – spytał Gross.

– Kupowanie starych, często zapuszczonych mieszkań, ale w dobrej okolicy, podnoszenie ich wartości przez niedrogi remont i sprzedawanie z zyskiem.

– Flipowanie? Tak się to nazywa? – Komisarz pierwszy raz w życiu słyszał o takim rodzaju biznesu.

– Tak. Chodzi o przeskakowanie z nieruchomości na kolejne nieruchomości. Można na tym zarobić duże pieniądze.

– Na zapuszczonych mieszkaniach?

– Tylko wtedy, jeśli niewielkim nakładem uda się je wyremontować i atrakcyjnie

zaprezentować w ogłoszeniu o sprzedaży. Czasami naprawdę wystarczy niewiele, by uzyskać świetne rezultaty i zwiększyć zyski.

– Miał już na oku jakieś mieszkania?

– Tak, ale potrzebował co najmniej dwustu tysięcy na start. Nie chciał brać kredytów. Pewnie też dlatego mieszkał ciągle z matką i odkładał zarobione pieniądze.

Gross nie wiedział, czy ta informacja do czegoś mu się przyda.

– Poznała ją pani?

– Jego matkę?

– Tak.

– Nie było okazji.

– Niemożliwe – powątpiewał, bo wydawało mu się to dziwne.

Utkwiła spojrzenie w ścianie.

– Nic o nas nie wiedziała. Rafał niczego jej nie powiedział – wyznała, ocierając mokre policzki.

– Słucham?

– Nie wiedziała o moim istnieniu.

– Nie powiedział matce o tym, że się w pani zakochał?

– Nie.

– Podobno to zaborcza kobieta. – Gross się skrzywił, a ona przeniosła wzrok na portmonetkę.

– Sądzę, że po prostu nie chciał jej martwić. Wiele przeżyła.

Komisarz położył dłonie na udach.

– Jak się jej tłumaczył, kiedy zostawał w Toruniu na noc?

– Wyjazdami na szkolenia. Przede wszystkim tym.

– Nie zorientowała się?

Kobieta wzruszyła pulchnymi ramionami, a Gross sięgnął po kubek z herbatą.

Zrobiła smutną minę.

– Nie, chyba nie. Ale przez nią nie mogliśmy zrealizować wielu planów. Trudno planować, kiedy trzeba ukrywać się przed matką.

– A bilety na koncert?

– No tak. – Uśmiechnęła się do wspomnień. – Rzeczywiście. Mieliliśmy pojechać do Gdańska na koncert Marka Knopflera. Ale to dopiero w przyszłym roku. – Zawiesiła głos. – Może wszystko byłoby inaczej.

– Gdyby co?

– Gdyby nie stracił siostry. Gdyby tamtego lata był z nią, jak jej to obiecał. – Miała wilgotne oczy. Opanowała płacz i przełknęła ślinę. – A przez nią i ja go straciłam. – Sięgnęła do torby i odszukała paczkę chusteczek. Wydmuchała nos i wstała od stołu. – Przepraszam, zaraz wrócę. – Kręconymi schodami zeszła do piwnicy.

Gross pograżył się w rozmyślaniu, a potem jego wzrok spoczął na zdjęciu schowanym w portmonetce.

Dopiero teraz dostrzegł, że coś się pod nią kryje.

Zerknął na schody i upewniwszy się, że Marcińska nie wraca, sięgnął po portfel.

Wsunął palec do przegródki i wyciągnął obie fotografie.

Skleiły się.

Usłyszał czyjeś kroki.

Zdążył zerknąć na drugie zdjęcie, które było fotografią jej dorosłej córki, a następnie schował je z powrotem, starając się zapamiętać wygląd młodej kobiety.

Odłożył portmonetkę w chwili, gdy przez ażurową balustradę dostrzegł powracającą Paulinę Marcińską.

Potem raz jeszcze rzucił okiem na blat i krew zaczęła mu szumieć w uszach, a serce tłukło o zębra.

Portmonetka leżała odwrotnie, bigłami w stronę fotela blondynki.

Kobieta usiadła i dokończyła torcik, a następnie dopiła kawę.
Uśmiechnęła się do niego, chociaż w opuchniętych oczach nie zauważył tej wesołości.
– Czy to wszystko? – spytała.
Gross podziękował jej za spotkanie.
Sięgnęła po portmonetkę i nagle zastygła.
Komisarz się zastanawiał, jak się wyplącze z grzebania w jej portfelu.
– Przepraszam – zaczęła poważnie. – Nie zapłaciłam za rachunek.
Odetchnął.
– Nie ma sprawy – odparł, siląc się na spokój. – To mnie zależało na spotkaniu, więc ja płacę.



Wieczorem Gross czuł się jeszcze gorzej niż rano. Temperatura wzrosła, czoło miał rozpalone. Dreszcze nie ustępowały.

Próbował sklejać model ciężarówki, ale trzęsły mu się dłonie i bolały go wszystkie mięśnie. Do tego gęsty katar zapchał mu nos.

Pogasił światła i przykrył się kocem. Świat od razu zaczął wirować. Ale zanim poddał się kołysaniu, usłyszał przytłumiony dzwonek swojej komórki. Wstał i przytrzymał się krzesła, żeby zatrzymać tę cholerną karuzelę.

Nie pamiętał, gdzie zostawił telefon, więc nasłuchiwał, stojąc na szeroko rozstawionych nogach. Podłoga usuwała mu się spod stóp.

Kuchnia.

Tak mu się przynajmniej wydawało.

Ruszył w tamtą stronę, ale zawroty wcale nie ustały. Uderzył biodrem w stół i wyciągnął rękę, żeby się czegoś przytrzymać. Nagle coś chrupnęło i pękło pod naporem jego ciała, próbując przebić się przez skórę dłoni. Krzyknął z bólu i z trudem odszukał włącznik światła lampy modelarskiej. Jasne, białawe światło oblało matę modelarską i pękniętą ramę ciężarówki.

Telefon przestał grać.

Gross wziął do ręki uszkodzony plastik, a kiedy przyjrzał mu się bliżej, zrozumiał, że model da się uratować, ale będzie go to kosztowało sporo pracy i energii.

Przeklinał dzwoniącego, gdy melodia rozbrzmiała na nowo.

Poszedł do kuchni i odszukał aparat. Leżał na taborecie.

– Halo – wychrypiał.

– Pan komisarz? – usłyszał męski głos przytłumiony przez szum wiatru.

– Kto mówi? – rzekł wściekle.

– Antoni Nowicki. Był pan u mnie niedawno. W sprawie tego fotografa.

Gross przypomniał sobie emeryta i jego starego czworonożnego przyjaciela Archiego.

– Co się stało? – spytał.

– Jest na plaży Stolbudu.

– Kto?

– No ten fotograf.

– W taką ciemność? – Komisarz odwrócił się do okna.

W szybie zobaczył odbicie starszego mężczyzny, pochylonego i nadmiernie zgarbionego.

– Niech pan lepiej przyjdzie.



– Dobry wieczór! – zaskrzeczał Gross, a silny wiatr z łatwością porwał jego słowa. Pomachał, ale to nic nie dało. Nie został zauważony.

Pod lasem majaczyła postać w kapeluszu, pochylająca się nad ławką, na której złożono kilka toreb.

Komisarz z trudem przyspieszył. Stawiał opór wichurze, której lodowate powiewy przenikały przez ubrania i szalik.

Wcześniej Nowicki wskazał mu, gdzie policjant powinien się kierować, i już miał zamiar iść za komisarzem, ale Gross, podziękowawszy mu, dał znak, by wrócił do domu. Policjant odczekał, aż mężczyzna wraz ze starym psem odszedł pomostem, idąc na drugi, ukryty we mgle brzeg jeziora. Gdy zaczęli w niej znikać, Gross ruszył przed siebie.

– Dobry wieczór – wychrypiał ponownie, ale był już blisko mężczyzny.

Pakujący sprzęt do futerałów fotograf dostrzegł go w końcu i w pierwszej chwili drgnął zaskoczony czyjąś obecnością.

Gross podszedł i podał mu rękę. Wyjął z kieszeni blachę i się przedstawił.

– Musiałem nieźle narozrabiać, skoro ściga mnie policja – zażartował mężczyzna.

Wiatr szarpał rondem jego kapelusza i kapturem.

– Skończył pan? – spytał Gross, wskazując na leżący na ławce złożony statyw.

– Tak. Czas do domu.

– Ma pan tu samochód?

– Przy Plażowej, wzdłuż płotu.

– Możemy się w nim schować?

Mężczyzna ponownie spojrzał zdziwiony na policjanta.

– Schować?

– Chciałbym z panem porozmawiać. – Komisarz wsunął zimne dłonie do kieszeni.

– Ale o czym? Fotografować nie wolno? – Mężczyzna wprawnym ruchem wsunął statyw do futerału i zapiął zamek.

– O Justynie Becker i Marcinie Korczyńskim.

Fotograf ściągnął brwi.

– Przykro mi, ale nie znam nikogo takiego. Nie pomogę.

Gross przyglądał się mężczyźnie, który zarzucił plecak na ramię i sięgnął po czarną torbę.

– A *Zadra*? – spytał komisarz, przypominając sobie wpis na forum internetowym i jednocześnie tytuł, który mężczyzna nadał jednej ze swoich prac fotograficznych.

– A, to o to chodzi? – Fotograf podrapał się po gęstej czarnej brodzie. – O tamto zaginięcie?

Gross kiwnął głową i wyciągnął rękę.

– Mogę jakoś pomóc?

– Nie, dziękuję, poradzę sobie. – Mężczyzna chwycił futerał ze statywem. – Chodźmy.

Komisarz mrużył oczy od silnego wiatru. Szedł pochylony, patrząc w rozrzuconą na ścieżce szlakę, która chrzęściła pod ich butami. Przeszli pod górę, w stronę ulicy Kościuszki, gdzie po prawej, blisko płotu ogradzającego blok Grossa, stał zaparkowany niebieski peugeot dwieście sześć. Fotograf otworzył wóz i przeszedł do bagażnika.

Gross chętnie zajął miejsce i odetchnął z ulgą. Porywiste uderzenia ustały, zamieniając się w cichy świst. Albo to jemu świszczalo coś z każdym oddechem. Oddychał przez usta, bo nos miał cały zapchany.

Mężczyzna zatrzasnął pokrywę bagażnika i usiadł obok. Uruchomił silnik i wrzucił bieg. Przejechał kilkanaście metrów, żeby zawrócić.

– Przy dworcu jest stacja z dobrą kawą – powiedział. – Trochę zmarzłem, więc chętnie bym się ogrzał. Nie ma pan nic przeciwko?

Komisarz pokręcił głową.

Skręcili w prawo w Kościuszki, a gdy byli na wysokości przychodni, Gross się odezwał:

– Dlaczego taki tytuł tego zdjęcia? Skąd ta *Zadra*?

Jechali wzdłuż Sadku i mężczyzna wrzucił kierunkowskaz, który cicho tykał.

– To fotomontaż. Dodałem tylko ten pomost, reszta jest oryginalna.

– Ale dlaczego?

– Był kiedyś taki tekst w „Nowościach”, o zaginięciach tych kilku chłopaków z Torunia i o tej dziennikarce Aleksandrze Walczak z Grudziądza, no i tych studentach.

Bez zatrzymywania się na skrzyżowaniu skręcił w lewo w przecinającą miasto drogę wojewódzką, a chwilę później przed torami kolejowymi odbił w prawo.

– Ten mrok, ta mgła i te ptaki skojarzyły mi się z tą sprawą. Szczególnie te gęsi zerwane do lotu. Jakby po jej krzyku.

Wóz zaterkotał na kocich łbach.

Stacja benzynowa była rozświetlona, a przy dystrybutorach stało tylko duże bmw. Gdy dojechali na miejsce, ze sklepu wyszła kobieta w futrze i białych szpilkach. Skierowała się do SUV-a. Wóz ruszył, gdy tylko zamknęła drzwi.

– Oni, ci młodzi, strasznie się wtedy pokłócili. – Fotograf zgasił silnik i odpiął pas, ale nie wysiadł. – Na plaży nie było już nikogo, a ta dwójka stała na pomoście. Wrzeszczeli na siebie zapamiętale. Krótco to trwało, bo potem ona go zostawiła i niemal zbiegła z tego pomostu.

– Skąd pan wiedział, że to ta dziewczyna?

– Przeszła tuż obok mnie. A kilka dni później natrafiłem na jej zdjęcie w gazecie. Jej i tego chłopaka.

– To był on? Ten, z którym się kłóciła?

Mężczyzna podrapał się po zaroście.

– Chyba tak.

– Widział go pan? Rozpoznał? – dopytał Gross.

Fotograf wyciągnął kluczyki ze stacyjki.

– Twarzy nie widziałem.

– A usłyszał pan jakieś imię? Zapamiętał jego wygląd?

Mężczyzna się skupił. Wciąż patrzył przed siebie na stary budynek dworca pograżony w ciemności.

– Nawet jeśli, to sobie nie przypomnę.

Gross dał fotografowi czas na powrót do wspomnień, ale cisza się przedłużała.

– Zapamiętał pan cokolwiek z tej kłótni? – odezwał się wreszcie.

– O ile dobrze usłyszałem, to ten chłopak mówił jej, żeby tam nie szła.

– Dokąd? – zainteresował się komisarz. – Powiedziała to?

– Nie. Krzyknęła tylko na odchodne: „Zostaw mnie wreszcie! Daj mi normalnie żyć”. Albo coś takiego.

Gross zastanowił się nad tym, co usłyszał.

– To na pewno były jej słowa, prawda? – dopytał.

– Tak. Wykrzyczała mu to w twarz – odparł skupiony fotograf. – Był w tym jakiś rodzaj desperacji.

Komisarz pokiwał głową.

„To było bardzo zgodne rodzeństwo”, przypomniał sobie słowa Jadwigi Becker.



Ból gardła nie przechodził.

Gross wrócił do domu i skończył ssać kolejną tego dnia tabletkę. Wcześniej popił leki, ale czuł się coraz gorzej. Oprócz kataru dopadł go mokry kaszel. Pomyślał, że jutro będzie musiał odwiedzić lekarza i wziąć antybiotyki.

Zadzwoił do Malwiny Lemańskiej i gdy tylko usłyszał jej ciepły głos, poczuł ogarniające go odprężenie.

– Jak się czujesz? – wychrypiał.

– Wydaje mi się, że znacznie lepiej niż ty – odparła. – Powinieneś pójść do lekarza.

– Jutro – odparł szeptem i zamilkł.

Milczeli przez chwilę oboje.

– Nie przyszedłem, żeby cię nie zarazić.

– Rozumiem i doceniam.

Gross zastanowił się nad jej odpowiedzią.

– I powiem więcej. Bardzo mnie to cieszy. – Zaśmiała się.

A on zobaczył ten jej uśmiech w wyobraźni. Pięknie wyprofilowane usta z równymi, lśniącoymi zębami. Dołki w policzkach. Radosne oczy za lekkimi okularami. I loki. Kasztanowe loki opadające na czoło i przysłaniające jej twarz.

– Wiesz dlaczego? – spytała.

– Nie – odparł, wpatrując się w jej twarz wyświetlaną we wspomnieniach.

– Bo troska jest jak skarb.

– Co masz na myśli?

– Ona skrywa uczucie.

„Uczucie”, pomyślał i wiedział, że miała rację.

Przerażało go to, a jednocześnie pochłaniało. Nie sądził, że jeszcze kiedyś będzie w stanie myśleć o innej niż Agnieszka kobiecie, tęsknić i okazywać troskę.

Nie wiedział, kiedy się to stało. Jak ta znajomość mogła się przerodzić w coś więcej. Coś, czego przecież nie planował.

Zastanawiał się, dlaczego wtedy się zgodził na propozycje Malwiny, która zaprosiła go na kolację. Być może już wówczas miłość do Agnieszki wygasła. Jeździł do niej z przyzwyczajenia, małżeńskiego obowiązku, złożonej obietnicy.

Ale czy na pewno? Czy jeździłby do niej, gdyby jej nie kochał?

Zadręczał się tymi pytaniami.

Porozmawiał z Malwiną jeszcze kilka minut, po czym usłyszał w słuchawce ciche piknięcia. Ktoś się do niego dobijał.

– Muszę kończyć – rzekł ze smutkiem.

Po drugiej stronie nastąpiła cisza.

– Jesteś tam? – upewnił się. – Halo?

– Tak – odparła. – Dobranoc, Bernardzie.

– Dobranoc – odparł, ale się nie rozłączył.

Ona też tego nie zrobiła.

Ciche piknięcia się powtórzyły.

Gross czekał.

– Kocham cię, Bernardzie – usłyszał i wtedy połączenie zostało przerwane.

Z trudem przełknął ślinę i odrzucił nadchodzącą rozmowę.

Drżał cały i czuł, jak głośno biło mu serce.

„Kocham cię, Bernardzie”.

Te same słowa padły ponad dziesięć lat temu z ust innej kobiety.

Kochali się z Agnieszka nad ranem.

Położył się na niej, całował jej piersi i wchodził w nią coraz szybciej i mocniej. Krótki zryw, po którym oboje cicho dyszeli wtuleni w rozgrzane ciała. Sapał głośno, próbując uspokoić rytm oddechu i wdychając słodki zapach jej skóry.

„Kocham cię, Bernardzie”, powiedziała, głaszcząc jego plecy, chociaż w takich chwilach zazwyczaj używała zdrobnienia, na które tylko jej pozwalał. Tym razem jednak wypowiedziała jego pełne imię.

Czy to cokolwiek znaczyło? Nie wiedział, ale jego pamięć składała się z takich właśnie okruchów wspomnień. Być może niepotrzebnie doszukiwał się w nich znaczeń.

Telefon zadzwonił ponownie, wyrывая komisarza z zamyślenia.

Rozpoznał numer, ale ponownie odrzucił połączenie i wysłał esemes.

„Jadę samochodem, będę w Chełmży za kilkanaście minut. Przyjdę. B. Gross”.

Wstał i wyjrzał przez okno na pogrążoną w ciemnościach Chełmżę i kiwające się korony drzew.

A potem spojrział na wiszącą w przedpokoju kurtkę i już wiedział, że czeka go jeszcze jeden spacer.



– Przepraszam, że do pana dzwoniłam – odparła Jadwiga Becker, otworzywszy drzwi.

Wpuściła gościa do środka.

– Żaden kłopot. W czym mogę pomóc? – powiedział, przełamując trudności z wydobyciem głosu.

– Jest pan chory? – spytała z przejęciem.

– Przeziębilem się. Ale to drobiazg.

– Bardzo mi przykro.

– O czym chciała pani ze mną porozmawiać?

Westchnęła, a jej głowa nie przestawała dygotać.

– Był pan w Toruniu? – zainteresowała się.

– Tak, na spotkaniu z pewną kobietą.

Spuściła głowę.

– No więc? – zachęcił.

– Pan mnie pytał o to, czy mój syn miał dziewczynę.

– Tak – przyznał. – Ale poznałem już pani odpowiedź.

– To prawda. – Spojrzała mu w oczy. – Mogłam się jednak mylić. Czasami rodzice niewiele wiedzą o swoim dziecku, chociaż wydaje im się, że wiedzą wszystko.

– Co to znaczy?

– Od tamtej pory ciągle o tym myślałam.

– Niech pani powie wreszcie, o co chodzi – zirytował się.

– Może on kogoś miał, a ja nic o tym nie wiedziałam. Chociaż powinnam się była domyślić, prawda? Mieć intuicję, jak to matka.

– Skąd ta refleksja? – zainteresował się.

– A jeśli on był nieszczęśliwie zakochany? – spytała z troską w głosie. – I dlatego targnął się na swoje życie?

– Wciąż nie wiemy, czy to zrobił.

– Nie miał żadnych wrogów – wyznała kobieta. – Nikt nie chciałby jego śmierci. Sądzę, że on to zaplanował. – Z jej oczu popłynęły dwie duże łzy.

Gross zrozumiał, o co jej chodzi.

– Widziała pani to zdjęcie, prawda?

– Słucham?

– Kiedy pani syn zakończył pracę, przywiózł z biura swoje rzeczy. I ramkę ze zdjęciem.

Pamięta ją pani?

Nie potrafiła ukryć zdumienia.

Otworzyła usta, ale zanim cokolwiek zdążyła powiedzieć, Gross zrobił to pierwszy.

– Podmieniła pani zdjęcie jego dziewczyny na starą fotografię córki. Grzebała pani przy tej ramce, jestem tego pewien – stwierdził. – Mogę wiedzieć dlaczego?

Głowa się trzęsła, chociaż Gross miał wrażenie, że drgawki następowały po sobie szybciej. Nie mogła opanować rozbieganego wzroku. W końcu oparła się o ścianę i komisarz musiał przytrzymać ją za ramiona, by nie upadła. Doprowadził ją do niskiej komody i pomógł usiąść.

– Czy może mi pan chociaż raz w czymś pomóc? – zezłościła się.

– W czym?

– Chciałabym się z nią spotkać – jęknęła.

– Z Pauliną Marcińską?

Pokiwała głową.

– Z tą kobietą ze zdjęcia – załkała. – Z ukochaną mojego syna.

dzień dziesiąty

Kaszel przybierał na sile.

Gross czuł, jak w jego gardle odrywa się flegma. Wysmarkał nos i z bólem głowy zasiadł do śniadania, które popił herbatą. Kiedy przeżuwał kęsy chleba z pasztetem, próbował dodzwonić się do przychodni, ale za każdym razem numer był zajęty. W końcu wybrał inne rozwiązanie i zadzwonił do Raszei. Opowiedział jej, co mu dolega, chociaż słyszała jego głos i wypowiedzi przerywane mokrym kaszlem.

– Przez telefon mam cię leczyć? – zdziwiła się, zaciągając papierosem. – Przyjedź, osłucham cię i wypiszę leki.

– Mogę być za pół godziny – stwierdził.

– Świetnie. Gdyby nie było mnie w gabinecie, to zaczekaj.

Dokończył śniadanie, wziął szybki prysznic i wybrał się do Torunia.

Zatrzymał się przy lidlu, który znajdował się przy drodze wylotowej z Chełmży, i kupił paczkę chusteczek w kolorowym kartonie, który ustawił na fotelu pasażera. Po opustoszałym o tak wczesnej porze parkingu wiatr niósł nieliczne liście i kilka papierków, które wypadły z worka na śmieci ustawionego przy wyjściu ze sklepu.

Gross odjechał w stronę Grzywny i widział, że nieco dalej na horyzoncie z chmur zwieszały się pasma szarości, które niosły rześisty deszcz.

Nie mylił się.

Kila minut później wjechał wprost w ulewę, która zabębniła w dach samochodu i znacznie ograniczyła widoczność.

Zwolnił i ciągnął się za autobusem PKS-u.

Wykorzystał ten moment na rozmowę telefoniczną z Pauliną Marcińską.

Tuż po tym, jak wymienili uprzejmości, powiedział jej, czego od niej oczekuje.

– Musimy spisać zeznania – skłamał.

– To konieczne? – spytała nerwowo.

– Nie ma innego wyjścia – odparł. – Wie pani, procedury.

– Rozumiem. A nie możemy tego załatwić w Toruniu?

– Wykluczone. Przyjedzie pani samochodem?

– Nie. Raczej pociągiem albo autobusem.

Ustalił z nią godzinę i się rozłączył.

Wykonał jeszcze jeden telefon i skupił się na drodze.

Autobus zjechał do zatoki, a Gross przyspieszył.

Kiedy był na wysokości Ostaszewa, zadzwonił do niego Andrzej Tatarski, analityk z komendy miejskiej.

– Sprawdziłem tę kartę – zaczął Tatar. – Należy do Vido Industries.

– Co to za firma? – zdziwił się Gross.

– Jedna z tych japońskich marek, które pobudowały się w Ostaszewie.

– W parku technologicznym?

– Tak. Musisz tam zadzwonić. Kartę zostawię ci w kopercie na dole, okej?

– Jasne, dziękuję.

– Nie ma za co, Bernardzie. Do usług – pożegnał się Tatar.

Gross zastanowił się, co może łączyć Rafała Beckera z Vido Industries.

Zwolnił i rozejrzał się po logotypach firm na halach produkcyjnych. Siedzibę Vido Industries dostrzegł po lewej stronie. Żeby tam dojechać, musiał zawrócić i skręcić w sieć dróg wewnętrznych strefy ekonomicznej, odprowadzającej ruch z krajowej dziewięćdziesiątki jedyńki.

Zrobił to i wreszcie stanął pod szlabanem, który drgał od wiatru. Za nim rozciągał się długi parking, tylko w niewielkiej części wypełniony samochodami.

Po chwili z budki wyszedł ochroniarz, który nasunął sobie kaptur na głowę. Kiedy zbliżył się do golfa komisarza, ten opuścił szybę i lodowaty wiatr schłodził mu twarz.

– Pan do kogo? – zainteresował się ochroniarz.

Gross wyciągnął blachę.

– Był pan umówiony? – spytał tęgawy mężczyzna.

– Nie. Ale sprawa jest pilna – zaznaczył komisarz.

– Rozumiem. Niech pan chwilę poczeka. Zaraz wrócę – odparł i podbiegł do budki, w której zniknął na kilka minut.

Gross przyglądał się prostej, jasnej hali z szeregiem okien na parterze. Wydmuchał nos i rzucił zmiętą chusteczkę na gumowy dywanik przed fotelem pasażera.

Szlaban się uniósł, a z małego okienka w stróżówce wysunęła się dłoń ochroniarza. Gross podjechał i ponownie opuścił szybę.

– Pan zaparkuje po prawej jak inni i przejdzie do głównego wejścia. Będzie tam czekał na pana pracownik.

Komisarz zastosował się do wskazówek i wysiadł z samochodu, uważając, by wiatr nie wyrwał mu drzwi. Stawiając opór porywom, skierował się do budynku.

Drzwi rozsunęły się automatycznie. Czekająca na niego młoda kobieta o klasycznej urodzie, ubrana w granatowy kostium i białą bluzkę.

Przedstawiła się i nie zadając pytań, zaprowadziła go do niewielkiego sekretariatu.

Asystentka zarządu, kolejna uśmiechnięta, podobnie ubrana osoba, usiadła razem z nim przy stoliku dla gości oczekujących na spotkanie. Gabinet był skromnie, ale efektownie urządzone. Podświetlany logotyp firmy znajdował się na ścianie za szerokim drewnianym kontuarem.

– W czym możemy pomóc? – zapytała przyjaźnie.

Bordowa szminka idealnie pokrywała jej usta.

Gross wyjaśnił, co go sprowadza, po czym wyjął legitymację, żeby potwierdzić tożsamość.

– Tak, znam temat – odparła szczupła kobieta. – Jeden z pracowników zgłosił nam, że zgubił kartę. Nasze procedury wymagają szybkiej reakcji. Mamy obowiązek jej natychmiastowego dezaktywowania.

– Rozumiem, że pracownik otrzymał nową?

– Oczywiście.

– Kiedy się to stało?

– O ile się nie mylę, na początku września. Mogę to sprawdzić.

– Doskonale. Przy okazji chciałbym też poznać nazwisko tego pracownika.

– Czy to konieczne?

– Kartę odnaleźliśmy na miejscu zdarzenia kryminalnego. – Gross wolał unikać szczegółów. – Im szybciej się dowiemy, do kogo należała, tym lepiej.

– Nie wiem, czy mogę udzielić panu takiej informacji.

– Pani wybór. Wolałbym zaoszczędzić państwu częstych wizyt policjantów i prokuratorów. Radiowóz pod firmą może się nie spodobać kontrahentom.

– Skonsultuję się z członkami zarządu i natychmiast poinformuję pana o ich decyzji – odparła rzeczowo.

– Dobrze, poczekam – powiedział Gross i rozsiadł się wygodnie, zanim kobieta zdążyła wstać i zniknąć za drzwiami.

Druga pracownica, ta, która go tu przyprowadziła, stanęła za kontuarem i zajęła się swoimi sprawami.

Gross czekał dłużej, niż zakładał, ale w końcu ujrzał asystentkę. Przyniosła niewielką kartkę złożoną na pół.

– Co to?

– Wydruk z systemu.

Komisarz Gross rozłożył papier i wyprostował.

A potem przeczytał nazwisko.

– Czy coś się stało? – zmartwiła się kobieta.

Gross się ocknął.

– Nie. Wszystko w porządku. Ale chciałbym wiedzieć, czy kiedykolwiek po zagubieniu tej karty system odczytał próbę jej użycia?

– To niemożliwe. Od razu po zgłoszeniu została dezaktywowana.

– Dziękuję. To wiele wyjaśnia. – Komisarz wstał i wyszedł do korytarza. Druga pracownica poszła jego śladem i odprowadziła go do samych drzwi.

Pożegnał ją, a następnie ruszył przez parking w stronę golfa.

Trudno mu było zebrać myśli.

Odjechał stamtąd i włączył się do ruchu na głównej drodze.

Nieco dalej, stojąc na czerwonym świetle na głównym skrzyżowaniu w Łysomicach, rozłożył wydruk i popatrzył na nazwisko i imię człowieka, który zgłosił zgubę.

A potem zadzwonił do Skalskiej.

– Jestem – odebrała.

– Wiem, do kogo należała karta systemu kontroli dostępu.

– Powiesz?

Zaświeciło się zielone.

Wrzucił jedynekę, a potem dwójkę. Golf nabierał prędkości.

– Bernardzie?

– To była karta Leszka Smolińskiego.



Karol Formowicz, przyjaciel Rafała Beckera, rozsiadł się na krześle w gabinecie Grossa, naprzeciwko Skalskiej, która zadała już kilka pytań wprowadzających. Mężczyzna sprawiał wrażenie rozluźnionego i szczerego. Odpowiadał płynnie i rzeczowo.

Gross spóźnił się na to spotkanie.

Wszedł, trzymając w ręku niewielką reklamówkę z lekami, które przepisała mu Raszeja. Zbadała go dokładnie i nie miała żadnych złudzeń, że to grypa. Chciała mu wypisać zwolnienie z pracy, ale się nie zgodził.

Komisarz przywitał się z Formowiczem i przeszedł za biurko, dając Skalskiej znak, by kontynuowała.

Usiadłszy, zwrócił uwagę na równą opalenizną świadka, którą zapewniło egipskie słońce. Mężczyzna wykupił wakacje wcześniej, jeszcze zanim doszło do zaginięcia Beckera.

Gross przyglądał mu się przez kilka chwil. Formowicz miał proste włosy z przedziałkiem pośrodku, które okalały wysokie czoło. Wyglądał na młodszego niż w rzeczywistości. Zawdzięczał to

zdrowej cerze i niewielu zmarszczkom mimicznym. Ogolił się, ale zarost musiał mieć gęsty i mocny, bo twarz miał w tym miejscu siłą.

Podpisany przez Formowicza protokół z przesłuchania świadka leżał na biurku komisarza. Mężczyzna potwierdził, że siedemnastego września Rafał Becker nie przyszedł do niego ani nawet nie dzwonił.

– Często to robił? – zapytała Skalska, notując coś w notesie.

– Co takiego?

– Czy często wpadał bez zapowiedzi?

– W zasadzie nie. Uzgadnialiśmy terminy na Messengerze.

– I za każdym razem przychodził?

Formowicz ścisnął nozdrza, jakby coś podrażniło mu nos.

Pociągnął nim głośno.

– No nie. Zdarzało się, że nie przychodził.

– Słucham? – wtrącił się Gross.

– Przecież każdemu mogą się zmienić plany. – Formowicz odwrócił się do niego.

– Oczywiście. – Gross wstał, zabrał kubek herbaty i podszedł do Skalskiej. Spojrzała na niego, a on dał jej dyskretnie znak, że weźmie na siebie ciężar rozmowy.

– Kiedy ostatnio zmienił swoje plany i jak często to robił?

– Nie wiem, nie pamiętam. Musiałbym spojrzeć w Messengera.

– Niech pan to od razu zrobi, a my będziemy protokołować – polecił Gross.

Mężczyzna wyjął telefon i zaczął wertować wiadomości.

– A potem poprosimy pana o dostęp do tego Messengera, żeby zrobić wydruk waszych rozmów.

Formowicz spojrzał na komisarza i odłożył aparat.

– Czy to konieczne?

– Obawiam się, że tak.

Mężczyzna bił się przez dłuższą chwilę z myślami.

– Ja mu tylko pomagałem – zapewnił.

– W czym konkretnie? – Gross przysiadł i napił się herbaty. – O co pana prosił?

– O nic takiego – westchnął. – Chciał, żebym krył jego wyjazdy.

– Wyjazdy?

– Tak.

– Chodziło o dziewczynę, prawda?

Formowicz przeniósł wzrok na Skalską, a potem zerknął na szary świat za oknem.

– Spotykał się z nią za plecami matki? – dodał Gross, spoglądając na zaskoczoną Skalską, która żuła gumę i wydmuchwała z niej mały balon.

Pękł cicho.

– Tak. Ale nie pytajcie mnie dlaczego. Nie wnikałem w to.

– A czy kiedykolwiek matka Rafała Beckera sprawdzała jego obecność u pana?

– Raz czy dwa.

– I co jej pan wtedy mówił?

– Że wyskoczył do sklepu albo po żarcie. Po czym dawałem mu znać, że jego stara dzwoniła.

Tym razem to Gross pokiwał głową.

– Po co pan to robił?

– A pan nigdy nie krył kumpla? – odciął się. – Gdyby pański kumpel miał taką matkę, to na pewno by pan mu pomagał. Przecież to nic złego – bronił się. – On miał czterdzieści dwa lata.

Gross przyknął na chwilę oczy. Mdłości wróciły ze zdwojona siłą.

– Wiedział pan, że kolega leczy się na depresję? – spytał.

– Nie, nigdy mi o tym nie mówił. – Formowicz pokręcił energicznie głową. – Ale rzeczywiście, od kiedy zaginęła jego siostra, Rafał się zmienił. Bywał...

– Depresyjny – podrzucił Gross.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Nie, nie o to chodzi. Miałem na myśli, że bywał nostalgicznie usposobiony. Ale mijało mu to szybko.

– Poznał pan jego dziewczynę? – spytał Gross.

– Nie.

– A może Rafał Becker pokazywał panu jej zdjęcie?

– Nie, nie zrobił tego.

– A nalegał pan?

– Być może, nie pamiętam. Pewnie tak.

– Ale nie pokazał jej panu?

– Nie. Mówił tylko, że ma na imię Paulina.

– Rozumiem. – Gross wstał i podszedł do drzwi. – To wszystko, dziękuję – powiedział, po czym, kiedy mężczyzna wstał, zmienił zdanie. – Przepraszam, niech pan jeszcze usiądzie na chwilę.

Formowicz niechętnie opadł na krzesło.

– Słyszał pan o flipowaniu mieszkań?

– Tak.

– Od Rafała Beckera? – próbował ustalić Gross.

Zdziwiony pytaniem mężczyzna spojrzął na Skalską, która nie kryjąc zaskoczenia, zerknęła na Grossa.

– Podobno był nawet na kilku szkoleniach – stwierdził Formowicz. – Raz pożyczył ode mnie pieniądze, bo ten kurs był koszmarnie drogi. Ale oddał co do grosza.

– Mówił o tym w kontekście jakiegokolwiek mieszkania w Chełmży?

– Tak. Latem stwierdził, że ma na oku jakąś dobudówkę za kamienicą w Rynku. Od tego mieszkania chciał zacząć.

– Skąd się o nim dowiedział?

– Twierdził, że z „Nowości”.

– Kiedy to było?

– Latem. Tuż po tym, jak w mediach znowu było głośno o zaginięciu Justyny i jej chłopaka. Ale dlaczego pan o to pyta? Jakie to ma znaczenie?

Gross pokręcił głową.

– Nie wiem – odparł szczerze. – Jeszcze nie wiem.

Skalska pstryknęła długopisem i przeniosła wzrok z szefa na Formowicza.

– Jestem już wolny? – spytał mężczyzna.

– Tak. Trafi pan do wyjścia? – upewnił się komisarz.

Formowicz skinął głową i wstał.

Odczekali, aż zamknie za sobą drzwi, a potem Skalska odezwała się do szefa.

– Skąd wiesz o flipowaniu?

– Od dziewczyny Beckera – wyjaśnił.

– Wiedziała o dobudówce w Chełmży?

– Podobno Becker sam jej o niej opowiedział. Była bezrobotna, miała mu w tym pomagać.

– Masz mi coś jeszcze do powiedzenia?

– Nie. – Zaniósł się kaszlem. – A właściwie tak. Obawiam się, że nie mamy kompletu materiałów Otremy.

– Jak to? Może niczego więcej nie zapisywał.

– Może. – Gross nie był przekonany do tej wersji.

Skalska poskładała leżące przed nią papiery i wstała.

– Sprawdzę te ogłoszenia – oznajmiła.

– Koniecznie.

– A przy okazji zobaczę, czy Ewelina Otremba dała ogłoszenie o swoim mieszkaniu.

– Twierdziła, że je sprzedała? – Gross zupełnie o tym nie pamiętał.
– Tak. Mówiła, że w ten sposób zyskała pieniądze na zakup dobudówki. Resztę miał dołożyć jej przyszły mąż.

Policjant usiadł za biurkiem i dopił resztkę herbaty. Skrzywił się, ale nie z powodu smaku napoju.

– Przecież wiesz, gdzie mieszkał Otremba – zaczął. – To znacznie ładniejsze miejsce niż zacienione podwórko za kamienicą.

Przyznała mu rację.

– Dlatego muszę to sprawdzić – powiedziała.

– Dobrze, tylko z tym Leszkiem na razie ostrożnie.

– Dlaczego?

– Musimy uważać, żeby go nie spłoszyć.

Skalska przyjrzała mu się badawczo.

Gross kichnął i wydmuchał nos.

– A co, jeśli ataki na Ewelinę Otrembę się nasilą? – spytała. – Ostatnio nieudolnie tuszowała siniaki na twarzy.

– Miej oboje na oku, ale działaj ostrożnie – poprosił.



Komisarz wjechał na parking przy hurtowni budowlanej i zatrzymał się tak, by przez przednią szybę widzieć blok i okna mieszkania Jadwigi Becker. Stała tam, z filiżanką w dłoni, i patrzyła w dal, w stronę silosu chełmyżńskiej cukrowni, nie zwracając najmniejszej uwagi na samochód komisarza.

Przypomniał sobie, że dyrektor składu budowlanego obiecał mu informację o efektach przeglądania rachunków. Miał spróbować odnaleźć te, na których widniał zakup sznurka sizalowego, takiego samego, na którym powiesił się Rafał Becker. Minał obiecany czas, a mężczyzna wciąż się nie odezwał.

Gross wszedł do sklepu i zatrzymał się przy punkcie informacyjnym, by się upewnić, że dyrektor jest w pracy. Potem skierował się do właściwych drzwi.

Przywitał się z sekretarką i samym dyrektorem, który pochylał się nad papierami.

– O, pan komisarz. – Uśmiechnął się.

Gross podał mu rękę.

– Proszę, niech pan wejdzie. – Dyrektor wskazał drzwi do gabinetu.

Policjant poszedł przodem.

Mężczyzna zabrał krzesło stojące przy okrągłym stoliku, przy którym siedzieli ostatnio, i ustawił je obok swojego fotela przy biurku.

– Niech pan usiądzie – zachęcił policjanta i sięgnął po leżącą na stercie dokumentów teczkę.

Otworzył ją i wyjął wydruk z systemu komputerowego, po czym złapał ołówek i podkreślił znajdujący się na kartce nieznanemu Grossowi numer.

– Sądzę, że udało nam się dokonać niemożliwego. – Dyrektor uśmiechnął się i potarł palcami gęsty wąs. – Znaleźliśmy ten rachunek.

Gestem zachęcił Grossa, by nachylił się nad kartką.

Komisarz spojrzał na wydruk.

– O, tu. – Mężczyzna wskazał ostro zatemperowanym ołówkiem pierwszą pozycję.

„Tryt. 0,15 mm plast. opak. 1”. Gross powiódł wzrokiem za narysowaną przez dyrektora kreską, która prowadziła do ceny.

Na drugiej pozycji był sznur sizalowy.

Komisarz poczuł nieznaczny ból w okolicach serca.

Trafił.

– Ale to jeszcze nie wszystko – dodał z tajemniczym uśmiechem dyrektor. Chwycił za myszkę i zajął się szukaniem pliku na dysku komputera. Klikał w kolejne foldery, aż wreszcie znalazł to, czego szukał. – Dopiero dziś rano otrzymałem zgodę centrali i firma ochroniarska przesłała mi to – powiedział, uruchamiając czarno-biały film z monitoringu.

Gross przysunął się bliżej.

Rozpoznał wewnątrz sklepu i rząd kas. Do sprzedawczyni przy drugim stanowisku podszedł mężczyzna w czapce z daszkiem.

Komisarz skupił na nim całą uwagę.

Kupujący wyłożył z koszyka na taśmę kilka rzeczy, które podjechały do stanowiska kasjerki.

– Teraz – dodał Świąder. – Tu. – Wskazał ołówkiem na lewą część ekranu.

Gross przestał obserwować mężczyznę i powiódł wzrokiem za zaostrzoną końcówką grafitu.

– To właśnie ta osoba kupiła trytki i sznur – stwierdził dyrektor.

Gross poprosił go, by cofnął film. Obejrzeni raz jeszcze ten fragment, gdy mężczyzna zbliżył się do kasy, i wtedy komisarz poprosił o pauzę.

Patrzył teraz na stojącego przy kasie Leszka Smolińskiego.



Skalska wyszła z mieszczącej się w narożnej kamienicy w Rynku biblioteki i pobiegła w stronę Gospody Przy Piecu, gdzie umówiła się wcześniej z Eweliną Otrembą.

Przez dwie godziny w czytelni czasopism wertowała sierpniowe i wrzesniowe wydania „Nowości” i „Pomorskiej”. Wśród kilku ogłoszeń z Chełmży nie znalazła jednak żadnego, które metrażem byłoby zbliżone do starego mieszkania Otremby. Nigdzie nie znalazła też najmniejszej nawet wzmianki o sprzedaży dobudówki za kamienicą w Rynku.

Wdowa czekała już na nią przy stoliku w pobliżu witryny. Popijała latte i uniosła rękę.

Skalska usiadła naprzeciwko niej.

– Co się stało? Wyglądasz na zdenerwowaną – zaniepokoiła się Otremba.

– Kłamiesz, moja droga. Okłamałaś mnie w sprawie ogłoszenia o sprzedaży mieszkania.

– Co ty pleciesz?

– Powiedziałaś, że dałaś ogłoszenie do prasy.

Oczy Otremby się rozszerzyły.

– Bo dałam, no jak Boga kocham. – Uderzyła się w pierś. – To znaczy Leszek je dał.

– Leszek?

W tle grała kojąca muzyka.

Kelnerka podeszła do stolika, ale Skalska podziękowała nerwowym uśmiechem. Usprawiedliwiła się, że musi już iść.

– No tak, bo on częściej bywa na starówce w Toruniu – wyjaśniła Otremba. – Miał podejść do redakcji i wszystko załatwić.

– Kiedy to było?

– W sierpniu.

– Na pewno?

Otremba przewróciła oczami.

– No przecież mieszkanie samo by się nie sprzedało. – Zaśmiała się. – Zgłosił się kupiec, helo!

Skalska pomyślała, że w takim razie musiała coś przeoczyć. Starła się dokładnie czytać każde ogłoszenie w dziale nieruchomości, ale być może gdzieś popełniła błąd. Wystarczyła przecież chwila nieuwagi.

„To się zdarza”, usprawiedliwiła się sama przed sobą.

– A skąd miałas informację o sprzedaży dobudówki? – spytała.

– Mówiłam już. – Otremba napiła się kawy. – Leszek dowiedział się od Rafała Beckera.

Skalska sięgnęła do kieszeni i wyjęła drugą parę kluczy do swojego domu. Położyła je na blacie.

– Weź je i dobrze schowaj – poprosiła. – Jeśli uznasz, że sytuacja tego wymaga, wezwij taksówkę i jedź do mnie. Pod byle jakim pretekstem.

Otremba odstawiła wysoką szklankę na stópcę i pobladła.

– O co ci chodzi?

– Kiedy twoje córki wrócą z niedoszłymi teściami z sanatorium?

– W przyszłym tygodniu.

– W takim razie niczym się nie przejmuj i zawijaj się do mnie, jeśli będzie taka potrzeba – dodała policjantka. – O której Smoliński wraca z pracy?

– Krótko po czwartej. – Zerknęła na złoty zegarek. – Właśnie powinien z niej wychodzić.

– Zostań tu i nie ruszaj się, aż nie zadzwonię.

– Jezu, nie strasz mnie. Coś nam grozi? Mnie i córkom? – Wdowa zaczęła nerwowo szukać czegoś w dużej torebce od Guessa. W końcu wyszarpnęła skórzaną portmonetkę. Otworzyła ją i skierowała w stronę Skalskiej. – To one. Dziewczynki Grzegorza.

Podawała ich imiona, ale Skalska czuła się tak, jakby głowę miała zanurzoną w wodzie. Spoglądała właśnie na dwie roześmiane buzie i w każdej z nich widziała rysy swojego kochanka. Starsza miała jego oczy, a młodsza – zadziorny uśmiech.

Serce waliło jej jak oszalałe, a krew szumiała w uszach.

Przeniosła wzrok na kobietę. Ta cały czas trajkotała, z jej ust wysypywały się słowa. Zmarszczone czoło świadczyło o tym, że Otremba czuła się zagrożona, wystraszona, a jednocześnie zła.

– Zamknij się! – warknęła Skalska.

Ewelina zamarła.

– Zrób, co mówię, jasne? – dodała policjantka. – U mnie będziesz bezpieczna.

– Czy on jest w to wszystko wmieszany? Czy Leszek ma z tym wszystkim coś wspólnego?

– Cicho bądź! – skarciła ją Skalska. – Jakby co, natychmiast dzwoń.

Wstała i wyszła na uderzający w bruk deszcz. Znowu rzuciła się biegiem, tym razem w stronę kamienicy, gdzie mieszkali Płoccy.



Komisarz wrócił na komendę i zadzwonił do Skalskiej, ale ponieważ ta nie odbierała, wybrał drugi numer, Judyckiej.

– Zejdziesz? – poprosił.

– Oczywiście, szefie.

Nie czekał na nią długo. Rozdzielił bieżącą pocztę, a następnie odniósł teczkę z korespondencją do pustego sekretariatu.

Zdążył usiąść za biurkiem, gdy do jego gabinetu weszła Judycka, a za nią Skalska w mokrym ocieplaczu i polarze. Jej czerwone dłonie dobitnie świadczyły o tym, że długo przebywała na zewnątrz.

– Chcesz herbaty? – zapytał, ale Skalska pokręciła głową. – Może pójdziesz się przebrać, co? Żeby grypa cię nie dopadła.

Machnęła ręką, a on poczuł się jak ojciec, który troskę sprowadził do zatruwania życia.

Usiadły po obu stronach stołu.

Gross, zażenowany swoją uwagą, usiadł obok Judyckiej.

– Co macie? – spytał.

– Mogę pierwsza? – zgłosiła się zziębnięta Skalska. – Mam jeszcze jedną sprawę do ogarnięcia. Leszek od godziny siedzi w domu. Wolałabym nie spuszczać go z oka. A jeśli nadarzy się okazja, to chętnie z nim pogadam.

– Pamiętaj, tylko ostrożnie. Nie możemy go spłoszyć. Na razie mamy same poszlaki. Nie chciałbym, żeby czegokolwiek się domyślił.

– Wiem, co robić – odparła twardo. – Ogłoszenia o sprzedaży mieszkania ani dobudówki nigdzie nie znalazłam. Przejrzałam lokalne dzienniki. Nigdzie ani słowa. Przeszukałam też Internet, ale tu również nie było trafień. W końcu spotkałam się z Otrembą.

Gross milczał, ale odezwała się Judycka.

– No i? – spytała.

– Powiedziała, że to Leszek miał dać ogłoszenie – wyjaśniła aspirantka sztabowa.

– Ale nie dał? – zdziwiła się koleżanka.

– No przecież mówię, że ogłoszeń nie znalazłam – zezłościła się.

– Dobra, to porozmawiaj z nim i daj znać – stwierdził Gross, ale nie przekazał im informacji o filmie z monitoringu w hurtowni budowlanej. Miał wrażenie, że w całym tym śledztwie coś jest nie tak.

Zadzwoił stacjonarny. Komisarz podniósł słuchawkę i trzymał ją przy uchu.

– Okej, dziękuję. Judyta zaraz zejdzie. – Odłożył słuchawkę na bazę.

– Co jest? – spytała młodsza policjantka.

– Paczka z laboratorium. Przyniesiesz? – poprosił.

– Jasne. – Wstała i wyszła.

Gross wrócił na miejsce i poprosił Skałkę, by kontynuowała.

– Płocka, przyciśnięta do muru, przyznała się, że nie dawali nigdzie żadnego ogłoszenia. Że Becker sam się do nich zgłosił i twierdził, że ma kupca.

– Kiedy to było? – spytał Gross.

– Na początku września.

– Czyli tuż po tym, jak stracił pracę – zauważył.

– Tak, też o tym pomyślałam. Być może to go zmobilizowało do zajęcia się flipowaniem mieszkań, o których mówiłeś.

– Podobno chciał to robić wcześniej. Ten dom miał na oku już od jakiegoś czasu.

– Płocka mówiła, że oboje z mężem byli zainteresowani sprzedażą i cieszyli się, że pozbyli się w końcu tego mieszkania.

Gross w zamyśleniu stukał długopisem w blat. Znajdowali się w martwym punkcie.

– Ale okazało się, że mieszkanie Eweliny Otremby, to, które zajmowała wspólnie z Grześkiem, prawdopodobnie nie zostało sprzedane.

– Nie rozumiem.

– Sprawdziłam na liście meldunkowej. Ona cały czas tam figuruje.

– I o czym to świadczy? – zapytał Gross.

Skałka wbiła wzrok w blat stołu.

– Nie mam pojęcia – odparła.

Judycka wróciła z otwartym niewielkim kartonikiem. Wyciągnęła z niego dwa klucze i podała je Skalskiej.

– Co to? – spytała aspirantka sztabowa.

– Dorobione klucze, znalezione przy zwłokach w lesie – wyjaśniła.

- Po cholere mi je dajesz?
- Skoro karta należała do Leszka, być może te klucze również – odparła.
Gross by o tym nie pomyślał.
- Judyta ma rację – odezwał się po chwili. – Pytanie tylko, czy dasz radę to zweryfikować?
Skalska przyjrzała się obu kluczom.
- Sądzicie, że to klucze do jego domu? – Popatrzyła najpierw na Grossa, a potem na Judytkę. –
Okej, w takim razie muszę już iść – oznajmiła.
- Jeszcze moment – poprosił Gross i odwrócił się do Judyckiej. – Judyto, twoja kolej.
Młoda policjantka wzięła do ręki kartkę, którą położyła na blacie biurka.
- To informacja z Centralnego Laboratorium Kryminalistycznego w Warszawie.
- Coś zaskakującego? – zainteresował się Gross, przejmując wydruk.
- Tak mi się przynajmniej wydaje – odparła Judyta, zakładając kosmyk blond włosów za ucho.
- Zweryfikowano ślady krwi z bandany i z dobudówki.
- No i?
- To krew jednej i tej samej osoby.
- Kogo? – spytała Skalska.
Gross spojrział na nią, a potem na Judytkę.
- Korczyńskiego – odparła młodsza policjantka.



Chwilę później, którą Gross wykorzystał na kolejne przeglądanie teczek z materiałami o zaginionych studentach i uzupełnianie tabeli z zapiskami Grzegorza Otremby i zarzutami Gracza, rozbrzmiało pukanie do drzwi.

Na zewnątrz dzień był szary i ciemny, dlatego komisarz pracował przy włączonej lampie.

– Proszę – zachrypiał.

W progu stanął łysy, tyczkowaty mężczyzna w czarnym płaszczu i z takiego samego koloru kapeluszem, który trzymał w dłoni w skórzanej rękawiczce.

– Nie przeszkadzam? – spytał gość niskim głosem, zamknąwszy za sobą drzwi.

Na jego plecach widniał garb.

Gross wstał i się przywitał, ale nie zapalił górnego światła.

– Pan Stelmach? – domyślił się policjant.

– Inspektor Stelmach – odparł tamten wyraźnie zniesmaczony.

– Słyszałem, że jest pan na emeryturze – zauważył Gross.

Mężczyzna się rozejrzał.

– Usiądziemy? – spytał przyjaźnie.

Komisarz spojrział w jego trójkątną twarz, pociągłe, ostre rysy i długi nos.

– Nie byliśmy umówieni – przypomniał.

Mężczyzna zignorował jego słowa i odsunął sobie najbliższe krzesło. Na drugim powiesił kapelusz i zabrał się do rozpinania płaszcza.

– Nie zabiorę wiele z pańskiego cennego czasu – zapewnił, zdejmując okrycie i przewieszając je przez oparcie.

Komisarz usiadł naprzeciwko niego.

– W takim razie – powiedział, spoglądając ostentacyjnie na zegarek – w czym mogę panu pomóc, panie Stelmach?

– Panie Gross...

– Komisarzu Gross – przerwał mu policjant. – Do emerytury zostało mi kilkanaście tygodni. Wtedy możemy sobie mówić nawet po imieniu.

Mężczyzna się skrzywił.

– Panie komisarzu – poprawił się niechętnie. – Zajmuje się pan sprawą, która przez lata spędzała sen z powiek toruńskiej i chełmżyńskiej policji. Tak się składa, że jak już pan zapewne wie, miałem w niej swój udział.

– A mimo to wciąż pozostaje nierozwiązana.

Mężczyzna kiwnął nieznacznie głową, a komisarz dostrzegł w jego twarzy pogardę.

– Zrobiliśmy wtedy wszystko, co można było zrobić w tej sprawie. Mogę pana o tym zapewnić. Dziś mamy inne czasy i inną technologię. Ale nie zamierzam o tym mówić, bo pan jest dziś bliżej tego niż ja.

– Czego pan zatem oczekuje?

Mężczyzna złączył dłonie i długo wpatrywał się Grossa.

– Konsultacji – oznajmił.

– Konsultacji? Czyli? – zdziwił się komisarz.

– Zacznijmy od tego, że mój kuzyn, Wiktor Korczyński, poinformował mnie, że w dość napastliwy sposób obszedł się pan z nimi ostatnio. Zadawał pan pytania i zadręczał ich bez względu na fakt, że wszystko, co mieli do powiedzenia w tej sprawie, dawno już powiedzieli.

Gross się nie odezwał.

Mężczyzna przejechał długimi palcami wzdłuż grzbietu nosa.

Na skórze jego policzków komisarz dostrzegł sieci czerwonych naczynek, rozpiętych niczym krwista pajęczyna.

– Niech pan następnym razem tego nie robi. Niech pan porozmawia ze mną. Oni wiele przeżyli. Sam pan to doskonale rozumie – dodał i z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął wizytownik.

Gross miał wrażenie, że starszy mężczyzna nawiązał do tego, co spotkało komisarza ponad dziesięć lat temu. Do jego własnej tragedii w cieniu śpiączki Agnieszki.

Stelmach wyjął z eleganckiego etui kartonik i położył na blacie. Następnie przesunął go kościstym palcem w stronę komisarza.

Teatr.

Gross miał wrażenie, że te gesty były wielokrotnie ćwiczone, by robiły wrażenie na oglądających.

Mimo to sięgnął po wizytówkę. Podniósł ją na wysokość oczu. Spojrzał na Stelmacha, który uśmiechał się lekko, a zaraz potem przedarł wizytówkę na pół. Jej fragmenty spadły na blat.

– Odmawiam – rzekł i wstał. – Ale dziękuję za wizytę. – Uchylił drzwi, obserwując, jak w byłym policjancie buzują emocje, a jego twarz wykrzywia grymas wściekłości.

– Dobrze panu radzę – wysyczał przez zęby – żeby poskładał pan tę cholerną wizytówkę do kupy i w odpowiedniej chwili zrobił z niej użytek.

Gross zatrzasnął drzwi i zbliżył się do stołu, opierając na nim pięści. Pierwszy raz zobaczył w twarzy starego policjanta cień strachu.

– Jeśli wie pan więcej, niż mówi – zaczął komisarz – to proszę spodziewać się wkrótce mojej wizyty. I zaręczam, odbędzie się bez zbędnych uprzejmości.

Stelmach sięgnął po kapelusz i płaszcz, po czym wstał.

Przewyższał Grossa o głowę, nawet kiedy się garbił.

– Załatwiłem już nie takich hardych jak ty – szepnął. – Więc lepiej zapamiętaj sobie moją radę.

Gross odprowadził go wzrokiem do drzwi.

Sądził, że Stelmach nimi trzaśnie, ale przyłgnęły do ościeżnicy delikatnie i cicho.



Gross długo szukał śladów po Stelmachu w teczkach dotyczących podwójnego zaginięcia młodych ludzi. Na razie bezskutecznie. Zastanawiał się, co były komendant mógł wiedzieć w tej sprawie i dlaczego tak mu zależało na ochronie Korczyńskich. Rodzinne układy to jedno, ale komisarz odnosił wrażenie, że szło o coś innego. Korczyńscy od początku wydawali mu się w tej sprawie czyści. Nie mogło chodzić o zdradę Korczyńskiego, która zbiegła się w czasie z zaginięciem syna. Fatalny zbieg okoliczności. Nic więcej. Dlatego Gross był przekonany, że bogaci małżonkowie nie potrzebowali parasola ochronnego. Podkreślił ich nazwisko w swoich notatkach i dopisał status: „ofiary”.

Stelmach zaktywizował się po wielu latach, i to zupełnie niespodziewanie. Co stało się katalizatorem dla działań byłego policjanta?

Gross wstał i rozprostował plecy, a następnie oparł się o parapet i spojrzał na miasto.

Stelmach wpływał na działania prokuratury. Na pewno nie bezpośrednio na Legnera, to zakrawałoby na niedorzeczność, ale robił to poprzez mocodawców tego ostatniego. Wówczas jednak Stelmach wciąż pozostawał w cieniu. Wyłonił się z niego dopiero wczoraj, zapowiadając swój przyjazd.

„Wczoraj”.

Gross myślał intensywnie, gdy nagle ktoś zapukał do jego gabinetu.

Miał wrażenie, jakby od wyjścia Stelmacha minęło ledwie kilka minut, dlatego pierwsze, co przyszło mu do głowy, to, że mężczyzna wrócił, bo zapomniał czegoś dodać.

Tymczasem w drzwiach stała Jadwiga Becker.

Gross uprzedził oficera dyżurnego, żeby wpuścił ją, jeśli ta się zjawi, ale liczył, że policjant zaanonsuje ją telefonicznie. Nie miał jednak wątpliwości, że tak się właśnie stanie w chwili, kiedy do komisariatu dotrze kolejna umówiona na spotkanie osoba.

Zaprosił starszą kobietę do środka i odsunął jej krzesło. To, które stało u szczytu stołu, tyłem do drzwi.

Kobieta rozpięła płaszcz i usiadła. Ściągnęła rękawiczki i ułożyła je równo na blacie. Potem rozwiązała chustkę, którą nosiła na szyi. Wyprostowała plecy, ale nic nie powiedziała.

– Coś panią martwi? – zainteresował się Gross, kiedy usiadł obok niej.

Wpatrywała się prosto przed siebie w okno, za którym znajdowała się oświetlona na pomarańczowo wieża kościoła Świętego Mikołaja.

– Kim on jest? – spytała.

Gross drgnął.

– Kto?

– Ten mężczyzna, którego spotkałam na dole. Wysoki, garbaty.

– Był jeszcze na dole?

– Tak. Rozmawiał z tym panem z dyżurki, z tym funkcjonariuszem.

– Skąd go pani zna?

– Widziałam go raz czy drugi. – Spojrzała na niego.

– Ale kiedy?

– Jakiś czas temu. Wychodził z klatki mojego bloku.

– Spotykał się z pani synem?

– A kim on jest? – przestraszyła się. – Czy on mógł mu coś zrobić?

Gross zastanowił się nad jej słowami.

– To były komendant policji w Toruniu, Jan Stelmach – odparł.

– Jan Stelmach? – powtórzyła i zamilkła na chwilę. – Coś mi to nazwisko mówi.

– Zna Korczyńskich – uzupełnił Gross. – Wspierał działania policji w tamtym czasie, gdy pani córka i ich syn zaginęli. Musiała pani przynajmniej o nim słyszeć.

Na biurku zadzwonił telefon.

Komisarz wstał i niepostrzeżenie zerknął na zegarek.

– Halo? – rzekł do słuchawki, tłumiąc nadchodzący kaszel.

– Dyżurny. Panie komisarzu, przyszła Paulina Marcińska. Twierdzi, że była z panem umówiona.

– To prawda.

– W takim razie wpuszczę ją na górę.

– Nie.

– Słucham?

– Nie teraz. Niech poczeka w holu na parterze – powiedział i odłożył słuchawkę.

Odkasznął, a następnie sięgnął po chusteczkę i wydmuchął nos.

Wrócił i usiadł obok Jadwigi Becker.

– Niech się pani zastanowi. Czy syn na pewno nic o nim nie wspominał?

– Może kiedyś – wyznała cicho.

Gross odczekał jeszcze chwilę, ale kobieta nic nie mówiła. Złączyła dłonie na blacie i czekała. Głowa kiwała się rytmicznie.

– Mówi się, że muzyka łagodzi obyczaje – stwierdziła.

Komisarz spojrział na nią uważnie, nie rozumiejąc, dlaczego o tym wspomniała.

– Rafał ostatnio ciągle tylko słuchał muzyki. Spokojnej takiej i melancholijnej. A nawet smutnej. Bardzo smutnej. – Urwała, po czym odwróciła głowę w jego stronę. – Czy pan sądzi, że taka muzyka mogła go skłonić do odebrania sobie życia? Że przez nią to wszystko?

– Przez nią? – zdziwił się, ale jednocześnie drgnął na te słowa. – Przez muzykę? – powtórzył jej pytanie.

– Tak – odparła. – Doprowadzała go do głębokiej zadumy.

– Dlaczego dopiero teraz pani mi o tym powiedziała? – spytał.

Uniosła nieznacznie wątle ramiona, ukryte pod czarnym płaszczem.

– Bo im dłużej z panem rozmawiam, im częściej się spotykamy, tym silniejsze odnoszę wrażenie, że w panu jest taki sam smutek, jak w nim. Jak w moim synu – wyznała. – I jak w tej muzyce, której słuchał.

Gross stężał na chwilę.

– Od kiedy jej słuchał?

Ponownie zawiesiła wzrok na starych ceglach świątyni.

– Nie wiem, chyba od początku lata. – Uśmiechnęła się smutno.

Komisarz milczał.

Czy chodziło o muzykę? Czy naprawdę w całej tej sprawie to ona mogłaby odgrywać główną rolę? Wydawało mu się to niedorzeczne. Nie powinien prowadzić śledztwa na takie manowce. Powinien szukać twardych dowodów, znaleźć je i zabezpieczyć, tak jak to robił wielokrotnie.

– Czy pamięta pan o mojej prośbie? – Kobieta otarła mokre policzki.

Gross nawet nie zauważył, że spłynęły po nich łzy.

– Tak – powiedział i zastanowił się, co zrobić.

Obiecał jej spotkanie z Pauliną Marcińską, dziewczyną jej syna. Ona czekała już na dole, specjalnie to tak ustawił, ale po rozmowie z Jadwigą Becker czuł, że na razie nie może dopuścić do rozmowy obu kobiet. Że najpierw koniecznie musi coś sprawdzić.

– Zostawię panią na chwilę i zaraz wrócę, dobrze? – Poczul mrowienie na całym ciele.

Kiwnęła głową.

– Proszę tu na mnie zaczekać,

– Oczywiście – zgodziła się.

Wyszedł i skierował się na schody.

Drugie piętro komisariatu tonęło w mroku. Mimo to złapał za klamkę drzwi prowadzących do gabinetu Nubińskiego i Łoniewicza. Były zamknięte. Zerknął w stronę pokoju zajmowanego przez Skalską i Judycką. Światło z niego wylewało się na korytarz.

– O, jesteś jeszcze – zwrócił się do siedzącej przy komputerze Judyckiej.

– Czekam na obiecane wyciągi z konta Beckera.

– Ja właśnie w tej sprawie.

– Dam znać, gdy tylko przyjdą.

– Możesz ich ponaglić?

– Robiłam to już dwa razy.

Gross milczał, ale wciąż na nią patrzył.

– Jasne, spróbuję. – Sięgnęła po telefon.

Podziękował i wrócił do siebie.

– Wystąpiły pewne trudności – powiedział Jadwidze Becker. – To spotkanie dojdzie do skutku, ale nie wiem, czy dzisiaj.

Zauważył, że kobieta się ożywiła.

– Dobrze, rozumiem.

Gross uchylił drzwi.

– Odprowadzę panią do wyjścia – dodał i poczekał, aż kobieta wstanie i zapnie płaszcz.

Zeszli w milczeniu na parter.

Już na schodach Gross dostrzegł siedzącą na krześle w pobliżu drzwi Paulinę Marcińską. Założyła nogę na nogę i kiwała nią.

Kiedy dostrzegła ich oboje, odwróciła się plecami w stronę leżącej na drugim krześle torebki i zanurzyła w niej dłonie.

Zeszli na parter i Gross skierował się ze starszą kobietą do zablokowanych drzwi wewnętrznych, nie spuszczać wzroku z Marcińskiej. Cały czas nachylała się nad torebką

– Do zobaczenia, pani Jadwigo – rzucił, a starsza kobieta, zaskoczona tym, że policjant pierwszy raz zwrócił się do niej po imieniu, odwróciła się.

Skinęła mu głową po czym, trzymając się poręczy, zaczęła schodzić po lastrykowych schodach.

Gross kątem oka zauważył, że Marcińska wstała.

– Dobry wieczór – powiedziała z uśmiechem.



Kiedy z domu przy Słowackiego wyszedł Leszek i zabrał małego kundla na spacer, Skalska otrzymała esemes od Otremby.

„Wyszedł, możemy spróbować”.

Policjantka stała nieco dalej we wnęce przy bramie ogrodowej, przy której rosła młoda brzoza. Wiatr szeleścił między jej gałęziami. Wyginał je mocno i zrywał liście. Unosiły się i ginęły w mroku.

Obserwowała oddalającego się Smolińskiego, który sięgnął do tylnej kieszeni spodni, wyjął aparat i nie zważając na psa, skupił wzrok na ekranie telefonu. Skalska zbliżyła się do furtki i ją uchyliła. Podbiegła po schodach do drzwi.

Zastukała.

Nagle spomiędzy szelestu wiatru wyłowiła kroki na mokrym asfalcie.

Wyjrzała w stronę jezdni i zamarła. Przy furtce stał Leszek, a pies patrzył gdzieś w dal, w kierunku ulicy Moniuszki, i napinał smycz, skomląc cicho.

– No, czekaj chwilę – rzucił mężczyzna, nie odrywając wzroku od ekranu.

Skalska przywarła do drzwi i kucnęła tak, by między poręczą a przepierzeniem mieć na oku zarówno psa, jak i Smolińskiego. Widziała opiętą na jego barkach i szerokich plecach markową bluzę dresową.

Po chwili podjechał samochód, który Skalska dobrze знаła. Stary opel astra. Leszek przywiązał psa do furtki i wsiadł do samochodu. Zwierzę natychmiast się rozszczękało.

Wtedy z wnętrza domu dobiegł ją odgłos kroków. Chwilę później światło rozbłysło w korytarzu i wylało się przez świetlik wąską poświatą. Skalska przytrzymała się poręczy, żeby odkleić się od drzwi. Modliła się, by nie usłyszeć zgrzytu zamka, ale ten właśnie się rozległ. Otremba mogła teraz wszystko zepsuć.

Serce waliło jak rozszalałe.

Odwróciła głowę, kiedy otworzyły się na oścież.

Na szczęście stanęła w nich Ewelina Otremba.

– Mnie tu nie ma – szepnęła Skalska.

Ewelina zbiegła po mokrych schodach do furtki, a pies zamerdzał ogonem. Rozwiązała smycz i otworzyła drzwi opla od strony pasażera.

– O, cześć, Rychu. Nie wejdiesz? – spytała.

Skalska nie słyszała, co mówił mężczyzna, ale znowu dobiegł do niej głos wdowy.

– No szkoda, ale jakby coś, to wejdźcie na górę – stwierdziła i zwróciła się do narzeczonego: – A ty głupi jesteś? Psa przywiązujesz do płotu? Tak trudno go było zaprowadzić do domu? Przecież to jego szczekanie słycać na pół osiedla!

Po chwili trzasnęły drzwi, a Skalska opuściła głowę.

Pies podbiegł do niej i zadowolony merdał ogonem. Poglaskała go po łbie, a potem podała Otrembie klucze.

– Sprawdź szybko – poprosiła.

Wdowa spuściła psa ze smyczy, a ten ochoczo wbiegł do domu, ale przystanął na wycieracze okrytej starym ręcznikiem i z zacięciem wycierał o niego mokre łapy.

W świetle padającym z korytarza Otremba przyjrzała się kluczom.

Wsunęła jeden z nich w górny zamek i przekręciła bęben dwa razy w prawo, a następnie w lewo.

To samo zrobiła z drugim kluczem w dolnym zamku.

Skalska dostrzegła, że stalowa sztabka wysuwa się i chowa z powrotem do zamka.

– To te same klucze – powiedziała.

Otremba oddała je z przerażeniem.

– O mój Boże – jęknęła cicho.

W tej samej chwili kierowca astry uruchomił silnik i Skalska usłyszała, jak otwierają się drzwi.

– Ewelina, zaraz wrócę! – krzyknął Leszek.

– A dokąd to? – zapytała.

Nie odpowiedział. Trzasnęły drzwi i zawył silnik.

Wóz odjechał, zostawiając po sobie czarny kłęb spalin.

Kiedy zniknął jej z pola widzenia, policjantka wreszcie się podniosła.

– Chyba już czas – powiedziała.

– Czas? Na co? – zdziwiła się Otremba.

– Pakuj się.

– Żartujesz, prawda? – zapytała.

– Nie. – Skalska poprawiła bejsbolówkę. – Będziemy zdejmować Leszka.

– Jezu... Kiedy? Bo muszę być pewna, nie mogę narazić dziewczynek...

– Przecież dziewczynki są z dziadkami w sanatorium – przypomniała.

– No tak, ale kiedy oni, moi przyszli teściowie, się dowiedzą...

– Pakuj się. Zdejmujemy go jeszcze tej nocy.



Kiedy zamknęli się w gabinecie i Paulina Marcińska zajęła krzesło wygrzane przez Jadwigę Becker, Gross usiadł w fotelu za biurkiem.

Uruchomił YouTube i wyszukał utwór *Piper to the End*. Nie włączył, go, bo na pasku z prawej strony zobaczył kolejne ikony teledysków i nagrań. Jedno ze zdjęć przykuło jego uwagę. Młody Mark Knopfler otwierał usta przy mikrofonie. Miał wtedy szczupłą twarz i dłuższe blond włosy, które opadały na czerwoną frotkę widoczną na czole.

Podobną fotografią mógł się pochwalić Marcin Korczyński. Wisiała w domu przy drzwiach wejściowych. Gross zrobił nawet kserokopię tego zdjęcia.

Ponownie popatrzył na ekran, a później coś mu się przypomniało.

Otworzył górną szufladę biurka, potem kolejne.

„Gdzieś to tu wkładałem”, powtarzał sobie i sięgnął ręką głębiej.

Wyczuł miękką kopertę bąbelkową. Wyjął ją i rozerwał.

– Jeszcze chwilę – rzucił Marcińskiej.

Sięgnął po bandanę, którą wsunął sobie do kieszeni, a potem kliknął w okładkę płyty Marka Knopflera *Get Lucky*, na którym nagrana była studyjna wersja utworu słuchanego przez Rafała Beckera.

Spojrzał z ukosa na Marcińską, ale ta przyglądała się meblóściance i bezwiednie skubała skórki przy paznokciach.

– Ma pani dowód osobisty? – spytał. – Bo będzie potrzebny.

– Mam.

– To znakomicie.

Ta okładka coś mu przypomniała. Nie wiedział tylko co.

Ponownie rzucił okiem na kobietę.

Włączył muzykę i podszedł do stołu.

– Czego pani szukała? – odezwał się.

– Dowodu – stwierdziła z dłońmi schowanymi w torebce.

– Nie teraz. W holu na dole.

– Ach, o to chodzi. Zmartwiłam się, że zgubiłam telefon. Byłam przekonana, że schowałam go do torebki. – Wyjęła dokument z portmonetki i podała go Grossowi.

– Zaczął dzwonić? – spytał, zerkając na dokument tożsamości.

„Zuzanna Paulina Marcińska”.

– Tak mi się wydawało.

– A był tam?

– Słucham?

– Telefon. Był w torebce? – powtórzył.

– Nie. Przez cały czas miałam go w kieszeni kurtki. – Uśmiechnęła się lekko. – To wszystko przez ten stres.

– Nikogo nie oszczędza – powiedział Gross spokojnie. – A czasami dręczy nas przez długie lata.

W tle Mark Knopfler zaczął śpiewać, a kobieta niemal niezauważalnie drgnęła.

– Ma pani na imię Zuzanna?

– Tak, ale nie lubię tego imienia. Wolę to drugie. Wszyscy tak do mnie mówią.

– Oba są piękne – zapewnił i zamilkł.

Flety i skrzypce ucichły, ustępując pola gitarze i głosowi brytyjskiego muzyka.

– Zna pani ten utwór? – spytał, zerkając na jej numer PESEL. Urodziła się w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym.

Kiwnęła głową.

– Tak, ale chyba nie przyszłam tu słuchać z panem muzyki, prawda? – odparła. – Przecież nie o tym chciał pan ze mną rozmawiać.

Gross otworzył usta, jakby zamierzał coś powiedzieć, ale w rzeczywistości dał czas smutnej melodii na to, by wybrzmiały kolejne akordy gitary. I by oboje mogli usłyszeć dalszą część tekstu odśpiewanego przez brytyjskiego muzyka ze schrypniętym głosem.

– „Choćby przyjaciół rozdzielić miał czas – zaczął. – Pewnego dnia spotkamy się znów, powrócę, by nie zostawić cię więcej”...

Odwrociła głowę, a mimo to dostrzegł w niej nerwowość, z którą sobie nie radziła. Napięte mięśnie twarzy, dłonie zaciśnięte w niewielkie pięści.

– Piękne słowa, prawda? – spytał.

– Nie znam angielskiego. Ale Rafał często to śpiewał. Przynajmniej ostatnio.

– Tak – rzekł Gross. – Musiał mieć powód.

– Powód? – zdziwiła się.

Rozdzwonił się telefon stacjonarny.

Komisarz wstał i przeszedł za biurko. Spokojnie podniósł słuchawkę.

– Mam! – rzuciła Judycka.

– Tak – odparł. – Komisarz Gross przy telefonie.

W słuchawce zapadła cisza.

– Okej, szefie – stwierdziła niepewnie. – Rozumiem, że masz gościa.

Gross ucieszył się, że policjantka podjęła grę.

– Oczywiście, pamiętam. Proszę mówić, pani aspirant. – Odwrócił się tak, by mieć oko na Marcińską.

– Becker wygląda na splukanego. Nie ma kasy na koncie. Tuż po wypłatach, widać to wyraźnie, sukcesywnie wyciągał spore sumy w różnych bankomatach. Głównie w Toruniu. Miał wysoki limit.

– Jest pani pewna, że to kradzież? O jakiej sumie mówimy? – odparł.

– Kilka tysięcy złotych, najczęściej wypłacał je do trzech dni po przelewach z firmy Korczyńskiego.

– To sporo? Coś jeszcze zginęło?

– Na razie nie. Odezwę się, jeśli coś znajdę.

– Oczywiście, zajmiemy się tym. Będziemy w kontakcie. Dziękuję, pani aspirant – dodał i odłożył słuchawkę na bazę.

Oparł się pięściami o biurko, bo nagle jego wzrok padł na położony obok kolorowy wydruk z profilu Pauliny Marcińskiej. Przyglądał się grafice na zdjęciu w tle. Czerwone i żółte poziome paski i kilka kropek w jaśniejszym kolorze. Fragment okładki płyty Marka Knopflera.

Przeniósł wzrok na monitor, a potem na młodą kobietę.

Zadrżał, czując narastający w nim niepokój.

– Marnuje pan mój czas – zirytowała się długim oczekiwaniem Marcińska. – Przypominam, że mieliśmy załatwić formalności.

Gross wstał i podszedł do regału. Z przezroczystej kuwety biurowej wyjął formularz przesłuchania świadka i pokazał jej, siląc się na uśmiech.

– Ma pani rację, przepraszam – powiedział, odwróciwszy się do biurka, żeby wziąć długopis. – Wie pani, o czym jest ta piosenka?

Zerknęła na zegarek.

– Chciałabym tylko powiedzieć, że niedługo mam pociąg powrotny – ostrzegła.

– O młodym, zaledwie dwudziestoletnim dudziarzu, który zabrał ukochany instrument na wojnę, ale szybko zginął od kul wroga.

– Panie komisarzu...

– To był wujek tego brytyjskiego muzyka. – Gross wszedł jej w słowo. – Był żołnierzem jednego ze szkockich batalionów. Zginął na północy Francji w zasadzie niespełna rok po wybuchu wojny. Miał na imię Freddy.

Obserwował ją.

Wbiła wzrok w podłogę.

– I całe życie przed sobą – kontynuował. – Zapewne miał dziewczynę, do której, tak jak inni koledzy z wojska, zamierzał wrócić. Gdyby to się mu udało, pewnie nauczyłyby grać na dudach swoje dzieci, a potem wnuki. Ale pozostawił po sobie jedynie żałobę.

Znowu drgnęła albo tak mu się tylko zdawało.

– Rafał Becker mówił, że „żałoba to najsmutniejszy z refleksów miłości”. Sądzę, że nauczył się tego od pani, prawda?

Splotła dłonie i zaczęła ścisnąć palce, aż zbieleły jej kłykcie.

– Podobno ten Freddy cały czas grał żołnierzom na dudach. Niósł im nadzieję. W tych dźwiękach, daleko od rodzinnych stron, każdemu z nich podawał na tacy wspomnienia o domu, o ukochanej, o matce. Prawdziwy bohater, po którym aż chce się uronić łzę.

– Niech pan... – zaczęła, spuszczać głowę. – Proszę się zająć tymi formalnościami. – Wykrzywiła usta w grymasie złości.

– I ten tekst. Zupełnie niezwykły – ciągnął, nie zwracając na nią najmniejszej uwagi i zaglądając do szuflad w poszukiwaniu długopisu. – Są tam takie fragmenty, które rzeczywiście chwytają za gardło. Niewielu muzyków potrafi tak pięknie ująć motyw śmierci i powiązać go, chociaż wydawałoby się to trywialne, z zachodem słońca. Ale u niego ten zachód słońca jest wspaniały. Symboliczny i piękny zarazem.

– Panie komisarzu.

– Jest tam taka fraza: *Clouds are lined with golden thread* – powiedział słabą angielszczyzną. – Długo nie rozumiałem, o co mu chodzi, ale potem przypomniałem sobie chmury, które oświetla zachodzące słońce. I one rzeczywiście wyglądają tak, jakby obszyto je złotą nitką, chociaż nigdy nie myślałem o tym w tak poetycki sposób.

Otwartą dłonią uderzyła w stół.

– O, mam długopis – ucieszył się. – Możemy zaczynać.

Kobieta się nie wyprostowała, a jej dłoń wciąż pozostała na blacie. Trzymała się go jak tonący deski.

Widział, że cała drży.

Podszedł do niej.

– Musi mi pani raz jeszcze wszystko opowiedzieć.

Zgodziła się, kiwając głową, ale nic nie odpowiedziała.

Szlochała cicho, poddając się naporowi łez.

Gross sięgnął do kieszeni i wyciągnął czerwoną chustę. Rozłożył ją na blacie i przesunął w jej kierunku.

– Proszę. Może się pani przydać – powiedział.

Zerknęła na chustę i sięgnęła po nią.

I nagle jakby materiał zaczął parzyć ją w dłonie.

Zmięła chustę tak, że zginęła w jej zaciśniętych pięściach.

Przyglądał się jej uważnie.

W tle Knopfler przejmująco śpiewał refren.

Gross nagle poczuł ból w klatce piersiowej. Zakręciło mu się w głowie. Przytrzymał się stojącego obok krzesła. Przeraził się, że mógłby w tej właśnie chwili stracić przytomność i osunąć się bezwładnie na podłogę. Wtedy wszystko by zaprzepaścił.

Świeża porcja adrenaliny zasiliła krwiobieg i spłyciła oddech. Krew szumiała mu w uszach.

Kobieta załkała.

Musiał to przetrwać.

– Niech pani nie płacze – rzekł schrypniętym głosem.

Jej ciało się trzęsło, jakby wezbrana fala uderzyła w spękaną tamę.

Odczekał dłuższą chwilę.

– Wszystko będzie dobrze – zapewnił Gross, ale kobieta, jakby w odpowiedzi na jego słowa, nagle zawyła.

Usłyszał przeraźliwy, krótki jęk z trzewi, niczym echo dalekiej przeszłości. Ścierpła mu skóra.

Udzielił mu się jej lęk.

– Niech się pani uspokoi – wyszeptał, chociaż równie dobrze te słowa mógł skierować do siebie. – Już po wszystkim.

Wreszcie uniosła głowę tak, że mógł spojrzeć w jej opuchnięte od płaczu oczy. I bandanę, którą nawinęła na dłoń.

– Już po wszystkim, pani Justyno.



Dwie godziny później, kiedy Gross zrozumiał, z kim ma do czynienia, i poznał tajemnicę tego, co się wydarzyło w noc zaginięcia młodych ludzi, Judyta Judycka wprowadziła do jego gabinetu wystraszoną Jadwigę Becker.

Komisarza bolała głowa, mimo że połknął dwie tabletki przeciwbólowe. Dopadła go migrena, na którą nigdy dotąd nie cierpiał. Zrobiło mu się niedobrze i drażniło go światło. Przez dłuższy czas siedział z zaciśniętymi powiekami, a w gabinecie świeciła się wyłącznie lampa na biurku.

Kiedy Judycka włączyła górne światło i wyszła, zostawiając ich samych, zacisnął powieki.

Starsza kobieta usiadła ciężko, ale stres zupełnie odebrał jej mowę. Patrzyła wyczekująco na policjanta.

Zastanawiał się, jak zacząć tę rozmowę.

– Proszę się nie obawiać. Nie mam żadnych złych wieści – zapewnił.

Chciał ją uspokoić, ale chwilę później zdał sobie sprawę, że Jadwiga Becker wszystkie złe informacje ma już za sobą. Szesnaście lat temu zaginęła jej córka, potem zmarł mąż, a syn prawdopodobnie odebrał sobie życie w cichym lesie.

– Co się stało? – spytała przejęta. – Dlaczego tak nagle...? Czy...?

Uspokoił ją, podnosząc dłonie.

Żołądek wciąż miał ściśnięty i cały czas mrużył oczy.

– Jest coś, o czym powinna pani wiedzieć – zaczął. – Wiem, co się stało w nocy z dwudziestego pierwszego na dwudziestego drugiego czerwca dwa tysiące drugiego roku.

Głowa kobiety drgała, ale jej twarz zupełnie zastygła.

Obawiał się o jej serce i zdrowie, o to, czy prawda jej nie zabije.

Musiał jednak to powiedzieć. Taka była cena zdobytych informacji.

Musiał wziąć na siebie ten ciężar.

– Proszę... Niech pan wreszcie... – Głos się jej łamał.

Pokiwał głową.

A zaraz potem opowiedział jej o feralnej nocy tamtego lata.



Dwadzieścia minut później kobieta kolejny raz osuszyła chusteczką policzki.

– Skąd pan to wszystko wie? – spytała, dygocąc od płaczu. – Kto to panu powiedział?

Miał wrażenie, że w trakcie tej rozmowy Beckerowa postarzała się co najmniej o kilkanaście lat. Widział wyraźnie wszystkie jej głębokie zmarszczki, bladospine usta i wilgotne, niemal pozbawione rzęs małe oczy z pożółkłymi białkami.

Kościste dłonie z palcami powykręcany artretyzmem i z rozsianymi plamami wątrobowymi powędrowały do oczu.

Być może zrozumiała już, skąd Gross miał te informacje.

– Czy ona... – Głos się jej łamał, policzki błyszczały od łez. – Czy Justysia naprawdę żyje?

– Myślę, że rozpoznała ją pani na zdjęciu. – Gross wstał i otworzył drzwi. – Nie jest do siebie podobna w wyniku kilku operacji plastycznych i otyłości spowodowanej tarczycą. Ale sądzę, że matka mogła ją poznać.

Kobieta struchlała.

– Myślę, że tak właśnie było, i dlatego chciała się pani z nią spotkać.

Podszedł do niej i podał jej rękę, żeby wstała. Czuł, jak wielki wysiłek Beckerowa wkłada w to, by zrobić przy nim kilka kroków. Bał się, że opuszczają ją siły, i dlatego musiał być na to gotowy, gdy nogi odmówią jej posłuszeństwa.

Wyszli na korytarz i poszli do sali spotkań.

Przez mleczny świetlik widzieli, że wewnątrz pali się światło.

Gross dostrzegł przy stole ciemne postaci majaczące jak duchy snujące się w zamkniętej przestrzeni.

– Jest pani gotowa? – spytał, prowadząc ją pod ramię, ale nie doczekał się odpowiedzi.

Jej głowa dygotała rytmicznie.

Chwytał za klamkę i nacisnął ją do końca.

Kiedy uchylił drzwi, Justyna Becker siedziała do nich tyłem.

Musiała usłyszeć skrzypienie albo wyczuła na sobie wzrok matki.

Odwróciła się i spojrzała na nich.

Gross poczuł, jak starsza kobieta, którą podtrzymywał ramieniem, opiera na nim swój ciężar. Otworzyła usta, jakby dostała od życia cios w brzuch, a potem z jej wątlej klatki piersiowej wyrwał się cichy skowyt.



Gross zostawił obie kobiety w pokoju pod okiem Łoniewicza. Wezwał go pilnie z domu, ale funkcjonariusz nie stawiał oporu i przyszedł po kilkunastu minutach. Poinstruowany dokładnie wiedział, co ma robić.

Potem komisarz zajrzał do śmieci i wyjął z nich cztery części przedartej wizytówki. Ułożył je prawidłowo, żeby mógł odczytać numer telefonu komórkowego byłego komendanta Jana Stelmacha.

Wraz z tą układanką ułożyły się kolejne. Przypomniawszy sobie, jak analizował ruchy garbatego emerytowanego policjanta i próbował połączyć jego zainteresowanie sprawą zaginionych studentów z tym, co się wydarzyło poprzedniego dnia.

Zrozumiał to dopiero teraz.

Chodziło o dzień odnalezienia szczątków Marcina Korczyńskiego.

Jego ojciec, Wiktor, wciąż o tym nie wiedział. Brakowało oficjalnej identyfikacji zwłok, którą

lekarka sądowa miała podpisać zapewne następnego dnia. Więc to nie on był źródłem przecieku. To nie ojciec zabitego chłopaka wezwał Stelmacha na pomoc.

Były komendant kłamał.

„Musiał to zrobić ktoś stąd”, uznał Gross.

Wybrał numer do jednego ze swoich podwładnych.

– Nubiński, słucham – odezwał się podkomisarz.

– Cześć, tu Gross. Możesz rozmawiać? – rzekł konspiracyjnie.

– A co się stało?

– Chodzi o te odnalezione dokumenty Grzegorza Otremby.

– A co z nimi?

– Mam kłopoty w roszyfrowaniu niektórych zapisków.

– Aha – odezwał się Nubiński. – No i?

– Chciałem, żebyś mi pomógł.

– Teraz? Przecież jest prawie noc.

– Wiem, ale ta sprawa nie może czekać. Są pewne naciski... – Zawiesił głos. – Słyszałeś o byłym komendancie?

Do komisarza docierał rytmiczny, świszczący oddech Nubińskiego.

– Moglibyśmy to zostawić do rana, ale przez niego wszyscy tu mają podwyższone ciśnienie.

Łącznie z naszą komendantką.

– Dobra – skapitulował Nubiński. – Zerknę w te papiery.

Gross zakończył połączenie, ale nie odłożył telefonu.

Wybrał numer Skalskiej.



Monika Skalska zaniósła świeżą pościel do pokoju na piętrze, gdzie rozłożyła sofę. Pościeliła, a potem na kołdrze położyła dwa wyprane ręczniki.

W pokoju było chłodno, więc wtoczyła do niego piecyk olejowy w kształcie żeliwnego kaloryfera na kółkach i włączyła od razu na dwójkę. Potem zaczęła napuszczać gorącej wody do wanny.

Zostawiła włączone światło na poddaszu, a potem zeszła na parter i w ciemnym salonie usiadła w fotelu. Wyciągnęła z kieszeni srebrne klucze i bawiła się nimi do chwili przyjazdu Eweliny Otremby.

Woda na górze szumiała, kiedy światła samochodu prześlizgnęły się po oknach i ją oślepiły. Słyszała wyraźnie warkot silnika. Po chwili samochód odjechał i Skalska usłyszała ciche pukanie do drzwi.

– Co ja mu powiem? – Ewelina Otremba wyglądała na przerażoną. Z ramienia zwieszała się niewielka sportowa torba. – Jak mu się z tego wytłumaczę?

Skalska spojrzała jej w twarz.

– Najpierw weź ciepłą kąpiel. – Skinęła głową w kierunku schodów. – A potem się zastanowimy. Moi koledzy czekają na sygnał. Zaraz go zdejmujemy.

– Jezu, co on takiego zrobił? – Skryła twarz w dłoniach.

– Obawiam się, że ma na sumieniu śmierć Rafała Beckera.

– Boże... przecież to niemożliwe. Jesteś tego pewna?

Skalska milczała.

Otremba zaczęła drzeć, ale ruszyła na schody. Szła ciężko ze spuszczoną głową.

Policjantka odprowadziła ją wzrokiem. Odczekała, aż Ewelina Otremba wejdzie na górę. Usłyszała jeszcze skrzypnięcie drzwi do łazienki. A potem ustał szum wody.

Skalska otworzyła drzwi wejściowe i zamknęła je z głośnym trzaskiem.

Odczekała chwilę, a potem weszła na górę i czterdzieści minut siedziała w swojej sypialni. Tyle zajęła Ewelinie kąpiel.

Kobieta krzyknęła, gdy wychodząc z łazienki w szlafroku Skalskiej, natknęła się na policjantkę.

– Kurwa! Ale mnie przestraszyłaś.

Aspirantka sztabowa przyjrzała się zaczerwienionej od gorącej kąpieli twarzy i gładkiej skórze bez żadnych szkarad. Ani siniaków po uderzeniach.

– Musiałam wrócić po coś ważnego – powiedziała i zbiegła po schodach na parter. – Zamknę drzwi na klucz i zgaszę światło. Nikomu nie otwieraj, okej? – zawołała już z dołu.

– Jasne! – odkrzyknęła Ewelina.

Skalska włożyła polar i ocieplacz. Wydłubała z opakowania drażetkę gumy do żucia.

Nałożyła bejsbolówkę i wyszła na skąpaną w nocnym deszczu Chełmżę, która oddychała gryzącym smrodem z kominów.

Zamknęła drzwi.

Wyjęła telefon, żeby zadzwonić do Grossa, ale jego nazwisko pojawiło się na wyświetlaczu i wyciszony telefon właśnie zawibrował.

Zanim odebrała, przypomniała sobie to, co tylko potwierdziło jej wątpliwości. Chodziło o ten wieczór, kiedy Skalska poszła sprawdzić dorobione przez laboratorium klucze, które ostatecznie pasowały do zamków w drzwiach domu Smolińskiego. Pamiętała, kiedy Ewelina Otremba wyszła z domu i zbiegła po schodach do samochodu Nubińskiego. Siedział w nim jej narzeczony.

Ofuknęła go.

Skalska odebrała bzycający w jej dłoni telefon.

– Pomyliłam się – rzuciła do Grossa.

– Ja też – odparł policjant.



Nubiński wszedł do gabinetu Grossa ubrany w krótki ocieplany płaszcz.

Przywitali się uściskiem zimnych dłoni, a podkomisarz wciąż sapał, gdy rozsiadł się na jednym z krzeseł.

– No i gdzie masz te papiery? – spytał szefa wydziału kryminalnego.

Gross poszedł do biurka i zabrał teczkę materiałów zbieranych przez Grzegorza Otrembę. Przeniósł ją i otworzył przed podwładnym.

– Nie rozbierzesz się? – spytał.

Nubiński skupił wzrok na okładce i nazwisku Skalskiej wypisanym drukowanymi literami. Ale o nic nie zapytał.

Palcami obu dłoni pocierał głośno kciuki.

– Mam szukać czegoś konkretnego?

– Znajdź wszystko to, co pomoże nam w tej sprawie – poprosił Gross i sam usiadł za monitorem.

Zdążył wrócić przed przyjściem Nubińskiego. Wybrał się do kamienicy w Rynku, gdzie spotkał się ze starszym mężczyzną, opiekującym się schorowaną żoną. Poszedł do niego, bo przypomniało mu się coś, co starzec powiedział mu podczas pierwszej rozmowy. To, że Płockich stale odwiedzali inni funkcjonariusze.

- Co miał pan wtedy na myśli? – spytał starszego mężczyznę w ościeplaczu. Stali w przedpokoju, Gross nie miał czasu się rozsiadać.
 - Jednego takiego niskiego korpulentnego podkomisarza.
 - Nubińskiego?
 - Tak, tak się właśnie nazywał.
- Gross podziękował i wyszedł.



- Może zabrałbym to do siebie, bo wiesz... – Nubiński odwrócił się do komisarza. – Nie chciałbym ci przeszkadzać.
- Nie przeszkadzasz. Czytaj, bo czas goni. – Gross udawał zdenerwowanie i markował pracę na komputerze. Stukał w klawiaturę i bawił się myszką. W rzeczywistości zerkał na pracownika swojego działu i jednego z szefów nieformalnych zespołów śledczych w wydziale kryminalnym.
- Podkomisarz im więcej papierów przejrzał, tym czuł się swobodniej. Napięcie zniknęło.
- I jak? – spytał Gross, gdy Nubiński przewrócił ostatnią kartkę.
- Kolega wypuścił powietrze z płuc.
- Nie widzę tu niczego, co zmieniałoby obraz zaginięcia. Sprawa wciąż jest martwa.
- Martwa. – Gross powtórzył jak echo. – Jesteś pewien?
- Absolutnie. – Nubiński podparł się rękoma i wstał, sapiąc. – Możesz mi zaufać. Siedzę w tym niemal od początku i znam temat jak własną kieszeń.
- Oczywiście. Dziękuję. Ale słyszałeś o zwłokach odnalezionych koło dobudówki?
- No. A co z identyfikacją?
- Czekamy, trochę to potrwa.
- Zawsze musimy czekać. To staje się nieznośne. – Nubiński zapiął płaszcz. – A tak á propos, co z twoją emeryturą?
- Czeka na mnie, a ja na nią. – Komisarz postarał się uśmiechnąć.
- Nubiński pokiwał głową i chwycił za klamkę.
- Poczekaj – poprosił Gross – Chciałbym ci coś pokazać.
- Wyjął worek strunowy z kartą dostępu do Vido Industries i położył go na biurku.
- Co to jest? – Nubiński się cofnął.
- Karta pomiaru czasu pracy.
- Aha.
- Znalazłem ją w mieszkaniu Rafała Beckera. Była w kieszeni spodni, w szafie.
- Nubiński ściągnął brwi.
- I co w związku z tym?
- Należała do Leszka Smolińskiego.
- Czekaj, bo nie nadażam. – Nubiński przetarł gęsty wąs.
- Nie tylko zresztą ta karta – kontynuował Gross. – Pamiętasz, jak tamtej nocy, kiedy odkryliśmy ciało Beckera, znalazłem klucze?
- No.
- One też należały do Smolińskiego. Pasują do drzwi wejściowych jego domu.
- Moment. – Podniósł palec wskazujący. – Uważasz, że to on zabił Beckera?
- Właśnie został zatrzymany – wychrypiał Gross.
- Nubiński wybałuszył oczy.
- Jesteś naprawdę niesamowity – rzucił, uśmiechając się szeroko.

– Ty też – odparł spokojnie Gross. – Bo nie przypuszczałem, że będziesz na tyle sprytny, by podrzucić kartę w trakcie oględzin pokoju Beckera.

Uśmiech podkomisarza zbladł.

Ryszard Nubiński wsunął dłonie w kieszenie dżinsów.

– Że co? – warknął.

– Przez te wszystkie lata, mimo wielu zarzutów Rajmunda Gracza, nieróbstwo uchodziło ci zawsze na sucho.

– O czym ty mówisz? Chyba trochę się zagalopowałeś, co?

– Miałeś dobre wsparcie, Rychu. Właściwie najlepsze. A komendant Stelmach pewnie dałby się za ciebie pokroić. Nie wiem, co was łączy, ale obawiam się jednak, że Stelmach nie ma pojęcia o twoim udziale w sprawie sprzed szesnastu laty. Zmanipulowałeś go, jestem pewien. – Gross nadwyręzał zdarte struny głosowe. – I na pewno nie wiedział nic na temat pewnej plotki.

– Jakiej plotki? Co ty pieprzysz?

– W każdej plotce jest ziarno prawdy. Znasz to? – Komisarz sięgnął po zdjęcie i wyszedł z za biurka.

Dzielił ich tylko stół konferencyjny.

– Byłeś bardzo czujny, ale zazdrość pomieszała ci w głowie. Próbowales odbić Justynę Becker. Łaziłeś za nią – mówił z trudem Gross. – A odrzucenie pięknej i młodej dziewczyny żarło cię jak rak.

– Zgłupiałeś do reszty? – prychnął Nubiński i zrobił niewielki krok do tyłu. – O co ci chodzi?

– Śledziłeś ich oboje. Ona to wiedziała. Widziała cię za Mistralem. W ten sposób trafiłeś za nimi do przybudówki. Podglądałeś ich, jak się kochają, bo ona celowo nie zasłoniła okna. Chciała ci pokazać, że dla niej w ogóle się nie liczysz, że kocha Korczyńskiego.

Nubiński wyraźnie pobladł.

– A to bolało, prawda? Tkwiło w tobie jak zadra. Poniżyła cię.

– Co ty pierdolisz? – sarknął tęgawy funkcjonariusz.

– Odczekałeś, aż zasną, a potem zazdrość spłynęła na ciebie jak mgła. Zabiłeś Marcina we śnie, a Justynę prawie byś udusił. – Komisarz z trudem wypowiadał każde słowo. – Ale ona wolałaby umrzeć razem z ukochanym, niż przeżyć ten gwałt.

– Kurwa! Bredzisz, człowieku! – Nubiński odwrócił się do Grossa. – Kto ci takich głupot nakładł do głowy? – Podkomisarz pluł drobinkami śliny.

– Może chciałeś go tylko nastraszyć albo ogłuszyć, ale zrobiłeś jeden krok za daleko – relacjonował Gross.

– Pojebało cię! Nic na mnie nie masz! – Krępy policjant oddychał głośno przez usta.

– Ale jednego nie przewidziałeś. – Gross go zignorował i sięgnął po leżące na stole zdjęcie.

Patrzył na tę samą fotografię, ukrytą w portmonetce pod zdjęciem Justyny Becker. Wtedy twarz młodej dziewczyny wydawała mu się znajoma, ale nie umiał określić podobieństwa.

Przyjrzał się jej raz jeszcze, a następnie wbił wzrok w Nubińskiego. Ta sama oprawa oczu i szeroka nasada nosa.

– Zostawiłeś swoje DNA – oznajmił Gross, podając mu zdjęcie.

Przyglądał się, jak niedowierzanie odmalowywało się na twarzy policjanta. Otworzył usta, ale nie padł z nich żaden dźwięk. Im dłużej patrzył w fotografię, tym szerzej rozwierały się jego powieki.

– To twoja córka – powiedział Gross. – Wróciła po latach do Polski razem z matką. Razem ze zgwałconą przez ciebie tamtej nocy Justyną Becker.

– Nie! To niemożliwe! – ryknął Nubiński. – Przecież ona ruchała się z Korczyńskim, kurwa mać!

– Zemsta zaślepia. – Gross podszedł do drzwi. – Korczyński używał prezerwatywy.

– To są wszystkie bzdury – syknął Nubiński. – Nikt ci w to, kurwa, nie uwierzy!

– To już nie jest kwestia wiary – stwierdził Gross. – Justyna Becker żyje i wciąż jest świadkiem zabójstwa Marcina Korczyńskiego, a my właśnie odkopaliśmy jego zwłoki. Wiemy też, kto zabił Rafała Beckera.

– Kurwa mać! – ryknął Nubiński i poderwał stół, który z hukiem wylądował obok komisarza. Przerażony jak złapany w sidła zwierz, spojrzął na Grossa i sapał przez otwarte usta. – Jesteś jebnięty!
– Ruszył do drzwi i niemal wyrwał je z zawiasów.

Zbiegł na dół.

Gross słyszał, jak dudnią pod nim schody, ale chwilę później dotarło do niego kilka wrzasków.

– Policja! Na ziemię!

dwa dni później

Schody trzeszczały tak samo jak poprzednio.

Komisarz Bernard Gross wspinał się nimi do mieszkania Płockich.

Zastukał w drzwi, z których obłaziła farba, i wlepił wzrok w starą i koślawą szafkę z butami znajdującą się przed wejściem.

Drzwi uchylił się nieznacznie.

W szparze pojawiła się twarz Płockiej.

– O Jezu, co znowu? – wyjęczała kobieta. – Dlaczego nas stale nachodzicie?

– Wolałaby pani rozmawiać w komisariacie? – spytał, a ona pokręciła głową. – Mąż jest?

Przytaknęła.

– Muszę z wami porozmawiać, żebyście nie mieli kłopotów.

– Jesteśmy niewinni – zapewniła.

– Wiem. Teraz już wiem.

Zaprosiła komisarza do środka.

Skierował się do kuchni, gdzie przy stole nad otwartą puszką piwa siedział Płocki.

Gross usiadł na wolnym taborecie.

Dzieci bawiły się w pokoju obok.

– Mogliście od razu powiedzieć nam prawdę – stwierdził.

Płocki spojrzał na żonę, która opierała się o szafki, a ta, speszona, odwróciła wzrok.

Poprzedniego dnia komisarz poprosił Judycką o przejrzenie monitoringu miejskiego sprzed siedemnastego września, czyli dnia, w którym prawdopodobnie zaginął Rafał Becker. Robili to już wielokrotnie, szukając na filmach mężczyzny, ale Gross wiedział, że nie szukali tego, którego szukać powinni. A już na pewno nie w tym miejscu. Dlatego tym razem zweryfikowali nagrania z ulicy Sądowej. Tej, przy której stał komisariat.

Wrócił na chwilę do wspomnień.

Judycka przyszła do niego z płytą CD w ręku.

– Co to jest? – spytał.

– To, czego szef szukał.

Włożył płytę do napędu i czekał, aż komputer przeanalizuje zawartość płyty oraz podpowie, jakich aplikacji użyć dla znajdujących się na nośniku plików. Trochę czasu to zajęło. Gross wybrał opcję odtwarzania filmów.

Obraz pojawił się po chwili. Wyraźny jak nagranie w telewizji.

Siedemnastego września mężczyznę idącego od bulwaru w kierunku starówki oślepiła słońce, które kładło miękkie refleksy na gładkiej tafli jeziora. Na ramieniu bujała się skórzana torba.

Mężczyzna zbliżył się do drzwi komisariatu, gdy od strony Kopernika podeszła do niego kobieta. Rozmawiali chwilę. Nic nie wskazywało na kłótnię, ale ona dwukrotnie go zatrzymywała, kładąc mu rękę na ramieniu. Nie wrywał się. Nie odtrącał jej. Stał potulnie.

W końcu kobieta wyjęła komórkę i zaczęła rozmawiać, cały czas mając mężczyznę na oku i w zasięgu ramienia.

Kiedy drzwi komisariatu się otworzyły, do Rafała Beckera rozmawiającego z Eweliną Otrembą dołączył krępy funkcjonariusz w obszernej kurtce moro i traperach. Ryszard Nubiński wskazał ręką na parking i cała trójka przeszła do jego opla astry.

Usiedli.

Po chwili wóz wolno wytoczył się z parkingu.

Film się urwał i ekran wypełniła czerń.

Judycka przejęła myszkę i uruchomiła drugie nagranie.

Kamera zainstalowana przy nowoczesnej siłowni w pobliżu stadionu chełmżyńskiej Legii skierowana była na ulicę 3. Maja.

Zapis trwał kilkanaście sekund. Data i godzina widniały w rogu ekranu. Między pierwszym a drugim filmem upłynęło niespełna sześć minut.

Gross patrzył, jak w stronę kamery zbliżają się ciężarówka i dwa samochody dostawcze. Jechały na Pluskowęsy. Za nimi w oku kamery pojawił się opel astra Nubińskiego.

Obok kierowcy siedziała Ewelina Otremba.

Ale gdy wóz mijał kamerę, Grossowi mignęła jakaś postać na tylnej kanapie.



Gross przerwał te wspomnienia i popatrzył na Płockich.

– Terroryzował was jeden człowiek. Bił was i wasze dzieci, a wy nie reagowaliście.

– Napisałam pismo – broniła się Płocka.

Mąż spojrział na nią zaskoczony.

– Co zrobiłaś? – wrzasnął. – Miałas być cicho. Mieliśmy nie gadać z glinami.

– Zamknij się! – Wyjrzała z kuchni.

Gross powiódł za jej wzrokiem.

Patrzyła na dzieci, które zaskoczone krzykami odwróciły się w ich stronę.

– Bawcie się, bawcie – powiedziała, siląc się na uśmiech, a potem przytknęła drzwi.

Siedzieli w ciszy.

– Podkomisarz Ryszard Nubiński został zatrzymany. – Gross chciał ich uspokoić. – Możecie powiedzieć prawdę.

Płocki upił kilka łyków piwa i przegryzł suchą bułką, a jego żona objęła się ramionami.

– Przyłaził i bił mnie, a potem przyłożył też kilka razy dzieciakom. – Jego oczy zwilgotniały. –

Kiedy żona mu się postawiła, też oberwała.

– Czego od was chciał?

Płocki ponownie spojrział na żonę, a ta niezauważalnie skinęła głową.

– Dobudówki za bezcen.

kilka dni później

Prokurator Artur Legner podrapał się po głowie, a gabinet Grossa wypełnił się zapachem drogich perfum.

– Biuro Spraw Wewnętrznych zaangażowało się w dorwanie Stelmacha – stwierdził prokurator. – Grzebią w przeszłości. Siedział w rozpiętej puchowej kurtce, pod którą marszczyła się marynarka. Leninówkę położył na skórzanej teczce, która stała na siedzisku krzesła, a z oparcia zwieszał się kaszmirowy szalik w szarą kratę. – Aż żal, cholera, że nie mamy tych brakujących materiałów Grzegorza Otremby – zmartwił się prokurator.

Gross wzruszył ramionami.

– To już chyba nie ma takiego znaczenia. Najważniejsze, że mamy zeznania Justyny Becker i zabezpieczoną krew Korczyńskiego.

– No właśnie, a co z tą bandaną? – Legner strzepnął paproch z marynarki.

– Wygląda na to, że Becker grał z Nubińskim w niebezpieczną grę.

– Czyli? – Skrzywił się Legner.

– Chodziło o tani zakup dobudówki. Becker wiedział, że wciąż mogą być tam ślady krwi. Zastrzegł, że przekaze materiały Nubińskiemu, ale ten załatwi od Płockich niższą cenę. Chciał wyremontować to mieszkanie i zwiększyć jego wartość, ale widocznie coś w poszło nie tak i remontu nie zrobił. W każdym razie, kiedy Becker pojawił się pod komisariatem, musiał mieć przy sobie kopię materiałów Grzegorza i tę bandanę. Być może był to ostatni etap transakcji.

– No i?

– Chustę odnaleźliśmy w kieszeni kurtki powieszonego Beckera. Ale to już pan wie. Co ciekawe, Nubiński musiał popełnić prosty błąd. Prawdopodobnie bandanę, którą niczym relikwię zachowała Justyna, schował do wewnętrznej kieszeni kurtki. Ale kiedy Nubiński już zabił Beckera, wyłączył myślenie. Przebrał go w swoje ciuchy i buty, zapominając zupełnie o zawartości kieszeni.

Prokurator poprawił się na krześle.

– A siostra Beckera? – zapytał.

– Kiedy tamtej pamiętnej nocy było już po wszystkim, Nubiński uciekł ze strachu z mieszkania, a Justyna ocknęła się w szoku. Nie pamięta, co się z nią działo. Twierdzi, że któregoś dnia po prostu obudziła się w lesie, koło jeziora grodzieńskiego.

– Tam? – zaciekawiał się Legner.

– Dokładnie tam, gdzie Nubiński i Otremba wywieźli Beckera.

– I co było dalej?

– Bała się, że zostanie uwikłana w śmierć Marcina. Była przekonana, że Nubiński wrobi ją w to morderstwo. Dlatego zdecydowała się zniknąć. Okradła więc kilka gospodarstw z ciuchów i pieniędzy, a potem na stopa dotarła do Rumunii. Dopiero po kilku latach z lewymi dokumentami próbowała dostać się do Austrii i Niemiec. Urządzała się, aż w końcu któregoś dnia odezwała się do swojego brata na Facebooku. On jej pomagał, wysyłał pieniądze. Dzięki niemu przeprowadziła kilka operacji plastycznych.

– Chryste – jęknął Legner. – I nie skontaktowała się z matką?

Gross uniósł brwi.

– Nie o wszystkim chce opowiadać. Może z czasem wyjaśni matce swoje powody.

– Możliwe. – Legner pokiwał głową. – A jaka w tym wszystkim jest rola żony Otremby?

– Twierdzi, że została wykorzystana przez Nubińskiego. Po śmierci męża stale ją nachodził i pytał o tajne materiały. W końcu miał ją szantażować i zastraszać. Ona ma dwie córki – przypomniał Gross.

– Ale przecież ostatecznie przyniosła część materiałów Skalskiej.

– Bo liczyła, że mąż znalazł jakieś haki na Nubińskiego. Zdesperowana uznała, że to jedyna szansa, by się uwolnić od mordercy Beckera. Wiedziała już, że Nubiński jest bezwzględny.

Prokurator wstał. Chwycił czapkę i torbę.

– Czyli że te klucze odnalezione na miejscu zbrodni, te od domu Smolińskiego, zostały tam podrzucone przez Ewelinę Otrembę?

– Ona twierdzi, że nie wysiadła wtedy z samochodu, a Nubiński z kolei powiedział jej, że tylko postraszył Beckera. W każdym razie klucze i kartę przekazała Nubińskiemu wcześniej. Miał ją w szachu.

– Nie do końca. Przecież na obu przedmiotach nie było śladów jej linii papilarnych – zauważył Legner.

– Sądzę, że ona po prostu nie wiedziała, że Nubiński je usunie. Przecież musiały być na nich również jego odciski – odparł Gross.

– No tak. Racja.

Komisarz również wstał i podszedł do drzwi.

Legner wyciągnął rękę na pożegnanie.

– Co będzie ze Stelmachem? – spytał Gross, kiedy prokurator stanął na korytarzu komisariatu.

– To już zmartwienie moich zwierzchników. Ale jeśli wewnętrzni mają inne mocne dowody, to nie sądzą, by się wywinął. Co najwyżej pociągnie na dno kilku od nas. No i od was pewnie też. – Uśmiechnął się Legner. – Do następnego.

– Następnego już chyba nie będzie – odparł Gross.

– Nie rozumiem? – Prokurator zatrzymał się przy schodach.

– Czas odwiesić mundur – powiedział komisarz i zamknął się w gabinecie.

Po raz pierwszy od dawna zapragnął chwili spokoju.

Dlatego popijając świeżo zaparzoną herbatę, długo wsłuchiwał się w ciszę.

sześć dni później

Wczesnym rankiem Gross wszedł do gabinetu komendantki Lucyny Wojtasik.

Rozmawiała przez telefon stacjonarny, więc komisarz już miał zamiar się wycofać, kiwnęła jednak ręką, żeby usiadł.

Podszedł do znajdującego się za jej plecami okna, skąd rozciągał się widok na jezioro smagane deszczem, przysłonięte nieco zabudowaniami klubu kajakarskiego. Na szarym tynku wykwiwały plamy wilgoci.

Przeniósł wzrok dalej, na blok na wzniesieniu po prawej, po czym odszukał okna swojego mieszkania na poddaszu.

Kilka tygodni dzieliło go od emerytury, od momentu, w którym stracił wszystko to co, do tej pory trzymało go przy życiu.

Zeszłej nocy, kiedy skończyli się kochać, wtulił się w gorące ciało Malwiny i odważył się opowiedzieć o swoim lęku. Nie pocieszała go, nie mówiła, że wszystko będzie dobrze i że jakoś się ułoży. Znał ją na tyle, by wiedzieć, że nie zawiedzie go w takiej chwili.

Oparła brodę na jego klatce piersiowej, a on odsunął kosmyk jej włosów spadających na czoło.

– Ludzie zawsze najbardziej boją się samotności.

Nie wiedział, czy ten lęk rzeczywiście podszyty jest samotnością. Od ponad dziesięciu lat był sam. Cieszyła go cisza w mieszkaniu, odgłosy prac modelarskich, piłowania plastiku, wycinania części z wyprasek, syk farby nakładanej aerografem. Miał wrażenie, że był, w pewnym sensie, człowiekiem stworzonym do samotniczego życia. A może straconym w otchłań samotności, który się przystosował, by czuć się w niej jak w swoim naturalnym środowisku. Ale przecież gdyby tak było, nie zgodziłby się na propozycję kolacji u Malwiny Lemańskiej. W jakimś więc sensie ta samotność go uwierała.

– Pewnie masz rację – odparł.

Przyłożyła policzek do jego torsu.

– To wszystko zmienia – rzuciła.

– Co?

– To, że jesteśmy razem.

– Na pewno – odparł i odwrócił głowę do okna. – Tak, to wszystko zmienia.

Leżeli wsłuchani we własne oddechy i nocną ciszę.

Gross wpatrywał się w światło z latarni ulicznej, które układało się na suficie w jasny trapez pocięty paskami żaluzji.

Leżeli zupełnie nadzy, przesiąknięci zapachami swoich ciał i zawstydzeni sobą. Kochali się pierwszy raz, dając upust narastającemu tamtego wieczora pożądaniu.

– Ja też się boję – stwierdziła cicho Malwina.

Pogładził jej ramię.

– Boję się tego, co będzie z nami – dodała.

Gross poczuł nagle, jak niewidzialna pętla zacisnęła się na jego gardle.

– Masz przecież żonę, którą kochasz.

Zamrugnął szybko i wstrzymał powietrze w płucach. Cieszył się, że jest ciemno. Czuł, jak serce

rozpycha się pod żebrami, tłocząc krew wysyconą czystym strachem.

Widział twarz Agnieszki. Tę sprzed dziesięciu laty, kiedy uśmiechała się do niego w pełni sił i zdrowia, i tę twarz, na której piętno odciskała śpiączka. Zapadnięte policzki, luźno zwisająca dolna warga i ślina ściekająca z kącika przesuszonych ust.

Czy wciąż ją kochał?

Czy powinien okłamywać Malwinę?

Nabrał powietrza i w końcu wyszeptał:

– To jest trudne.

Przysunęła się bliżej, żeby pocałować go w usta.

– Wiem – powiedziała.



– No, co tam, Bernardzie? – Wojtasik przerwała mu wspomnienia.

Odwrócił się od widoku za oknem.

Patrzyła na niego skupiona.

– Miałem iść na emeryturę.

Drgnęła.

– Rozmawiałeś z Gabrielem Kąckim?

To u jej zastępcy Gross złożył raport. Pamiętał to, jak również umowę, którą wtedy z nim zawarł. Miał odejść po zapelnieniu wakatów i wdrożeniu nowych pracowników. Ale na razie nic się w tej sprawie nie posunęło do przodu. A wręcz było gorzej. Nubiński zwolnił kolejne biurko.

– Nie, nie rozmawiałem z nim – odparł.

Wojtasik sięgnęła po słuchawkę i wykręciła wewnętrzny.

– Wejdiesz do mnie? – spytała. – Bernard tu jest... Tak... No, to czekamy.

Gross podszedł do stołu, ale nie siadał. Nie widział się dziś z podinspektorem Kąckim, więc chciał się najpierw z nim przywitać.

Zastępca komendantki wszedł energicznie i mocno uściśnął dłoń Grossa.

Szczupły i siwowłosy mężczyzna najczęściej ubierał się w czarny, sportowy golf i dżinsowe spodnie.

– Siadajcie, panowie – poprosiła Wojtasik.

Zajęli miejsca naprzeciwko siebie.

Kącki uśmiechnął się krótko.

– Gabrielu? – spytała Wojtasik. – Zacznie?

Przecesał palcami krótkie, niemal białe jak śnieg włosy.

– Ale co? – odrzekł zdziwiony.

– Chodzi o emeryturę Bernarda. Podobno dostałeś jego raport. – Lucyna Wojtasik przekrzywiła głowę.

– Tak, ale to nie jest dobry pomysł. – Rozłożył ręce i ciągnął dalej: – Są pewne nowe...

– Nie interesuje mnie to – wszedł mu w słowo Gross. – Zdecydowałem, że odejdę z końcem grudnia. Nie możecie mi tego utrudniać.

Spojrzał po kolei na każde z nich.

Wojtasik postukała długopisem w okładkę teczki korespondencyjnej i spuściła głowę. Kącki złączył dłonie nad blatem.

– Posłuchaj, Bernardzie – zaczął i podniósł rękę, by mu nie przerywać.

Gross przygryzł policzek.

– Przepuściłem twój raport przez niszczarkę.
– Słucham? – Komisarz zgromił go wzrokiem.
– Zrobiłem to miesiąc temu. – Przerwał i spojrzał na Wojtasik. – Bo rozmawiałem z zastępcą komendanta z wojewódzkiej, nadinspektorem Zagórskim.

Gross czuł, że wszystko, na co z takim trudem się przygotował, rozpada się właśnie jak domek z kart.

– Chcę iść na emeryturę – stwierdził dobitnie.

– Pójdiesz, ale uwierz mi, to nie jest dobry moment. – Kącki wyciągnął palec wskazujący. – Zagórski powiedział mi w tajemnicy, że bydgoscy policjanci z sekcji do spraw niewykrytych uzbroili się w nową osobę. Mają tam teraz młodego wilka, podkomisarza Miłosza Wiernata, poznałeś go latem, pamiętasz?

– Ale co mnie to wszystko obchodzi? – Gross tracił cierpliwość.

– I Wiernat przekonał kierownictwo, żeby wznowić twoją sprawę.

– Moją sprawę? Jaką moją... – Nie dokończył.

Kącki nie odpowiedział. Spojrzał na Wojtasik, a ta westchnęła i zamknęła oczy. A potem, kiedy nabrała odwagi, dodała:

– Zajmą się sprawą twojej żony, Agnieszki. – Spojrzała mu prosto w oczy.

Gross zeszywniał i poczuł ciarki rozbiegające się od karku przez plecy.

– Zebrali już nowe materiały – dodała. – Dlatego będzie lepiej, jeśli zostaniesz.

grudzień

Pierwszy śnieg tej zimy był sypki, a mroźny wiatr zwiewał go z kostki brukowej, kiedy Gross szedł bulwarem do Malwiny.

Szary dzień rozpływał się w zmierzchu, a gęste dotąd obłoki, zaścielające całe niebo, rozstępowały się pod naporem porywistych powiewów i dzieliły się na mniejsze.

Słońce oświetlało je, uciekając za horyzont.

Gross spojrział wyżej i obserwował złote otoki płynących w dal chmur.

Clouds are lined with golden thread, przypomniał sobie fragment utworu Marka Knopflera.

W ciągu dnia zdążył pojechać do Torunia i odwiedzić żonę.

Leżała spokojna, pogrążona w niekończącym się śnie.

Zdjął kurtkę, odwiesił ją na oparcie krzesła, a potem usiadł i od razu zaczął czytać kolejny już raz *Ziemię, ojczyznę ludzi*.

Często wracał do książki Saint-Exupéry'ego, już nie tylko dlatego, że był to ulubiony autor Agnieszki. Sam także zaczął doceniać literacki kunszt francuskiego pilota i reportażysty, obserwatora życia i człowieka, który z wprawą opowiadał o ludziach zawieszonych w świecie wartości.

Grossowi pozostały ostatnie rozdziały. Czytał półgłosem i przekładał kartki, zerkając na wymizerowaną twarz żony, od czasu do czasu wycierając chusteczką zaśliniony kącik jej ust.

Wreszcie doczytał do końca i odłożył książkę.

Oparł łokcie na udach i nachylił się w jej stronę.

Serce biło mu szybciej.

A co, jeśli ona go słyszy, tylko nie może się komunikować ze światem?

Czy w tej sytuacji może powiedzieć jej o tym, że ją zdradził, bo znalazł nową miłość? Czy nie byłoby to największe okrucieństwo? Czy miał prawo rozgrzeszać sam siebie z wyrzutów sumienia?

Czuł przywiązanie do żony, wciąż ją kochał, ale dobrze wiedział, że obdarza ją innym rodzajem tego uczucia. Że nie jest już to miłość mężczyzny do kobiety ani męża do żony. Jest czymś, czego sam nie umiał nazwać, dla czego nie znajdował żadnego dobrego porównania. A może tylko relatywizował to wszystko, by dać sobie wolną rękę.

Spuścił głowę, chwycił jej ciepłą dłoń i przyłożył sobie do policzka. Wyczuł opór spowodowany spastyką, napięciem zeszywniałych mięśni, za które odpowiadał uszkodzony mózg.

Skóra kościstej dłoni była sucha i szorstka.

Zamknął oczy.

Chciał się przyznać, ale jednocześnie coś go krępowało. Kolejny raz niewidzialna opaska zacisnęła się na jego gardle. Trwał tak, z całej siły zaciskając powieki, ale fala wezbranego żalu uderzyła z niebywałą mocą i nie umiał jej powstrzymać. Trząśnięty całym, gdy całował jej dłoń, która zrobiła się słona od jego łez.

– O, pan Bernard – usłyszał głos wchodzącej do sali matki drugiej pacjentki.

Westchnął powoli, próbując się uspokoić.

– Przepraszam, nie wiedziałam... – wyszeptała kobieta.

Usłyszał, że wyszła i zamknęła za sobą cicho drzwi.

Opanował się i otarł chusteczką oczy.

– Zawsze... – zaczął. – Zawsze będę przy tobie.

Ostatni raz pocałował jej dłoń, a następnie na drżących nogach wyszedł z sali.

Były to pierwsze słowa, które powiedział do niej głośno i wyraźnie.

Ale nie było na nie żadnej reakcji.

Agnieszka wciąż śniła swój nieprzerwany sen.

Grossa zaczęła na korytarzu serdeczna blondynka z administracji. Przywitała się, a ponieważ wyczuł, że ma mu coś do powiedzenia, przystanął.

– Zapewne czytał pan jej książkę, prawda? – spytała.

Kiwnął głową.

– To wspaniale. Myślę, że jeśli będziecie to nadal robić, to w końcu przyniesie to efekty. – Uśmiechnęła się.

Gross przyglądał się jej uważnie.

– My? – spytał.

– No tak. Pan i pański syn, Bartek. Przyjeżdża tu czasami – dodała. – Wspaniały z niego chłopak. A do tego taki przystojny.



Wrócił do Chełmży, zjadł resztkę rosółu, który przygotował sobie dwa dni wcześniej, a potem dokończył pracę nad ciężarówką Wehrmachtu.

Krótkim pędzlem z niebywale miękkim włosiem, który za pozwoleniem Malwiny zabrał z jej kosmetyczki, naniósł na model kolorowe suche proszki. Dzięki pigmentom model wyglądał na żywcem wyjęty z wojennej scenerii. Udała mu się imitacja kurzu oraz zeskorupiałego błota na podwoziu i błotnikach. Utrwalił ten efekt za pomocą odpowiedniego fixera i odstawił na półkę. Drzwi ciężarówki pozostawił otwarte, co dawało mu również szansę na przygotowanie figurki kierowcy, który ustawiony obok będzie wyglądał, jakby wsiadał do pojazdu. Miał takiego żołnierza w swoich zbiorach, więc wyciął wszystkie elementy postaci z wyprasek i zespolił ze sobą. Miejsca łączeń wypełnił wamodowską akrylową szpachlówką, którą nakładał za pomocą wykałaczki. Nadmiar pasty startł wilgotnym pędzlem zanurzonym we właściwym rozcieńczalniku i zostawił ją do wyschnięcia, przykleiwszy postać podeszwą buta do plastikowego patyka, wyciętego z fragmentu ramy wypraski. Drugi jej koniec wsunął w kulkę plasteliny i w ten sposób zostawił żołnierza do dalszej modelarskiej obróbki.

Kiedy słońce chowało się na zachodzie, wyszedł z mieszkania i udał się do Malwiny, która zabrała go na spacer i do restauracji na deser.

Gross zjadł jabłecznik i wypił rozgrzewającą herbatę z dodatkiem pomarańczy, goździków i syropu z malin. Malwina skusiła się na lody i latte.

Wrócili do jej mieszkania i w milczeniu oglądali program telewizyjny, w którym ludzie gotowali na ekranie. Gross patrzył to na nią, to na program, ale nie potrafił się na nim skupić.

Myślami cofnął się o dziesięć lat. Był przy zdrowej żonie i przy jedenastoletnim Bartku. We wspomnieniach rozglądał się po tamtym domu, odczuwając wewnętrzny spokój. A potem przeniósł się o kilka dni do przodu i patrzył, jak cały jego świat runął. Zimowy wieczór, napad na żonę, wystrzał z pistoletu, śmierć niewinnej kobiety, trzy łuski przy jego domu i przerażenie syna.

I ciemność.

Niebyt, z którego nie wraca się do normalności.

Myślał też o tym, co go czeka, bo kiedy wracał od Agnieszki do Chełmży, odebrał telefon od

młodego policjanta Miłosza Wiernata.

– Panie komisarzu, czy mógłbym pana jutro odwiedzić? – spytał aspirant po krótkiej wymianie uprzejmości.

Gross milczał.

– Zapewne już pan wie, w jakiej sprawie – dodał Wiernat.

Bał się powrotu do tamtych zdarzeń.

Przez lata śledztwo nie posunęło się naprzód. Gross też, przynajmniej na początku, próbował coś ustalić na własną rękę, ale była to właściwie jedna z nielicznych spraw, której nigdy nie udało mu się rozwiązać. A potem już to zaniechał. Toczyło go to jak rak. Wiedział, że chęć odwetu przyćmiła jego analityczny umysł. W obliczu rodzinnej tragedii stał się zupełnie bezsilny. Musiał ją przyjąć i zaakceptować.

Pogodził się z tym.

Zmienił środowisko. Wyprowadził się do Chełmży. Pracował dalej, żeby nie zwariować. Ale zapłacił za to jedną z najwyższych cen.

Stracił syna, którego kochał. Stracił jego miłość, bo o nią nie walczył.

– Panie komisarzu? – odezwał się ponownie Wiernat.

Pomruk silnika i świst wiatru wypełniały samochód. Jechał sam po prostej drodze, która łączyła Grzywnę z Chełmżą. Miastem, które cenił za to, że dało mu spokój i ciszę. Gdzieś po drodze pokrywał sypki śnieg, spod którego wylaniały się plamy brunatnej ziemi. Patrzył na korony drzew pozbawionych liści, rozgałęziające się czarne szkielety wsparte na pniach.

– Tak, jestem – odparł.

– Mogę przyjechać?

– To będzie oficjalne przesłuchanie?

– Nie – zapewnił Wiernat.

Od chwili odebrania połączenia Gross odczuwał drżenie rozchodzące się we wnętrzu jak uderzenia dzwona. Jakby tamten dzień, jakby wszystko, co się stało dziesięć lat temu, przeżywał właśnie na nowo. Te same sceny, te same obrazy, te same dźwięki.

I nagle cisza, która spłynęła na niego, kiedy celował w plecy napastnika i oddawał strzał.

Dłonie, które podrywa odrzut.

Blask lampy po drugiej stronie ulicy, oświetlający kobietą postać.

Wystrzelony pocisk, który, jego zdaniem, wbił się między jej zębra.

I jego własny upadek.

Głowa przyklejona do granitowej kostki. Kałuża, w której odbija się obraz uciekiniera, macony deszczem.

I ciemność.

Długi ciemny tunel bez żadnego światła na jego końcu.

Ale teraz coś się tam zaświeciło.

Nikły płomień.

Albo ułuda.

– Niech pan przyjedzie – powiedział Gross.



Malwina się zaśmiała.

– Widziałeś? – Odwróciła się w jego stronę.

Potwierdził skinieniem głowy, wyrwany ze wspomnień, ale wiedział, że nie dała mu wiary.

Dopiła wino i spojrzała na niego, podpierając głowę dłonią. Widział w jej oczach radość i spokój. Wypełniała jego deficyty.

– Zostaniesz na noc? – spytała, a on pokiwał głową.

Nocą kochali się intensywnie, a potem Gross, nękany obrazami żony, scenami, w których płakała, nie mógł zasnąć. Wpatrywał się w elektroniczny zegar, a potem obserwował sufit rozświetlony uliczną latarnią. Widział w nim pęknięcia i wodził wzrokiem wzdłuż rysy ciągnącej się na szerokość pokoju.

Malwina przewróciła się na bok i szczelniej okryła kołdrą. Spała cicho, bezszelestnie.

Gross zamknął oczy.

I wtedy zadzwonił jego telefon.

Zerwał się, żeby odrzucić połączenie. A potem wstał i wyszedł na korytarz, zamykając drzwi do sypialni.

Ze zdziwieniem spostrzegł, że dobiega szósta rano. Musiał zasnąć, ale miał wrażenie, jakby zaledwie przymknął oczy.

Poszedł do salonu i zamknął za sobą kolejne drzwi.

Wybrał numer na komisariat.

– Gross – rzekł do aparatu, kiedy dyżurny podniósł słuchawkę.

– Panie komisarzu, mamy trupa w domu przy drodze na Bielczyny. Samotna chałupa oddalona od zabudowań.

– Zabójstwo?

– Nie wiadomo. W domu nie ma krwi, ale staruszek siedział w fotelu odwróconym od telewizora, jakby wpatrywał się w pustą ścianę – dodał dyżurny. – Jeden z sąsiadów zatrzymał się i zajrzał do środka. Podobno światło świeciło się przez całą noc.

Gross potarł zmęczone oczy.

– Wysyłam do pana radiowóz.

– Nie potrzeba. Przejdę się. Niech pan zadzwoni po Skalską i wezwie prokuratora i techników.

– Prokurator Bilski będzie za godzinę, a Marian Chęciński miał zabrać Jarka Blocha i obiecał, że wpadnie przed wpół do siódmej. A do Skalskiej już dzwonię.

– Dziękuję. Niech pan da znać technikom, że zabiorę się z nimi spod komisariatu. Skalkę zgarniemy po drodze – stwierdził Gross i zakończył połączenie.

Odwrócił się na dźwięk otwieranych drzwi.

W progu zobaczył zaspaną Malwinę Lemańską, która przewiązywała szlafrok. Ziewnęła, przysłaniając usta.

– Stało się coś? – spytała, podchodząc do niego i obejmując go w pasie.

– Muszę iść – odparł.

Podniosła głowę i pierwszy raz w życiu w oczach Malwiny Lemańskiej dojrzał cień strachu.



Pół godziny później mróz szczypał Grossa w policzki i kładł się śliską warstwą na bruku. Komisarz musiał uważać, żeby się nie poślizgnąć.

Szedł wolno i skręcił w prawo w ciasną ulicę między kamienicami, prowadzącą do komisariatu. Lampa przy ceglastym budynku rzucała pomarańczowe światło na oszroniony dach nieoznakowanej policyjnej kijanki. Z rury wydechowej uwalniał się niebieskawy dym. Światła reflektorów rozpraszały się daleko nad brzegiem jeziora.

Komisarz podszedł do samochodu i szarpnął tylne drzwi. Z wnętrza buchnęło ciepłe powietrze.

Przywitał się z technikami, podając im zziębniętą dłoń.

– Szklanka jak cholera, nie? – stwierdził Marian Chęciński, wycofując pojazd spod drzwi komisariatu.

– Vis maior – odparł Gross i zapiął pas.

– Dokąd jedziemy?

– Najpierw do Skalskiej, a potem drogą na Bielczyny.

– Dużo roboty nas czeka? – rzucił Bloch przez ramię.

Komisarz nie odpowiedział.

– Bernardzie? – Technik odwrócił się do niego.

Gross rozpiął kurtkę.

– W takich sprawach zawsze jest dużo roboty – odparł.

A potem spojrział przez boczną szybę na pogrążone w resztkach nocy śpiące miasto. Miasto, które miało się budzić do życia.

I miasto, w którym właśnie ktoś to życie stracił.

Podziękowania

Mam to wielkie szczęście, że wciąż trafiam na ludzi, którzy chętnie pomagają mi w pisaniu powieści, poświęcając swój cenny czas. Jestem im za to wdzięczny.

Dziękuję bardzo komisarzowi doktorowi Pawłowi Leśniewskiemu ze Szkoły Policji w Pile za opowieść o pewnym zdarzeniu, które okazało się inspiracją do napisania *Zadry*. Pawle, dziękuję też za to, że zawsze mogę na Ciebie liczyć!

Kłaniam się nisko Tadeuszowi Zymanowi, prokuratorowi w stanie spoczynku, który również nie żałuje swojego czasu na merytoryczne wsparcie w tworzeniu literackiej fikcji. Tak było i tym razem. Tadeuszu, dziękuję też za wspólnie wypite kawy, za wszystkie rozmowy o muzyce, dobrym jedzeniu, przepisach na nalewki i o kryminałach, prowadzone na słonecznym tarasie Twojego domu. Przy okazji przekazałem komisarzowi Grossowi płytę Dire Straits, którą wręczyłeś mi podczas pewnego spotkania autorskiego w toruńskiej księgarni Kafka i Spółka. Teraz – po lekturze powieści – już wiesz, czym się to skończyło.

Szczególne podziękowania kieruję do Adriana Tomczyka, redaktora prowadzącego, który od początku powstawania tekstu zgłaszał wartościowe uwagi – dzięki nim *Zadra* jest ostatecznie lepszą powieścią.

Serdecznie dziękuję pierwszym czytelnikom tej powieści za przekazanie wrażeń z lektury i uwag. O mało nie wylądowałem na OIOM-ie, czekając na Wasze maile, ale ostatecznie byliście dla mnie bardzo wyrozumiali. Dziękuję za wytropienie wszelkich (mam nadzieję!) błędów i nieściśłości fabularnych. Dlatego kłaniam się nisko Ani Rozenberg (redakcje.com.pl), Ani Sawickiej-Banaszkiewicz (zaczytasy.blogspot.com), która sprawiła, że często nawiedza mnie Annie Wilkies, znana Wam z filmu *Misery*. Dziękuję też Asi i Marcinowi Żydom oraz Darkowi Łubkowskiemu, czuwającemu nad tym, by Chełmża w moich powieściach była wiernie odwzorowana. Dziękuję Wam za poświęcony czas, ale i serdeczność, której nigdy nie szczędzicie.

Chwała należy się blogerkom i blogerom książkowym za dzielnie się w mediach społecznościowych opiniami o moich powieściach i za ich polecenie.

Kłaniam się redaktorowi naczelnemu wydawnictwa Robertowi Falewiczowi, członkini zarządu Ani Wasik, a także Grecie Kaczmarek i wszystkim pozostałym pracownikom Czwartej Strony, którzy sprawiają, że spokojnie mogę się zająć wyłącznie pisaniem. Jesteście the best!

Cieszę się, że dobrą tradycją stała się moja współpraca z redaktorką Leną Marciniak-Cąkałą, która z ogromnym zapałem i wyczuciem dba o stronę językową powieści. Dziękuję, Leno.

Przy okazji serdecznie pozdrawiam Martę i Damiana Matyszczaków, Gosię Gogut i Bartosza Szczygielskiego (musimy się zdzwonić, żeby pomarudzić!), Grzegorza Brudnika, Marka Stelara, Agnieszkę i Marcela Woźniaków, Przemka Semczuka, Michała Kadleca, Kasię Dardzińską i Marcina Wrońskiego, Iwonę Muszytowską-Rzeszotek, Agatę Koss-Dybałę, Mariusza Czubaję, Kasię i Macieja Siembiedów, Adama Szaję, Tomasza Lewandowskiego, Wojtka Walkowiaka, cały #shameteam z Instagrama (Anię, Ewelinę, Magdę, Monikę, Martę i Piotra – dziękuję za wszystkie spotkania i memy, które po nich powstają), Kasię i Wojtka Pukropów (Wojt, dzięki za wsparcie!). Ściskam Magdę Kostrzewską (maszynadopisania.pl) i Marcina Karpińskiego, Leszka Koźmińskiego, Iwonę Leśniewską, Marcina Mańczaka oraz Błażeja Krupę (dziękuję za pomoc!), Marka Wantowskiego, Marcina Seroczyńskiego i Anię Bińkowską, a także Agnieszkę Gracę oraz szalonych księgarzy kameralnych, Ewę i Pawła z toruńskiej księgarni Kafka i Spółka, Katję Tomczyk i Izę Szymczak, Julię Łapińską, Grzegorza Kostulskiego, Kasię Jędrzyńską-Chudzińską z księgarni Hobbit, Ewę i Marasa Pijanowskich oraz Margotę Kott.

Wyrazy uznania kieruję w stronę pana Piotra Grabowskiego, znakomitego aktora i lektora, którego niezwykły głos i wspaniała interpretacja tekstu nadają moim chełmżyńskim opowieściom

dodatkowego waloru, o czym często się przekonuję, otrzymując miłe informacje od amatorów audiobooków.

Wielkie podziękowania składam moim Czytelnikom, dzięki którym zrealizowało się moje marzenie o przejściu na „zawodowstwo”. Dziękuję Wam za każdy zakupiony egzemplarz przygód Marka Benera i komisarza Bernarda Grossa!

I wreszcie dziękuję całej mojej rodzinie, a w szczególności kochanym Rodzicom oraz Sylvii, Jarkowi i Arturowi Małeckim, teściom: Teresie i Teofilowi Ernestom, Marzennie, Beacie, Wiktorii, Mateuszowi i Darkowi Kucharskim.

Ta książka i wszystkie poprzednie, a także te, które dopiero napiszę, nie powstałyby i nie powstaną bez ogromnego wsparcia mojej kochanej żony Kasi i syna Maksa. Dobrze wiecie, że wszystko to wyłącznie dzięki Wam.

Kocham Was.

Robert Małecki

facebook.com/robertmalecki.autor

instagram.com/robertmalecki.autor

www.robertmalecki.pl